

TOM CCLIV

De. II. 1.

ROK 64

SERYA 9

ZESZYT 764

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

CZERWIEC.

1904.

TOM II. — ZESZYT 3.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja: Krakowskie Przedmieście 5.

—
1904.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
1. NIEZNANY UTWÓR SŁOWACKIEGO. (List apostolski), — przez prof. Józefa Tretiaka	429
2. A GDY W GŁĄB DUSZY WNIKNIEMY... Powieść współczesna (dalszy ciąg) — przez Gabryelę Zapolską	474
3. ZE STOSUNKÓW WILEŃSKICH W OKRESIE 1816 — 1823, — przez Henryka Mościckiego	504
4. TEORIA LAMARCKA I NEOLAMARKIZM W BIOLOGII WSPÓŁCZESNEJ, — przez profesora d-ra Józefa Nusbauma	531
5. TWÓRCA I TŁUM, — przez Stefana Popowskiego	536
6. WŁADYSŁAW SYROKOMLA, — przez A. Drogożewskiego (dokończenie)	566
7. PISMIENICTWO:	
KS. PIOTR SKARGA SOC. JESU: Kazania sejmowe z pierwodruku roku 1597, wydał i przedmową poprzedził Ign. Chrzanowski. Warszawa, 1803 („Biblioteka dzieł chrześcijańskich“), — przez A. R.	595
MARYA RODZIEWICZÓWNA: Światła. Nowele. Warszawa, 1904, — przez Mikołaja Mazanowskiego	606
MARYAN GAWAŁEWICZ: Dla ziemi. Powieść w dwóch tomach. Warszawa, 1904, — przez A. Grz. Siedleckiego	611
ESTEWA: Wspomnienia z Rivieri. Powieść. Warszawa. E. Wende i S-ka, 1904, — przez Sdl.	515
8. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Skutki ekonomiczne wojny. — Kąpiele ludowe w r. 1903. — Kredyt krótkoterminowy dla włościan. — Działalność warszawskiego chrześcijańskiego Towarzystwa ochrony kobiet. — Zapis ś. p. Adama Smigielskiego na rzecz Instytutu głuchoniemych i ociemniałych. — Ś. p. Władysław Folkierski	612
9. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	629



De II 1.

NIEZNANY UTWÓR SŁOWACKIEGO.

(LIST APOSTOLSKI).

Pomiędzy wcale dotąd nieznanymi światu autografami Słowackiego, których użył mi łaskawie prof. Małecki do mojej pracy o Słowackim, znajduje się zeszyt złożony z czterech arkusików bardzo cienkiego papieru listowego i cały zapisany (z wyjątkiem ostatniej stronicy) własnoręcznym piśmem poety. Z przekreślań i poprawek można wnioskować, że to jest pierwszy brulion. Rzecz cała podzielona jest na dwa rozdziały, ale na początku niema cyfry, oznaczającej rozdział pierwszy. Z tego braku, jakoteż z pierwszych słów autografu, możnaby się domyślać, że utwór, o którym mowa, jest fragmentem, że mianowicie brak mu jakiegoś początkowego ustępu. Autograf bowiem zaczyna się tak:

„Wyższego hymnu spodziewałem się z ust twoich—ale młodzieniec jesteś i wizye twoje są jeszcze pełne blasków latających... Oto usiedliśmy przy nogach Pana naszego Chrystusa, na progu u bramy z jednej perły—i radujemy się poraz pierwszy, jako aniołowie, którzy widzą jednocześnie i czują“.

Z tego ustępu należałoby wnioskować, że przedtem jakiś młodzieniec rozwijał swoje na świat poglądy przed mistrzem-apostolem, którym jest sam poeta, i że tych słów młodzieńca, zawartych w początkowym ustępie utworu, brak w autografie. Ale rozczytując się w korespondencji Słowackiego, doszedłem do odmiennego poglądu: utwór nieznaną, o którym mówimy, nie jest fragmentem bez początku, ale całkowitym utworem; „hymnem“ wspomnianym na początku, jest pewien list Zygmunta Krasieńskiego do Słowackiego, a młodzieńcem, „którego wizye są jeszcze pełne blasków latających“ jest nie kto inny, jak autor *Irydyona*. Mistrz i młodzieniec usiedli na progu bramy z jednej perły, to znaczy wedle słów *Objawienia św. Jana* u pro-

gu nowego Jeruzalem, które zstąpiło z nieba, a którego każda brama jest z jednej perły, czyli odrzucając symbolikę, u progu nowej nauki, którą ma podać młodzieńcowi poeta.

Ale o tym młodzieńcu dalej niema już wcale wzmianki i cała dalsza nauka poety zwraca się już wogóle do „braci naszych“. (Napišmy oto na złotej płycie skały ewangelię prawdy dla braci naszych). Ta nauka, podzielona na krótkie ustępy, bardzo się zbliża i tym podziałem i tonem do prozy biblijnej: sam poeta w tylko co przytoczonym ustępie nazwał ją „ewangelią prawdy“, ten więc tytuł możnaby postawić na czele utworu. Wszakże sędzę, że właściwiej jest nazwać ten utwór „*Listem apostołskim*“, niż ewangelią prawdy, bo ten ostatni tytuł jeżeli jakiemu utworowi Słowackiego godzi się nadać, z jego wychodząc stanowiska, to tylko „*Genesis z Ducha*“, którą on uważał za alfę i omegę świata. Otóż nieznany utwór w takim mniej więcej zostaje stosunku do „*Genesis*“, w jakim listy apostołskie do ewangelii. Jest to w istocie, jakby list apostołski Słowackiego do Polaków.

Poeta wychodzi z tej zasady, że wszelkiemu złu, wszelkiej nędzy doczesnej, nie Bóg jest winien, ale duchy, tak te, które są zamknięte w ciałach, jak i te, które się unoszą nad światem, a oddziaływają na ludzi. Duchy te są różnej jakości, różnego stopnia; od najniższych do najwyższych ciągnie się niezmiernie długa drabina hierarchiczna, a nad wszystkimi duchami, jako siła najwyższa, unosi się sakramentalna siła Chrystusa. Prawdziwy postęp świata polega na wyzwaniu się z pod wpływu niższych duchów a dążeniu ku owej najwyższej sile; a dążyć ku niej nie można, nie mając wiedzy prawdziwej, wiedzy o tem, że wszystko na świecie jest z ducha i dla ducha. To też narody, ubiegające się o materyjalną potęgę i zdobywające ją, są nieszczęśliwsze od narodu polskiego i Bóg okazał się dobrotliwszym dla tego ostatniego, niż dla tamtych: gdyby go bowiem nie skazał był na cierpienia, nigdyby Polacy „nie usłyszeli ogromnego głosu w duchach swoich“, głosu, który im wiedzę prawdziwą odkrył.

W porównaniu z tą wiedzą, wszystko to, co kościół i nauka świecka podaje, jest tylko opinią, wszystko to jest wiedzą powierzchowną, nie docierającą do jądra przyczyny i stąd chwiejną, budzącą wątpliwości. Słowacki widocznie stosuje się tu do platońskiego podziału poznawania ludzkiego na *επιστήμη* i *δύξις*, które znajdował w *Republice* Platona i „duchem świętym się świadczy“, iż nic z opinii nie mówi, a wszystko ze źródła wiedzy prawdziwej wyprowadza. A wyprowadza czasem dziwne rzeczy, jak np. że „sakramentalna była półmiesięczna chmura mahometańskiego ludu... a póki pili z niej moc... zwyciężali świat...“

i że „nie jest przeklętą moc żadna, ale jest przez najwyższą sakramentalną siłę rządzoną...”

Lecz najgodniejszym uwagi w liście apostołskim Słowackiego jest to, co on mówi o sobie, o swoim stanowisku wobec narodu, o swoich nadziejach i o swoim stosunku do Chrystusa. Ażeby to zrozumieć, ażeby wogóle zrozumieć genezę tego utworu, trzeba przed odczytaniem jego poznać dwie rzeczy: pewną halucynację, której uległ Słowacki na kilka miesięcy przed pisaniem listu apostołskiego i odnowioną korespondencją jego z Krasieńskim w początku 1846 r.

I.

Do czasu owej halucynacji, t. j. do r. 1845 Słowacki miał tylko wizye senne, t. j. sny tak wyraziste, że i po przebudzeniu się zostawały mu w pamięci z całą świeżością barw i rysów. Był też oddawna skłonny wierzyć w ich prorocze znaczenie. Tak jeszcze w r. 1831, niedługo po przyjeździe do Paryża z Londynu, pisał do matki: „Wiecie, iż teraz snom wierzę i mam przekonanie, powzięte z doświadczenia, iż niektóre są prawdziwe.

W domu, gdzie mieszkałem w Anglii, jednej nocy obudził mnie sen okropny: było to 16 augusta; zdawało mi się, że należę do zaburzeń. Kiedym szedł na herbatę, wszyscy spostrzegli zmęczenie na mojej twarzy, wyznałem im ze wstydem sen nocy, i przepowiedziałem na ten dzień coś ważnego. Anglicy potem mieli mnie za obdarzonego drugim widzeniem“. Tak więc, jeżeli możemy zupełnie zaufać słowom poety, przeczuł on we śnie demagogiczne rozruchy i egzekucye warszawskie, które poprzedziły upadek stolicy. ¹⁾

W siedem lat później, bawiąc we Florencyi, miał sen o matce, jakby zwiastujący mu ciężkie przejścia, przez jakie wówczas przechodziła jego matka, przez jakiś czas więziona z powodu sprawy Szy-

¹⁾ P. Meyet w przypisku do tego ustępu (Listy I, 63) objaśnia, że Słowacki stosuje swoje słowa do „zaburzeń i silnych rozruchów ulicznych w Londynie i Brystolu“ z powodu odrzucenia billu o reformie parlamentu. P. M. podaje nawet wiadomość o dalszych losach tego billu, ale na objaśnienie jego zgodzić się niepodobna, bo cóż za związek pomiędzy tym billem a sferą przeczuć Słowackiego!

mona Konarskiego. Pisał o tym śnie z Paryża, znacznie później, w takich słowach: „Osiem temu miesięcy, przyjaciel mój Zygmunt, przyjechawszy z daleka, doniósł mi, że ty, droga, nowych doznałaś i niezasłużonych nieszczęść; a choć w sny nie wierzę, sen jednak dziwniejszy nad wszystko, miesiącem przed tą wiadomością, pokazał mi ciebie wypadającą z powozu, wywracającego się nad brzegiem przepaści, w głębi której płynęła przezroczysta rzeka... Ja zostałem na górze i widziałem ciebie zsuwającą się szybko po stromym brzegu przepaści, nareszcie widziałem, jak upadłaś w wodę, jak szaty Twoje nabrzmiały, jak szłaś coraz dalej i dalej i nareszcie zniknęłaś w głębinie. Sen ten... chwila ta była mi jak wieczność długa, a gdy ciebie straciłem z oczu, przebudziłem się w ciemności i usiadłszy na łóżku, płakałem... Odtąd co dnia wyglądałem czegoś złego“.¹⁾

Podkreślone przezemnie zdania zostają w sprzeczności z sobą, ale pogodzić się dają w ten sposób, że poeta rozumem biorąc rzeczy, w sny nie wierzył, a jednak mimo woli i rozumu przykładał do nich wagę. Ale do czasów transfiguracyi, sny takie, które zwracały na siebie uwagę poety, miewał on bardzo rzadko, przynajmniej należy tak sądzić z listów jego. Inaczej było począwszy od r. 1842. Jeszcze na parę miesięcy przed transfiguracją miał on sen o „kochance pierwszych dni“, o Ludce, który z właściwym sobie wdziękiem stylu, bardzo szczegółowo opisał we współczesnym liście do matki. Dziękując matce za wiadomość o Ludce (która to wiadomość może nawet była pierwszym potraceniem tej fali w myślach, co mu obraz kochanki we śnie przyniosła) tak pisał: „Niedawno miałem o niej sen śliczny... zdawało mi się, żeśmy się spotkali u stóp wielkich, olbrzymich wschodów, w przysionku jakiegoś pałacu... Wiedziałem, że ją tam spotkam, zebrawszy więc całą moc i energię, przystępowałem do niej i spojrzawszy na twarz jej, niestety, już zmienioną, założyłem ręce i chciałem do niej mówić... Ale zaledwo pierwsze słowa wyrzekłem, buchnął mi z piersi płacz gwałtowny i padłem na wschody, jak Dante przed Franceską... Wtenczas ona stojąc nademną z litością, ręką zdjęła ze swej twarzy tę niby maskę mglistą, która ją była odmieniła, i piękniejsza niż dawniej, przez kilka chwil patrzyła na mnie. Potem zaczęła iść po wschodach zwolna... i słyszałem echo jej chodu coraz wyżej niktające, aż nareszcie znikło zupełnie. Lecz ten gest, którym ona z twarzy swojej zdjęła odmianę całą lat i smutków, był zadzi-

¹⁾ Listy II, 113.

wiającej piękności. Tak, sen jest czasem cudownym malarzem i moralistą*. 1)

Łatwo się zgodzić z poetą, że sen był tym razem cudownym malarzem, ale dlaczego moralistą? Jaką naukę, jakie znaczenie przypisywał mu Słowacki? W obszernym liście (z 16 maja 1842), z którego ten obraz snu wyjęty, niema nic, co by posłużyć mogło za wskazówkę do rozwiązania tej zagadki. Ale gdybyśmy chcieli z naszego oddalenia dziejowego w śnie tym proroczej szukać alegoryi, tobyśmy ją łatwo znaleźli. Wszak ten sen wyśnił mu się na parę miesięcy przed nagle a głębokiem przeobrażeniem jego duchowem, więc był jakby zwiastunem zbliżania się tej przemiany. Olbrzymie wschody, wiodące do jakiegoś pałacu, to transfiguracya, która go zawiodła do gmachu anielstwa, a Ludka, zdejmująca mglistą maskę, aby z pod niej ukazać twarz piękniejszą, niż była dawniej, to jakby symboliczne przedstawienie tej przemiany w pojęciu o piękności, jaka zaszła w Słowackim po transfiguracyi.

Ale nie bawiąc się w tłumaczenie szczegółów, można za poetą śmiało powtórzyć, że sen bywa czasem cudownym moralistą, a to w ten sposób, że w fantastycznych obrazach wydobywa z głębi nieświadomych stanów i stawia przed spojrzeniem ducha ludzkiego to, co w świetle świadomości ludzkiej na jawie znika, jak znikają gwiazdy na firmamencie, gdy go słońce rozjaśni. I ten sen, mojem zdaniem, należy tak rozumieć: był to wyraz fantastyczny tych nieświadomych stanów duszy, które poprzedziły i przygotowały wielki a nagły przełom duchowy w poecie. Nie przeczy to temu, co powiedziałem wyżej, że może wiadomość o Ludce wpłynęła na ukazanie się jej postaci we śnie.

Od czasów transfiguracyi Słowacki począł zwracać baczną uwagę na sny swoje i upatrywać w nich tajemniczych znaków dla siebie ze świata ducha. Zaraz w pierwszym liście do matki, gdzie jej napomykał o wielkiej zmianie wewnętrznej, jaka w nim zaszła, opisywał jej sen swój, który miał dla niego znaczenie wróżby. „Śniło mi się niedawno, że chodzę z Tobą po gaju Czerczy, że mi pachnie konwalia, że widzę płomienie pieców ceglanych i słyszę Bazylijańskie słowiki i odpowiadające im słowiki z żydowskich mogiłek. Ten sen tak jest porządny w zmianach, że obwinić go nie można o niepodobieństwo... Cóżbyś ty, droga, zrobiła, widząc mnie u nóg twoich... na ławie domku twego? Na samą myśl taką łzy zalewają mi oczy i serce leci ku tobie. Proszę cię, czytaj ewangelię i łącz się ze mną modlitwą“.

1) Listy II, 156.

Cóż znaczyły te słowa? Oto, że poeta widział we śnie owym wróżbę prędkiego a szczęśliwego powrotu do kraju. Były to przecież czasy, kiedy Towiański zapowiadał wojnę wielką, która emigrację miała zaprowadzić do Polski, a miało to się stać tak prędko, że w oczekiwaniu jej radził podobno emigrantom, aby nie kupowali od razu funta świec, dosyć po jednej ¹⁾. Ten błogi optymizm odbił się i w powyższej zacytowanym ustępie z listu Słowackiego.

Z początkiem roku 1844, zamknąwszy się w gmachu anielstwa, poeta, im więcej oddalał się od ludzi, tem głębiej zanurzał się w sobie, w świecie mar, które snuła jego wyobraźnia, czy to na jawie, czy we śnie, i tak pilną zaczął zwracać uwagę na sny, że zapisywał je w swoim, na niedługo przedtem kupionym, notatniku w czerwonej oprawie. Na karcie 47-ej książki znajdujemy następującą notatkę: „Myślałem 6 stycznia 1844 r. o matce, ile łez wylała, i miałem sen o niej, że ją widzę na Czerczej Górze, na samym wierzchołku skał, jak fontannę w kształcie szerokiego namiotu ze spadającej srebrnej wody. Cudny namiot łez, abym się podeń schronił był okryty“. Nie zaniedbał też opisać tego snu matce w liście, o miesiąc późniejszym (2 lutego) i do opisu dodał wyjaśnienie: „Wytlómaczyłem sobie, że to jest prawdziwy namiot schronienia się z łez, wylanych nade mną“ ²⁾.

Jakże się mylił poeta w tym wykładzie snu, ale jakże wiernie się scharakteryzował w tej omyłce! Sen w istocie był symboliką, pełną znaczenia. Wszakże było to w czasach, kiedy matce zdawało się, że straciła swego dawnego Julka, którego tak kochała, tak dobrze rozumiała i z którego tak dumną była, i że miejsce syna-jedynaka zajął ktoś inny, do tamtego wcale nie podobny, i kiedy, zastraszona pogroźką syna („garsć prochu mego i puste echo“), nie śmiała nawet z trwogi się swojej przed nim wynurzać. Jakaż to fontanna łez musiała w owych czasach w milczeniu płynąć z oczu matki, i jaki wyrzut dla siebie powinien był znaleźć syn w tej symbolice, którą mu sen przynosił, zaczerpniętą z głębi nieświadomych stanów jego duszy. Ale on, zgodnie z wiarą w swoje anielstwo, znalazł tam tylko pomyslną dla siebie wskazówkę, i fontanna łez matki zamieniła się w wyobraźni jego w namiot anielski.

Niebawem poeta przeznacza osobne miejsce w notatniku (od karty 27 do 29-ej) do zapisywania snów, i to nietylko swoich, ale i cu-

¹⁾ Ob. list Mickiewicza do Ignacego Domejki. Korespondencye Adama Mickiewicza, I, 259; a także Władysława Gołombiowskiego: Mickiewicz odsłoniiony i Towiańszczyzna, Paryż. 1844, str. 67.

²⁾ Listy II, 194.

dzych. Zapiski następują po sobie chronologicznie, przyczem zwykle dokładne daty snów są podawane. Pod datą 8 marca 1844 r. czytamy taką notatkę: „Śnił mi się nieboszczyk Xiążę Orleanu, jak gdyby wchodził na wschody Tuilleryjskie i mówił ze mną, a potem imię moje zapisał do pugilaresu... Miałoby to być, że mię ten duch chce do swego zboru przyciągnąć? Uderzył mię po ramieniu i pytał, czy się tem dotknięciem nie obrażam; odpowiedziałem mu wierszem Calderona, że król nie może urazić“. Następną notatką brzmi: „Dnia z 3 na 4 kwietnia (1844), sen o łabędziach, których białość mnie zdziwiła. Wstawszy myślałem, że jest rozkaz, abym poszedł do Tuilleriów, gdzie łabędzie pływają. Jakoż skoro nad sadzawką stanąłem, ptaki te z drugiego końca płynęły do mnie, i w takiej zupełnie pozycji zatrzymały się, jak owe, we śnie widziane — ale nic więcej. Wieczorem dopiero zrozumiałem, że to jest przypomnienie się duchów Julii i Jasia ¹⁾, bo Julia łabędzie miała i karmiła“.

W snach Słowacki widział coś więcej, jak wskazówkę, jak potracenie ze świata duchów: widział także i odblask, przypomnienie przeszłych, przeżytych żywotów. Mamy tego dowód w następującej notatce, bezpośrednio pod snem o łabędziach napisanej: „Opowiadała mi pani R... (prawdopodobnie pani Reitzenheim) o swoim śnie, że widzi zawsze niby zamek starożytny, gdzie jej pokazuje szufladę, pełną starych pieniędzy, i mówią, że to do niej należy — potem ją fale porywają, z którymi ona walczy. Cudne wspomnienie; pewnie była dziecięciami pieszczonem, bogatem, które rodzice psuli, pieniądze jej pokazując — potem utopiła się może w podzamkowej rzece, może ją w wodę zbójcy rzucili... Teraz ta pani, cudnej piękności, młoda, zupełnie jak gdyby za expiacją, z nędzą walczy, dziatki sama wychowuje i przyznaje się, iż w sercu tęskni za majątkiem... że jej się zdaje, iż z pieniędzmi byłaby szczęśliwą — i sen ów przemawia do niej napróżno, albowiem z trudnością poddać się jej woli Bożej przychodzi“.

Sny, które uznawał za znaczące, najczęściej go nawiedzały — jak to z notatek wywnioskować można — na wiosnę, osobliwie w kwietniu. Z sześciu snów własnych, zapisanych w r. 1844, cztery pochodzą z tego miesiąca. Do tych ostatnich należy i sen z 14 na 15 kwietnia, wprowadzony przez poetę do dramatu p. t.: *Agezilausz*. Do snu tego w notatniku nie dodał poeta objaśnienia, ale w dramacie ów sen daje „rzeczy tajemnych widzenie“, jest dla bohatera, króla Agisa, znakiem, że ma wkrótce zginąć. Rzecz to godna uwagi, że Słowacki, gdy nie mógł snu swojego wprost do siebie stosować, stosował go

1) Julia Michalska, która poślubiła wuja poety, Jana Januszewskiego.

przynajmniej do bohatera, z którym poczuwał się do solidarności duchowej.

W roku 1845, którym się obecnie zajmujemy, jeden sen tylko zapisał w pamiętniku, ale ten sen ma również datę kwietniową. Na karcie 28 (str. 6), pod datą 15 kwietnia 1845 r., czytamy: „Sen dziwny — niby mnóstwo koni białych, jak srebro, nad dachem zamku wielkiego ulatywało w powietrzu, ciągnąc niby w szafirowy błękit gromadą łabędzią — lecz te konie, unieść się nie mogąc, zleciały wielką chmurą na dół, na ziemię, i podniosły kurzawę grubą, w której zniknęły z całym obrazem“.

I do tego snu nie dodał poeta objaśnienia, ale nie można wątpić, że i w nim upatrywał jakieś tajemnicze znaczenie. Dla nas ten sen godnym jest uwagi z tego względu, że obrazem swoim wiąże się z dawnym wspomnieniem, przywołanem przez poetę w liście do matki, o parę miesięcy wcześniejszym, mianowicie, jak Najśw. Panna (Berdyczowska) przeniosła nad nim „sto dzikich koni, niby na skrzydłach anielskich, aby był żyw dotąd i służył Bogu“. Kiedyż to się stało? Sięgając w przeszłość poety, tak dobrze nam znaną z listów i pamiętników, znajdujemy jeden tylko wypadek, który mógł służyć za podstawę do owego wspomnienia. W pamiętniku, pisanym w lipcu 1832 r. w Paryżu, opowiada Słowacki swój pierwszy przyjazd do Warszawy w lutym 1829 r. Jechał przez Nowy Świat sankami i oglądał się w koło. „Zdaleka ujrzałem konie unoszące, lecz w przeciwną stronę leciały... mało na to dawałem uwagi. Wtem sanki, w których jechałem, zatrzymują się, powoźnika, obróciwszy się, już nie ujrzałem za sankami, a nademną tuż, tuż leciały rozhukane dwa konie, schyliłem się w sankach i w tejże chwili oba konie przeskoczyły przeze mnie i tuż przy moich sankach, które z ich sankami zczepiły się, upadły. Przyszedłszy do przytomności, wyskoczyłem i znalazłem się wśród leżących na ziemi koni“. I już wtedy widział w tem Słowacki jakąś wróżbę dla pobytu swojego w Warszawie.

Otóż mamy tu przykład, jak wyobraźnia Słowackiego, mistycznie nastrojona, przekształcała i wyolbrzymiała obrazy dawnych wspomnień, jeżeli w nich odpowiedni do swego nastroju znajdowała materyał. Dwa unoszące konie, wzięte z rzeczywistego wypadku, zamieniły się w sto dzikich koni, ulatujących jakby na skrzydłach anielskich; to, co miało być tylko jakąś wróżbą dla pobytu poety w Warszawie, zamieniło się po piętnastu latach w wyraźną interwencję Najśw. Panny, i to nie innej, jak Berdyczowskiej, co można tylko w ten sposób zrozumieć, że Słowacki miał z sobą podczas wypadku z koźmi Jej wizerunek, dany na drogę z błogosławieństwem przez matkę.

Ale nie na tem koniec. W wypadku warszawskim, to jest we wspomnieniu, jakie po sobie zostawił, możnaby widzieć pierwsze ziarno owego „snu dziwnego“, który poeta zanotował w swojej książce czerwonej; można przypuszczać, że obraz stu dzikich koni, jakby na skrzydłach anielskich ulatujących, który poeta wysnuwał z dalekiego wspomnienia, pisząc znany nam list do matki, tak żywo się w jego wyobraźni zarysował, że w parę miesięcy potem odbił się we śnie, w owym obrazie mnóstwa koni, białych jak srebro, ulatujących w błękit i spadających potem na ziemię.

Tak więc mamy tu przykład, jak wrażenia świata rzeczywistego przetapiały się w Słowackim naprzód na fantastyczne marzenia, a z tych marzeń potem w wizye senne.

Poświęciłem snom poety tyle uwagi dla tego, że w jego życiu ówczesnem odgrywały one rolę ważniejszą od wypadków zewnętrznych, t. j. miały ważniejsze dla niego znaczenie. Cóż go obchodziło teraz to, co się działo na ulicy, na świecie, w literaturze, jego, który miał słońce prawdy, ukryte przy sobie, i na ludzi patrzył z politowaniem, jak na dzieci, budujące domki z kart? Czegóż się mógł od nich dowiedzieć? Przeciwnie, sny przynosiły mu tajemnicze znaki ze świata duchów, który jedynie był dla niego rzeczywistym, w snach znajdował poeta rady, wróżby i przestrogi dla siebie. Zresztą dopiero na tle tych wizyj sennych można dobrze zrozumieć, czem była i jakie miała znaczenie dla Słowackiego owa cudowna wizya na jawie, o którą nam tu przedewszystkiem chodzi.

Było to w nocy z d. 20 na 21 września, w kilka dni po owym śnie o białych koniach. Wiemy od samego poety, że cisza nocna i koloryt nocy działał zawsze niezmiernie podniecająco na jego wyobraźnię. Jeszcze przed dziesięciu laty ze Szwajcaryi pisał, że zawsze się lęka odczytywać rano nocą pisanego listu. „W nocy nieraz zdolnybym był zginąć, jak Agis, król Spartański. Kilka godzin snu dziwnie zmieniają człowieka, ciało bierze przewagę nad duszą i myślą. Rano nieraz sprzedałbym swoje pierworodzeństwo za miskę soczewicy“. Łatwo zrozumieć, że w czasach pogrążenia się w mistycyzmie, podniecenie, wywołane nocną porą, musiało być jeszcze większe. Poeta siedział w swojej cichej pracowni, rozjaśnionej tylko światłem jednej świecy i dumał. Wiemy nawet, o czem; o tem, co było wówczas głównym przedmiotem jego rozmyślań: o *Genesis z Ducha*, a zapewne także i o swoim „wodzostwie narodu“, co zresztą jedno z drugim wiązało się bardzo ściśle. Jako ten, który uważał się za niezaprzeczonego wodza narodu, sądził Słowacki, iż obowiązek mu nakazuje zaraz ogłosić narodowi tę księgę, w której on znajdzie rozwiązanie wszystkich tajemnic świata, a zarazem i drogę swego zbawienia. Ale

jakiś instynkt wewnętrzny, powiedziałbym, samozachowawczy, opierał się temu rozumowaniu, była to jakby tajemna obawa, że wystawienie Alfya i Omegi świata na widok publiczny, na publiczne sądy, a może i szyderstwa, zburzy, a przynajmniej zamąci ten spokój anielskiego, którym się poeta otoczył, w którym mu było tak błogo, a którego lekkie nawet naruszenie sprawiało mu przykrość.

Wiemy, jak sobie wyobrażał zwycięstwo prawdy, zawartej w *Genezis*: że „spokojnie przez samo anielskie rozjaśnienie świata powinna go zdobyć“. Ale czy świat, a przede wszystkim naród polski, dojrzał do jej przyjęcia, do tego, aby się spokojnie rozjaśnić tą prawdą? „Kieżyż nastanie taka cisza, że Polska to usłyszy, co ja słyszę?“ — wołał Słowacki w dalszych pieśniach *Beniowskiego*, a i teraz nie był pewny, czy taka chwila nadeszła.

Więc się wahał, czy ma ogłosić *Genezis*, czy to światło trzymać jeszcze pod korcem. W tej niepewności czekał jakiejś wskazówki, jakiegoś natchnienia z góry. Przed dziewięćmi laty, kiedy go także trapiła wielka niepewność, czy ma puszczać się w dalszą i trudną podróż na Wschód, której mu wujowstwo odradzali, szukał jakiej wskazówki w Biblii, i ta, „otworzona losem“, rozstrzygnęła niepewność, bo na wybranej w ten sposób karcie znalazł Słowacki słowa: „Kościóły Azyjskie pozdrawiają was“. Jeżeli wtedy, więcej jako fatalista, niż jako chrześcijanin, odwoływał się do Biblii, to cóż dziwnego, że i teraz, kiedy był cały obrócony twarzą w świat ducha, szukał tam także rozwiązania dla swej niepewności. Tylko tym razem, sądzę, nie spuszczał się na los, ale sam sobie wybrał z Biblii ustęp, ażeby w nim znaleźć to, czego pragnął.

Tym ustępem był pierwszy rozdział ewangelii św. Jana, ten, do którego pierwszych słów, jak wiemy, nawiązywał Słowacki swoją teorię świata. W tym ustępie, zdawało mu się, najodpowiedniej jest szukać — w niepewności, dotyczącej wydania *Genezis* — jakiegoś ukrytego znaku, tajemniczego skinienia dla siebie. I oto kiedy doszedł do 18-go wersetu, znalazł tam takie słowa:

„Boga nikt nigdy nie widział; on jednorodny syn, który jest w łonie ojcowskim, ten nam opowiedział“.

„Boga nikt nigdy nie widział“ — te słowa uderzyły poetę mistyka. A cóż gdyby to, co nigdy nie było, stało się w nadzwyczajnych czasach, jako łaska dla „najwyższego i najczystszeo“ ducha na ziemi? Poeta od świecy, która mu rozjaśniała karty Biblii, podniósł głowę do góry, i stało się nagle coś cudownego. Górna część pokoju jego uciekła gdzieś wysoko, zamieniając się w kopułę niebios, ogniami objętą, i ten widok napełnił go przerażeniem, a zarazem pewnością, że oto ma stać się to, czego dotąd nigdy nie było na świecie, że,

wywołany gorącym jego pragnieniem, ma mu się ukazać Ten, którego dotąd nigdy nikt nie widział. Jakkolwiek przerażony tem widzeniem, oczu jednak nie odwracał, ale owszem, przesywał wzrokiem wijące się ognie, aby przyjąć łaskę, jakiej żaden z ludzi dotąd nie doznał, aby ujrzeć Tego, którego te ognie zwiastowały, i tylko w przerażeniu szeptał: „Boże ojców moich, zmiłuj się nade mną! Boże ojców moich, bądź mi litościwy!“

Ale wpatrującym się w ognie oczom poety nic się z poza nich nie ukazało, coś tylko błysnęło, niby miesiąc biały w górze, i widzenie znikło, zostawiając poetę w chwilowem osłupieniu i w niewzruszonej wierze, że mu się sam majestat Boski w tych ogniach objawił.

A teraz wypada przytoczyć mi dowody, że cały ten tutaj przeze mnie odmalowany obraz, nie jest w niczem wymyślony, ale cały wysnuty z różnych, skombinowanych ze sobą, i stosownie objaśnionych świadectw samego poety. Zdania, w których te świadectwa są mniej widoczne, podaję rozstrzelonemi czcionkami.

Więc oto naprzód, co znajdujemy w czerwonej notatkowej książce poety na karcie 28 (b), zaraz pod owym snem o białych koniach: „Z d. 20 na 21 kwietnia. Widzenie na jawie ognia ogromnego nad głową, kopuły niby niebios, całej ogniami napełnionej, tak, że w okropnym przestrachu mówiłem: Boże ojców moich, zmiłuj się nade mną—i niby z chęcią widzenia Chrystusa przesywałem wzrokiem te ognie, które się odsłaniały — i coś, niby miesiąc biały, ukazało się w górze — nic więcej“. „Boże ojców moich, bądź mi litośny!“

To samo widzenie obszerniej opisał na osobnej kartce, która się przechowała w papierach pośmiertnych poety, a opis ten, przeznaczony dla narodu, miał być, jak się zdaje, przyłączony do *Genesis z Duchą*, o której wydaniu wówczas poeta zamyślał: „O Polsko moja, kiedyś się wahał z wydaniem tej książki, a był właśnie w połowie tej ewangelii, która jej ostatnie karty zamyka — coraz mocniej przerażony odpowiedzialnością przed Bogiem, oświecony zostałem ogniami niebieskimi w nocy z d. 20 na 21 kwietnia, i w stanie zupełnie spokojnym, bez najmniejszego krwi poruszenia, ani rozegrzania, przerażony zostałem mocą Chrystusa, już na ten świat nadchodzącego, przymuszony wymówić słowa, których pierwej nigdy w życiu nie używałem. Szelestem ogni tych, wichrem niby bożym zewsząd owiany i zagrożony, prawie umarły... a za zniknięciem onych w jednym okamgnieniu powrócony zimnej rozwadze... i przytomności... Mówię to po rozwadze głębokiej, a nie dla chwały własnej, bo cóż jest chwałą robaczka, którego Chrystus Pan raczył mocą niebieską przerazić? mówię, abym nie zataił przed światem mocy Bożej, pewny, że to wyznanie w wieku dzisiej-

szym ujmie mi cześć (*sic!*) w obliczu świata, który chętnie one te rzeczy szalberstwu, albo chorobie zwykły przypisywać, sądząc, że ujmuje powagi rozumowi, stają na drodze cielesnym i ciągle idącym w górę usiłowaniom narodów...“.

O jakiejże to księdze mówi poeta w tym opisie i jaka to ewangelia zamyka ostatnie karty tej księgi? Żeby to zrozumieć, trzeba odczytać ostatni ustęp *Genesis z Duchą*, ustęp, który był widocznie dopisany dodatkowo już po owem widzeniu cudownem: „Ojczy Boże... według świadectwa Chrystusa Pana przez nikogo jeszcze na ziemi nie widziany, a który teraz przez krwawe i udręczone tłumy kształtów Genezyjskich, ciemną dla formy, ale łaskawą i sprawiedliwą względem Duchów i Ducha mego, a stąd jaśniejszą i niby zblizoną twarzą spojrzaleś. Spraw, aby ta jedyna droga rozwidnień i oświeceń: droga miłości i wyrozumienia, coraz mocniej jaśniała wiedzy Słońcami... i lud twój wybrany, a drogą bolesną teraz idący, do Królestwa Bożego zaprowadziła“.

Z tego zakończenia wyraźnie wynika, że ową księgą, z której wydaniem wahał się poeta, jest *Genesis z Duchą*, że przez ewangelię, która jej ostatnie karty zamyka, rozumiał poeta pierwszy rozdział ewangelii św. Jana, gdzie się znajduje wspomniane w zakończeniu świadectwo Chrystusa o tem, że Boga nikt jeszcze nie widział na ziemi; „krwawe i udręczone tłumy kształtów genezyjskich“, przez które Bóg „niby zblizoną twarzą“ spojrzal na poetę, to są ognie, które mu się ukazały i przeraziły swoim blaskiem krwawym i szumnym. Z zestawienia też podanych świadectw wynika, że opis na osobnej kartce jest późniejszy od dodatkowego zakończenia *Genesis*.

Zachodzi teraz pytanie, co z tej wizyi wywnioskował poeta, jak ona oddziałała na jego zamiary i wyobrażenia? Przed wizyą wahał się z wydaniem *Genesis*, jakież rozkaz, jakąż wskazówkę przynosiła mu w tym względzie wizya? Z przytoczonego tylko co, a już po wizyi dodanego zakończenia tej księgi, możnaby myśleć, że Słowacki zrozumiał z początku wizyę, jako skinienie z góry, aby wydawał *Genesis*. A przecież nie wydał jej ani wtedy, ani potem. Trzeba zatem przypuścić, że pierwotne tłómaczenie cudownego zjawiska ustąpiło niebawem innemu, wręcz przeciwnemu, że w ogniach, które mu się ukazały, a tak go przeraziły, domyślił się przestrogi przed przedwczesnem wydaniem księgi tajemnic świata.

Ale, jeżeli miał jakie wątpliwości, jak wizyę uważać: za rozkaz, czy zakaz wydawania *Genesis*? to był najświęciej przekonany, że wizya jest uroczystem zatwierdzeniem ze strony Niebios tego wszystkiego, co roił o sobie i o genezie świata. Stała się ona dla niego źród-

dłem nieznanym mu dotąd rozkoszy, płynących z tej umocnionej cudem pewności, iż jest wybrańcem Bożym i zostaje pod bezpośrednią opieką Bożą. Jego gmach anielstwa poświęcony został przez samego Boga; teraz nic mu nie pozostawało, jak po tym gmachu w szatach świętości chodzić do końca życia, a po śmierci w postaci tryumfującego anioła ulecieć w świat czystego ducha.

Echa tych rozkosznych uczuć poety znajdujemy we współczesnych listach do matki. We dwa, lub trzy tygodnie po wizyi (w maju 1845 r.) pisał do niej: „Najdroższa moja! Chciałbym skąd dostać teraz melancholii, którą, wiem, że ty lubisz, a która gdzieś ode mnie i ze mnie zupełnie uciekła. Duch mój obrócił się całą twarzą naprzód... w pracy, którą ma z ludźmi, zakochał się, a żadna kochanka nie jest tak piękną, jak to uczucie wewnętrzne, które coraz dalej prowadzi, nie do fantastycznych niebios, ani do kościelnych aniołów, ale do prawdziwej doskonałości przyszłego żywota. Jakże ja ci, droga, wytłumaczę ten wzrost nagły i to odmienne we mnie pojęcie naszego życia na ziemi... jakże ci dam uczuć te powiewy ogniste z niewidzialnego świata, które do mnie przylatują?.. Módl się, moja droga, stojąc prosto przed Bogiem, i wierz mi, że są rzeczy, o których myśleć dawniej nawet nie umieliśmy“¹⁾.

Poeta nie śmiał tu jeszcze opowiadać szczegółowo matce swojej wizyi; może bał się, aby tem opowiadaniem nie popełnić grzechu, może lękał się niedowierzania matki i wuja. Ale przy końcu listu, o którym mowa, jeszcze raz wspominał o wizyi, a raczej o jej znaczeniu, o przekonaniu, jakie ta wizya w niego wlała, i to przekonanie usilnie pragnął przelać w matkę. Więc, nawiązując do tego, co matka mu w ostatnim liście o swoich snach mówiła, tak pisał: „Te sny, które mówisz, że schodzą do ciebie i mocniej się czuć dają... dowodzą mi, że odzyskujesz związek z prawdziwym światem duchów, którego my jesteśmy członkami, a raczej tylko narzędziami, nie nie wiedzącymi... Takim narzędziem byłem długo ja sam... narzędziem wichrów i tęcz niewidzialnych, teraz dopiero rządzony przez Najwyższą Sakramentalną siłę Chrystusa... Czy ty rozumiesz to wszystko?..“. „Jaśniej tłumaczyć się nie mogę, to tylko wiedz, że nie imaginacją rządzon jestem, ale rzetelną siłą, tak wielką, iż zaledwie to pojąć mogą zmysły moje. Proszę cię, wiarę miej, bo na tem wszystka moc nasza leży, a wierz mi, a tyś uwierzyć w to powinna, boś mnie w łonie swoim niegdyś czuła, wierz więc, że się czuję w łonie nieśmiertelnej natury Słowa...“

1) Listy, II, 230 — 231.

a nie ci nie piszę z myśli, ani z utworzenia rozumowego, ale wszystko z prawdy wewnętrznej¹⁾.

Otóż w *Liście Apostolskim* Słowackiego są często alluzye do tego widzenia na jawie, a najważniejsze z nich są te słowa, pod koniec listu umieszczone: „Nie mówiłbym, gdyby nie płomienie i nie chrzest przez ogień... Lecz teraz mówię w Panu Jezusie Chrystusie, ufając, że nie grzeszę...”. Świadczą one, że Słowacki nie byłby pisał owego *Listu*, i nie występował w nim w roli apostoła, wybrańca Bożego, gdyby wizya nie była dla niego niezbitym dowodem, że Bóg go obrał za swoje szczególne narzędzie.

II.

A teraz przypatrzmy się drugiej rzeczy, której poznanie jest niezbędne do zrozumienia genezy *Listu apostolskiego*, to jest odnowionej z początkiem roku 1846, korespondencji Słowackiego z Krasieńskim.

Zygmunt Krasieński po wydaniu w Paryżu *Psalatów przyszłości*, odjechał do kraju, ale niezadługo, bo już w początkach grudnia 1845 zjawił się z całym taborem rodzinnym na wybrzeżu włoskiem, gdzie miał przepędzić zimę. Narzekania na swój los w listach jego do przyjaciół i teraz były na porządku dziennym, ale było i co innego jeszcze, co nas tu szczególnie obchodzi, mianowicie dowiadywanie się, jakie wrażenie wywarły jego *Psalaty przyszłości* na emigracyi, dla której w szczególności były przeznaczone. Chodziło mu najbardziej o zdanie Mickiewicza i Słowackiego, a także co mówi demokracja emigracyjna o *Psalmach*. Dopytywał się o to i Małachowskiego i Sołtana, a najwięcej Gaszyńskiego.

Ale *Psalaty* nie wywarły żadnego wrażenia w emigracyi. Jeden tylko *Dziennik Narodowy* podał ich recenzję, lecz ta była niezmiernie naiwną i śmieszną. *Trzeci Maj* nie znalazłszy w nich nic, coby się na młyn dynastyczny obrócić dało, nie wspominał nawet o nich, *Demokrata polski* pociski, wymierzone przeciw jego propagandzie, pozostawił bez odpowiedzi. Głos Mickiewicza nie rozlegał się już z katedry Collège de France, zajętej przez Cyprjana Roberta, więc Kra-

¹⁾ Listy do matki, II, 234.

siński i stamtąd nie miał nadziei usłyszenia czegoś o swoich *Psalmach*. A chciało mu się bardzo wiedzieć, jakim echem odezwały się jego słowa poetyckie w sercach współbraci, szczególnie tych, którzy je zdolni byli lepiej, niż Władysław Plater, autor recenzji w *Dzienniku Narodowym*, zrozumieć i ocenić. I to było, jak mi się zdaje, główną pobudką dla Krasińskiego do nawiązania zerwanej przed trzema laty korespondencji ze Słowackim. O zdanie Mickiewicza może mu jeszcze więcej chodziło, ale z Mickiewiczem trudno mu było nawiązać korespondencję z powodu, że już latem tego roku próbował to uczynić i na list swój żadnej nie otrzymał odpowiedzi. ¹⁾

Z Nicei 4 stycznia 1845 wyprawił aż dwa listy do Paryża, aby się wywiedzieć, czy obecne usposobienie Słowackiego nie staje na przeszkodzie do zawiązania z nim korespondencji, i co myśli Mickiewicz o jego *Psalmach*. Do Gaszyńskiego pisał: „Daj mi radę, czy mam się odezwać do Juliusza po trzech latach milczenia? Czy mi odpisze? Czym nie stał się przed jego mądrością jako infusorium, któremu nie warto odpowiadać? Co tylko wiesz, napisz mi i pisz do mnie często“. A w końcu dodawał: „O panu Adamie staraj się dowiedzieć, co powiedział o naszej dziewczynie“. ²⁾ Małachowskiego zapytywał: „Czy nie powiedział ci (Mickiewicz) o *Psalmach*? Jeśli się z nim widzieć będziesz, nawiedź na to rozmowę“. I zaraz potem przechodził do Słowackiego: „Powiedz mi, czy mam do Juliusza napisać? Jak sądzisz, czy mi odpisze? Może stałem się dla niego mikroskopicznym żyjątkiem, niegodnem przerywania mu medytacji? Jednak radbym listownie się z nim rozmówić“. ³⁾

Gaszyński, stosując się do życzeń przyjaciela, odwiedził Słowackiego, z którym się od roku nie widział, ażeby wybadać stan ducha jego i usposobienie dla dawnego przyjaciela. O wierszu *Do autora*

¹⁾ Na zachętę w tym kierunku ze strony Małachowskiego odpowiedział Krasiński (20 stycznia 1846). „Cóż ty chcesz, drogi, bym napisał do pana Adama? Już bez odpowiedzi została moja odezwa w lecie, a w niej wszystkim powiedział, co tylko można.“ Listy Z. Krasińskiego do Małachowskiego 41. Odezwy tej nie znamy, jak nie znamy także powinszowania, które otrzymał Krasiński na nowy rok w imieniu Towiańskiego. Być może iż Mickiewicz uważał to powinszowanie za rodzaj odpowiedzi na odezwę otrzymaną od Krasińskiego w lecie.

²⁾ Listy Zygm. Krasińskiego T. I. 245. Dziewczyną przez właściwą sobie ostrożność nazywał ostatni swój poemat.

³⁾ Listy Zygm. Krasińskiego do Stan. Małachowskiego. Kraków 1886, str. 37.

Trzech psalmów, który już był napisany, ale nie drukowany, widocznie jeszcze Gaszyński nic nie wiedział. Stanęli naprzeciw siebie ludzie, pod względem nastroju psychicznego biegunowo przeciwni: z jednej strony marzyciel, żyjący poza światem, drażliwy jak mimoza i po brzegi wypełniony myślą o wielkości swego posłannictwa, z drugiej człowiek bez pretensyi, rozsądny, spokojny, leniwy trochę, jeden z najtrzeźwiejszych ludzi na emigracyi. Było to właśnie w tym czasie, kiedy Gaszyński pisał swój szkic satyryczny „*Pan Dezydery Boczeko i jego sługa Pafnucy*“, w którym doskonale uwydatnił pewne słabe strony życia emigranckiego.

Jakie wrażenie ci ludzie podczas owych wywiadowczych odwiedzin wywarli na siebie wzajem, możemy o tem powziąć dość dobre wyobrażenie z pewnego nieco późniejszego listu Słowackiego do Krasińskiego: „Po rocznem ze mną niewidzeniu przyszedł do mnie Gaszyński — zbiedzony, wyschły, kościany (to pisze Słowacki, nierównie więcej „wyschły i kościany“ od Gaszyńskiego) usiadł przy kominie i dał uczuć całą kamienność swego ciężaru, między innymi zaś rzeczami, powiedział mi, że jest szczęśliwy mocno z przyjazdu pewnego przyjaciela, a ten przyjaciel jest to jeden z Montalambertistów, jezuitów naszych, od których mi wiele zła teraz idzie, choć niewidomym sposobem... Wytrzymałszy tę rozmowę przez pół godziny, skoczyłem na mego poetę — łając go serdziejście za to, że napiwszy się herbaty poetą jest — a potem między ludzi chodzi nie w wieńcu bluszczowym natchnienia, ale w szlafmocy, sen rozdaje, siebie samego w natchnieniu wstydzi się, albo też naśladować lęka się — mówiłem mu nareszcie o idei — a nareszcie uściskałem go ze łzami prawie, mówiąc: „przebac mi, zem się rozkrzyczałem, ale nie mogłem“. Cóż się stało?.. Poczciwy G. poszedł odemnie do klubu i zwykłym sposobem żartownisia powiedział przy obiedzie, że Sł. kompletnie zwaryował... Jezuita byli przytomni — w kilka więc dni potem jeden z przyjaciół moich spotkał się z wieścią już przez różnych powtarzaną, że istotnie zwaryował.“¹⁾

Tak więc Słowackiemu wydał się Gaszyński jako nieczuły, ciężki, śpiący i sen sprowadzający kamień, Słowacki Gaszyńskiemu jako nie przy zdrowych zmysłach lunatyk. Pomimo takiego wrażenia wzajemnego Gaszyński wywiązał się z danego sobie polecenia z dobrym skutkiem. Powiedział Słowackiemu, że Krasiński dopytuje się o niego listownie, a na odpowiedź Słowackiego, że wina zerwania ko-

¹⁾ Nieznane listy Juliusza Słowackiego wydane przez prof. J. Kallenbacha. *Czas* z 3, 4 i 5 lutego 1902.

respondencyi jego z dawnym przyjacielem jest po stronie tego przyjaciela, wyszedł, mówiąc: „za dziesięć dni zapewne będziesz miał list od Zygmunta“.

Ta chęć Krasińskiego nawiązania korespondencyi zerwanej ze Słowackim po wszystkim, co zaszło między nimi, zadziwiła, ucieszyła i zaniepokoiła zarazem naszego poetę. Zdawało mu się zapewne, że nadeszła chwila, w której będzie mógł pozyskać dla swojej idei tego, którego przedtem daremnie ciągnął ku niej. Ale na drodze do zupełnej harmonii leżało wiele gruzu, który trzeba było uprzątnąć. Otóż Słowacki zaraz gorączkowo zabrał się do tego. Natychmiast po wizycie Gaszyńskiego, tego samego dnia jeszcze, nie czekając na zapowiedziane pismo Krasińskiego, napisał list do niego.

W tym liście nie chodziło mu tylko o uprzątnięcie gruzu, ale i o nadanie tonu przyszłej korespondencyi. „Postanowiłem ten list twój uprzędnąć—pisał Słowacki—do mnie bowiem należy rozpoczęcie rozmowy i ton jej“. Znaczyło to, że Słowacki dzisiejszy nie jest Słowackim z przed czterech, pięciu lat, że z dziecka, jakim był wtedy, a które potrzebowało strojenia i podnoszenia ducha, stał się człowiekiem strojonym tylko przez Aniołów. Ale zaznaczywszy obecną wysokość swego tonu i stanowiska, czynił ustępstwo dla dawnej przyjacielni, aby się usprawiedliwić przed Krasińskim z tego, czem go mógł urazić.

„Przed tobą wszakże, jedynym moim niegdyś w złych czasach przyjacielem, przed człowiekiem, który wtedy niskość mojego ducha nieraz podnosił i stroił... muszę stanąć jako instrument, który chociaż przez Anioły dziś jest strojony, wszakże kluczowi swojemu dawnemu odpowiada“.

I tu następowało obszerne, gorące, obrazowe tłumaczenie się poety z napisania i wydania *Księdza Marka*. Po uprzątnięciu tego gruzu, poeta wyznawał, że przyszło mu ono ciężko: „*Bolesne rwanie się tego listu* zaświadczy ci—ale ty jesteś wielki duch Boży i jeden z Aniołów narodu naszego... zakrwawiać ciebie i zakrwawionym w sercu zostawiać, byłoby grzechem przeciwko Duchowi światła. Zdejm więc z siebie ciężar—ja ci dopomagam—kochaj mnie, mówię ci, wart jestem... Więcej nadto żadnemu człowiekowi odemnie się nie należy“.

„Bolesne rwanie się listu“ zaznaczone przez samego poetę, widoczne jest i w dalszym jego ciągu. „Odezwanie się twoje przez Gaszyńskiego—czytamy tam—choć ustne, dowiodło mi, żeś wyższy już nad zwyczajność... Uprzedzam Cię więc i pierwszy krok czynię, abys się zaczęciem ze mną korespondencyi w oczach cielesnych dotąd ludzi nie poniżył...; jako duch, nie nie rozpocząłem, ty masz do rozpoczęcia,

przełamania w sobie wszelkiego ja, które ci do czystej miłości przeskadza“.

„Bez miłości prawdziwej nic nie pisz, bo zakrwawił byś serce moje jakim wyrazem mimowolnym“.

„Jeżeliś co przeciwko mnie w tym czasie duchem powiedział—nietylko, iż ci to z ducha wymazuję—ale nawet jako za ulgę mi przyniesioną uważam. Nie odpisuj mi na ten akt rozwiązujący sumienia. Wszystko potrzeba rozwiązać“.

„Możesz słyszał, że mocno byłem chory, teraz jestem zdrów do czasu... a żyję póki chcę, bo mi to Bóg zostawia — w rękę mi dał nie żywota mojego—nie bez łez, jak widzisz, puszczam ją, aby szła jeszcze... Mocno byłem strudzony...“

„Alleluja znów!—wiosna—(list pisany 12 stycznia)—przydad mi promienie do złotych dni, które mi świtać zaczynają... Ukochaj mię...“

Co znaczyło to wszystko i skąd pochodziło owo „bolesne rwanie się listu“? Poeta, pisząc list, trapiiony był niepokojem, który płynął z dwóch różnych źródeł. Pierwszem była trudność utrzymania wobec przyjaciela tego tonu, jaki odpowiadał wyobrażeniu poety o sobie, jego stanowisku wodza narodu i posiadacza alfy i omegi świata. Nie miał dość śmiałości, aby wobec człowieka, który był niegdyś jego mistrzem, odgrywać z kolei rolę mistrza, a tej roli zaniechać nie mógł, bo nią tylko żył, bo za jej obrębem nawiązanie stosunku z Krasińskim, nie miało dla niego żadnej wartości. Drugim źródłem niepokojem było uprzątnięcie gruzu z drogi do harmonii dusz, czyli rozwiązanie sumień, jak się wyrażał Słowacki. A do uprzątnięcia było wiele, i to nietylko tego, o czem Krasiński wiedział, t. j. w *Księdzu Marku*, ale i tego, o czem nie wiedział, t. j. w wierszu *Do autora Trzech psalmów*, który, niedawno napisany, spoczywał w tece poety.

Cóż miał teraz zrobić z tym wierszem? Miałże go się zaprzecć, może nawet zniszczyć ten cudowny kwiat poetycki? Czy też go posłać przyjacielowi i na oścież otworzyć przed nim sumienie? Ani na jedno, ani na drugie nie mógł się zdobyć Słowacki i dla tego trapił go niepokój w ciągu pisania listu. Czuł on, że na drodze do zupełnej harmonii pozostanie ten najcięższy kamień, trudny do usunięcia a dla Krasińskiego dotychczas niewidzialny. Więc przynajmniej w ogólnikowych wyrazach musi ostrzedz przyjaciela o istnieniu tej zawady. I dlatego to w post-scriptum dodawał takie przestrogi.

„N. B. Powiem ci prosto, a może rzecz najważniejszą, iż mi się sprzeciwia terażniejsza czynna i głośna dążność twoja — patrz, czy przeciwnika możesz ukochać—a nie możesz nie przerósłszy go w sumieniu. Oberwałem się ze wszystkiego—zostaje tylko ziarno“.

Jakie wrażenie wywarł ten list Słowackiego na Krasińskim, możemy poznać o tem pewne wyobrażenie z odpowiedzi Krasińskiego na list Gaszyńskiego, komicznie opisujący scenę wiadomych odwiedzin. „Z odebranego listu od Juliusza—pisał Krasiński do Gaszyńskiego z Nicei 21 stycznia 1846—widzę, że prawdę masz, parlamentarskoście się rozmówili, jak lordowie lub posły angielskie; małom nie pękł ze śmiechu wczoraj, czytając opis tej sceny w twoim liście. Odpisałem zaraz do niego, i to szczerą prawdę, starając się łagodnie ran jego ducha dotykać, jednakowoż się ich dotykając. O moich uwagach nad nim nie mów mu nic, ani też drugim ich nie udzielaj, bo jak najostrożniej trzeba z naturami tak dalece rozdrażnionemi. Najstraszniej u nas grasujące dwie morowe zarazy — próżność i lenistwo — gubią nas wszystkich; cnoty zaś dwie nasze — gotowość do poświęcenia i zmysł doskonały do przejmowania natchnień przyszłości, natchnień bożych, wchodzących w świat. Gdyby nie próżność, doskonalebyśmy ukochać umieli piękno i dobro Boże w świecie; gdyby nie lenistwo, doskonalebyśmy je potrafili urzeczywistnić! Ale te dwa demony psują wciąż nasze usiłowania, zamiary: karłują nasze postaci, przygarbacając je, aniołów przetwarzają w pulcinellów, bohaterów w pijaków, szaleńców lub błaznów“. ¹⁾

W tem niezmiernie trafnem uchwyceniu głównych wad i zalet narodowych, czynił Krasiński aluzję i do Słowackiego i do siebie i po części do Gaszyńskiego. Mówiąc o gotowości do poświęcenia miał na myśli wszystkich trzech, zmysł do przejmowania natchnień przyszłości, przypisywał zapewne Słowackiemu i sobie, zarzut lenistwa mógł stosować i do siebie i do Gaszyńskiego, choć lenistwo jednego było zupełnie inne niż drugiego. Ale mówiąc o próżności, miał na myśli tylko Słowackiego. Próżność widział w nim dawniej, jeszcze wtedy, gdy mu dawał naukę o dumie i pokorze, ale wtedy Słowacki nie był jeszcze natchnieniami przyszłości przejęty, jak teraz. Z ostatniego listu jego przekonał się, że pomimo owych natchnień, próżność nie ustępowała ze Słowackiego, tylko przybierała inny kierunek.

Wiedząc, z jak rozdrażnionym człowiekiem miał do czynienia, Krasiński napisał do niego list ciepły, serdeczny, w którym łagodnie, jak wiemy, dotykał ran jego ducha. Listem tym wywołał odpowiedź Słowackiego, długą, bardzo zajmującą i charakterystyczną. W tej odpowiedzi odbiło się oblicze poety w nieco odmiennem oświeceniu,

1) Listy Zyg. Krasińskiego, T. I, str. 248.

niż we współczesnych listach do matki, a to z powodu, że w rozmowie z dawnym swym mistrzem, Słowacki z jednej strony więcej się hamował w akcentowaniu swego anielstwa i wodzostwa, z drugiej, poruszał kwestye, przechodzące zakres wyobrażeń matki. Pod względem tonu, list był niepodobnym do poprzedniego, panował w nim spokój i treść widocznie z góry — przynajmniej w głównych liniach — była obmyślana.

Pierwsza część listu Słowackiego była odpowiedzią na pytania przyjaciela: co robi i co robić zamysła? Mówił więc tu poeta tylko o sobie, tłumaczył siebie i swoje obecne położenie. „Pytasz mnie z czułością prawie matki lub siostry — tak się list zaczynał — czy ja cierpię? — dawno już nie słyszałem głosu takiego — bo ludzie, którzy się do mnie przybliżali — to tak, jakgdybym ja był koniem w karach najemnych — każdy widział spracowane boki moje i krew z obdartych skór moich, a każdy (sic) nie umiał nic powiedzieć, jedno słowo, które sądził, że jest zachętą i bodźcem do pracy, to słowo: *czemu nie ciagniesz?* A sami nie chcieli się i palcem dotykać brzemiom moich, ale odchodzili, roznosząc po świecie, żem samotnik, tetryk, ludziom już niepotrzebny, we własnej dumie pogrążony — zaczęli wreszcie na mój karb wkładać słowa, sądy i nawet pisma nie moje ¹⁾, próbując, jak głęboko leży we mnie ta spokojność, którą, jak ty sam nawet sądzisz, włożyłem przez dumę na czoło moje niby maskę, noszoną z potrzeby na tej ostatniej reducie tegoczesności“.

„Spokojność moja prawdziwą jest, nie jest jednakże bez cierpienia“.

„Cierpię — bo mam cel wielki przed sobą, a sił mi braknie.. Wystaw sobie, że ludzkość jest dziecięciem mojem, a to dziecko chore jest i w konwulsjach — a ja wiem o pewnem lekarstwie uzdrawiającem, lecz myśl moja, zmęczona boleścią, nie chce mi na usta położyć nazwiska zioła onego, o którym wczoraj wiedziałem z pewnością jak największą — wyobraź sobie stan taki ojca, a zrozumiesz, czem jest odosobnienie się moje i nad czem pracuje myśl, na inne rzeczy już obojętna...“

Trzeba się domyślać, że Krasiński w swoim liście musiał dotykać towianizmu i określać go w sposób, nie odpowiadający wyobraze-

1) Stosuje się to zapewne do utworu p. t. „Dwa akty“, lichej ramoty poetyckiej Siemieńskiego, o której autorstwo — nie znając jeszcze tego utworu, zapewne na podstawie jakichś pogłosek — posądzał Krasiński Słowackiego.

niom Słowackiego. Jakby odpowiedzią na te określenia Krasińskiego były następujące słowa autora *Genezis z Ducha*:

„Dziwię się, drogi mój, że po tylu latach nie urodziło się w tobie nawet przecuciowe pojęcie sprawy tu zaczętej; nie jest ona ani idejką ani zbiorem idejek nowych o świecie, ani dogmatycznym mistycyzmem, ani przepowiedniami, ani człowiekiem, lecz jest prawdziwym poczęciem świata nowego w cierpiących dawno męczynych duchach ludzkości. Nie patrz ty, mój drogi, na sceniczną wystawę tej idei—ani tajemnicy ducha szukaj w literze—ale uwierz mi, iż ta idea jest niby klucz nowy, rozwiązujący wiedzę w człowieku. Oskarżają nas o mglistość mistyczną— a tu przeciwnie, myśmy w sobie uczuli poniszczenie tajemnic; cóż my winni, że świat woli dotychczas hamletować się? Dwie drogi są, któremi ta sprawa spełnioną będzie: pierwsza żywa, a tę przedsiębrali bracia moi—jeżeli ich Bóg podniesie i z wielu charakterowych ludzkich niedostatków wybawi, to rozpoczną nową epokę świata, i tę epokę od sposobu działania nazwiesz *Sancta*. Jeżeli nie spełnią, to Sokratesowym sposobem będzie uczyniona rewolucya—powolna, bez żadnej doczesnej sławy dla rewolucjonisty—epoka taka sama, co do wypadków, ale z wielkim dla mocy uczuciowych uszczerbkiem—epoka *Sacra*...”

„Żałuj człowieka, któryby musiał na upadku pierwszych, drugą rozpocząć. Nie dziw się, że człowiek ten stoi na stronie, oczyma przeraża zwichniętych, trzyma chylącą się tam i tu Sanktuaryuszów gromadę, a wszakże modli się za nich—im sprzyja, a sam się od brzemion swoich Bogu wyprasza... Biednażby to była sprawa, gdyby jej jedno pióro i kałamarz służyło...”

„Spytasz mię, dlaczego na pierwszej drodze nie pracuję—odpowiem ci prosto: ciało mi nie służy... a bez ciała nie mam potrzebnej energii, braknie mi tej skry codziennej w oczach, któraby piorunowała krzywo idące, bracią moją; braknie mi tych lwich podrzutów, które są potrzebne do walki z usypiającą, sektarską niektórych ludzi gawędą... Trzebaby wziąć kij ostrugany w rękę—chodaki na nogi i pójść między młodzież pruską—ja nie mogę...”

„Przez trzy lata walczyłem o to, abym ciało moje postawił na nogi—a nie używałem do tego ani lekarstw, ani doktorów, owszem, na wspak radom doktorskim, jechałem po trzykroć nad morze—mocowałem się z falami, z wichrem, stołom obfitym kazałem przechodzić w krew moją—słońce piłem oczyma i ustami. Nic nie pomogło; ta jesień była ciężką dla mnie, ludzie jeszcze większym, niż jesień, ciężarem—z obojętnymi rozbrat wziąłem—jeżeli mi Bóg nowych nie nadeszle, samotnym zostanę bez skargi“.

„Oto masz szczerą odpowiedź moją na to zapytanie, co robię i co robić zamysłałem“.

W ten sposób starał się Słowacki przedstawić swemu dawnemu przyjacielowi a niedawnemu przeciwnikowi, swój stosunek do koła Towiańczyków i do idei-matki, „rozwiązującej wiedzę w człowieku“. Przedstawiał, obracając się w ogólnikach, i mgłą przysłonił swoją walkę z kołem Towiańczyków i swoje przekonanie, iż został wodzem narodu, ale jedno i drugie zlekka się przez mgłę zarysowywało, bo w przeciwieństwie epoki *sacra* do *sancta* wyobrażał Słowacki swój stosunek do Mickiewicza i Koła. Tylko idei głównej, wspólnej obu epokom, obu obozom, jak przed trzema laty, tak i teraz Słowacki przyjacielowi nie wyjaśnił, nie próbował nawet wyjaśnić. Dlaczego? przecież ona była tak pokrewną teoryom Krasińskiego, tak łatwo przez niego mogła być zrozumianą? Dlatego zapewne, że bał się tej świętości, na której się opierał cały gmach jego anielstwa, narażać choćby na najłżejszą krytykę. Więc mówił o niej, czem ona nie jest, ale czem jest, nie powiedział. Czy nie zdawał sobie sprawy z tego, że aby pozyskać kogoś dla jakiejś idei, trzeba mu ją przecież pokazać? czy zostawiał to umyślnie na później? Trudno odpowiedzieć na to.

Ale co jest ciekawą i nową rzeczą w tym ustępie, to tłumaczenie się Słowackiego, dlaczego nie pracował na drodze, którą nazwał *sancta*, a przez którą rozumiał drogę propagandy, drogę działania na ludzi w duchu idei. Za przyczynę, jak wiemy, podawał brak zdrowia. Otóż w dotychczasowych wynurzeniach Słowackiego nigdzie o tem nie znajdujemy wzmianki, ani w listach do matki, co by nie było rzeczą dziwną: ani w licznych a niczem niekrepowanych notatkach pamiętnikowych. Widocznie po napisaniu wiersza *Do autora Trzech psalmów*, po uwielbieniu rewolucjonizmu społecznego, jako naturalnego objawu „wiecznego rewolucjonisty ducha“, po zaliczeniu się do tych „świętych i młodych“, którzy mają walczyć z konserwatyzyzmem, Słowacki zastanawiał się nad tem, czy wszystko godzi się z jego stroniem od ludzi, z zamknięciem się w twierdzy anielskiej i starał się we własnych oczach usprawiedliwić brak działania ze swojej strony — brakiem zdrowia. Działanie zaś wyobrażał sobie jako propagandę swoich idei między młodzieżą, na gruncie, który wydawał mu się najprzystępniejszym tj. w Poznańskim. Znał on jednego z tej młodzieży w Paryżu, Jana Nepomucena Rembowskiego, który tam studyował prawo, a dał się właśnie pociągnąć nauce Towiańskiego, ale po usunięciu się Słowackiego z Koła, nie zerwał stosunków z poetą i bodaj czy go nie zachęcał do przybycia w Poznańskie, czyli „między młodzież pruską“.

Jak w pierwszej połowie listu Słowacki przedstawiał i tłumaczył Krasieńskiemu własny stan ducha, tak w drugiej z wielką ostrożnością i delikatnością, która tak dalece odbiegała od szorstkości zwrotów do przyjaciela w wierszu polemicznym — starał się zmierzyć i ocenić jego ducha i nastroić przychylnie dla siebie i swoich tajemnic. Tych tajemnic i tutaj nie odsłaniał i przyznawał się do nieśmiałości w tym względzie, ale dawał przyjacielowi różne wskazówki, które go, według rozumienia dającego, powinny były do tych tajemnic doprowadzić. Wogóle jak w pierwszej połowie listu, tak i w drugiej doskonale się maluje ówczesna nieśmiałość, zakłopotanie Słowackiego wobec człowieka, którego niegdyś uznawał za swego mistrza, a którego teraz wypadło mu traktować, jak swego ucznia.

„Pozwólże teraz, że ciebie spytam, Zygmuncie mój—tak się zaczynała druga połowa listu—jakie są twoje cele ostateczne?..

„Żaden Anglik nie mówi sobie: „wynajdę machinę, lepszą od wszystkich machin wynalezionych“ i nie skupuje materyałów wprzód, nim siłą jaką nową ruchu wymyśli... Bo każdy wie, iż samo przystosowywanie do siebie drewnien, żelaz, sprężyn, sznurów, nic nie utworzy. Choćbyś miliony wydał na materyały — a w duchu nie widział już, ku czemu służyć mają różne członki zebrane, nic nie uczynisz—poczęcie winno poprzedzić urodzenie... Czułbym, gdybyś już miał przysłać Polskę w sobie“.

I tutaj Słowacki, widocznie z myślą o sobie, o swojej twórczości poetyckiej z czasów mistycyzmu, o swoim *Księdzu Marku, Zawiszy Czarnym* i innych utworach, tak pisał dalej: „Już z niewinnością prawdziwą Anioła wskrzesitelnego przedsiębrałbyś mnóstwo środków, wiodących ku temu celowi — a z każdego drewnienka, ostruganego przez ciebie, mądry domyśliłby się celu. Już tu i tam ręka artysty malowałaby myśl twoją — czasem lepiej niż broszura albo gazetiany artykuł, czasem na jakim dawnym grobie podniósłby się posąg kamienny i zastraszyłby ożyciem grobowca. Dlaczegoż myśl twoja, piękna i ognista jak sen, nie rozleje się nad całą martwością, nie otumani Polski... Wybacz mi, co powiem... Oto mi się zdaje, że za wcześnie zmateryalizowałeś środki twoje—i ująłeś żywotności siłom twoim—jeszcze trochę trzeba było iść na oślep, a iść tak, aż pókiiby rzeczywiście jasny dzień ci nie błysnął... tyś wybrał półświt (widoczna aluzya do *Przedświtu!*) i nie zaufałeś do końca kapryśnym duchom natchnienia... Żleś zrobił Zygmuncie — bo ja cię wiem, kto jesteś—i znam się z duchami twymi... te same dawały już ludziom więcej niż korony... Nie dziw się, że ich ręce są pełne kamelii, perel i dyamentów. Żleś uczynił, żeś w bogactwo peruańskie nie uwierzył. Tyś je miał w nowej ojczyźnie odkopać.“

Była to więc krytyka stanowiska, jakie zajął Krasieński w *Przedświcie* i *Psalmach*, poetyczna, niejasna, tajemnicza, nieśmiała, pełna uwielbienia dla przyrodzonych darów autora *Irydyona*, ale krytyka analogiczna do tej, jaką znajdujemy w wierszu *Do autora Trzech psalmów*. Tylko to, co tam jest wyrażone z otwartem oburzeniem i pasją:

Kiedy gore świat cierpieniem,
Kiedy wzbiera czynu fala,
On się kładzie sam kamieniem,
Na ruch ludzki nie pozwala,
Chce zawrócić w stare łożo
Nowe fale—rzeki boże;

tutaj nazywa się delikatnie „przedwczesnem zmateryalizowaniem środków“, „ujęciem żywotności siłom swoim“, potrzebą dalszego dążenia na oślep, dalszego zaufania „kapryśnym duchom natchnienia“.

Po tej krytyce następowała wskazówka dla Krasieńskiego, jaką drogą ma dojść do prawdy, „do tajemnic ducha“, wskazówka, która się wiązała z teorią bardzo oryginalną i rzucającą dużo światła na tego, który ją dawał. Krytyka obca a czasem przypadkowe własne spojrzenie krytyczne, odkrywało rażące plamy na jego szacie anielskiej, gmach samoubóstwienia chwiał się w posadach, ale poeta miał na to wyrozumowaną radę: zamknąć coprędzej oczy na to, co go we własnych oczach upokarzało i chwycić się oburącz wiary w swoje anielstwo. Otóż Słowacki tę teorię, którą podpierał gmach swego anielstwa, posyłał teraz przyjacielowi w podarunku. „Wiesz, co to jest prawidło filozofii dawnej: *poznaj siebie samego*... Nie jest to przestroga ani zachęta, abyśmy poznawali moralną naszą naturę, błędy i wady charakterowe, owszem, poznanie takich wad szkodziłoby człowiekowi... Nie powinien na nie patrzeć — ani przypadkiem w odkrytych rozglądać i lubować się nad nimi — ale owszem, powinien sam sobie zaprzeczyć że je ma — a przeciwną, wiarę w anielstwo swoje urodzić... Przestroga ta filozofów ściągała się do ducha tajemnic... Miałżeby obcy człowiek odkrywać je tobie?“

„Ważę ciebie wysoko — i dlatego pracowałem często nad tobą i wiem wiele o tobie... Wszakże wiesz sam, — iż takie rzeczy w złą godzinę przychodząc — a na nieprzygotowanego trafiwszy człowieka, wyszłyby na pośmiewisko... podobnie jak tajemnice świata całego, teraz wydrukowane, ubliżyłyby prawdy majestatowi...“

„O jedną cię więc rzecz proszę... Wynajduj sercu swojemu ofiary — te ofiary składaj Bogu, aż cię rozkwilona twoja natura zacznie

uczyc, jak dziecko swoje własne, widząc, iż się ono dzieciątko obdarło z koszuli i z trzewiczków się wyzuło, a drży na zimnie...”

„Ty może nie zrozumiesz prośby mojej i głosu mego... Wtenczas wybacz mi, a ja zamilknę“.

Czy Krasiński mógł zrozumieć wszystko, o czem tu z nim mówił Słowacki? Niewątpliwie musiał dobrze zrozumieć radę szukania we własnej duszy klucza do tajemnic świata, i wskazówkę, że ofiary, składane Bogu, wyjednają mu prędzej ich odkrycie. Ale, nie znając *Genesis z ducha*, nie mógł wiedzieć, jak wielkie znaczenie przywiązywał Słowacki do ofiary, tajemniczo też brzmieć mu musiały takie wyrażenia, jak „pracowałem wiele nad tobą“ lub „wiem wiele o tobie“.

Podobnie tajemniczych wyrażen, w których się ukrywało przekonanie poety o swoim wielkiem powołaniu, jest więcej w zakończeniu listu. „Wielkiby kamień spadł z ducha mego, gdybym ujrzał i uczył wielkiego człowieka—odrazu, jako łuk rozprężony, rozpuściłbym moce moje — odetchnął — i rozradował się, jakby przez aniołów tysiące otoczony. Bądź nim, albo go wywołaj — tego chcę po tobie, a prawie ci to rozkazuję... mówiąc, jak człowiek, który już nie ma z ziemią do rozwiązania“.

„A nie tylko teraz, ale po śmierci nie spuszczę ci — ani oka nie spuszczę z ciężaru, który ty podług obrachowania mego masz nieść i dźwigać... bo czuję, żeś silny jest i za milion ludzi poniesiesz“.

„Nie sądz mnie pokaleczonym przez ludzi — ale sądz dźwigającym...“

„I słów moich nie przypisuj dumie, i stylu mego konwulsyom — tak będzie pisała kiedyś Polska, z myśli idąca ku formie, nie formą chłuszcząca się, aż myśl wytryśnie... Między anielstwem światła a szataństwem ognia ta jest tylko różnica“.

„Wreszcie, jak ja cię sądzę—sądz mnie nawzajem w duchu miłości, a ja przyjmę wszystko z pokorą i z miłością — wskaż mi cele Boże i nie idącego ku tym celom łaj — albo iść ku nim rozkazuj — a pójdę, albo na sądzie duchów stanę, jako dezter“.

„Jedną rzecz wszyscy sprawujemy—i stąd każdy z nas ma własną rozkazywania—lecz mocy musi dostać z wysokiego świata—aż od celów Bożych...“

„Ja te cele widzę—ale jeszcze do nich powołać nie śmiem, bom nie jest dość silny, abym doprowadził...“

„Oto jest list—oto jest jedna z kar piekielnych — litera martwa i papier martwy, pomiędzy duchem a duchem“.

Zdaje się, że i podpis z obciętą końcówką nazwiska nie był bez szczególnego znaczenia. Słowacki, który tak wielką wagę przywiązywał do etymologii nazwisk, dawał tu jakby tajemniczą wskazówkę przyjacielowi, że niedaremnie jego nazwisko pochodzi od wyrazu „słowo“, który w ewangelii św. Jana jest nazwą Najwyższej myśli twórczej.

Kraśiński jednak widocznie nie zwrócił uwagi, ani na tę wskazówkę, ani na inne, a może ujęty trochę pochlebnyymi o sobie wyrazami, napewno ujęty pięknnością stylu, cały list uznał za rozumny i głęboki. „Miałem list drugi od Jula — pisał 6 lutego 1846 do Gasińskiego — rozumny i głęboki, żadnych mi facecyj, sekretów, szaleństw nie pisze; jedno to samo, co wiek nasz cały chce, żąda, głosi, do czego wieki szły wszystkie, a ten wiek szczególnie, choć często się błąka! Chyba on puszcza często szmermele, by widzieć, czy nie otumani drugich, inaczej nie pojmuje różnicy, która zachodzi między tem, co on pisze, a tem, co tobie i wojewodzie (Małachowskiemu) mówi. Zresztą, Bóg ich wie wszystkich!“¹⁾

Podobnie o tym liście pisał i do Małachowskiego (3 lutego). „Od Juliusza wczoraj list miałem. Nic mi takich rzeczy nie gada nigdy, jak tobie; o żadnych sekretach na wytrucie szcurów, czyli rodu ludzkiego, nie wspomina, owszem, piękny i głęboko rozumny list był, w którym pod symbolicznemi upostaciowaniami, pisał to samo mniej więcej, co wiek nasz cały myśli, mówi lub pisze, czyli to, co się w jego wnętrzach wyrabia i ma kiedyś w kształt się ubrać, w czyn wybuchnąć. Zdaje się z pewnych jego listu zwrotów, że on nawet na sektarzy (t. j. Towiańczyków) się gniewa z powodu nieznośnej ich pedanteryi w pewnych formach i dziecinnego przywiązania do liter umarłych.“²⁾

Uznawszy list Słowackiego za rozumny i głęboki, Kraśiński pośpieszył zaraz z odpowiedzią. Nie zachowała się ona, ale treść jej wyrozumieć można, przynajmniej częściowo, z następnego listu Słowackiego. Rozwijał tam Kraśiński to, co było dobrze znane Słowackiemu z *Przedświtu*, ideę o Polsce, jako siostrze Chrystusa (Jak im Syna niegdyś dałem — Tak im, Polsko! daję ciebie), a z drugiej strony nacierał na przyjaciela za to, że nie chce idei, które nosi w duszy, o których napomykał, objawić światu, i dowodził, że powinien to uczynić, ponieważ ludzkość chce wiedzy — oczekiwana — gotowa jest i godna

1) Listy Zyg. Kraśińskiego, I, 250—251.

2) Listy Zyg. Kraśińskiego do St. Małachowskiego str. 48—49.

wiedzy". Teorii ewolucyjnej, której niejasne zarysy ukazywały się w *Synu cieniów*, a wyraźniejsze echo odezwało się w *Psalmie miłości*, a któraby go najwięcej mogła zbliżyć do stanowiska Słowackiego, o ile można sądzić z odpowiedzi tego ostatniego—nie poruszał wcale.

Słowacki, przeczytawszy list Krasińskiego i nie znalazłszy w wyrażonej tam syntezie jego dążeń i pojęć nic ponad to, co było w *Przedświcie*, uczuł się tak wysoko stojącym ponad stanowiskiem swego dawnego mistrza, że pewne uczucie zadowolenia ze swej wyższości i lekceważenia przyjaciela, mimowoli odbiło się w jego następnym liście. Horyzont wyobrażeń przyjaciela wydał mu się niezmiernie zacieśniony, to, co Krasiński uważał za całą prawdę, w którą wierzył, do której dążył, wydało się Słowackiemu, w porównaniu z jego alfą i omegą świata, tylko cząstką, okruczem prawdy, wyrwanym z całości i nierozwiązanym z nią. Dla takiej cząstkowej prawdy, w odróżnieniu od prawdy, opartej na alfie i omedze świata, dobrał on, jak wiemy, nazwę: *opinia*, i gotów zawsze doszukiwać się tajemniczego znaczenia w nazwiskach, cieszył się, że w nazwie głównego majątku Krasińskich *Opinogóra*, znajdował podobieństwo do wyrazu *opinia*.

„List twój do mnie—pisał—od początku do końca prawdą jest—bo ja go mogę jako gałązkę, wyrastającą z drzewa rajskiego, na ziemi posadzić i osądzić, którym jest listkiem—więcej powiem, już go za owoc uważam słodki i dobry. To mię jedynie smuci, że go inni ludzie muszą tylko wziąć z wierzchu, jakoby był opinią, bo z opinii wyszedł“.

„Prawdziwy ty pan na Opinogórze, na górach bowiem świętojańskich zbierasz żniwa ¹⁾, a z wiatrem natchnień zasiewasz (daruj mi ten kallambur), jaśniej się wytłómaczę“.

„Gdy mi jeden z księży katolickich pisze list, zupełnie według *Creda* ułożony i pyta, zaliż nie tak jest? zaliż to, co piszę, nie jest prawdą?—odpowiadam mu to samo, że dla mnie prawdą jest, a dla niego opinią“.

„Więcej powiem, gdyby mi który z umarłych starożytnych napisał dziś list, zapytując: nie mamże uważać za Boga Saturnowe wyobrażenie, a wierzyć w Deukaliona i w Prometeusza, i w Danae, i w porwanie Romulusa cielesne do nieba?! to samobym odpowiedział, bo te rzeczy, z rozwiązanej wiedzy człowieka inaczej pojęte, stają się prawdami i są siostrami młodszymi prawd ewangelicznych“.

„Tak twoja Siostra Chrystus-Ojczyzna“.

1) Alluzya do ewangelii św. Jana.

„Bo wyznaj, iż człowiek w twoją ideę, jako w dogmat, uwierzyć musi — to jest przyzwolić na to rozumem, a potem po rycersku łamać kopie za opinię, która wiarą się stała...”

„Lecz z tą opinią, chcąc być doktorem, trzeba się uczyć doktorstwa u Brussego ¹⁾ chemikiem? u Śniadeckich—astronomem? u Aragów — politykiem nawet chcąc zostać, trzeba konstytucyjne rządy i formy przyjąć za nauczycielki. Słowem: ta biedna Polska-Chrystus zasypana byłaby pod puklerzami nie Chrystusowych rycerzy — tak, jak Chrystus był kiedyś w Rzymie, ubrany w formy pogańskie, wpuszczony niby z łaski do przedpokojów filozoficznych”.

„A wszakże to, co mówisz, prawdą jest, ale taką, iż powinna cię uczynić i naturalistą i doktorem i chemikiem i astronomem i pierwszym z polityków. Wtenczas będziesz prawdziwym przyszłym Polakiem”.

Cóż to znaczyło? Oto, że messyaniczna idea Krasieńskiego, rozwinięta w *Przedświcie*, w oderwaniu od prawd zasadniczych, złożonych w *Genesis z Ducha*, jest bezsilną wobec „mądrości terażniejszej świata”, że natomiast kto, jak on, posiadał te prawdy zasadnicze, ten góruje nad całą mądrością świata i niczego się od niej nie potrzebuje dowiadywać, bo sam wszystko wie lepiej od największych uczonych.

Ale jakkolwiek z pogardą i politowaniem patrzył na współczesną mądrość świata, bardzo żywo przecież zajmowały go odkrycia naukowe, bo służyły mu za materyał porównawczy do jego fantastycznych wyobrażeń o świecie. Właśnie wtedy wielkie wrażenie w świecie naukowym sprawiały odkrycia Faradaya, znakomitego fizyka angielskiego, mianowicie odkrycie wpływu elektryczności i siły magnetycznej na światło, a także hipoteza o przemianie jednej siły w drugą. W notatniku czerwonym Słowackiego znajduje się współczesna notatka, świadcząca, że poeta w *Constitutionnel'u*, jednym z najpoważniejszych pism codziennych ówczesnych, znalazł jakiś wyciąg z *Revue scientifique* o tych badaniach naukowych i widział w nich potwierdzenie swojej wiedzy wewnętrznej ²⁾.

1) Broussais Franciszek, sławny lekarz francuski.

2) Notatka, umieszczona na karcie 41 pamiętnika, brzmi: „*Potwierdzenie nauk*, 26 stycznia 1846. *Constitutionnel-Revue scientifique* odkrycie Faraday działania elektryczności i siły magnetycznej na światło — nawet przemienienie się tych sił jednej w drugą. Francuz kończy, iż może to posłuży do odkrycia fenomenów elektro-magnetyzmu—dureń! posłuży ci do odkrycia ducha twego sił—i powie, czem jesteś”.

O tych to badaniach i o wrażeniach, jakie one w nim wywoływały, pisał w dalszym ciągu listu do Krasińskiego: „Wierz ty, że najstraszniejszy dreszcz trwogi, który przebiegł przez żyły moje, było to w tych dniach, gdy na Akademii sciencey paryskiej wniesiono tysiężno-funtowe żelazo, aby nim poruszyć jeden słońca złotego promyczek i z drogi go zawrócić... Słyszając o tem, nie odechnąłem, aż wówczas, gdy na końcu tej eksperymentacyi usłyszałem wniosek ostateczny Francuzów: posłuży to nam do odkrycia praw elektro-magnetyzmu. Chwała Bogu -- Chrystus cało uszedł z rąk rzymskich żołdaków, lecz jak blisko byli Jego przeświętej natury! Jak straszliwie przerazili mnie, że odkrywają to prawo, które ja od czterech lat naprzód noszę w duchu moim, a czekam aż godzina wielka uderzy — albo też gotów jestem z sobą wziąć w świat Ducha, jeśli sumienie moje przeciw roztajemniczeniu wiedzy ludzkiej będzie zawsze trwało w oporze.“

Dlaczegoż Słowacki zamiast ucieszyć się, jakby się należało spodziewać, że ludzie byli tak blisko prawdy, rozjaśniającej tajemnice świata, przeraził się tego? Jeżeli zaś to przerazenie było skutkiem niewygastej żądzy sławy, dlaczego nie śpieszył z odkryciem alfy i omegi świata? To wahanie i wstrzymywanie się Słowackiego od ogłoszenia *Genezis z Ducha* można objaśnić instynktowną trwogą przed krytyką, któraby mogła zburzyć, a przynajmniej zachwiać gmach jego anielstwa. W liście, o którym mowa, Słowacki daje inne objaśnienie Krasińskiemu, który w tem ukrywaniu się ze swemi prawdami przed ludźmi, widział dumę i niezasłużoną nieufność względem ludzi.

„I ty przypisujesz to dumie?... Wystaw sobie, że który z wielkich autorów (myślę o Chrystusie i siłach Ducha świętego), napisał i z wielkim kosztem przygotował dramat bardzo zajmujący, tak natężony w intrydze, iż ostateczna scena jego, jak wulkan, wybuchnąwszy z ziemi, ma poruszyć całym narodem. Lecz autorowi trzeba pięciu aktów, trzeba całego natężenia umysłów pięciogodzinnego... Wtem zjawia się drugi poeta, który rozwiązaniem dramatu w sobie samym odkrywa — i stanąwszy na ławkach, w prozaicznych słowach, przed sztuką jeszcze, sztukę całą parterowi tłómaczy... a wtenczas głupce parterowi, nie będąc uniesieniem poezyi z natur swoich odarci¹⁾, odzywają się w większości:

1) Wyrażenie „z natur swoich odarci“ trzeba w ten sposób rozumieć, że egzaltacya poetycka zdolna jest ducha ludzkiego z grubej natury cielesnej odzierać, t. j. wywyższać go ponad zwykły poziom dążeń, uczuć i wyobrażeń.

„Więc to tylko to? dramat ów zapowiedziany? Idźmyż spać do domów, a nie nudźmy się przez pięć godzin, siedząc na twardych ławkach parteru“.

Słowacki zatem obawiał się, że tajemnice świata, których on był posiadaczem, odkryte ludziom bez odpowiedniego przygotowania do ich przyjęcia, mogą nie wywrzeć silnego wrażenia, nie wstrząsnąć, nie poruszyć całej ludzkości, a przede wszystkim narodu polskiego, a on chciał, aby te prawdy, wydobyte z pochwy tajemnic, tak wszystkich olśniły odrazu, jak on sam był olśniony niemi, gdy one padając z ust Andrzeja Towiańskiego, po raz pierwszy zabłysły w jego duchu i aby taki przewrót wywołały na świecie, jaki się był przed czterema laty dokonał w jego duchu. „Drugim poetą“, o którym pisał w liście tym, który miał prozą z ławek podać słuchaczom treść wielkiego dramatu stworzenia, to był on, Słowacki, autor *Genezis z Duchu*, a szydercze przyjęcie ze strony słuchaczy tego streszczenia, byłoby strasznym ciosem dla poety.

„Mówisz—pisał dalej—że ludzkość chce wiedzy — oczekiwana — gotowa jest i godna wiedzy. Ja ci faktami odpowiadam... Wszyscy mnie opuścili, choć przysięgam ci, że jestem zmieniony na dobre, rozkwilony, jak dziecko — bliższy ludzi, niż kiedykolwiek bądź przedtem—sługa ich...“ I tu na dowód, że ludzkość nie jest jeszcze gotowa do przyjęcia prawdy, opowiadał znaną nam już wizytę Gaszyńskiego u siebie i plotkę, jaka stąd urosła, poczem dodawał: „Poznaj sposób postępowania ludzi i gotowość świata do przyjęcia prawdy. Oto największa część ludzi czyni tak, jak owi jezuici — sami nie skłamią, ani wymyślą rzeczy... lecz usłyszawszy tę rzecz, w tonie żartów mówioną, rozchodzą się po mieście, smutne biorą twarze i powtarzają: zwaryował; a gdy pytasz: „czy doprawdy?“ — odpowiadają: „słyszeliśmy od jednego z jego przyjaciół“.

Jeżeli o ludziach wogóle Słowacki miał wyobrażenie, że jeszcze nie dorosli do uznania prawd zasadniczych, to w sądzie o Krasińskim był względniejszy i jeszcze nie tracił nadziei, że ten, który niegdyś sam jeden wbrew całej emigracji wielbił jego poezję fantastyczną, da się teraz pozyskać dla jego teorii, rozwiązującej tajemnicę bytu. Znaleźć w Krasińskim dla swojej alfy i omegi świata herolda, wydało mu się zapewne rzeczą bardzo ponętną, ale sam czuł, że to nie była rzecz łatwa. Przede wszystkim spostrzegł, że porozumiewanie się przez listy nie doprowadzi do pożądanego celu, że do tego, aby zapalić przyjaciela ogniem swojej wiary, trzeba osobistego zetknięcia się, bezpośredniej wymiany tonów ducha.

Więc zaznaczywszy, że w listach może tylko przesłać pół ducha swego, tak pisał dalej: „Dlatego, mój Zygmuncie, trzeba, abyśmy sobie jasno w oczy spojrzeli, ścisnęli się za ręce — a potem, jeżeli się zognią dusze nasze jednym dla sprawy Bożej zapalem, abyśmy, choćby na skałach nadśróżdziemnego (sic) morza, zatknęli kij, monument braterstwa wiecznego — i poszli każdy w swoją stronę, pamiętni na ów związek i miejsce rozpoczęcia. Dlatego to już mi się śni o jakiejs podróży w bliskie tobie strony, a czekam tylko na czas lepszy i jaśniejszy..., bo terazbym kilka nocy w dyliżansach przepędzić nie chciał... Nie uczynię jednak i tego bez twego współczucia, a nawet może zupełnie nie uczynię, pomny na straszną przemianę, jaką idea robi w człowieku — przez żalność jakąś, któraby mnie zdjęła, gdybym cię widział rzucającego twój otęczowany ducha Bogu należy. Dlatego cię pytam szczerze i otwarcie, abys mi powiedział, czy jesteś szczęśliwy tak, jak jesteś? Niech listy twoje nie będą o nieśmiertelności ducha, ani o innych skrzydlatościach idei — bo tak czyniąc, korespondencya nasza stałaby się zamianą rzeczy wiadomych, albo takich, o których sam duch z siebie dowiedzieć się powinien; lecz niech listy będą zamianą t o n ó w naszych, dźwięku ducha naszego, a tak będziemy mogli na podobieństwo szalek ważyć się wzajemnie i podnosić w górę...”

„Szczerze, Zygmuncie, jako człowiek, ty jeden jesteś nadzieją moją...”

„Jednej ci rzeczy tylko niedostaje, a to masz we spółnictwie ze światem całym — a m b i c y i, która wychodzi nawet z granic ziemi, a o całym świecie się pyta i drży i dzień dzisiejszy półwiedzy za ostatni uważa... ufając, iż jutro który jej z braci pomoże, a rozwiązaniem małej niteczki ostatecznie rozwiąże.”

Cóż rozumiał tu Słowacki przez ambicyę, której brak uczuwał w Krasieńskim? Rozumiał to właśnie, co mu nadawało poczucie niezmierniej wyższości nad Krasieńskim, mianowicie, że w rozwiązywaniu zagadnień bytu myśl jego nie zamykała się ani w granicach narodu, ani w granicach ludzkości, ani nawet w granicach kuli ziemskiej, ale ogarniała wszechświat. Mesyanizm Krasieńskiego wobec *Genezis z Ducha* był w oczach Słowackiego drobnym tylko listkiem, oderwanym z niebotycznego drzewa wiedzy.

Ukończywszy list, Słowacki spostrzegł, że zamało jeszcze wyjaśnił przyjacielowi powody, które go powstrzymują od ogłoszenia swiatu prawd, rozwiązujących tajemnice bytu i postanowił w dodatku do listu dokładniej przedstawić różne wątpliwości, wpływające na to

jego ociąganie się. „Jeszcze biorę tę ćwiartkę papieru, aby dłużej z tobą pomówić—powiedz mi święcie i sumiennie, czy Polska zdolna jest wyprzeć się tego słowa: chcę umieć, a zacząć od: wiedzieć chcę... to jest umiejętność analityczną wymienić na mądrość wewnętrzną, widzącą? Znasz terazniejszych Polaków—powiedz więc, czy te natury młode nie będą mocniejsze, skorsze do czynu, działające tylko instyktownie—od tychże samych natur, gdybyśmy je dziś od a do z zaczęli odbudowywać z wiedzy dawnej... Jam takie budownictwo odbył w przeciągu lat czterech, a oni, dziś zaczawszy, wieleby lat potrzebowali? Nie byłoby to grzechem nam zaczynać?“

„Dziekiem jest Hamletowe wahanie się w porównaniu z tem, jakie ogarnia duchy, czujące w sobie ojcostwo narodu. Usta się im pozamykają, błyskawic nawet z oczu rzuconych lękać się będą — otoczą się kołem wieków i cichością czasów przyszłych obalsamują się—trupami je nazwą terazniejsi, w nich wszakże będzie żywot prawdziwy...“

„Powiedz: nie lepiejże młodzież zostawić pod Quinetowymi i Micheletowymi retorykami? ¹⁾ nic niema w tych ludziach harmonijnego, ale jest spirytusowy pierwiastek, niech więc exaltuje krew — trzeba nam., trzeba mas jakkolwiek stworzonych. — — Dla nas nieśmiertelnych czas przyjdzie... teraz może milczeć wypada?“

„Oto są, Zygmuncie, powody mego milczenia i schowania się, a to jest dobrowolne, bo gotowe i napisane są rzeczy, do których napisania sumienie mnie wiodło, równie jak dziś sumienie tylko od wykonania wstrzymuje. Czekam, aż żądza wiedzy obudzi się, aż wiara w to, że Bóg da Polakom broń nową i moc nową, wstanie w upokorzonych umysłach. Jakże mówić do ludzi, którzy sądzą, że wszystko, co wiedzieć ludziom potrzeba, już jest odkryte, a w dalsze rewelatorstwo prawdy wiary nie mają. Jakże ubogi chłopiec, oddalony od braci swoich (Słowacki chce tu pokornie mówić o sobie) może im w pomoc garścią brylantów syznąć, kiedy wie, iż oni to za szkło czeskie wezmą, i szukać nawet w piasku nie będą, a mineralogów niema między nimi, nawet prostych, mówię, uczonych mineralogów ²⁾ niema—ani jednego nie widzę. Gdyby byli, poznałbym ze słowa jednego...“

¹⁾ Dla lepszego zrozumienia tego ustępu, trzeba wiedzieć, że na kilka miesięcy przed datą listu, w sierpniu 1845, młodzież francuska czyniła wielkie owacye trzem ulubionym profesorom, których twarze umieściła razem na jednym medalionie: Mickiewiczowi, Quinetowi i Micheletowi.

²⁾ Uczonych mineralogów nazywa prostymi w przeciwstawieniu do natchnionych wiedzą genezyjską.

„Nie myśl, że utyskuję na to. Nie, uznaję w tem prosty porządek świata, który chce, aby duchy same z siebie odkopywały prawdy, na dnie ducha każdego złożone i miały stąd zasługę“.

W końcu ubolewał nad tem, że od czasu Chrystusa wiedza prawdziwa, chrześcijańska, ani na krok nie posunęła się naprzód. Za najlepszy dowód służył mu Goethe, najwyższy szczyt inteligencji europejskiej, ten Goethe, do którego wysokości tak pragnął niegdys wspiąć się Słowacki, a który teraz tak poziome w oczach jego zajmował stanowisko. „Patrz, Goethe sam dziwi się z największą powagą, że wąż ma dowcipne oczy, a Bóg jemu nóg odmówił... ten sam Bóg, który Goethego z łaski swej, nogami i oczyma i dowcipem obdarzył! Powiedzże mi, jak tu nędzemu człowiekowi powiedzieć, że Goethe będzie musiał na ławce w pierwszej klasie, w Polsce przyszłej, od pierwszego bakałarza dowiadywać się, dlaczego wąż nóg niema“. W tej końcowej uwadze było jakby drobne uchylenie zasłony, zakrywającej tajemnice świata, aby olśnić i zaciekawić przyjaciela ukradkowym ich blaskiem i wskazać mu kierunek, w jakim myśl jego ma dążyć na spotkanie myśli Słowackiego.

Krasińskiemu ten ostatni list Słowackiego nie wydał się już rozumnym i głębokim, jak poprzedni, a jego dziwaczne, niezrozumiałe dla Krasińskiego skoki myśli pobudziły autora *Przedświtu* do rozmyślań, w których starał się to, co dlań było dziwaczem w liście przyjaciela filozoficznie wytłómaczyć, jako naturalny objaw przejściowej epoki. „Od Juliusza list miałem bardzo długi, pisał wkrótce potem do St. Małachowskiego. Chciałby się ze mną spotkać. Dziwny stan jego umysłu, najwyższe tam prawdy dziki kształt przyoblekły. Zresztą wiek nasz jest wiekiem olbrzymich zapasów. W tej bójce między życiem a śmiercią świata, odbywającej się w każdym rozumie i sercu, nie dziw, że dziwy się rodzą. Przejście każde pewnych potworności musi być rodzicem; p r z e j ś c i e samo w sobie jest niejako potwornością, a nie harmonią; gdyby było harmonią, nie byłoby p r z e j ś c i e m do niej! I w naturze gatunki, łączące rodzaj poprzedni z następnym, zawsze noszą barwę jakąś dziwaczną: pół-rośliny, pół-zwierzęta, pół-ptaki, pół-czworonożce“, planeta cały, gdy się ma przemienić fizycznie, doznaje potopu, lub trzęsień ziemi, które mu potworną postać narzucają na chwilę. Rewolucye w porządku społecznym są potwornościami; zatem i w duszach, opuszczających świat umysłowo stary, by nowy odkryć, muszą podobne kataklizma idealnie się odbywać. To bezprawie prawem jest!“.

Tak objaśniając dziwaczność poglądów Słowackiego, zajmował Krasiński stanowisko ewolucyjne, do pewnego stopnia pokrewne stanowisku Słowackiego, i gdyby z tą krytyką zwrócił się był wprost do niego, możeby go nią lepiej uraczył, niż tem wszystkim, co mu pisał o różnych „skrzydlatościach idei“. Co się tyczy osobistego spotkania się ze Słowackim, Krasiński donosił Małachowskiemu: „Odpisałem mu, że jeśli to ma być z jego dobrem, tom rad widzeniu się z nim. Lecz trzeba poczekać, aż mój ojciec stąd wyjedzie, co dopiero za miesiąc nastąpi, bobym nie miał czasu pasować się z Juliuszem“¹⁾.

Taka odpowiedź była świadectwem dla Słowackiego, że Krasiński zostaje ciągle pod silnym wpływem ojca i że trudno spodziewać się, aby dał się z pod tego wpływu wyciągnąć, i oderwać od swego „otęczowanego“ świata i stać się apostołem i heroldem Alfy i Omegi świata. Już przedtem uważał go za człowieka, którego trzeba dźwigać z upadku, i w owym liście „rozumnym i głębokim“ pisał, jak wiemy: „nie sądz mnie pokaleczonym przez ludzi, ale sądz dźwigającym“, ale w tym liście było tyle pochwał dla Krasińskiego, że nie zwrócił on uwagi na tę przestrożę przyjaciela, może nawet nie zrozumiał, że do niego się odnosi. Inaczej było, kiedy Słowacki wyraźnie wypowiedział się przed Małachowskim, że pragnie podźwignąć Krasińskiego, i kiedy Małachowski doniósł o tem interesowanemu. Wtedy, odpowiadając na tę wiadomość, Krasiński pisał: „Miło mi jest, że na cokolwiek zdałem się Juliuszowi, zostaw mu myśl, że on mnie dźwiga, jeśli ta myśl jego wydźwignąć może“²⁾. Z obu więc stron nie było ochoty do prowadzenia dalszej korespondencji, zwłaszcza, że w owym czasie właśnie nadeszły przerażające wieści o rzezi galicyjskiej i pochłaniały powszechną uwagę.

¹⁾ Listy Zygmunta Krasińskiego do Stanisława Małachowskiego, str. 54 — 55.

²⁾ Tamże, str. 59.

III.

W taki to sposób urwała się, i to na zawsze, odnowiona korespondencya Słowackiego z Krasińskim. Słowacki bardzo prędko stracił nadzieję „podźwignięcia“ Krasińskiego, i już w pierwszych dniach maja 1846 r. mówił o nim przed Gaszyńskim, jako „o duchu obłąkanym i upadłym“¹⁾. Ale, zanim to nastąpiło, była chwila, kiedy zdawało mu się, że poruszy i zjedna dawnego przyjaciela dla swojej wiary, jeżeli przemówi do niego z namaszczaniem apostołskiem i ukaże mu pojedyncze promienie genezyjskie, owinięte cudowną mgłą swego stylu, mgłą, która miała tyle uroku dla Krasińskiego. I wtedy napisał to, co nazywam *Listem Apostołskim*, a co brzmi, jak następuje:

(LIST APOSTOLSKI).

„Wyższego hymnu spodziewałem się z ust twoich, ale młodzieńiec jesteś i wizye twoje są jeszcze pełne blasków latających... Oto usiedliśmy przy nogach Pana naszego Chrystusa, na progu u bramy z jednej perły, i radujemy się po raz pierwszy, jako aniołowie, którzy widzą i jednocześnie czują...

Oto braterstwo nowe uczuliśmy dla świata, braterstwo wszystkiego, co tylko żyje i oddycha — cóż bowiem jest ono ukochanie natury, które się rodziło w ludziach... owe głosy harmonijne, które się do nas odzywały chórem niewysłowionym...

A oto drugi świat duchów nad nami, skąd przychodziły poetom błyskawice i głosy, objawił się nam, jakoby siła sakramentalna nad nami...

I usłyszeliśmy w przeszłości niby odgłos kroku ojców naszych, którzy szli i zbliżali się ku Bogu... na szablach swoich już niosąc błyskawice, od tej nowej Jerozolimy odstrzelone... i na czołach radość aniołową...

Jakże nam łatwo teraz obcować z ludźmi i uszanować chociażby błąd w człowieku dobrego sumnienia — wiedząc, że duch jest wie-

1) Ob. listy Krasińskiego do Gaszyńskiego i Małachowskiego z maja 1846 r.

czny, a błąd czasowy, samą nareszcie zniszczoną harmonią ducha z ciałem zostanie poprawiony.

Choćbyśmy nawet błędzili, to duch świata, idący za Chrystusem, nie dozwoli nam długo opierać się prawdzie — ale nas zmęczonych, i niby roztrzaskanych cielesnie, i zbitych nieszczęściami na drogę prawdziwą twarzą obróci...

Prośmy teraz, ażeby duch Boży przez nas działał i mówił, i napiszmy oto na złotej płycie skały ewangelią prawdy dla braci naszych...

Wszystko w tem słowie jest, że Bóg jest względem duchów nieśmiertelnych s p r a w i e d l i w y — a duchy winne są wszelkich ciał i wszelkiej nędzy doczesnej.

I winne są sakramentalnych sił, które się unoszą nad światem, karmiąc różnemi naturami duchów różne ziemskie braterstwa.

Każdy za żywota sobą chciał nabalsamować duchy, i po śmierci otrzymał władzę, większą lub mniejszą, podług mocy, którą miał, i wielkości.

Gdzież teraz moc uwolnić się duchowi od niższych, a zaczerpnąć siły aż z najwyższej sakramentalnej potęgi Chrystusa, która wszystkim siłom panuje, a jest podniesiona nad wszystkie.

Bo oto zabójca i mocarz niesprawiedliwy znalazł tych, którzy go uwielbili, i schodzą się po nocy w imię Jego, obrawszy noc ciemną i błyskawicową świętem jego... A on duch zwołany nieczystych miłością schodzi i działa zaklęty, przez noc, burze i błyskawice.

Więc ciała się rodzą podług owych usakramentowanych duchów, siłą nie świętą i nie święte duchy zajmują znów miejsca najpierwsze między żywemi...

O! jakiej pracy... jakich wieków, o! Panie, dziełem będzie przywrócenie porządku wiekuistego na świecie, aby hierarchia duchowa została nareszcie hierarchią widzialną w ciałach na ziemi...

Aby najwyższy ziemski rodził się najczystszy duchem niebieskim... a najniższy ziemski z prawdziwej pokory ducha niskiego uczuł się duchem usługującym.

Daj siły, o! Panie nasz... abyśmy ku temu porządkowi szli ciągle, i przez ofiarę postępowali, rosnąc w prawdziwą moc Chrystusową.

Bracia moi, jeżeli w sumieniu nie znajdziecie zaprzeczenia, to nie zaprzeczajcie ustami, albowiem jest to grzech przeciwko Duchowi Świętemu, który w sercu waszem chce świadczyć, i dać wam żywot nieśmiertelny... Jakże nam Bóg da ojczyznę i moc nową, jeżeli nie przez swą mądrość i wiedzę rzeczy ostatecznych, nagle w duchu obudzoną, która ducha podnosi nad wszelkie niższe istoty...

Skądże ruch, jeżeli celu nie obaczycie przed sobą i szelestem skrzydeł wewnętrznych nie będziecie do lotu zaproszeni...

Jeżeli więc naród który ma na celu podbicie świata siłą cielesną... to oto jutro, podbiwszy ziemię całą, stanie i zaumrze.

A jeżeli panowanie na morzu, to podobnież morza podbite obaczywszy i okrętom swoim uległe, zatrzyma się i omdleje.

Albowiem cielesny wszelki cel do pewnego tylko czasu żywot obudza, a potem od większych duchów bywa wzgardzony.

A te większe duchy, rycerzy i filozofów, szukają innej ziemi i doskonalszych ras, z którymi rozpoczynają pracę nową.

Lecz wy oto, ku celom nieśmiertelnym dążąc, wstaniecie jako Chrystus, odwalający mogiłę..

A On ją odwalił duchem, jakoby odrzucał liść uwiędły, który mu we śnie z oliwnych drzew był na włosy strzęsiony.

Więc, nieśmiertelni, choćbyście morza i ziemię posiadli, to jeszcze w celach ostatecznych nową pracę znajdziecie...

Duchem świata podnieconym łamać prawa materią rządzące i sprowadzić Bożą słoneczność i Nową Jeruzalem, która jest obiecaną...

Zmierzcie się teraz z narodami i uznajcie, że Pan ojców waszych jest dobrotliwy.

Gdyby albowiem nie ukrzyżował, nigdybyście ogromnego głosu nie usłyszeli w duchach waszych.

Lecz teraz duchy się jako pioruny odzywają, i myśli wasze jako błyskawice nad światem.

Gdzie jest opinia ludzka, któraby się ostała przed mądrością Bożą? Gdzież są ludzie zaprzeczeń?..

Jedną niech powiedzą pewnoś... a my jej nie zaprzeczymy, ale ją wyniesiemy na stolicę Bożą...

Lecz oto mają naukę ciał, a nie mają przyczyny i nie na wiedzy budują, ale na opinii.

Opinią bowiem jest, że Bóg stworzył świat, że obrotem planet ciągle kieruje, że szatanowi kusić dozwala, że czyścem, lub piekłem skuszone karze, a niebiosami wiecznemi dobre nagradza.

Opinią jest, lub, wyborowi zostawiona wiara, którą człowiek wyznawać powinien, a każdy wyznawca wątpi i poddaje się smutkowi, nie wiedząc, skąd niezaprzeczonej prawdy i wiary ma dostać...

Lecz oto Duchem Świętym się świadczę, iż nicem z opinii wam nie mówił, alem z jednego źródła wiedzy wyprowadzał wszelkie słowo...

Żądając, aby chwalony był Bóg, który, komu chce, wiedzy udziela...

Albowiem były chwile, że mi wszelka moc widzenia prawdy w rzeczach ludzkich była odjęta, a jam był upokorzony przed niewiedomością własną...

Lecz gdym dla chwały Bożej czynić i wypowiadać zapragnął, wrócona mi została wiedza i otworzone usta moje...

ROZDZIAŁ II.

Od sakramentalnej siły ducha prowadzone są nieraz zórawie po niebiosach i długie girlandy ptaków wędrownych, a chłopiec czuje, że z duchem przylatują.

Sakramentalna była półmiesięczna chmura Mahometańskiego ludu... a póki pili z niej moc... zwyciężali świat...

A nie jest przeklętą moc żadna, ale jest przez najwyższą sakramentalną siłę Chrystusa rządzoną... a on ją po wiekach wchłania w łono swoje...

Są więc uświęcenia w duchu Chrystusowym najwyższe, i są uświęcenia w duchu Ojczyzny...

A jako bez pokarmu dzień jeden żyw być i działać możesz... tak bez owej siły sakramentalnej obejdzie się jeden żywot twój, który jest niby dniem jednym wiecznego żywota...

Wytrysnąłeś na wiatr źródło mocy twojej — i spaliłeś, jako garść kądzieli, ognisko czucia twego...

Przygotuj się więc, że jako szkielet wejdiesz na teatr widzialnego żywota, czy między gwiazdy, czy tu — nieszczęsny samobójco duchowy...

Ogłodziłeś dom wnętrza twego i żebrakiem wyjdiesz z pałacu własnego ciała, który się rozpadnie, choćby ze złota był i z dyamentów... drogością piękności wiecznej ozdobiony...

A przecz, budząc się na nowo bez serca i bez wiedzy, pytasz się Boga, dla czego cię upokorzył?

Święty duch świata wyplunął cię z łona swego — i sakramentalna siła Chrystusa ze świętości swoich wyrzuciła, abyś był na woli wichrowych władz... które tu kręcą zwichrzonym tłumem ludzi, niby szpaków girlandą...

A sakramentalna siła Chrystusa ciągnie wszystkie duchy do jednego celu i usposabia je do zlania się w jedną nareszcie moc czucia i w jedną prośbę świata całego o przemienienie. Przezeń codzien nie przybliża się Królestwo Boże i dzieje się Sprawa Boża...

Obaczcie teraz, co są sakramenta... że oto w pięciu chwilach życia waszego duch Chrystusowy przelewa się do waszej natury...

Jako ów dzban endowny oliwy, który Elizajasz prorok dał ubogiej wdowie, a ona zeń wszystkie dzbany, u ludzi pożyczone, napełniła, i lała zeń, dopóki dzbanów nie zabrakło, podobnie z Chrystusowego ducha napełnione są wszelkie ciała, pożyczone u grzesznych, i dostają mocy jednej i ognia jednego.

On małżonków duchy uświęca i czyni je niby snycerzami nowych dzbanów z alabastru czystego, w których nie inne duchy, jedno znające już Chrystusa, mieszkać mogą...

Chrystus więc jest jako architekt, który do planu swego doprowadza powoli idącą ludzkość, aby się nareszcie według jednej myśli Bożej wybudowała...

Sakrament więc małżeństwa niszcząc, zatrzymujecie doskonałość i jedność przyszłą ducha, a zaprowadzacie nieporządek, i ciał rozzerwanie, i różnicę...

Pogańskie bowiem ciało zdrży na Chrystusowym duchu, kiedy mu trzeba będzie iść na ukrzyżowanie... a ciało, od Chrystusowych wzięte, w pracy duchowi niedoskonałemu dopomoże.

Z tej siły więc sakramentalnej pijmy, ofiarowawszy się Bogu na służbę nieśmiertelną, pewni będąc, że z najczystszeimi połączy Pan wszystkie siły sakramentalne Słowa...

A jako nieśmiertelni, mówmy, że nie dzień jeden, ale aż do skończenia pracy, Słowa służebnikami jesteśmy.

Prowadząc ciała nasze jeżeli przez śmierć, to przez śmierć, jeżeli przez ogień, to przez ogień, jeżeli przez wichę urągają ludzkich, to pomimo urągania...

W ostatecznem rozmiłujmy się zwycięstwie i rozkochajmy się w rozslonecznieniu ziemi, i przeciwko niedoskonałości ciał zapalmy się gniewem ducha, i pod nogami miejmy bunt wszelki krwi naszej.

Taka jest piękność nieśmiertelnych.

Oto wybudowałem wam z ducha świat prawdziwy od początku aż do końca, a wy obaczcie się, gdzie jesteście, abyście nie byli oszukiwani przez śmierć... gdy myśl wszelka ustanie, a duch czuciem się w sakramentalnych siłach uczuje...

Jako boleść i strach — albo jako wesele i miłość...

Póki łódź płynie, chociażby przez spokojne powietrze, to żagle płócienne drżą i szelest wydają, a duch, póki w ciele jest... to się uczuciem nieśmiertelności ciągle sprzeciwia ciału i rzeczom skończonym, które go otaczają...

Lecz skoro zatrzyma się łódź, a przeciwieństwo wszelkie ustanie, nie nadymają się więcej ani szeleszczą żagle napięte... także i myśl wasza ucichnie w duchu i ustanie, jako zegar zatrzymany.

Teraz albowiem powiada w tobie duch nieśmiertelny: oto tu jestem, a obejrzawszy się na ciało, pyta się: gdzie jutro być mogę?..

I w ciągłej jest niby naradzie z mocami cielesnemi, które go ograniczyły w potęgę... A ta sprzeczność nieskończonego w nim uczucia z ciała ograniczoną potęgą, jest owym szelestem, który wy myślą zowiecie ¹⁾. Lecz po śmierci uczuje się jako siła, nową formą i czynem chcąca się objawić, jeżeli żebrakiem, to żebrakiem, jeżeli niewiastą, to niewiastą, jeżeli mężem, to mężem... jeżeli światem, to jedną z nowych gwiazd... między gwiazdami...

Albowiem mówi Chrystus, że wiele miejsca i mieszkania jest u Ojca mego na Niebiesiech, a ty wiedz, że światy tworząc, mieszkamy w Ojcu naszym...

I dziś w Ojcu mieszkamy, jako najemniki, pracujące około ziemi przemienienia...

A ile razy powiesz, że ci już dobrze jest... i nie chcesz większej mocy twórczej i doskonałości wyższej... to cię niedoskonałość dzisiejsza nieszczęściem ciała w dalszą drogę popędzi...

Idziesz więc, albo wracasz, bo stać na miejscu nikomu nie dano...

Dzieciątka wam umierają i płaczą... niesprawiedliwość wam czynią ludzie i skarżycie się, miłości nie znachodzicie i przeklinacie świat. A ojciec wasz, który wie, iż wszystko wam poddał, nie lituje się skarg i płaczu waszego...

Ale owszem, chcąc, abyście prędszej królestwa Bożego na ziemi dostali... ciśnie was ziemią całą... i całym niby światem przywała ducha każdego...

Aby się uczuł nieśmiertelnym... i płomieniami miłości rozwałił formy niedoskonałe.

Ojczyznami umarłemi przywała was Ojciec wasz... i czeka, co uczynicie?

Wszelki bowiem czyn widzialny synom duchom zostawił, a sam żadnej się formy nie dotknął, ale czeka, aż duch zeń siłę weźmie i Bogiem tworząc... wszystko nowe stworzy...

Jako stwórcy, widzialności, trwasz w Ojcu twoim. Jako miłość synowska, objawiasz się w każdej pracy twojej... A prace są ró-

¹⁾ Jest w tem jakby echo słów Sokratesa w *Teetecie* Platona: „Zdaje mi się, że dusza, gdy myśli, nie robi nic innego, jeno rozmawia, pytając siebie i odpowiadając sobie, twierdząc i przecząc“. Por. X. Pawlicki: *Historia filozofii greckiej*, t. II, cz. I, str. 450.

żne, ale sprawa ducha jedna jest... i grzech jeden... wszelki czyn przeciwko Sprawie Bożej...

Chrystus przykazał zostać na ziemi Janowi, aż sam powróci... a sam przyrzekł wrócić, aż gdy przyjdzie Królestwo Boże...

I rzekł, że owocu winnej macicy ani chleba jeść nie będzie, aż przyjdzie n o w y...

A jakoż ty sądzisz... że natychmiast wezmą do Niebios aniołowie i uwolnią od wszelkiej pracy... i od wszelkiego braterstwa...

Jeżeli Jan Święty nie uwolnion jest... i tęskliwie oczekuje wspólnie z duchy naszemi na przyście Chrystusa...

Aby się znowu obaczył na łonie pańskim, na wieczerniku z Apostołami... zaśpiewawszy radośnie, że śmierć zwyciężona jest... i pokój ducha panuje... a nawet Judaszowi przebaczone jest... i miejsce dano mu u stołu...

Albowiem nie na wieki zatracony jest człowiek... a nie mści się Pan... ale forma się mści za własne stworzenie... 1).

I cierpiący jest... póki nie odboli swego grzechu, a w jednej chwili odkupić cię może, uczuciem wiekowej boleści...

Nie widzieliście to... pomiędzy sobą ludzi, którzy, pomimo zewnętrzznego szczęścia... cierpieli, jakoby każdy włos na głowie gadem był, a każda myśl mieczem, przez serce przechodzącym!..

A żadnej kary nie mają, oprócz bolących ducha wnętrzości. Ci są, którzy pokutują za dawne.

A ci, którym Chrystus rzekł w wieczerniku: pokój mój daję wam... pomimo cierpień i nędzy w głębokościach ducha z pokojem niebieskim... zachowali dar Chrystusowy.

Oto jeden z tych, którzy pokoju nareszcie dostąpili, mówi do was, a po śmierci tchnienie swoje do słów przyłączy, aby serca otwierały się na prawdę Pańską i radość z odjętej tajemnicy była powszechną...

Albowiem zwyciężon jest ostatecznie świat, i wszystkie wiary, zgromadzone 2) w jedno podług szczybli, nie zaprzeczają się, ale łączą w sakramentalnej sile Chrystusa.

Gdzież są herezye, gdy zniszczone są tajemnice?.. Gdzież zaprzeczenia, gdy oto wiara z głębi czucia w duchu się każdym objawia całkowiec... a każdy duch bierze z niej wedle swojej potrzeby:

1) Pierwotnie zamiast: „ale forma i t. d.“, poeta napisał, a potem przekreślił te słowa: „ale się duch sam mści nad własną naturą“.

2) W tem miejscu przekreślone słowa: „w Chrystusie, a żadna sobie nie zaprzecza, ale każda wzdycha ku celom ostatecznym“.

Nauki chciw, to naukę — Lotu niebieskiego, to lot—Siły, to siłę — wszystko, o coby prosił, będąc na drodze Bożej...

A w śmierci się rozmilowywa, wiedząc, że z niej chcącemu więcej móz, niż może, pomoc jest ¹⁾ od Boga i przyspieszenie.

Gdy mię więc ujrzysz nad siły pracującym, o Pani! to odejmiesz mi te ręce, które nic nie mogą, i to serce zbolełe i zużyte... i zagasisz bladą słoneczność dni dogasających, a dasz jasny ranek nowego żywota... i południe ogniste, owocami sypiące, i znów porwiesz w błyskawicy, gdy ²⁾ czynami zasłużę, abys mię wyższą mocą i czynnikiem stworzycielem uczynił.

Abym już nie był jako ciało, duchem ożywione, ale stał się jako ciało, duchem ozywające, najstraszniejszy kształt mocarza na ziemi...

Za czemże tęsknić będę, gdy wszystko jest w przyszłości. Umilowanie świata, i przemienienie serc, i współnictwo radości, i zmnożenie sił, i odjęcie boleści...

Polsko! Ojczyzno moja! wzywam cię na ten wieczernik ostatni, abym się przepasał prześcieradłem śmiertelnem i umywał krwawe nogi twoje...

Schylony będąc aż ku ziemi przed każdym chłopkiem twoim... umywając mu nogi łzami mojami...

Rozkazu Chrystusa dopełniam, a nie tak, jak ludzie dopełniają cieleśnie, ale z ducha dopełniam rozkazu... pokorę okazując Ojczyźnie mojej i służbę, i miłość.

A wiem, że wszystkie nogi umyte za mną pójdą, a żaden z tych, którzy ³⁾ przeszli przez cierpienia świata i poznali jego naukę, nie zostanie na drodze przeciwnej...

Ostatnia noc bez miłości... i ostatni wieczernik, gdzie sobie ludzie wzajemnie jadło wyrywali, już się kończy...

Ostatni świecznik wiary niepewnej i nie wszechmiłosnej zagasa...

Ale już oto różana jutrzeńka w wieczerniku jest i rumiane światło zorzy na obrusach ⁴⁾ zaświeciło...

Dziękujmy Bogu, żeśmy się chlebem wzajemnie nie potruli i bez wiedzy w ciemności będąc, nie pozabijali się nożami naszymi.

Dziękujmy stróżom, którzy nie zasnęli, i cierpieniom, które się nie dały pocieszyć...

1) Przekreślone: „i zdjęcie bezsilności“.

2) Przekreślone: „westchnę o moc nową i wskrzesitelność“.

3) Przekreślone: „mają serce“.

4) Przekreślone: „się zapłomieniło“.

Przez to albowiem, żeśmy niezupełnie umarli, powstajemy dziś do pełnego żywota... przez pierwiastek ognia i czucia ożywieni.

Raduj się, Polsko, albowiem ci, którzy odchodzą przez krzyż bolesny, nie opuszczają ciebie, i ¹⁾ nowonarodzeni z ukrzyżowanych są...

Nie mówiłbym, gdyby nie płomienie i nie chrzest przez ogień... ²⁾.

Lecz teraz mówię w Panu Jezusie Chrystusie, ufając, że nie grzeszę...

Usprawiedliwienie moje zostawiwszy władzom sakramentalnym na niebiosach, które mię też zawstydzą, jeżeli na hańbę zasłużył.

Lecz wierzę, iż duchy, które chcą sprawy Bożej i ratunku ludzkości, dopomagają słowom tej więgi... i rozwiną z niej nieprzewidziane następstwa.

Tak, że będzie otwarta droga duchowi duchów, aby siedł na ziemię i przez ludzi zwyciężał:

Puszczając strach na fałszywe, złej woli i przewrotnego sumnienia złodzieje... jako ogień szeleszczący... jako drzenie, płomieniem ogarnięciem sprawione... jako śmierć w porwaniu duchowem, przez ciało przelatująca...

Aby wyznali z głębi sumnienia, zem znalazł w nich potwierdzenie słów Pańskich... i zrozumienie ewangelii z ducha nowego, takie jak moje...

Przez które urodzon jest świat nowy i wiara nowa, na pewnem świadectwie nieśmiertelności oparta...

W przeszłości bowiem jest świadectwo, którego nie szukano i w literach Genezyjskich napisana historia Chrystusa.

Który jest Stworzycielem i Synem Bożym, przez Ducha Świętego z Ojcem złączony, Ojcem czyniący sprawę świata i wszelką widzialność.

Który nas duchem natchnął i przysposobił na synów Bożych, abyśmy byli jako On w Ojcu i przez Ojca stworzycielami.

I dał moc, abyśmy wszelkie stworzenie podnieśli, wzdychające za owem to przysposobieniem i synowstwem Bożem, które się z wiarą w każdym duchu poczyna... ³⁾.

1) Przekreślone: „którzy nowi przychodzą“.

2) Pierwotnie miało być: „gdybym przez płomienie nie był ochrzczon“, następnie: „od zjawienia nie był powitany jednym z ochrzczonych“.

3) Potem następują słowa przekreślone, które pierwotnie miały być końcówkami: „I na wieczność trwa. Amen“.

A raż poczęte, jest pierwiastkiem nowej natury w człowieku, czyniąc go stwórcą, na obraz i podobieństwo Boże stworzonym...

Jak w ogniu, tak i teraz: Boże Ojców moich, zmiłuj się nade mną!

Płomień twój wskrzeszający nad Ojczyzną moją! Amen“.

Jeżeli zestawimy treść tego mistycznego pisma z podaną wyżej korespondencją Słowackiego z Krasińskim z początkiem r. 1846, a w szczególności z listem jego z 17 lutego, to dostrzeżemy ścisłego związku między temi rzeczami. Związek ten przedewszystkiem uwydatnia się w tem, że jak w *Liście Apostolskim*, tak i w liście prywatnym z 17 lutego, wielki nacisk jest położony na zaczerpniętą z filozofii platońskiej różnicę pomiędzy wiedzą a opinią, różnicę, która, podług wyobrażenia Słowackiego, dzieliła go od dawnego przyjaciela i pozwalała mu występować wobec niego w roli mistrza i apostoła. Ważną jest także wskazówką początek *Listu Apostolskiego*: „Wyższego hymnu spodziewałem się z ust twoich“, który treścią i tonem swoim zupełnie odpowiada początkowi listu z 17 lutego, i do nikogo innego, prócz Krasińskiego, nie może być odniesiony.

I sam wyraz „hymn“ jest tu użyty nie bez pewnej aluzji do autora *Przedświtu*. Krasiński w zakończeniu tego poematu głosił, że

modlitwa jedyna

Co godna Stwórcy, od h y m n u się wszczyzna,
Lecz nie zna myśli i czynów rozdziału...

i jeszcze silniej akcentował ten wyraz, kończąc nim cały poemat:

Aż skonam zwrotką — w poświęcenia h y m n i e!

Słowacki w wierszu *Do autora trzech psalmów*, wskazując Krasińskiemu, jak ma śpiewać, jaki ton ma obrać, używa także tego wyrazu: „W takim h y m n i e, wieszczu, stój!“ Trudno wątpić, że i tutaj ten wyraz użyty jest z aluzją do *Przedświtu*.

Ostatecznie genezę *Listu Apostolskiego* można sobie w ten sposób wyobrazić. Słowacki, wezwany przez Krasińskiego do wypowiedzenia swoich idei kierowniczych i zachęcony zapewnieniem, że ludzkość czeka na wiedzę prawdziwą, nie śmiał mu w liście zwyczajnym odkrywać swoich tajemnic i swego cudownego stosunku z Bogiem,

i użył do tego formy biblijnej. Zaczynając pisać, nie miał gotowego planu, gotowego podziału owego pisma, więc też nie postawił na czele liczby, oznaczającej rozdział pierwszy; ale kiedy w ciągu pisania wypadło mu mówić o sakramentalnej sile, która na niego spłynęła i uczyniła go apostołem, uważał, że cały ten dalszy ustęp trzeba wyodrębnić, i oznaczył go jako: Rozdział II. Utwór ten zapewne miał odczytać przyjacielowi podczas zamierzonego spotkania się z nim na brzegu morza Śródziemnego, ale bardzo prędko przyszedł do przekonania, że o takim spotkaniu się niema co myśleć, a to wtedy, kiedy Krasiński wydał mu się „duchem upadłym i obłąkanym“. Stąd też można dość szczegółowo oznaczyć datę powstania *Listu Apostolskiego*; nie mógł on być napisany wcześniej, jak około połowy lutego 1846 r., ani później, jak przy końcu kwietnia tegoż roku. Można jeszcze więcej ścieśnić granicę tego czasu, a to przypuszczając, że *List* nie mógł być napisany po nadejściu Hiobowych wieści z Galicyi, bo te w przeciwnym razie odbiłyby się w nim jakimś echem; to jest, że mógł być napisany tylko albo w drugiej połowie lutego, albo w pierwszej połowie marca 1846 r.

PROF. JÓZEF TRETIAK.

A gdy w głąb duszy wnikiemy...¹⁾

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

XXVIII.

Cicho, lekko otwiera się to okno, jakby jakieś skrzydło myśli Anki załopotano do niego i otworzyć mu się kazało.

Cień człowieka zjawia się w świetle.

Jasno odziany, srebrnowłosa, pochyla się tak, jakby szukał kogoś, wyczuwał, że i ta drżąca istota ku niemu się garnie.

— Anko!

Z narcyzów, z bratków, wysuwa się ku niemu biała postać kobieca.

Podchodzi do okna.

— Wiedziałem, że jesteś blisko — mówi Stalewski — praca mi była łatwiejsza...

— Praca?

— Tak... tak... pracuję ciągle... chodź pani do mnie... zobacz, co zrobiłem.

— Podaje jej ręce.

Anka lekko wspina się po murze i za chwilę jest w pracowni.

Poczepiały się jej szat nasturcye o zamkniętych uspionych kielichach i szerokich, jasnych liściach.

Oplotły ją zwojami zieleni i przystroiliły wdzięcznie ni to ondyne, ni to dziewczynę, idącą do trumny.

— Patrz! — mówi Stalewski — oto co zrobiłem.

¹⁾ Patrz zeszyt wrześnieowy, str. 433; — październikowy, str. 16; — listopadowy, str. 240; — grudniowy str. 464 (1903); — styczniowy, str. 37; — lutowy, str. 226; — marcowy, str. 455; — kwietniowy, str. 39; — majowy, str. 221.

Mówi nieśmiało, jest blady, wycieńczony, okryty potem.

Na wielkiem, białem płótnie podmalowane ściernisko. Równina wielka, bezkresna i beznadziejna. Równina taka, jaką się widzi na Rusi, gdzie od tyfusu głodowego ludzie mrą, a po drogach chylą się krzyże pod sosnami, wygiętymi w kształt lir.

Słońce już zapadło i niebo przybrało barwę ołowiu. Niema nic, ani nawet echa, ani śladu, że była jakaś jasność, bodaj krwawa, bodaj tragiczna we wspaniałości swojej.

I na tem ściernisku, z którego wykwitają tylko jak las maluchnych gromnic, żdźbła zmarzłe, wyrasta jedna postać, niemal nadnaturalnej wielkości, owiana czarną, o bladych odcieniach, płachtą.

Jeszcze w tym ogólnym zarysie rozpoznać nie można, kim jest ta ona, żałobna, ze ściągniętymi fałdami kirowej opony dokoła ciała. Jest w tem jednak takie bezduo rozelkania, rozteśknienia i beznadziejnej melancholii, że w umyśle patrzącego powstaje obraz zwichniętych przeznaczeń, starganych sił i tragicznych chwil tych, którzy nie mają... przyszłości.

Anka nie mówi nic, tylko patrzy, i mocą wyobraźni przechodzi w tę czarną marę ugonną, jak drogowskaz na samobójczej mogile.

I jest nią w tej chwili milczenie.

I zna jej tajnie.

I zna jej twarz.

I wie, że objęcie jej przytulne i smutne, jak objęcie chmury, co ogarnia wierch, z którego kosodrzewinę wichry stargały.

I osnuwa się kirem jej szat, ona biała i jasna.

Bo ten kir rozprzestrzenia się nad nią, jak nocna ciemnia rozciąga się nad seunemi koronami kwiatów.

Wie, że ta czarna postać nie zejdzie z tego beznadziejnego ścierniska, wie, że jej tak trwać sądzono i czernić coraz żałobniej, i coraz silniej otulać się w kiry.

Bo ona jest Dolą ludzi, którzy nie mają nawet krwawych zachodów, ani Poświęty słonecznej nie biorą na szarosc swego życia w zapadłe i zmęczone żrenice.

Jest ona Dolą ludzi, która wykwita w ostatnich godzinach wtedy, gdy kłosa żżęte i do śpichrza zwiezione.

Teraz ziarnem z nich tuczyć się będą inni, ci, którzy z pogardą myślą o pracy, jaką miał ten, który uprawiał pole, pożyczając pługów, strojąc swe zasiewy w kąkol, aby pole jego było piękniejsze i barwniejsze, niż pole sąsiada.

Po żżęciu kłosów pozostaje beznadziejne, smutne ściernisko.

Włóczy się po niem perz, włóczą się resztki ziarn, lecz nic już nie kwitnie, nic się nie zazieleni.

Jesiennem wyciem przeciągnie wichur, załka, zegnie żdźbła-szkieleły i rozplynie się w dal...

Czasem trup chomika zastygnie w martwocie maluchnego dziecka.

I szaro, i pusto, i głucho...

Wtedy na pustkę, na głuszę, na szarość przywieje czarna, wyniosła postać i stanie na straży.

W źrenicach jej bezsłoneczne niebo, w opuszczeniu widmowych rąk beznadziejne jutro.

.

Obok Anki Stalewski niespokojny śledzi wrażenie.

Nie może się pozbyć jeszcze zupełnie dawnych przyzwyczajęń. Troszczy się drobiazgam.

— Prawda? — pyta — są błędy w rysunku?

Anka nic nie odpowiada.

— Bez modelu... trudno mi... przywykłem.

Łagodnym ruchem przerywa mu Anka.

— Czemu się troszczyć o powierzchnię — mówi — tróaska powinna sięgać głębi.

Stalewski utkwiał niespokojne oczy w Ankę.

— Zdawało mi się... — wyrzekł przyciszonym głosem — że do- byłem ją z głębi swej duszy.

Anka, cała zamieniona w źrenice, zwróciła się ku niemu dziwnie wzruszona.

— Tak... — wyrzekła — to całe spłynęło z duszy pana.

Wielka, ogromna radość ogarnęła Jana.

Rozbłysł nią cały, jak gdyby wewnątrz niego ktoś zapalił lampę przejasnego szczęścia.

— I przyznasz to za swoje przed światem?

— Przyznam — na chwilę. Gdy znajdą w tem dość siły i młodo- ści, ujawnimy nazwisko pana.

Lecz on wstrząsnął głową.

— Nie, nie. Skoro uznajesz to za godne twej twórczości, niech to już tak pozostanie. Zeszłoby dzieło moje do dziedziny złośliwego figla. Nie darowanoby mi tego nigdy. Ja to pragnę nie dla nich, lecz chcę to odczuć dla siebie. Chcę sam nabrać przekonania, że coś wart. Sam — rozumiesz mnie, Anko?..

Teraz ona rozbłysła całą radością. Uczuła, iż ten człowiek zrzucił ze siebie zupełnie szatę pajaca, skoro brzdzi się już błyskotliwością tryumfu, jaki mógł odnieść nad swymi wrogami.

Zaczął rozumieć wartość wewnętrznych wzruszeń, pragnął mieć je dla siebie.

Wnikał w głąb własnej duszy..

Zwróciła ku niemu swoją twarz rozjaśnioną, a w pełnym świetle olbrzymich, pracownianych lamp, zwieszających się od stropu, zdawała się być oblana całą blaskiem i jasnością. I wyciągnąwszy ku niemu ręce, uśmiechnęła się szlachetnie i pięknie, a z uśmiechu tego, jak kwiat z pomiędzy liści, rosą sperlonych, wykwitło jedno śliczne i na wskroś kobiece słowo:

— Dziękuję!..

Pochylił się ku tym rękom i oczami do nich przyłgnał.

Ustami — nie śmiał.

Były mu dobre, przyjazne i drogie, chłodziły rozpalone powieki i wnikały mu we wnętrze źrenic, jakby z eteru wypromienione.

Przed nimi, na ściernisku, czerniała smutna, żalobna, owita w kiry, Dola tych, którzy... przeszłości nie mają.

XXIX.

— Waryatl.. Waryatl..

— Gdzie?.. gdzie?..

— W oknie... w hotelu, na pierwszym piętrze... chodził chodził..

Wybuchy śmiechu — radość. Pędzą ludzie o zwierzęcych twarzach. Kupa ich czarna, jak robactwo nieczyste, tłoczy się pod oknami hotelu. Niektórzy wążą na dorożki, które ściągają jak do pożaru, lub przed knajpy o nocnej porze. Przeważają kobiety, sługi z koszami prezentują zczerniałe nad rądlami pyski, wykrzywione błogim uśmiechem. Wszyscy pootwierali usta. Patrzą w górę. Ujawniają czarne podniebienia złych psów i spróchniałe zęby.

— Ol.. ol.. teraz znów staje w oknie!..

— W koszuli tylko pod paltem...

— Cylinder ma... widzi pani... cylinder.

— I w kaleszonach... to skandal.

— Coś gadał..

— Cicho...

Zamknięto bramę hotelu. Zarządca, zły ze skandalu, szuka kluczy do drzwi, łączących numeru. Wejściowe od korytarza są zamknięte na wewnątrz. Nie sposób się dostać. Waryat nie chce otworzyć. Wczesnym rankiem porwał się z łóżka. Otworzył okno i teraz ma przemowę do tłumu, wyjącego z uciechy na ulicy.

— Obywatele wyborcy!.. Obdarzony przez was zaszczytnem zaufaniem, pragnę, ażebyście zrozumieli, kim jestem... i jak szeroko pojmuję... zakres...

Gwizdy, piski—przerywają mu mowę. Lecz on, błąd jak płótno, tragiczny, z rozpiętą na piersiach koszulą, przechyla się poza ramy okna i znów zaczyna:

— Obywatele wyborcy!.. Obdarzony przez was...

Po tłumie przebiega aż dreszcz rozkoszy. Widowisko dobre i miłe. Coś z cyrkowych aren. Dzikie zwierzę szalu wpiło się w mózg człowieka. Zanurza weń kły, zmusza do tych konwulsyjnych skurczów, któremi czepia się okna. Tłum, dawniej zalewający swem zbiorowem cielskiem kamienne kręgi cyrku, teraz tłoczy się cuchnący i brzydki na dole, podnosi łeb i przeżuwa w sobie dreszcze.

Ściągają tu nie dla tego, że przeczuwają niecodzienne zdarzenia, w którym chcą wziąć jakiś udział, wynoszący ich na chwilę po nad równię szarości dni zwykłych, lecz gnają w potrzebie wyładowania pewnej seryi gestów i grymasów, które są wynikiem stanu ogłupienia i oderwania się od myśli własnych, a stan ten, wedle ich określenia, „wesołością“ się nazywa. Więc są „weseli“, tłocząc się na tym chodniku, mając po nad sobą tę białą twarz starca, jego rozwichrzoną brodę, jego źrenice, których męt jest całą głębią szalonych, drgających światów, jego rasowe ręce, na które wybiegły siecią postronki żył.

— Obywatele wyborcy!..

To jedno słyhać coraz słabiej, coraz chrapliwiej. Oczy waryata coraz krwawsze, z ust ciecze ślina. Tłum śmiechem zagłusza go. On gestykuluje, pragnie przekonać, że przyjmuje wybór i usprawiedliwi zaufanie. Prąd szaleństwa płynie od niego ku nim. Ktoś go poznał. Rzucił jego nazwisko. I nagle tłum rozkołysał się tem szlacheckiem mianem z wyciem i gwizdem:

— Zagrodzki!.. Zagrodzki!..

Jakby nawoływali psa, lub rzucali kamieniami w rzekę, tak cisną jego mianem w przestrzeń.

On słyszy to. Dziękuje. Rękę przykładą do serca. Zdaleka pojawia się wreszcie policya. Lecz tłum jeszcze nie widzi tych, którzy zakłóca mu igrzysko. Teraz najlepsza wre zabawa. Zagrodzki, podniecony, upojony sukcesem, szaleje coraz więcej.

Wyciąga ręce ku niebu... przysięga tłumowi bronić jego praw politycznych i zdobywać nowe.. Wyrzuca z piersi potoki tych mów, tych wniosków, tych interpelacji, które nagromadził w sobie latami całemi, i nie mógł nigdy wydać ze siebie, dławiąc się niemi w musowem milczeniu. Teraz to wszystko ziele na głowy tłumu lawiną, kaskadą bełkotu wśród kłębow śliny, ociekających mu brodę. Ku niemu coraz usilniej wznoszą się spocone gorącem i podnieceniem twarzy tłumu. Nie są ciekawi nawet tego Straszego, tej niezbadanej Tajemnicy, która otoczyła sobą człowieka, wepchniętego nagle w świat uludy, który jest obecnie dla niego światem rzeczywistym, nie — oni się bawią.

Szeroko się bawią.

Nagle w pokoju stać się musiało coś niezwykłego, bo oto zakłębiło się przy oknie poza starcem. Kilku ludzi rzuciło się na niego z tyłu i rwą go do wnętrza pokoju. Dobrali snać klucze. Tłum zawył, jakby żalostnie, że mu wydzierają zabawkę, która mu nerwy łąskocze.

Lecz oto już ma inną.

Placem biegnie młoda kobieta w ciemnej sukience, biegnie szalonym pędem ku hotelowej bramie. Roztrąca ludzi, oczy ma wlepione w okno, w którym widać waryata, szamocącego się ze służbą hotelową. Kobieta ma wypieki purpurowe na twarzy, usta rozwarte... Wpada w tłum, rozpycha, szarpie tych, którzy jej drogę tamują.

— Puśćcie mnie, puśćcie!..

— No... czego się panna rozpycha?

— Chce panna w pysk?

— Waryatka!.. ol..

Część tłumu zwraca się ku Ance, zaczynają ją szarpać, popychać. Ona ich nie widzi. Wpija w nich kurczowo palce, patrzy ciągle w okno.

Odrzucają ją od bramy, nie pozwalają jej postąpić, otoczyli ją żelaznem kołem.

— Widzicie, przyleciała teraz i chce widzieć.

— Pcha się do pierwszego rzędu!.. — śmieje się jakiś kapelusz Panama.

— Ulicznica!

— Puśćcie mnie!..

Lecz ci, którzy nie wiedzą, co się dzieje koło bramy, aż ryczą z uciechy.

Oto szalenię uczepił się rękami szyldu fryzyera, który dosięgał do jego okna, i stawia opór, wstrząsając tablicą, z poza której wał się gruzy.

Policya już jest przed hotelem.

— Ustąpciel.. ustąpciel..

— Wodą go! — krzyczy tłum.

Ktoś ze służby właśnie w tej chwili cały dzban wody wylewa na waryata. Zachłysnął się, porwał za głowę. Wycie tłum odpowiedziało mu z dołu... W zamieszaniu zapomniano o Ance. Dopadła do bramy, wstrząsa nią.

— Puście mnie do ojca!

Zagrodzki rwie się jeszcze do szyldu, lecz deska, oderwana z haków, wali się na dół z hukiem i łomotem. Tłum na chwilę się cofa. Służba hotelowa opanowuje gesta Zagrodzkiego, odciągnęli go od okna. Słychać przeraźliwy krzyk.

Tłum powraca falą na chodnik. Rzucą się ku spadłemu szyldowi. Zbiera gruzy, haki, wykonywa całą seryę bezmyślnych czynów.

Krzyk ponawia się.

— O!.. biją go!.. wiążą!..

U bramy Anka kaleczy sobie palce o żelazne liście i kwiaty, pokrywające pół szyby.

Zdaleka słychać trąbkę.

— Pogotowie.

Ktoś ze służby zamyka okno. Lecz nikt się z miejsca nie rusza. Widowisko nie skończone. Będą jeszcze szaleńca wieźli do szpitala, więc możność ryczenia, pędzenia za karetką, wycia, jak stado psów dzikich na stepie zbłąkanych.

Ktoś wewnątrz hotelu poznał Ankę.

Otwierają bramę ostrożnie, jakby w chwili obłączenia.

— Proszę pani... prędej... ojciec pani zwaryował.

— Wiem... wiem...

Tłum z całym impetem rzuca się ku bramie. Chcą wpaść do wnętrza. Rozzuchwałają się. Wszak tam, wewnątrz, rozegrywa się tragedia. To przecież nie ma prawa pozostać w zamknięciu. To do tłumy należy. Lecz stróż hotelowi, uderzeniami pięści po twarzach, wyrzucają tych, którzy za Anką wtargnęli do bramy.

— Co to jest?

-- Biją!

— Policya, biją!..

Oburzenie, huk groźny. Ruch na ulicy zatamowany. Przed cieliskiem czerwonym tramwajów nikt ustąpić nie chce. Cała teorya wagonów stoi, czekając opamiętania i swobody.

Wewnątrz hotelu wre. Goście gromadami stoją na schodach. Dzwonki bezustannie dzwonią. Służba biega bezradna. Lękliwi po-

zamykali się w numerach. Jakaś pani dostała spazmów, inna żąda rachunku i chce natychmiast hotel opuścić.

Zarządca hotelu biegnie naprzeciw Anki.

— Sliczna historya!.. — rzuca się ku niej z wściekłością — jak pani nam mogła ojca zostawić?

Ona nie odpowiada nic, nie wie, nie może. Spadło to na nią tak niespodzianie. Wiedziała, że jest zdenerwowany, ale przecież nie szalony...

I teraz nie wierzy.

Usuwa zarządcę, wpada do pokoju. Widzi ojca, leżącego na ziemi, związanego ręcznikami, zlanego wodą. Usta ma przewiązane ręcznikiem, aby zatamować jego krzyk. Oczy wyszłe z orbitów, straszne, krwiste, jak dwa czerwone rubiny. Nad nim pochyleni klęczą parobcy. Przytrzymują mu ręce i spętane nogi. Rozkrzyżowali go tak na jasnych różach dywanu, pomiędzy aksamitem liści, i nie nie zdoła określić tragizmu tej postaci, winkrustowanej w kwiaty najstraszniejszą grozą i lękiem. Ludzie z r ó w n o w a ż e n i powalili i ujarzmili istotę, która się wykoleiła nagle z szyn, i jak wir podwodny zamąciła bieg unormowanych z wysiłkiem fal. Zbity, stłuczony, związany, zlany własnym potem, śliną, wodą, zwalany kałem, leży szmat ciała, nad którym duch się pastwi siłą swą rozpętaną i rozlukaną nagle w zrzuconiu tryumfalnym jarczma.

Na kolana, jak przed ołtarzem najwyższej boleści, upadła przed ojcem Anka.

I znów, jak zwykle, mówi:

— Ojczel.. to ja!..

Dzieje się cud wielki, a przecież niezrozumiały dla tych, którzy wnikać w głąb codziennych cudów nie chcą, czy nie mogą.

I dla tego parobcy, klęczący nad szaleńcem, goście, cisnący się ku drzwiom — nikt nie wnika w przyczynę, dla czego z tych zakrwawionych źrenic szaleńca, na szept córki, ustępuje na chwilę groźny męt.

Krwawość ich przysłania jakby mgłą opalowa i przeogromny smutek, jaki wypływa z czarnych, martwych miejsc górskich, gdzie słońce nigdy nie dochodzi, zdaje się wiać aż ku rozpalonej twarzy Anki.

Anka ten smutek odczuwa tak strasznie, że dusza jej zanosi się łkaniem wichru, dzwoniącego po ugorach śmiertelne hymny.

Wyciąga ręce ku ludziom.

— Rozwiążcie go!..

— Aha... żeby nas pozabijał?

— Nic wam nie zrobi... rozwiążcie mu przynajmniej usta. On się dusił..

Zarządca się zbliża.

— Pani daruje, on krzyczy. Gości nam wystrasza. Panie po numerach mdleją ze strachu...

— Ależ on jest teraz spokojny! Prawda, ojczu, będziesz spokojny?..

Z krwawych źrenic szaleńca, po trupiej twarzy, płyną dwie wielkie łzy.

— Patrzcie, on płacze... on cierpi... rozwiążcie go!

Sama się rzuca, zdejmując ręcznik z ust opuchłych. Pochyliła się, ociera łzy, pot, wodę, którą jest zlany.

— Ojczu, poznajesz mnie?

I znów ten wyraz bezdenne go smutku, który w niej zdaje się targać najgłębszą strunę ducha. Tak, ten człowiek chory, ten człowiek, który utracił spójnię równowagi swych części składowych, z których jego istota do tej chwili się tworzyła, zwracał się światem swych uczuć ku przedłużeniu swego normalnego istnienia w formie drugiej, oderwanej od niego istoty — ku dziecku swemu.

I ten świat uczuć musiał widocznie najdłużej i najsilniej panować ponad innymi światami, w których istota ludzka przebywa, bo zwalczył ich wir i szal, i wypłynął cały w bezgranicznej melancholii oczów waryata, w tych łzach, płynących po zmarszczkach skroni, i w tem milczeniu, w jakie nagle popadły przed chwilą rozkrzyczane w bezładnej męce dźwięków usta.

Ginąca część istoty zdawała się z pokorą poddawać na usługi tej, która wstawiała ku słońcu, młoda, sił pełna, władająca myślą, duchem, ciałem swem z równowagą zupełną.

Do ciemni wciskała się masa komórek, niezdolnych już do samoistnego bytu, a duch zrzucal, jak pokrowiec, poszarpane włókna, cuchnące i poruszające się z trudem. Ni ruchu, ni ciepła, ni wstrząśnień świętych, lub niskich, tylko pośpieszuym tempem zgnilizna i unieruchomienie dobrze ułożonego na wiórach trupa.

Lecz przedtem taki smutny łańcuch, wiążący z tem, co pozostało, jakby żal, jakby niepewność, czy zdoła to drugie „ja“ odczuć, gdzie prawda i spokój, choć pozorny.

— Czy potrafisz być mną innym? — pytały źrenice szaleńca.

— Uspokoisz się i znajdziesz we mnie tę błogość z poznania w sobie samym skarbów najwyższej i najdoskonalszej szczęśliwości. Będziesz tym, który starczy sam sobie i przeżywa ciche a cudowne chwile, w których cierpienie wydaje się nam źródłem nieprzebranych rozkoszy. Będziesz tym, który spokojnie czekać będzie, aż się wypelni

całe przeznaczenie twoje, i wracać będziesz myślą do chwil dobrych i szlachetnych, a nie do tych, w których los zmusił cię opuścić prawy spokój pierwotnej natury twojej! I potrafiśz odczuć czar mgły porannej i pierwszą słoneczną strzałę, i ostatni jego blask, i wchłoniesz w siebie widmo słoneczne, co się kładzie na rżyskach olbrzymim dyamentem, migocącym siedmiobarwną tęczę. I zrozumiesz, że poszum jednej akacyi, która o czerwonym południu rozbieli się śniegiem swego kwiecica, zagłuszyć może wycie całego tłumu drwiących z ciebie istot. I wejdę ja, a za mną ty, na ścieżkę, na której po obu stronach stoją milczące Archanioly, z rękami, założonemi na piersiach, miłosne i dobre. Wtedy zaznasz rozkoszy usunięcia się w cień, a patrzenia w słońce, i przestaniesz walczyć z losem, a wejdziesz z nim w przyjazny układ, który ci da możność doskonalenia się pod razami przeznaczenia, i odzyskasz swobodę i piękność gestów instynktu, które jedynie są twej naturze drogie i konieczne. I zaznasz szczęścia... bo będzie ono zawisłe jedynie od ciebie samego!..

.

To mówią źrenice Anki, wpatrzone w skrwawione oczy ojca.

U drzwi szum, szelest kroków.

Szybko wchodzi młody człowiek, ciemno odziany.

— Lekarzl.. psychiatra...

Badawczo potoczył wzrokiem po pokoju.

— Proszę podnieść chorego z ziemi.. niech zbyteczne osoby wyjdą. Kto pani?

— Córka.

— Proszę zostać i kilku ludzi na wypadek niech stoi przy drzwiach. Co panu?

Zagrodzki widzi twarz obcą, przychylną, inteligentną.

Opuchłemi ustami szepcze:

— Jestem wybrany.. partya kontrkandydata rzuciła się na mnie... nie dała przemówić do tłumu.

— Tak, tak... — odpowiada doktor, patrząc badawczo w twarz starca — właśnie mówiono mi o tem. Ale partya zwalczona rozeszła się. Nic już panu nie zrobią.

— Chciałbym jednak...

— Przyjechałem po pana, mamy pana zawieźć do ratusza. Tam czekają na pana.

— A... to dobrze, dobrze...

— Niechże się pan ubierze...

Z trudem Zagrodzki dźwiga się z łóżka, na którym go położono.

— Dużo się moich zeszło? — pyta gorączkowo.

— O! cała partya. Będzie pan mówił, ile pan zechce. Przedtem wstąpimy do komitetu wyborczego.

— Gdzież on?

— Niedaleko. Wynajęliśmy na ten cel osobny lokal, zaciszny i spokojny. Nikt nas nie wyszedzi..

Doktor zwraca się do służby hotelowej:

— Pomóście panu radcy ubrać się!

Skinął na Ankę, odprowadził ją ku oknu:

— Gdzie zawieźć ojca? — zapytał — czy macie środki na zakład prywatny?

Anka czuła, że blednie trupio.

— Do... zakładu?

— No tak. To trudno! W domu go trzymać nie można. To manja polityczna, która jest równoważna z manją wielkości. Nieuleczalna. Wolę pani powiedzieć całą prawdę. Więc... do zakładu?..

— Tak.

— Sam go odwiozę.

— Może... ja...

— Nie, nie. Bardzo być może, iż zacznie się rzucać, krzyczeć. Kobiety się denerwują i denerwują nie tylko chorych, ale i całe otoczenie.

Mówił szybko, energicznie. Widać było, iż potrafił wywalczyć w sobie nadzwyczajną siłę, którą się odznaczają pogromcy dzikich zwierząt w cyrkach.

— Pani mi tylko podyktuje nazwisko ojca, wiek, zatrudnienie.

Wyjął notatkę, zapisywał.

Przy stole drżąc, chwiejąc się, stał Zagrodzki, na pozór ubrany, w palcie, jasnych spodniach, w krawacie, związanym na nocej koszuli, z cylindrem i laską w ręku.

Straszny był, siny, z krwawymi plamami na twarzy i rękach.

W chwili, gdy doktor zwrócił się ku niemu, położył laskę i cylinder na stole i zaczął pośpiesznie zbierać leżące na serwecie papiery.

— Moje wyznanie wiary... wszystko przygotowane... muszę zabrać...

— Bardzo, bardzo słusznie — przyświadczał zbliżając się doktor.

— Pan ma ładną laskę! — wymówił, biorąc laskę w rękę i oglądając ją na pozór uważnie.

Potrzymał chwilę laskę i korzystając z tego, że Zagrodzki zajęty był papierami, podał ją Ance.

— Proszę to schować.

Zbliżył się jeszcze więcej do szaleńca i delikatnie ujął go za wiszący krawat.

— To nie ładna krawatka. Stara, zniszczona. Wyborcy czuliby się dotknięci, że pan tak zaniedbany do nich przychodzi. My wstąpimy do sklepu i kupimy nowy krawat.

Szybko rozwiązał krawat i oddał go Ance.

— Mógłby się udusić — rzucił jej szeptem. I nagle zapytał ją półgłosem:

— Czy ma sztuczne zęby?

— Tak, górną szczękę.

Doktor już znów układnie stanął przed Zagrodzkim.

— Pan mówi niewyraźnie... to źle... mowę trzeba powiedzieć dobitnie i tak, żeby ją każdy słyszał... Co panu w ustach...

Zagrodzki bełkotać zaczął:

— Ścisnęli rącznikiem...

— Nie, nie. Tam jest coś w jamie ustnej. Pan pozwoli obejrzeć. Jedna chwila nieufności ogarnęła Zagrodzkiego.

Cofnął się i z pod brwi ściągniętych patrzył na doktora.

Lecz ten nie zmieszał się ani na chwilę.

— Pan ma źle wprawione zęby — wyrzekł swobodnie — dla tego pan źle mówi. Niech no pan pokaże.

Zagrodzki cofał się ciągle dumny i nieufny. W oczach migotały iskierki.

— Widzi pan — zaczął półgłosem doktor — ja to radzę panu dla pańskiego dobra... Jeżeli wyborcy nie zrozumieją pana, mogą jeszcze zrzucić wybór pana. Bóg wiel! Niech się pan śpieszy... karetka czeka, dalej, dalej, komitet się niecierpliwi.

Sięgnął ręką ku ustom waryata. Szybko, zręcznie, jak laskę, jak krawat, usunął z ust steroryzowanego Zagrodzkiego fałszywą szczękę, którą rzucił na łóżko.

— A teraz w drogę!

Auka zrobiła ruch, jak gdyby chciała się do ojca zbliżyć, doktor zatrzymał ją stanowczym gestem.

— Niech pani zostanie... służę panu!

Ujął szaleńca pod rękę i poprowadził ku drzwiom. Na schodach stały milczące grupy ludzi. Zagrodzki na ich widok zatrzymał się znów nieufny, jakby przeczuciem zdjęty.

— Proszę! — mówił doktor — niech pan idzie śmiało, to są wszyscy pana zwolennicy. Proszę!..

Zagrodzki wyprostował się dumnie. Uśmiechnął się bezzębnymi ustami i z miną rasowego wielkiego pana, który doszedł tam, dokąd całą siłą zmierzał, zaczął, podtrzymywany przez doktora, schodzić po wschodach, wysłanych dywanem.

XXX.

Rozpachło się, rozsloneczniło tak, że istota ludzka nie była po prostu w stanie wchłonąć w siebie tego złota, tej woni, tego blasku.

Rankiem wyszła Anka na ganek i stoi, i patrzy, i chłonie, i kocha, i obejmuje a tuli miłośnie tę cudowność, która się przed nią roz-tacza, wnika w nią, z pod stóp tryska, owiewa kłębem woni, płynie strugami z wyżyn szafiru. A drzewa szumią leciuchno, trawa nieru-choma na pozór, a życia taka pełna... A tam, w oddali, baldachim la-su, obramowany srebrną ścieżką wrzosów.

I las leciuchno szumi, delikatnie przesyłając ku Ance ten szum, pełen rozkosznej tajemnicy rozwiniętego w pełni życia.

I zapomina Anka, że na tej ziemi ojcowskiej przysiadła chmura posesorskiej bandy.

Pozostawiła za sobą wspomnienie czarnych, żalobnych chałatów i oliwkowej cery, wśród której żarzą się węgle oczów, nie pomni już o swym pokoju dziewczęcym, pokoiku, w którym rozwijał się kwiat jej duszy, kwiat jej ciała, a teraz czerwienią się purpurą brudnych per-kalików stosy betów na małżeńskich łóżach, gdzie śpią płodne pary posesorskich potomków. Pomnąć o tem nie chce i gna ze siebie wra-żenie gorzkie, jakie ścisnęło jej sercem, gdy w pokoiku narożnym, gdzie umarła powoli i cicho, jak umiera zraniony gołąb, jej matka, zasrebrzyły się przed nią ociekłe mlekiem blaszanki mleka i uderzy-ła w nią woń guijącej w beczie kapusty. Całą noc, którą przeżyła w naprędcie uprzątniętym dla niej pokoju, to rozprzestrzenienie się brutalne, dławilo ją i sen z oczu spędzało. Przyjechać musiała. Kon-trakt z dzierzawcą się kończył. Ojciec w sanatorium. Miano wyzna-czyć kuratora. Obecność jej na tej wsi była konieczna. I oto zdrę-czona, pełna żaloby, wobec nieszczęścia, jakie ją dotknęło, wpadła w tę otchłań sprofanowanych pamiątek, rozdeptanych szczątków jej dzieciństwa. Cała religia pamiątek, jaka w jej sercu rosła kultem nie-przebranych skarbów, druzgotała się w proch siłą faktów i mocą tej rozbieganej, czarnej hordy, która poganiała garstkę zuchwałej i har-

dej służby folwarcznej, równie chudej i smutnej, jak te konie biedne „posesorskie“, bandą o Zachodzie przygnane do studni i pod zórawiem zbite.

Gdy jednak ruch przedziwny zaświtał i rozśpiewało się ptactwo na krzakach, pod oknami rosnących, Anka porwała się z łóżka i wodą zimną obmyta, smukła a jasna, w słońce i zielen wybiegła.

Z ganku uszedłszy, okrążyła gazon, na którym ciemniały kępy bratków, przez nią jeszcze sadzone. Po środku ogromny krzak róży białej rozwiewał swoje śnieżne kwiaty. Płatki białe wicher strząsał na werweny liliowe i rezedy wolne. A wszystko to rosło już tak mocą nałogu, mocą przyzwyczajenia. Bo nikt z pośród chałatów przy tych kwiatkach nie ukląkł, i dłoni miłosnej, a do pielęgnowania skorej, nie wyciągnął.

Rosło, wdzięczyło się to słońcu, Bogu, sobie, rozpiętej kopule szafirowego nieba, nie dbając, że byli tu zbyteczni ci wonni goście w aksamitnych szatkach. Trzymali się gruntu i nie pytali się o nic, zjawiając się ze słońcem letniem, gdy od polnych kwiatów płynęły ku nim hasła i nawoływania.

Anka ogarnęła wzrokiem ten klomb, przy którym modliła się tyle razy staraniem około piękności kwiatu, spojrzała w dal na wyniosłe brzozy parku, co drżały, delikatnie rozsypane na tle szafiru.

Wszystko było tak piękne, świeże, wonne i jasne, jak poprzednio.

Ankę coś wewnątrz ducha zabolalo w odczuciu tej nieziennej świeżości. Stała jak wryta i smutek powlókł jej twarzyczkę. Chwilowa radość znikła. Zaczynało jej być gorzej moralnie, niż tam, u Żydów, w domu, gdzie się tyle zmieniło.

I nie wiedziała już, gdzie lepiej, czy tam, gdzie się wszystko zmienia, czy tam, gdzie z biegiem rzeczy strasznych nie zmienia się przecież nic.

Od drogi, w białej płótniance, szło zjawisko, brzydkie, ohydne, straszne.

Taczało się to, podrygiwało, powracało w zwykłą linię. Białe odziane kształty kobiece. Twarz, owinięta chustami, straszna, o ceglastej barwie. Przez plecy przewieszona torba.

Anka poznała ją natychmiast.

Sługa żydowska z karczmy — pocztę, jak zawsze, nosi.

Podchodzi ku niej, list z torby wyjmuje, pijackim gestem uklon składa.

Nieprzenikniona ironia aż bije od tej córy ziemi, która, zda się, grobowę cerą w łono ziemi wpraszać.

Anka odbiera od niej list i jakieś drżenie przebiega jej ciało.

Poznaje pismo Stalewskiego.

Odjeżdżając pozwoliła mu, a nawet prosiła, aby pisywał. Tyma-
czyła się przed sobą, że nie chce zerwać kontaktu duchowego, jaki się
między nimi wytworzył, że mu to konieczne do nabrania siły i wy-
trwałości, a przecież lekkie zmieszanie ogarnia ją teraz, gdy list ten
trzyma w ręku. I zmieszanie to nie pochodzi od niej samej. Przeci-
wnie, ono płynie z tego listu. To one, te éwiarteczki, złożone i uwię-
zione w kopercie, przejmują ją niepokojem, bo z niepokojem musiały
być w dal rzucane.

Jak to źle! — myśli Anka — jak to źle!.. czego on siebie i mnie
niepokoi, czego?

Idzie w głąb parku, gdzie lipy ogromne dźwigają się z szeregów
brzóz, a dęby samotnie, wyniosłe, pośród zapuszczonych trawników
się wznoszą.

Alejami zarosłemi idzie wolno Anka ku żerdziom, które odgra-
niczają park od pól, wezbranych złotem życia. Idzie wolno, czyta list:

Anko!

Dzieło moje prawie skończone. Patrzę w ten ką-
t płótna, gdzie położyłaś swój podpis, a który tak zazdro-
śnie kryję jeszcze przed oczami ludzi. Z tych kilku liter,
z tej „Anki“ bije ku mnie cała twa siła, wielka i niespoży-
ta. I patrzę na to, co tworzę, a troską moją największą to
jest niemożność dostrojenia się do twej czystej, nieskala-
nej prostoty, jaka jest podwaliną twego Dzieła. Anko,
obraz mój coraz więcej staje się mną, a ja staję się nim
samym. Ja go nazwałem: „Moje dzieło“, nic więcej,
tylko Dzieło, a to będzie wszystko. I tragizm mój ży-
ciowy, i rozstępiona modlitwa dni obecnych. Ja nie wiem,
com stworzył, Anko, ale to było moje i we mnie lata całe,
To wiem jedno, że poczęte jest chyba w duszy, bo wy-
czerpało mnie do dna. Ale nie fizycznie. Tamte dzieła moje
odbierały mi siłę w mięśniach, to każe mi chwilami omdle-
wać i stawać się pustym i chłodnym, jakby we mnie zdźbło
myśli kiełkować już więcej nie mogło. Lecz tyś miała słu-
szność, Anko. To jest najlepsze, co jest wewnątrz nas, to,
co przechodzi zewnątrz do wewnętrzności, przemawiać mo-
że. Ku tobie się zwracam myślą i sercem... Widzę cię ja-
sną, białą, w twych lekkich sukniach przywianą o nocnej
ciszy do mej pracowni. Jesteś tak piękną, Anko, oczy twe
mają jaśń dyamentów, które nie skalał jeszcze żaden wzrok

nikczemny. Wywołuję cię z mgły i myślę, jak mogłem tak długo żyć bez ciebie i twojej siły? Gdzie byłeś do tej chwili ty, której oczy stały mi się tak potrzebne, a linia zjawiska tak droga...

Z rąk Anki wysunął się list Jana i upadł na obramowanie sukni.

Niepokój jej wzrastać zaczął.

Tu, między temi drobnymi liniami, wiją się, jak węże, jakieś inne myśli, inne pragnienia. Tu coś nieokreślonego kierowało tą ręką i układało te zdania, lecz to coś idzie dalej, a raczej osuwa się w jakieś bezdnie, do których i Ankę za sobą wlecze.

Oparta o żerdź stoi Anka i na twarz jej wystąpiły dwa rumieńce.

Zdaje się jej, że Jan jest tuż przed nią, że chłonie w siebie jej oczy, linię jej ciała, i w tem odnajduje siłę. Tak pisze... Tak on pisze... Lecz może jest to tylko pomyłka z jej strony. Ten niepokój, to zwykły stan zdenerwowania po tylu ciężkich przejściach. Może krzywdzi Jana i siebie...

Podjmuje z ziemi list i czyta dalej.

Rzeczywiście — już same sprawy technicznej natury.

Dalej, wiadomości o ojcu, którego Jan odwiedził dwukrotnie w zakładzie. Zagrozdki ma się względnie dobrze. Je, śpi mało, ale jest o wiele spokojniejszy. Objawy jego szału nie są ostre, mania polityczna nie jest hałaśliwa. Przeważnie pisze artykuły wstępne. Ma ciągle jeden monotony gest... jakby coś rozrzucił w powietrzu. Mówi dosyć, ale wymowa jego jest utrudniona. Dwa razy był karany i zawiązywany w kaftan.

Oto wszystko.

.

I z oczu, z myśli Anki, znika już w tej chwili Jan, jego Dzieło, niepokój, którym list jest przesiąknięty. Pozostaje jej tylko to odczucie strasznego bólu na myśl, że tam, o przestrzeń pewną, ojciec jej, spowity w pęty „kaftana“, głową siwą bije powoli o kwadrat poduszki, a z gardła jego wydobywają się charkliwe, okropne dźwięki.

A pod czaszką jego chaos krwawy, ból, szum myśli płomien-nych, jego, cudzych i tych, które całym łańcuchem trącały o jego

wyobrażenia, aby wydał ze siebie ów dźwięk, który rozdzwonił się nad nim hymnem strasznego pogrzebu.

To wszystko daleko... tam...

A tu zieleń, woń, złoto.

I to jest właśnie jego ziemia, jego drzewa, jego kwiaty. Dzieckiem biegł w cień lipy, a kwiecie białe i wonne spadało mu na jasne włosy. On patrzył tak, na skraju parku, na pola, wezbrane chlebem, i cieszył się do słońca, i kochał dziecięcą duszą zieleń tych drzew, biel kwiecica, szum gałęzi w słońcu, lub ich nieruchomość w księżycowej topieli.

I ona, Anka, dzieckiem tak samo wmadlała się w to Piękno rozkwitłych zbóż i oddawała swą duszę całą w tę modlitwę. Zdawało się jej, że każda brzoza zna jej myśl, że każda werwena uśmiecha się do niej łaskawie. Były to jej druchy i siostry. Cała ta zieleń wiosenna, to złoto letnie, ta miedź jesienna, ta biel zimowa — to było to, co jej sercu najmilsze, najdroższe i najbliższe.

Zdawało się jej, że gdy zboliała przybiegnie do brzóz po pociechę, to w ich szumie znajdzie dźwięk współczucia. Inaczej być nie mogło. Przyroda nie mogła być niewdzięczną. Ona w jesienne wichry, gdy z jękiem gięły się ku ziemi drzewa, a mróz warzył zapóznione bukiety bratków, ona cierpiała smutna i biedna. Gdy spóźniła się wiosna, słała ku czerniącym się żałobnie gałązkom gorącą myśl, chcąc dodać im siły do przebycia dni smutnych. A gdy skwar lata chylił ku ziemi liście i trawy, dziecięcym sercem wmadlała czarną chmurę i żaławionemi oczyma patrzyła na słońce, chcąc mgłą tych łez przyślonić żar piekący...

Więc ona żyła z przyrodą i w niej samej. Bolała jej bolem, znała jej cierpienia.

Dziś przysła zdręczona życiem, obolała i smutna. Oprócz bólu miała jeszcze na dnie duszy niepokój jakiś wielki. Drżało w niej to, co było lepsze, drżało i mdlało.

I po latach kilku tak zmieniona, z bolem, z krzyżem swym na ramionach, stanęła wobec werwen i róż, weszła pod baldachim dębów i lip, pod kaskadę gałęzi brzóz, ona, teraz aż drżąca cała od wicherów zimnych, co ją ku ziemi gięły.

I przysła, i stanęła zdziwiona, widząc, że te brzozy, te dęby, te werweny, te pola, jednako rozkwitły, rozpachły, rozwiały się przepychem i krasą nad jej żałobą, czy nad jej uśmiechem. Jednak na wiosnę roz tuliły się pąki młode i wystrzeliły w niebo zielenie delikatne i czyste, jednako trawa młoda pokłon słońcu nosła, jednako rozszedł się dąb i zagwarzył chmurą zbudzonych ptaków.

Czy chodził po tych alejach czarny chałat, wrogi jaśni i zieleni, czy snuło się dziecko jasnowłose, dokoła którego biegały motyle, czy szła ona z tragedją swoją i ojca w sercu — to było jedno.

Rozszumiało się, rozpaczło, rozśloneczniło tak, że zdawało się, iż istota ludzka nie zdoła wchłonać w siebie tego blasku i tej woni.

Ankę ogarnął bunt i żal.

Obojętna, głucha, samolubna, szła swą tryumfującą drogą Przyroda, nie dbając o nic, o to, że krwią ocieknięta dusza ludzka przed jej majestatem upada i o współczucie błaga.

I wtedy Anka zrozumiała wreszcie, że ci, którzy mówią, iż ukoić można ból ducha i smutek w litości Przyrody, kłamią.

Albowiem oni tylko przynoszą przed jej tron swój ból, lecz równocześnie i siłę swą wewnętrzną na ukojenie tego bólu.

A piękno przyrody jest pozorem, na którym opierają tę siłę wiecznie odnawiającego się nawet w swym bólu ducha.

Bo on jest najpotężniejszą i najdoskonalszą już częścią, która do wyzwolenia i powrotu w jedność zmierza.

Duch ludzkil..

A jemu podległe duchy drzew, kwiecica, ziemi.

Podległe — i on sam.

I jego części.

Tak!

XXXI.

Telegram wezwał ją do miasta.

Wracała jak szalona.

Telegram był krótki:

Ojciec ciężko chory — przyjeżdżać.

Jan.

Prosto z dworca zajęchała Anka do zakładu, gdzie był umieszczony jej ojciec.

Czyste, gładkie ściany kurytarzy. Ciszta tak wielka, że aż dreszcz przejmuje. I gdy się tu wejdzie, jedna ciągła myśl. Dla czego tak cicho? Jak ją uzyskać można tu właśnie?

Przez okna kurytarzy widać zieleń drzew. Akacje anemiczne i smutne. Pod nimi snują się milczące postacie.

W oddali gwizdże kolej, czasem słychać świergot wróbla.

Anka, prowadzona przez lekarza, idzie szybko po białym, płóciennym chodniku.

Zdaje się jej, że tu żyją wszyscy. Żyjają, czują, chodzą, poruszają się, a przecież to już jakieś inne życie, jakaś wielka, odrębna moralna egzystencja...

Minęli ją posługacze. Twarze obojętne, skronie nabiegłe żyłami. Niektóre ręce wielkie, jak gałęzie drzew, odrąbane ku dołowi. Palce zagięte, jakby ciągle gotowe do podniesienia jakiegoś ciężaru. I bary silne, narosłe mięśniami.

— Pani ojciec coraz częściej dostaje napadów szału. Uznaliśmy za stosowne zawiadomić panią o tem — mówi lekarz.

— Czy i teraz?

— Nie, w tej chwili jest spokojniejszy. Ale to tylko ułuda. Wiem, że to powróci. Pan Stalewski mówił mi, iż pani w liście swym wyraziła życzenie, ażeby nie używać kaftana. Proszę pani! co my mamy począć?.. Nie nadużywamy, ale używać musimy.

Anka zatrzymała się na środku kurytarza.

— Czyż niema innego środka? — zapytała błagalnie.

— Jak do tej chwili—niema. To w interesie samych chorych. Powtarzam pani, że nie nadużywamy. Ojciec pani jest dotknięty ostrą formą manji politycznej. Forma ta zaostrza się ciągle. Zawody były zbyt silne. Szkoda człowieka. I nie pojmuję, że pani nie powstrzymała ojca na tej fatalnej drodze.

Szybko i jasno mówił ten doktor o dużych, wyrazistych oczach, które bystro z pod brwi na Ankę patrzyły.

— Bo niech pani pomyśli, ile sił społecznych marnuje się w politykowaniu płaskim a daremnym, w pościgu za urzędami o marnej płacy a jałowej pracy... Jaka szkoda, że społeczeństwo nasze nie zwraca raczej myśli ku wyrobieniu tęgich sił — ludzi, którzy, gdziekolwiek ich losy rzucą i życie poniesie, wszędzie potrafią znaleźć grunt pod nogami i wszędzie zbudować swą przyszłość, przymnożyć pośrednio, czy bezpośrednio, dorobku krajowi! Co? prawda?..

Ogłuszył Ankę lawiną słów. Czuli, że miał rację. Lecz jej ból i cierpienia wypowiedziały to już dawno milczeniem swem tragicznym i rozpaczem pełnym.

— Ot... ojciec pani! — ciągnął dalej lekarz, wskazując na zamknięte szczelnie drzwi, przed którymi stali — ot, wyteżał swą myśl w zaczarowanym kole politycznych targów i wyścigów. I zniszczył

nietylko swą harmonię, ale i harmonię pewnego odłamu społeczeństwa.

Anka oparła się o futrynę drzwi i patrzyła posepnie przed siebie.

Zdawało się jej, że nagle stanął przed nią jakiś prokurator i formuje cały akt oskarżenia. Nie dość było bólu i cierpienia odosobnionego. Teraz jeszcze występowało z prawami swemi społeczeństwo, nie to, które, kamieniami ciskając, wyło: „hamaj Kiciu!“, lecz to, dla którego dobra...

— Niech pani nie sądzi — mówi dalej lekarz — że ja jestem przeciwny polityce. Ona musi być. My musimy dojrzeć politycznie, ale tu właśnie u steru muszą być ludzie głębszych uczuć, rozumu przenikliwego, ludzie, pragnący dobra a rozmaicie patrzący na polityczne ukształtowanie się życia... Ja jestem przeciw k r a m a r s t w u politycznemu, rozumie pani, przeciw kra-mar-stwu...

Wybijał to słowo i oczy jego przybrały wyraz surowy.

Ujął już za klamkę drzwi, ale się jeszcze ku Ance zwrócił.

— Gdyby ojciec pani pragnął utrwalić dzielność, a właściwie s a m o d z i e l n o ś ć swego charakteru, zanim się wziął do polityki, nie byłby doszedł do tych rezultatów. A teraz — służę pani.

Otworzył drzwi i postać „kramarza“ politycznego ukazała się w całym blasku.

.

Stał przy stoliku odziany szaro, zaledwo w koszulę i spodnie płócienne.

Tło ściany było szare, jak i kocyk, kryjący łóżko i mur, na który wychodziło zakratowane okno.

Anka stanęła na progu, jak martwa.

Byłże to jej ojciec?

Rysy ściągnięte dziwnie, oczy szklane, rozwichrzona broda, włosy długie w kosmykach, ręce drżące.

Był to jakiś starzec, który zdawał się przychodzić z bardzo daleka, starzec nieznan, nieufny i wichrami stargany.

Naokoło niego, na stoliku, na ziemi, leżały sinawe ćwiartki papieru, szare od gryzmołów, czasem przecięte jakimś gzygzakiem, jakąś linią.

Ujrawszy wchodzących, Zagrodzki czempredzej karteczki zgarnął i na środek pokoju postąpił.

— Wyz...na...nie wiary!.. — bełkotał z trudem — wyz...na...nie wiary!.. po...li...tyczne wyznanie...

I sennym, dziwnym gestem kartki te drobne rozrzucać przed siebie począł.

A był to senny gest, powolny, cichy gest, co wznosił starca dłoń...

Szarością tlało wkół, szarością smutnych dni.

A ponad szarość snu ta wyschła, starcza dłoń rozrzuca widmo-siew, rozrzuca widmo-ziarn.

A był to szary dzień... Przesmutny szary dzień!..

.

Z jękiem cichym Anka przywarła się do ściany, wtula się w swój ból.

To jej słowa, jej myśl. To teraz drażni ten biedny, chory mózg. Może zaznałby trochę spokoju. W obrazie, przez nią nasuniętym, jest ów mus, który go katuje. Anka przypomina sobie tę scenę w hotelu, gdy wykonała ręką ów gest rozrzucającego na wichry Siewca, a on go pochwycił, powtórzył.

Otworzyła oczy. Patrzy znów na ojca. Wyczerpany jest, znużony. Pot mu z czoła spływa.

Lecz ciągle, ciągle jeden gest... ten senny, smutny gest!..

— O! widzi pani, rozrzuca polityczne swe przekonania... — mówi doktor.

— Nie, paniel — odpowiada Anka — to dla niego symbol... Ten gest co innego znaczy.

Lekarz czuje się obrażony.

— Pani daruje... ja znam moich chorych. Rozpolitykowanie ogarnia go i teraz.

— Panie... on wniknął w swą duszę. On dobywa z niej widma tych przejawów, które miał w sobie i rozrzuca je na wicher, na pustkę, na nicość.

— Niech będzie... ale przyzna pani, że ten gest jest denerwujący. On sam się nim szalenie denerwuje. Musimy go unieruchomić. Wkładamy mu kaftan.

— Ależ on tym gestem nikomu nie szkodzi.

— Sobie przedewszystkiem.

— Lecz skoro założycie na niego kaftan, wtedy wpada w szal.

— Naturalnie. Jest jednak wtedy nieszkodliwy.

Anka ręce łamie.

— Więc po co! po co!

— Trudno, musimy zapobiegać.

— Czy mogę do niego podejść?

— Napróżno. Nie pozna. Wszak pani widzi, iż patrzy na panią, jak obcy.

To zimne, krótkie słowo.

— Obcy!..

I patrzy na nią, jak obcy, ten smutny, szary starzec, który sieje przed siebie ciągle siwe ziarna swych myśli, przejawy i odruchy tego co w nim myślało i szło, zda się, wytkniętą drogą do celu.

.

Kurytarzem, po białej ścieżce chodnika, wlecze się Anka.

Idzie wolno, oddycha ciężko.

Lekarz pożegnał się z nią i wszedł do sąsiedniego pokoju. Smutna, zgnębiona, ciernie ma na ramionach, ciernie ma dokoła siebie.

Na nią, u końca kurytarza, czyhają dwie postacie, rosłe, silne, z rękami zagiętymi haczykowato, jakby do dźwigniania ciężarów.

Stoją ci ludzie i patrzą obłeśnie w załzawione oczy dziewczyny. Czeka ją, łaszą się w nadziei dobrego napiwku, dbali jedynie o siebie, bez żadnego wniknięcia w majestat bólu, jaki mają przed sobą.

Anka, pogrążona w swej żałobie, przechodzi mimo. Otuliła się w skrzydła i nie widzi, że do nich dobierają się chciwe ręce.

Przeszła.

Obłeśne uśmiechy znikły, zmieniły się we wrogie, fatalne spojrzenia.

Brutalność rozpasanych zwierząt zionęła ze złych twarzy.

— Widzisz ją... bez napiwka!..

— Niech ją zatłucze.

— Poczkał szelmo!

— Stary zapłaci.

— Grzbietem.

— O!.. słysz... wyjel!..

Wprawne uszy posługaczy poza drzwiami rozróżniają każdy jęk, każdą skargę obłąkańców.

— Pewnie znów...

— Dam ja jemul! Rano robiłem porządek... Poczkał, stare próchno.

I kilka jeszcze słów cuchnących, na ludzką tragiczną nędzę rzuconych.

A potem ciężkie kroki szybkie ku pokojowi Zagrodzkiego.

Otwarcie drzwi, wtargnięcie gwałtowne, serya przekleństw, łomot, krzyk i cisza.

Wielka, szpitalna — cisza.

Anka w tej chwili wychodzi z gmachu i myśli:

— Jak oni uzyskują tę ciszę?.. jak oni uzyskują taką wielką ciszę *tu* właśnie?

XXXII.

Przejeżdżając koło gmachu Wystawy, Anka zauważa duży ruch.

Wnoszą paki, z tylnego wejścia drzwi szeroko otwarte, jakby na przyjęcie gości. Jacyś posłańcy niosą obraz, starannie osłonięty. Za nimi wlecze się kilku uliczników. Przed gmachem grupa wyrostków z „głowami bajecznymi“, o gwałtownie oryginalnym wyglądzie. Pomędzy nimi malarka w czerwonym berecie na zbyt dużej głowie i dziecinnej zakopiańskiej guńce. Anka poznaje „młodych“, i to ich przybieranie póź, zapożyczone od „starych“, zagranicznych, działa na nią przykro. Stoją tak przed gmachem, pozując dla tłumu przycięciem szczeciny włosów, jaskrawą odzieżą, rozwiewając sztandar zewnętrzności.

— Dziś nasze święto!..

A dzieła ich zakryte szczerlnie przed oczami tłumu.

Tylko ci, co pobrząkną trochę centów, mieć będą dumne prawo ujrzeć, co ta młodość w duszy swej rozpała.

Dla całej reszty młodość swój płomień reprezentuje szopą włosów, beretem, krzykiem i grubiaństwem słów.

I Anka marzy o takiej „wystawie“ młodych, na którąby miał wstęp każdy, kto pragnąłby u źródła młodego piękna ożywić się i sił nabrać do dalszej egzystencji.

Byłoby to, jak owe święta jabłoni lub kwiecica, o wiosennych dniach kryształnych, w które wolno każdemu poić się pięknem rozkwitłego kwiecica i chłonąć w siebie jego świeży czar.

I byłoby to rzeczywiście święto Młodych, święto piękna ich dusz... ich dzieł..

Ich święto!

Gdy Anka mija gmach, przypomina sobie, że i ona bierze udział w tem zamkniętem, zacieśnionem gronie wystawowem.

Ona — nie ona.

Jej dzieło — nie jej dzieło.

Wydobyła je swoją duszą z głębin nie swojej duszy.

Nie stworzyła, a przecież była twórcą.

Nazwisko jej, rzucone na płótno Stalewskiego w chwili odjazdu i starannie przez niego ukryte, teraz się ujawnia na szarem tle ścian i staje się własnością ogółu.

To, co było nicią, brylantami tkaną, ich dwojga, poszło pod zimne, stalowe światło dni codziennych.

Sądzą, komentują, rozbiegają grudki farby, liczą centymetry...

A czy wnikają w głębi duszy?

W tych myślach pogrążona, dojechała Anka do willi Stalewskich.

Na razie nie miała innego schronienia.

Pusto było za kratami.

Pustka w oknach, na werandzie, w ogródku.

Jakieś zimno ścisnęło serce Anki.

Na jej dzwonek do kraty powoli wyszła służąca.

Prowadząc ją na górę, objaśniła, iż pani odwiozła dzieci „na lato“ do matki, a sama wróci lada chwila.

Pana niema w domu.

Dziś odnieśli obraz pana na Wystawę.

Anka o zachodzie słońca pozostała sama.

I dzieje się z nią coś dziwnego.

Była poza temi murami krótko, dni może parę, a przecież stały się dla niej jakies obce, wystygłe, jakby pomiędzy nią, która tu żyła, a tą nią, która żyje, był cały rozdział, przełom jakiś...

I ta niepewność gruntu, coś jakby się z murów czaiło, jakby ze wszystkich kątów wyglądała ku niej katastrofa fatalna a nieunikniona...

Przedewszystkiem to zmieszanie, ten niepokój, który przywiął ku niej list Stalewskiego i który zdawał się tu szeptem w powietrzu rozchwyany.

Upadła na łóżko i długo leżała jak martwa, bez słowa, bez myśli, bez czucia.

W ciemni już szarej, wieczornej, nagle zbudziło ją dotknięcie zgorączkowanej dłoni.

Ktoś ją ujmował za rękę.

— Anko! ty!.. ty!..

Wyczuła w tej chwili Stalewskiego.

To on był w istocie.

Wszedł cicho i teraz budził ją z odrętwienia.

— Wiesz... twój obraz, nie, n a s z obraz... już tam! już w sali!

Głos mu drżał. Anka poczuła w jego oddechu lekką woń wina.

I ten drobny fakt przejął ją bolem i lękiem.

Dlaczego? Czy stając się „młodym“ dziełem swoim musiał i on?..

Usunęła się, lecz on rąk jej nie puszczał.

— Krążyłem dokoła gmachu — mówił — nie miałem odwagi wejść. Oni tam stali wszyscy zuchwali, pewni siebie. Gdym spotkał ich wzrok, uciekłem. Zdawali się mówić: „Zasie, stary niedołęgo!.. czego tu chcesz, trupie?.. Tu my, tu nasze królestwo! Panowanie siły świeżej, skrzydeł młodych!..“. Tak oni zdawali się mówić!.. Nie wiedzieli!.. nie wiedzieli!.. że właśnie i ja... i moja siła świeża jest pomiędzy nimi. Ha! ha! pomiędzy nimi!..

Tryumfem brzmiał mu głos. Anka czuła, jak płonął cały w dziwnym podnieceniu. Mimowoli i ją ten dreszcz przejmować zaczął.

— Mów mi pan o Dziele, mów mi pan o tem, co stworzyłeś... nie mów o nich.

— Tak... Dzieło, moje Dzieło... nie wiem... nie wiem. Całe w duszy, w liniach... Oni staną zdziwieni. Będą wyć... bo oni „wyją“, gdy się dziwią. Co?.. Tak się mówi po młodemu. Plunąłem im w oczy. Teraz we mnie pustka. Wydałem ze siebie wszystko lepsze i oni muszą wyć.

— Ciągłe pan mówisz o nich, zapomnij! powiedz mi lepiej, czy doznajesz szczęścia na myśl, żeś mógł się wreszcie w y p o w i e d z i e ć tak, jak pragnąłeś.

Chwilę nie było odpowiedzi.

Stalewski puścił ręce Anki i stał milcząc, w ciemności niemal zupełnej.

— Tak... jestem szczęśliwy... — wyrzekł wreszcie, lecz nuta przekonania nie dźwięczała istotnie w jego głosie.

Na dole zazgrzytała dorożka, szmer kroków w willi, dzwonek u furtki i cichy okrzyk pokojowej.

— A... Wielmożna Pani!..

I szelest sukni, śmiech nieszczery Stalewskiej, zdejmowanie parkunków, przywitanie, rozkazy, ten cały aparat zbyt szybkiego powrotu do domu osoby, władzę dzierżącej.

Stalewski ku drzwiom się skierował.

— Coś musiało się stać... coś musiało się stać... — mówił pośpiesznie, drzwi zamykając.

Za chwilę słyhać było, jak na progu willi witał żonę.

— Cóż się stało?

Lecz ona przerwała mu z obłudnym uśmiechem.

— Stęskniłam się... po cóż miałam dłużej siedzieć?..

Reszta słów zginęła.

Weszli do willi.

W godzinę później, przy stole, nakrytym huculskim obrusem, siedzieli we troje przy herbacie.

Na środku stołu pod lampą nie konał żaden kwiat.

Story były spuszczone, bo Stalewska nie miała ochoty produkować pośpiesznej zastawy stołu oczom przechodniów.

W świetle lampy wszyscy troje przedstawili swoje piętna dni ubiegłych, piętna zniszczenia, które przeszło przez ich twarze, jakby ogień stłumiony.

Stalewski przede wszystkim zdawał się być spalony na węgiel.

Na wychudłe policzki wystąpiły plamy, oczy szafirowe nabrały dziwnego blasku.

Widocznie wysiłek straszny, jakim wydobywał ze siebie zastygłą potęgę twórcze prawdziwego Piękną, wprowadził go w stan strasznego wyczerpania, które jeszcze nie popadło w reakcję. Upił się młodością i był jeszcze ciągle pijany, a teraz biło z niego to sztuczne podniecenie luną niezdrovia i niepokoju.

Uporczywie patrzył w Ankę. Jej twarz miała delikatną bladłość istot, którym brakuje tchu od wewnętrznego łkania, którem jęczy ich dusza. Piękniejszą była jeszcze, niż dawniej, bo cierpienie nadało jej rysom linie twarzy aniołów, strzegących wejść do opuszczonych grobowców. Siedziała milcząca, z powiekami, opadłemi na źrenice. Czuła dziwny ciężar, krążący ponad głowami. Nie miała już dość siły, aby odosobnić się i nie brać udziału w tym ciężarze.

Lecz ze wszystkich, najwięcej zewnętrznych zmian, ujawniała się w Stalewskiej.

Postępowanie Jana w ostatnich dniach, jego zupełne usunięcie jej od swych prac, wyłamanie się z jarzma, ten bunt, który chwiał ich sztucznie lepioną egzystencją, były dla tej kobiety katastrofą straszną, równającą się największemu życiowemu nieszczęściu.

Stalewski odrzucił kilka portretów i dziś zostali zaskoczeni prawie niemożnością spłacenia raty za willę, po raz pierwszy od chwili, gdy egzystencya ich weszła na unormowane tory.

Dla tego to Stalewska przyspieszyła powrót ze wsi, aby móż stanowczo wpłynąć na męża i zmusić go niejako do wejścia w jarzmo. Wrzała cała z gniewu. Złość ta strawiła jej problematyczną urodę. Ciągłe zdawała się coś przeżuwać, jakiś potok słów i myśli. Poczerniała prawie, zwiędła, pomimo podkładu pudru. Miała wygląd wołyżerki, której koń, wybornie wytresowany, nagle odmówił posłuszeństwa; szpicruty użyć nie dozwala przyzwoitość, lecz pozostaje ukryta... ostroga.

Krwi pod czaprakiem nie dojrzy nikt.

Tymczasem — wszyscy troje milczą.

Lecz to milczenie cięży ołowiem. Wszyscy czują, iż przerwać się musi, bo jest nie do zniesienia.

I rozlega się grzechoczący głos Stalewskiej:

— Cóż z wystawą młodych?

Nie odpowiada nikt.

Ona przecież patrzy wprost na Ankę.

— Cóż?.. czy bierze pani w niej udział?..

Anka zapomina o układzie, mocą którego obraz Jana uchodzi za jej obraz.

— Nie... nie... — odpowiada — nie dałam nic.

Lecz Jan przerywa sztucznym śmiechem.

— Jakto nic? co pani mówi? Czy D z i e ło liczy pani za nic?

— Dzieło?

— No... obraz, który pani dziś posłała?

— Al.. tak!..

Szkarłatny rumieniec pokrywa twarz Anki. Czuje, iż Stalewska wpiła się w nią oczami.

— Więc pani posłała obraz i zapomniała? — śmieje się żona malarza.

— Panna Anka ma wiele innych zmartwień, nic dziwnego! — tłumaczy z jakąś układnością Jan.

— Tak... tak... ojciec pani!.. ale zawsze...

Zwraca się do męża.

— No, a cóż wy, s t a r z y?.. Zapewne odpowiecie tym młokosom. Właśnie nadarza się sposobność. Całą drogę na kolei myślałam nad tem, że należy urządzić wspaniałą okrężną wystawę waszych dzieł z odpowiednią nazwą. Będzie to wyborną odpowiedzią, a zara-

zem zniszczycie wrażenie, które oni mogą uczynić... Przyjdziecie bowiem po nich... A potem, cóż te błazny mogą wyprodukować?..

Zmrużonymi oczami patrzyła na Ankę, mszcząc się kilkoma słowami za te całe tygodnie niepokoju, w którym teraz żyła.

— Nowatorzy... bazgraczel.. kajeciki małego Munia!.. smarkaczel.. Tabliczki im szyfrowe, a nie płótno. Chustki do nosa dla otarcia nosków, a nie obrazu...

Śmiała się, pokazując kły, jak mops, wprowadzony w złośliwe usposobienie.

— Pędzła to w rękę utrzymać nie umie takie coś... a zdaje mi się, iż może już wystawę wypełniać... A do szkoły! a do szkoły!..

Zwróciła się znów do męża.

— Spodziewam się, żeś żadnej swojej uczennicy nie pozwoliła wziąć udziału w tem błazeństwie? — spytała.

— Nie — odparł Jan — żadna z nich nie posłała.

— Wiedziałam. To są dobrze wychowane i rozumne dziewczęta.

Lecz Stalewski szybko jej przeciał:

— Nie, bo żadna z nich nie mogła wziąć udziału. Na to trzeba być artystą, a to są właśnie kajeciki Munia, o których przed chwilą mówiłaś.

— Przepraszam! Kajeciki Munia, to są rozmaite syntezy... Ja wiem, co mówię.

Lecz nagle uderzenie pięścią w stół przerwało jej słowa.

— Dość o tem! — krzyknął Stalewski — zebraliśmy się tu nie po to, aby dać upust jadowi i złości.

Stalewska pobladła. Po raz pierwszy usłyszała ten ton ze stroju męża. Oczy jej biegać zaczęły. Chwilę zdawało się, że oniemiała ze zdumienia i złości.

Wreszcie zwróciła się ku Ance.

— Dziękuję panil.. — wyrzekła, wykrzywiając usta.

Anka zrozumiała wybornie znaczenie tego podziękowania.

Stalewski powstał od stołu.

— Sobie podziękuj!.. wpadłaś tu, jak furja. Co ciebie obchodzi wystawa młodych! Zostaw ich z Bogiem. Każdy może żyć pod słońcem.

Stalewska także zerwała się z miejsca.

— Cóż za ewangeliczna słodycz! — zaśmiała się, odstawiając nerwowo krzesła — szkoda tylko, że i oni nie uprawiają tej cnoty. Zdaje mi się, że „Pajac“, to chyba nie gałązka oliwna, którą w twoją stronę posłali.

Stalewski uczynił ruch gwałtowny, lecz teraz ona nie pozwoliła mu nic powiedzieć, nagle przejęta siłą rozpetanej złości.

— Tak... tak... Pajac!. stary Pajac!. Tak ci plunęli w oczy przyjaciele panny Anki! I będziesz nim, i zostaniesz nim w oczach ogółu, bo nie chcesz nic zrobić, aby zatrzeć wrażenie, wywołane ich słowami! Dobrze ci tak! Dobrze ci tak... Dawałam ci sposobność taką wystawą uderzyć ich po łbach, ale ty pozujesz teraz na ewangeliczną słodycz!.. ty wolisz patrzeć, jak się w gruzy wali wszystko, i twoja przeszłość, i moja, i dzieci przyszłość!..

Stalewski wyciągnął rękę, jakby chciał w gardło jej wtłoczyć ten potok słów, lecz ona dalej zionęła skrzekiem i jadem.

— Pan nie ma czasu pracować... pan odrzuca portrety... pan gardzi zarobkiem, bo maluje arcydzieła przy drzwiach zamkniętych, chowa się z nimi, kryje przed własną żoną. Tak!.. tak!.. ale przyjaciółkom je pokazuje... przyjaciółkom!.. egeriom!..

Stalewski zawahał się, jakby chciał z ust rzucić jakąś straszną obelgę w stronę żony i nagle rzucił się ku drzwiom pracowni. Otworzył je, wpadł do wnętrza i zatrzaskał drzwi za sobą.

Słychać było łoskot, ruchy przekręcanego klucza.

W jadalni obie kobiety pozostały same.

Anka siedziała ciągle ze spuszczonei oczami. Ogarniał ją straszny wstyd, za to, że i ona bierze udział w tej brzydkiej, popolitej scenie. Aż dławilo ją od wzruszenia, które przepelniało jej serce. Miała ochotę rzucić się ku Stalewskiej, porwać ją za ręce, zacząć całować, błagać, aby przestała, aby nie sprowadzała tych smutnych wstrętów w jej życie.

Lecz tamba, bezlitosna, była w swem rozdrażnieniu.

Czuła się w „prawie“ i wiedziała, że każdy p r z e c i ę t n y u c z c i w y c z ł o w i e k jej rację przyzna i żalowi jej tamy kłaść nie będzie.

Czuła za sobą cały legion tych, którzy ją podpierali niejako duchowo zsolidaryzowani wspólnością interesów.

Niewysłowioną pogardą obrzuciła Ankę.

— Bratnie duszel.. — syknęła, wybiegając do sypialni.

Anka pozostała sama.

Po dwóch stronach miała teraz zamknięte drzwi, poza które oboje Stalewscy unieśli swój gniew i rozżalenie.

Ta jasno oświetlona jadalnia, migocąca od sreber i kwitnąca ja-skrawością talerzów, porozwieszanych na ścianach, wydała się teraz Ance przepaścią, która rozdzielała tych dwoje nieprzebytą głębią.

A na dnie tej przepaści, dreszczem przejęta, strwożona i zbola-ła była... ona!

(D. n.).

GABRYELA ZAPOLSKA.

Ze stosunków wileńskich w okresie 1816 – 1823.

Ruch społeczny i naukowy wśród młodzieży wileńskiej, w drugim i trzecim dziesiątku lat zeszłego wieku, nie został do dziś dnia wystarczająco zbadany.

Na pozór wydawać by się mogło, że jest inaczej, liczne pamiątki z tej epoki, listy a nawet dokumenty urzędowe, sporo zawierają materiału faktycznego, wyświetlającego niejedną kwestyę.

Brak nam atoli dotychczas informacyi wiarogodnych, źródeł nie zamaconych sądem stronnictwym lub niedość ścisłym. Główna uwaga opisujących ówczesną epokę skupia się na ostatnim akcie, „chmurnie“ zamykającym okres stowarzyszeń młodzieży litewskiej w pierwszej ćwiertci ubiegłego stulecia. Brak nam również świadectw ze strony najpowołańszej, ze strony uczestników i głównych działaczy w tych stowarzyszeniach z przed lat 1823—24.

Część największa owych dowodów zginęła dla nas niepowrotnie, zniszczona ręką samych twórców, część pozostała niedokładne zaledwie pojęcie daje o pracach stowarzyszonych. Do ujawnionych przedtem przyczynków pragniemy dorzucić niektóre uzupełnienia na podstawie dokumentów. Wyjaśnił może one choć niektóre szczegóły z życia „górnego“ tego środowiska, w którym żył, obracał się i skąd czerpał natchnienie największy wieszcz nasz—Mickiewicz.

Myśli przewodnie i cele związków młodzieży wileńskiej zaczerpnięte zostały niewątpliwie z Niemiec, będących ówczesnie w okresie tworzenia wielkiej poezyi romantycznej, w tej powtórnej „Sturm und Drang-Periode“ życia umysłowego i politycznego. W jakim stopniu i o ile wpływały stowarzyszenia niemieckie na utworzenie związków wileńskich, trudno orzec. Duchowe jednak oddziaływanie istniało niewątpliwie. Silny pierwiastek narodowy, etykę obyczajową, zapal

do nauki, odnajdujemy zarówno w płomiennych poezjach Teodora Körnera, pismach Ernesta Arndta, jak i w młodzieńczych odach Mickiewicza.

Utworky niemieckich liryków, z okresu „wojny o niepodległość“ znane były niewątpliwie młodzieńcom wileńskim. Zasady Fichtego o unarodowieniu wychowania przedostawały się na Litwę wraz z burszowską pieśnią Karola Sanda, przetłómaczoną poetycko przez Mickiewicza. Powstałe z dawnego „Tugendbundu“ burszenszaftly zaszczytną odegrały rolę w dziejach duchowego i politycznego odrodzenia Niemiec, przeobraziły całą niemal młodzież ówczesną, powiodły ją drogą cnoty i obowiązku pod wzniosłym hasłem: „Tugend, Wissenschaft, Vaterland!“ i godnie usprawiedliwiły słynną maksymę wybitnego męża stanu pruskiego, Steina: „Durch Leitung der Literatur und der Erziehung dahin zu wirken, dass die öffentliche Meinung rein und Kräftig erhalten werde“. Czyste jak kryształ w samej zasadzie, choć później mocno spaczony w zastosowaniu, hasła twórców związków niemieckich: szlachetnego a przyjaznego nam Wilhelma Snella, Hoffmanna, Arndta, Fichtego i w. in., znalazły oddźwięk u filomatów i filaretów. Nawet organizacya stowarzyszeń wileńskich zbliżoną była, choć bez porównania węższą, do burszenszaftów ¹⁾. Dążąc atoli do pokrewnych celów, młodzież wileńska umiała nadać swym związkom charakter odmienny, nawskroś swojski i zastosowany do warunków miejscowych.

Nie wdając się tutaj w szczegółowe roztrząsanie dziejów towarzystw młodzieży wileńskiej, narazie pragnęlibyśmy z wydobytych przez nas materyałów przedstawić niektóre celniejsze momenty, rzucające pożądane światło na pewne strony zasadnicze ówczesnych stosunków młodzieży wileńskiej.

Dokumentem wagi pierwszorzędnej jest w tym względzie zeznanie Józefa Jeżowskiego, prezesa towarzystwa filomatycznego, złożone przed wileńską Komisją śledczą d. 19 kwietnia (1 maja) 1824 r.

¹⁾ Por. A. Lehmann: Der Tugendbund. Berlin, 1867. Meinecke: Die deutschen Gesellschaften u. der Hoffmann'sche Bund. Stuttgart, 1891. Keil: Die Gründung der deutschen Burschenschaft in Jena. Jena, 1865 — i in. Pisma T. Körnera, E. Arndta („Von Bildung deutscher Gesellschaften als dem vorzüglichsten Mittel, Liebe zum Vaterlande und alle aus dieser Liebe entspringenden Tugenden, in allen deutschen Männern u. Frauen, Jünglingen und Jungfrauen, Knaben u. Mägdelein zu fördern, zu stärken u. in Kindlicher Reinheit auf die spätesten Zeiten zu vererben. Zum Besten der Waisen deutscher Landwehrmänner. Deutschland, 1814“ i in.) i w. in.

„Cele zatrudnienia towarzystwa filomatów — tak brzmiało dosłownie obszerne i nader szczegółowe zeznanie Jeżowskiego — nie były od początku aż do końca zupełnie jednostajne. Aby mógł w tej mierze dostatecznie się wytłómaczyć, przebiegnę historycznie egzystencję filomatów, która to historia jaśniej da poznać naturę tego towarzystwa, niżeliby dać mogło szczegółowe opisywanie organizacji, porządków i trudnych do pamiętania drobnostek. Jeszcze w r. 1816, ja, Adam Mickiewicz, Tomasz Zan i Onufry Pietraszkiewicz obcując ze sobą bliżej, rozprawiając o naukach, o autorach, o książkach, składaliśmy dość ściśle między sobą kompanię, czyli towarzystwo. Obcowanie to tak było przyjemne, tak szybko czas nam zabierało, że częstokroć zapominaliśmy o różnych przykrościach, mianowicie z niedostatku pochodzących. Przypominam, że nieraz żartobliwie mówiliśmy sobie, że składamy towarzystwo przeciw troskom, towarzystwo rozpędzające troski. Żeby jednak ta nasza konwersacya nie była przyjemnem tylko próżnowaniem, rzucała była różnemi czasy myśl, aby przepisać jakikolwiek porządek, aby przyjąć postać rzetelnego towarzystwa. Razu jednego Tomasz Zan i Adam Mickiewicz przychodzą do mnie i przynoszą projekt do ustawek, oświadczając oraz, że chcą, abym był prezydentem. Nie odmówiłem im tego, przejrzałem ustawki, a że ułożone były w tonie lekkim i bardziej do zabawy, niż do nauki i pożytku prowadziły, starałem się nadać im więcej powagi i mocniej zobowiązać niemi do pracy. Zgodziliśmy się na to, aby przyjąć tytuł towarzystwa filomatycznego, aby każdy w przeciągu miesiąca wypracował jedno pisemko własne i jedną recenzję pisma cudzego, aby posiedzenia odbywały się co tydzień dla czytania pism wygotowanych, aby wartość pisma oznaczać większością głosów czyli wotów. Nastąpiło to z końcem roku 1817¹⁾. Należy zwrócić uwagę na znaczenie tego nowego szczegółu chronologicznego, dotychczasowe bowiem badania kładą rok 1817 za datę powstania towarzystwa filomackiego, opierając się głównie na świadectwie filomaty Kazimierza Piaseckiego, którego opowiadania spisał jego siostrzeniec, Ignacy Zdanowicz w swym „Pamiętniku o filomatach i filaretach“¹⁾. Zarówno Nowosilcow w urzędowym raporcie do W. Ks. Konstantego, jak i inni potwierdzają tę datę. Z powyższego zeznania Jeżowskiego widzimy, iż pierwsza myśl powstała o rok wcześniej, w 1816. Jestto szczegół interesujący i z tego względu, iż zbliża chronologicznie inicjatywę wileńską z zaznaczonymi wpływami niemieckimi, wybujałymi głównie w 1813—14 r. W r. 1816 zawiązuje

1) „Biblioteka ludowa polska“, Paryż, 1860, t. LX.

się również „na wzór Tugendbundu“ tajne towarzystwo wśród oficerów siemionowskiego pułku w Petersburgu. Do towarzystwa tego przyjmowano ludzi „zalet duchowych, o surowej moralności“ a głównem zadaniem jego było „usunięcie cudzoziemców od udziału w rządzie i uwolnienie włościan od pańszczyzny“¹⁾.

Przyjęliśmy następnie osoby — ciągnie dalej Jeżowski:—Franciszka Malewskiego, Teodora Łozińskiego, Jana Czeczota, Józefa Kowalewskiego, Jana Sobolewskiego, Ignacego Domeykę, Wincentego Budrewicza. Zatrudnienia nasze z początku szły ochoczo, regularnie i stosownie do przepisów, niedługo wszakże ten porządek potrwał. Pokazało się naprzód, że pisma w przedmiocie fizyki i matematyki nie interesowały członków oddających się innym naukom i nawzajem. Ta niedogodność dała powód do podzielenia towarzystwa na dwa wydziały: fizyczno-matematyczny i literacki. Oba odbywały posiedzenia oddzielnie i oba dostały osobnych naczelników; w jednym był naprzód Pietraszkiewicz potem Zan, w drugim naprzód Mickiewicz, potem Malewski. Tym sposobem z natury rzeczy wynikło, aby prezydent i naczelnicy wydziałów składali dyrekcję towarzystwa, czyli rząd jego. Przeznaczeniem tego rządu było: ułatwiać wszelkimi sposobami zatrudnienia naukowe członków i zobowiązywać ich przykładem własnym i dozorem do dobrego postępowania. Lecz jeżeli podział towarzystwa na dwa wydziały z jednej strony dobre, tedy z drugiej szkodliwe pociągnął skutki. Przez ten podział albowiem w jednym i drugim wydziale pokazała się liczba bardzo szczupła, a ztąd większy ciężar dla każdego członka, stało się więc, że posiedzenia niegdyś tygodniowe, odbywane były ledwo co 2 tygodnie, potem we trzy, a potem i na dłuższy jeszcze czas zawieszane były. Również pisma, które według ustaw co miesiąc powinny były być od każdego podawane, we dwa i we trzy nie były gotowe. Dodajmy, że nowość towarzystwa przestała być nowością, a przytem pomnażały się każdego z członków zatrudnienia prywatne, bądź z lekcji akademickich, bądź z obowiązków pochodzące. To wszakże było jeszcze bodźcem do ciągnięcia jakkolwiek zatrudnień, że oba wydziały we trzy miesiące powinny były zdawać sprawę ze swoich czynności przed prezydentem, na wspólnem obu wydziałów posiedzeniu. Osłabienie towarzystwa widocznem się pokazało mianowicie z początkiem roku 1819. Lecz jeżeli ustawały zatrudnienia naukowe filomatów i niknęła postać towarzystwa, jako towarzystwa, nie ustawała przyjaźń i obcowanie ze sobą członków. Owszem, pierwsza połowa 1819 r., od stycznia do

1) Pt. „Russkaja Starina“, 1904, I, 481 — 515.

lipca, stanowi okres rozwijających się wielkich życzeń, chęci i projektów towarzystwa filomatycznego. W tym okresie prezydent i naczelnicy usiłowali poprawić i rozszerzyć ustawy i do nauki, dawniejszego celu towarzystwa, dołączyli wyraz: „dobro kraju“, nie wchodząc bynajmniej ani określając na czem by to dobro zależeć miało. W tymże okresie toczyły się rozprawy na przechadzkach, na wieczorach i w całym ze sobą pożyciu, mianowicie prezydenta i naczelników o różnych projektach, jako nadmienilem. Aby zaś zeznanie moje nie zostawiło żadnej wątpliwości, sądzę, że winienem objaśnić, jakie to mogły być nasze wielkie życzenia, chęci i projekta. Obdarzeni od natury ochotą do nauk, lecz przechodząc przez ręce niesposobnych lub niedość troskliwych nauczycieli, czuliśmy bardzo mocno i żywo skutki tego losu; doświadczyliśmy, jak wiele czasu drogiego młodości nadaremnie tyrać się zwykło, jak przez brak książek i innych pomocy naukowych, przez niedostateczny plan w nabywaniu nauk, nietylko należyty nie odnosi się pożytek, ale nawet częstokroć nabywają się fałszywe o różnych rzeczach wyobrażenia, które z czasem prostować lub zapominać potrzeba. Postrzegaliśmy z żalem, że podobnego losu i inni z młodzieży doświadczali; widzieliśmy niekiedy, że zbawienne dobroczynnego Rządu dla dobra instrukcyi krajowej zakłady nie dosyć dopinają swego celu, równie, jak zaufanie rodziców bądź w prywatnych nauczycielach, bądź w publicznych, często zawodzone bywa. Przejęci więc równie wdzięcznością dla Rządu, jak życzliwością dla rówieśników i wszystkich krajowców, tworzyliśmy zamiary zapobiegania wadom, słabościom, lub jakimkolwiek niedostatecznościom instrukcyi krajowej. A że dobroć wychowania naukowego zależy po wielkiej części od dobroci książek i nauczycieli, zamiarem więc było naszym w obu tych względach czynić zadosyć, w miarę możności naszej, potrzebom krajowym. Zaczęliśmy byli obeznawać się z lepszymi książkami elementarnymi w różnych językach, aby one z czasem albo tłómaczyć, albo stosownie do potrzeb szkół krajowych przerabiać. Lecz i najlepsza książka bez dobrego nauczyciela nie wiele pomoże, stąd było staraniem naszym sposobić się na nauczycieli, poznawać ważność tego powołania, obudzać do niego ochotę i zamiłowanie i przekonywać się nawzajem, że nauczyciel nie dlatego jest nauczycielem, aby miał z tego placu sposób do życia, lecz, że ma staraniem swemu poruczoną pierwszą i najważniejszą część życia ludzkiego, że od pierwotnego wychowania człowieka los jego dalszy, jego cnoty lub wady, jego użyteczność dla drugich lub szkodliwość po największej części zależą. Te były w nas myśli panujące pod względem instrukcyi krajowej. Lecz nie dosyć na tem. Wychowani w ubóstwie lub ścisłej oszczędności, doświadczać ciągle niedostatku, ucząc się potrzeby życia zaspaka-

jać ekonomicznie, musieliśmy czuć w całej mocy zbytki krajowe. Bolało to nas, że mnóstwo pieniędzy wychodzi za granicę na towary obce, gdy tymczasem własna ziemia bogata jest w produkta przyrodzone, mogące niemal wszystkie, a przynajmniej główne, zaspakajać potrzeby mieszkańców, byleby chcieli i umieli korzystać z darów przyrodzenia, przerabiać płody surowe, podnosić przemysł, zakładać fabryki, rzemiosła, rękodzieła i t. d. Było więc zamiarem naszym to samo przekonanie wlewać w młodzież, mianowicie majątniejszą i zachęcać ją do wspierania z czasem przemysłu krajowego, a zdutniejszych z młodzieży uboższej zachęcać, aby się sposobili na technologów, mechaników, agronomów i t. d. Nadto, obdarzeni sercem czułym, napojeni od dzieciństwa zasadami czystej moralności i religii, doświadczać wreszcie sami nieszczęść, nauczyliśmy się czuć mocno nędzę bliźniego, mianowicie włościan pobliskich prowincyi. Z przykrością przychodziło patrzeć nieraz na właścicieli, obchodzących się ze swojemi włościanami, jak z bydłętami, lubo takie postępowanie, nietylko przeciwne jest moralności i religii, ale idzie wbrew ojcowskiemu Rządowi zaleceniom w tej mierze i przepisom. Było więc także życzeniem naszym obudzać w dzieciach rodziców majątniejszych uczucie ludzkości i skłaniać, aby zostawszy z czasem właścicielami, nie uciemiężali włościan swoich, udzielali im pomocy i podnosili rolnictwo. Ale zdaje się, że sam Bóg karze niekiedy właścicieli, dając im tę ślepotę, przez którą nie postrzegają, że niszcząc włościan sami sobie ruinę przyspieszają, że wydatkując więcej nad intratę, przywodzą się o bankructwo. Ztąd otwiera się szerokie pole do pieniacstwa, pozostaje niemal powszechne w niem zamięłowanie i wyszukiwane bywają wybiegi od sprawiedliwości i prawa. Zamiarem więc jeszcze było naszym obudzać wczesnie sumienie w młodych, ugruntować uczucia cnoty i sprawiedliwości, aby, gdy z czasem zostaną urzędnikami, sędziami, adwokatami, nie pomnażali złego, lecz starali się pomniejszać. Wszystkie zaś nasze życzenia, chęci i myśli mieliśmy nietylko bezpośrednio udzielać osobom najbliższym, lecz oraz upowszechniać własnym piśmie peryodycznym, które także do naszych projektów należało. Tym sposobem tedy mieliśmy pracować dla dobra kraju, czyli dla dobra ojczyzny. Ostrzedz tu jednak muszę, że jeżeli był nam niekiedy w myśli i ustach wyraz ojczyzna, tedy jednak nie przywiązywaliśmy do niego takiego znaczenia, jakie mu nadawać zwykli zapaleńcy lub półgłówki. Ojczyzna w przekonaniu naszym niczem innem nie była, jak ziemią, na której kto się urodził, uważana łącznie z jego rodzeństwem, przyjaciółmi, językiem, prawami, obyczajami, gospodarstwem szczególnem i powszechnem, przemysłem, handlem i t. d. Kto w którymkolwiek z tych względów usłużnym jest

dla większej lub mniejszej liczby krajowców lub dla całego kraju, ten usłuznym jest dla Ojczyzny, przykłada się do szczęścia Ojczyzny. Wyrażenie więc w zapytaniu prześwietnej Komisji: „myśli o szczęściu zgasłej już ojczyzny“ nie może stosować się do sposobu myślenia towarzystwa filomatów, chyba może do jakiego w niem indywidualum. Opisane zaś życzenia, chęci, zamiary panowały mianowicie, jak wyżej powiedziałem od stycznia 1819 do lipca tegoż roku. W tym czasie nastąpił rozjazd wszystkich członków, a od miesiąca października Mickiewicz wyjechał do Kowna na nauczyciela, a Malewski zajął się całkiem sposobieniem się do stopnia magistra i egzaminami. Z początkiem zaś r. 1820 podobnie przedsięwzięli zatrudnienia Zan, Łoziński, Sobolewski, Budrewicz i Domeyko, ja zaś zacząłem coraz bardziej zapadać na zdrowiu. I w tym stanie osłabienia, albo raczej zupełnego rozwiązania się, pozostało towarzystwo do końca roku szkolnego, czyli do miesiąca lipca. Tu znowu nastąpił inny rozjazd, a moja silniejsza choroba. Z końcem września wyjechałem na wieś, a gdy wróciłem na czas krótki ostatnich dni grudnia nie znalazłem już wcale towarzystwa imienia filomatów, albowiem świeżo powstałi Promieniści i Filareci pochłonęli w siebie resztki mojego towarzystwa. Taka jest historia filomatów, którą przekonany jestem, iż prześwietna komisja przyjmie za rzetelną i jej zawierzy. Zdaje mi się, że w niej zawarłem wszystko cokolwiek było potrzebnem do dania poznać natury towarzystwa filomatów. Lecz ponieważ dla porządku i związku myśli lub dla jasności tłumaczenia się, niektóre punkta znajdujące się jeszcze w zapytaniu, zdało mi się opuścić, przeto opuszczenie to teraz dopełnię. Pisma czytane były na posiedzeniach w przedmiotach różnych nauk, w jednym wydziale były pisma zwyczajnie matematyczno-fizyczne, w drugim w przedmiotach literatury. Ponieważ ja byłem ciągle prezydentem, a dla tego jednak nie byłem wolny od obowiązków każdego członka i nadto przykładem własnym zachęcać powinienem był do pracy, przeto pisałem podobno najwięcej, a pisma moje główne były następującej treści: a) o dziełach Sofoklesa, b) śmierć Achillesa, przekład z greckiego, c) o trubadurach, czyli śpiewakach w wiekach średnich, w południowej Francji, d) o potrzebie doskonalenia w równym stopniu rozumu i serca, e) o potrzebie pewnego porządku planu w nabywaniu nauk, f) o logice, z pisarza angielskiego Stewarta ¹⁾, g) recenzja tłumaczenia Herodota przez Kowalewskiego i tłumaczenia Plutarcha przez tegoż, wreszcie nie

¹⁾ Dugalda Stewarta (1753 — 1828): „Elements of the philosophy of the human mind“, lub: „Outlines of moral philosophy“.

pamiętam. Mowy właściwe nie miały miejsca, jako mniej potrzebne w gronie niewielu osób, dobrze się rozumiejących i ściśle przyjaźnią połączonych. A jeżeli kto mówił kiedy, bądź prywatnie, bądź na posiedzeniu, bądź ustnie, bądź na piśmie, mianowicie w czasach słabienia towarzystwa, tedy przedmiotem takich mów było tylko zachęcanie do wytrwałości w pracy i przedsięwzięciach. W tym guście mówiłem ja z parę razy, czy zaś inni mówili, nie pamiętam. Rozumiem, że ta historia towarzystwa naszego zdolna jest przeświadczać, żeśmy nie występowali z granic przyzwoitości, biorąc to słowo w sensie moralnym. A jeżeli mieliśmy chęci lub zamiary wyższe nad siły, albo wiek nasz, jeżeli było wiele myśli a mało rzeczy, wielkie projekta a żadne skutki: tedy, czy to nazwiemy próżnością, czy nierozwagą, zawsze należeć to będzie do błędów rozbującej imaginacyi, nie zaś do wykroczeń, jakich zabrania przyzwoitość i uczciwość moralnego człowieka. Owszem, jeżeli przez towarzystwo nasze nikomu nie staliśmy się użytecznymi, tedy byliśmy dla siebie samych, zachęcając się nawzajem do pracy, do nauki, do dobrych obyczajów i postępów. I to tylko uważać można za skutki towarzystwa naszego, o których takż w zapytaniu jest wzmianka“.

Zeznanie Jeżowskiego należy oczywiście brać *cum grano salis*. Opowiada on o towarzystwie, nie zapominając wszakże w jakim czyni to celu. Dlatego brak tu pewnych informacji, w szczególności zaś o roli filomatów podczas istnienia towarzystwa filareckiego ¹⁾.

Znamiennym rysem w słowach Jeżowskiego jest uderzający i nad wiek rozważny sposób, w jaki odwołuje się do pierwotnych intencji cesarza Aleksandra I, ujawnionych dobitnie w mowie tronowej warszawskiej 1818 r., również szczegół o włościanach niezawodnie wyraźnym jest echem, jakie w szerokich kołach wywołała uchwała sejmikowa obywateli gubernii wileńskiej 1818 r. o uwolnieniu włościan. Na obradach sejmikowych bywali w charakterze słuchaczy studenci uniwersytetu. Raz zdarzył się nawet następujący wypadek, który wielkie sprawił na wszystkich wrażenie:

„Gdy wniesiona została d. 22 grudnia materya o zniesieniu poddaństwa włościan— pisze rektor Malewski do ks. Adama Czartory-

¹⁾ Głos Jeżowskiego znajduje uzupełnienie w zeznaniu Mickiewicza z d. 20 kwietnia (2 maja) 1824 r. („Biblioteka Warszawska“, 1888, II, 28 — 30), i raporcie Nowosilcowa do W. Ks. Konstantego z d. 13 (25) maja 1824 r. („Warszawskija uniwersiteckija zapiski“, 1897, VIII, IX), wreszcie w pamiętnikach Domejki, Zdanowicza i innych.

skiego d. 21 lutego 1818 r. 1) -- „wszczęły się w izbie szlacheckiej 14 obrad spory, czyli raczej roztrząsania tej materji dosyć żywe i jeden z delegatów JP. pułkownik Paszkowski (delegat powiatu oszmiańskiego), który zabierał wiele czasu swojemi głosami tamującymi postanowienie zgromadzenia szlacheckiego w tej materji, wielu miał nieukontentowanych przeciw sobie i mówią, że wtedy widziana była momentalnie z tyłu przypięta mu kartka z napisem: „szubienica“, co dało powód, że wice-gubernator JP. Plater zamknąć kazał salę obrad i przerwać sejmikowanie; wdaną została w to policya, czynione były śledzenia dla wynalezienia autora tej kartki, później obrady sejmikowe pozwolono dokończyć, ale raporta poszły do ministrów i do samego Monarchy o tem zdarzeniu. JW. Korsakow 2) powrócił z Moskwy mając polecenie dokładniej tę rzecz wyegzaminować i w Warszawie, dokąd wkrótce wyjeżdża, przedstawić Monarsze.

Rzecz ta z siebie w Wilnie mała, bo żadnego rozruchu nie pociągnęła, ale w raportach powiększona, nazwana została niebezpieczną.

W raportach, towarzystwa francmasonów i szubrawców zacytowane są za sprawców tego zdarzenia, tu zaś w ustnem gadaniu mieszali i studentów uniwersytetu, którzy przez ciekawość na obradach sejmikowych bywali“.

Energiczne śledztwo prowadzone przez rektora i prokuratora Botwinę sprawców nie wykryło. Przekonanie o uskutecznienu tego przez studentów, utrzymało się atoli i nadal. Hasła rzucone przez inteligentnych obywateli wileńskich, znalazły przyjazny oddźwięk na całej Litwie.

Zgromadzona w kwietniu 1819 r. szlachta czterech powiatów; białostockiego, sokólskiego, drohiczyńskiego i bielskiego, składających wówczas obwód białostocki, idąc, jak wyrażała się sama, „za głosem ludzkości i wewnętrznego przekonania“ oraz za przykładem sąsiednich gubernii, jednomyślnie postanowiła znieść nazawsze poddaństwo, „jako przeciwne ustawom Boskim i samej ludzkości“ i włożyła na obwodowego marszałka, Dominika Ciecierskiego, obowiązek zanieśienia o to w jej imieniu prośby do tronu, aby ta, „stawiać nas w rzędzie najucywilizowańszych narodów Europy, świeżym była jeszcze dowodem, że Polak w żadnej obywatelskiej cnocie upośledzić się nie da“.

1) Archiwum kks. Czartoryskich. Korespondencya rektora Malewskiego z ks. A. Czartoryskim. Vol. I, Nr 42.

2) Generał-gubernator wileński.

Marszałek Ciecierski uchwały sejmikowe, zawierające również inne jeszcze postanowienia głębokiego znaczenia politycznego, podał do tronu d. 9 sierpnia 1819 r.

Przekonania szlachty litewskiej w zupełności podzielał książę kurator. W miarę możności starał się o polepszenie fatalnego położenia włościan, podległych zarządowi uniwersytetu.

„W wielu miejscach — pisze do Malewskiego d. 14 (26) marca 1849 r. ¹⁾— sposób wybierania podatków skarbowych jest bardzo nieodogodny, częstokroć dowolny i połączony z niemalym dla włościan uciskiem. Dobrze byłoby, aby troskliwość komitetu ekonomicznego (z zarządu uniwersytetu p. a.) zwróciła się na ten przedmiot, w celu zapobieżenia mogącym się zdarzyć nadużyciom, aby rozkład podatków do wybrania z włościan, nie zależał od arbitralności bądź rządów dóbr, bądź posesorów, aby nie wybierać więcej niż należy, a jeśli co pozostanie od składki, aby gromadom zwracać, zdając przed nimi rachunek z użytych pieniędzy“.

Wyznaczony komitet ekonomiczny z ramienia Rządu uniwersytetu, w uwagach swych nad projektem urządzenia dóbr do gimnazjum wołyńskiego należących (z d. 2 lutego 1819 r.) ²⁾, zawarł niejedyn interesujący i zdrowy pogląd na sprawę włościańską. Proponując zaczynszowanie gruntów włościanom, w ten sposób motywuje swój projekt.

„W terażniejszym położeniu rzeczy krajowych, kiedy usiłowania rządu połączone z chęcią większej liczby właścicieli ziem, dążą wspólnie do nadania włościanom osobistej wolności, najlepszy bezwątpienia jest środek, uprzedzając te odmiany, zawierać wcześniej umowy z włościanami na opłaty czynszowe, uwalniając ich przez to od znieawidzonej przez nich pańszczyzny, którą oni podług swego powszechnego pojęcia, za istotną poczytują niewolę“. „J. O. X. Kurator w r. 1817—czytamy dalej w „Uwagach“ komitetu—przepisując komisjom edukacyjnym prawidło dla urządzenia dóbr, przewidział wcześniej terażniejszy wypadek i w punktach 8 i 9 przepisów od siebie danych, zawieranie umów z włościanami na opłaty pieniężne w szczególności zalecił. Komitet ekonomiczny przy uniwersytecie ustanowiony, przywodząc do skutku zamiary ks. kuratora porobił już umowy z zamożniejszymi wioskami, które od zarabiania pól dwornych odłączyć i na opłaty pieniężne obrócić można było. Dla tych zaś

¹⁾ Archiwum kks. Czartoryskich. Korespondencya Malewskiego z kuratorem. V. I Nr 42.

²⁾ L. c.

włościan, którzy przy zarabianiu dwornych krescencyi pozostali, stara się przynieść wszelkie ulgi, już to przez wprowadzenie wydziałowej roboty, już przez zniesienie rozmaitych z dawnych inwentarzów pozostałych przykrych dla włościan powinności“.

Ks. Kurator nie zgadzał się na natychmiastowe oczynszowanie włościan w dobrach beneficyalnych, obawy swe opierał na powszechnem ubóstwie i niezaradności włościan.

W liście do rektora z d. 28 lutego 1819 r., pisze: „Rzecz pewna, że radząc tylko i obawiając się ciągle, nigdy do celu nie dojdziem. Wreszcie nie wystawiam tu uniwersytet na wielkie straty, bo biorę na próbę dwa tylko folwarki, bo i w tych jeszcze niezrazu, ale stopniowo i krok za krokiem zaczynszowanie chęć wprowadzić, po gorliwości WMPana spodziewając się wyboru dobrych posesorów, ani wątpię, że nasz zamiar pomyślny uwieńczy skutek, to pewno, że danym przez to przykładem i krajowi oddałby uniwersytet ważną przysługę i ściągnąłby na siebie uwagę Rządu a nawet samego Monarchy, którego znana nam jest dosyć o polepszenie bytu włościan ojcowska troskliwość“. Nie zgadzał się również ksiądz na projekt Malewskiego nadania wszystkich gruntów włościanom.

„W ogólnem krajowem gospodarstwie — pisze do rektora d. 21 lutego (5 marca) 1819 r. z Puław — potrzebne są różnej wielkości podziały gruntowe. Mamy szlachtę czynszową, mamy dzierżawców, którzy po zaczynszowaniu włościan będą musieli wziąć się do gospodarowania najemnikami, lub czeladzią domową.

„Oprócz tego rozdanie całkowite gruntów między włościan, w dzisiejszym ich stanie byłoby dla nich ciężarem. Chociaż to się nam udało we włości Poleukowskiej i Kronsztauskiej. Wiadomość o uiszczeniu się mieszkańców tych włości, przyniosła mi prawdziwą radość.

„Chciałbym mieć szczegółowe opisanie ich urządzenia dla podania do gazet. W moich dobrach także się jedna wieś z podobną chęcią oświadczyła. Takie przykłady może zachęcą drugie.“

Umyślnie dłużej zatrzymaliśmy się nad tą sprawą, aby wykazać, w jakim stopniu prądy postępowe, nurtujące ogół oświecony, wpływały na urabianie pojęć i przekonań młodzieży ówczesnej.

Z powyżej cytowanych dokumentów poznajemy jedną jeszcze, mniej znaną stronę działalności księcia Adama Czartoryskiego, który wszędzie i zawsze miał dobro społeczne na celu; a szedł ku niemu drogą nie gwałtownych przewrotów, lecz drogą rozumnej a wytężonej pracy.

Młodzież zrozumiała zamiary księcia, podnosiła gorąco hasła, które on w życie usiłował wprowadzić.

Chciał on mieć zdolnych nauczycieli, urzędników, fachowców we wszystkich gałęziach wiedzy — i młodzież szła w tym kierunku z głęboką wiarą w pożyteczność szlachetnej inicjatywy.

Nietylko kwestya włościańska interesowała księcia. Pragnął on również podniesienia przemysłu krajowego, rozwoju nauk technicznych i społeczno-ekonomicznych. W tym celu pisze do rektora Malewskiego w lipcu 1820 r.:

„Tej młodzieży, która ze szkół powiatowych po kancelaryach i palestrach się rozchodzi, należałoby dać kierunek do handlu, fabryk i rolnictwa. Szkoły mechaników i rolnictwa posłużą nam do tego, ale dla handlu nic jeszcze nie uczyniono. Już to dawniej w piśmie mojem o szkołach powiatowych nadmieniłem, aby dawano w nich naukę rachmistrzowstwa i buchalteryi. Tę naukę szczególnie do handlu profesor stosowaćby powinien. Na ten koniec potrzebne jest dzieło elementarne, do którego przeszłę W Panu wkrótce programma“.

Dla osiągnięcia wyższego wykształcenia, starali się filomaci o wysyłanie zdolniejszych z pośród siebie zagranicę. I w tych zamiarach znaleźli gorące poparcie kierownika okręgu. Czartoryski sam polecał „na wojaż“ uczniów uniwersytetu, o ile przekonał się o ich zdolnościach.

Na Zachodzie wrzały tymczasem nowe hasła, powstawały nowe teorye społeczne i filozoficzne. Filomaci chciwie chwyтали echa, płynące z zagranicy, szczególnie z Niemiec, gdzie najlepsze siły ogniskowały się w burszenszaftach i związkach tajnych.

Obawy zawleczenia do Wilna „niemieckiej zarazy“, dały powód do ścisłej obserwacyi prądów, nurtujących młodzież. W zleceniu sekretnem z d. 3 (15) listopada 1821 r., danem rektorowi Malewskiemu ¹⁾, kurator, ks. A. Czartoryski, wyraża obawę przeniesienia hasel zachodnich na wszechnicę wileńską. Poleca więc ścisłe dawać baczenie na młodzież, tak jednak, „aby nietrafnem okazaniem podejrzenia nie dać początku i ciała myślom, które może bez tego byłyby się nie skleiły, a małym, nie znaczącym, odoobnionym i przypadkowym uczynkom, przez niełagodne, głośnie, lub raptowne skarcenie, nie nadać wzrostu i wagi“.

Dzięki takiemu stanowisku władz, usiłowania wyjazdu, czynione przez Mickiewicza, Jeżowskiego i innych, spełzły na niczem. Udzielono jedynie pozwolenia na podróż synowi rektora, Franciszkowi Malewskiemu, oraz Maryanowi Piaseckiemu i Michałowi Fry-

1) Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce, t. VI, 223.

czyńskiemu ¹⁾, pierwsi dwaj na studia prawne, ostatni na agronomiczne. Wszyscy trzech udali się do Niemiec.

Malewski został wysłany na koszt uniwersytetu, Piasecki i Fryczyński na koszt liceum krzemienieckiego, którego byli wychowañcami.

Wyjazd Malewskiego pozbawił filomatów jednego z najruchliwszych członków, ciągle narzekania na brak „Jarosza“, z którym „i rozum z Wilna do Berlina na wojaż pojechał“ — spotykamy w listach do niego przez przyjaciół pisanych ²⁾.

Donoszono Franciszkowi o najdrobniejszych szczegółach z życia wileńskiego, nie zawsze atoli z zachowaniem należytej ostrożności, gdyż Mickiewicz w listopadzie 1822 r. tak do niego pisze: „List jeden od Józefa (Jeżowskiego) do ciebie podarłem, bo bardzo długi i pisany jak gdyby z Wilna do Europy, a mógłby bardzo drogo nas kosztować. Dlatego i list Tomasza (Zana) przeczytałem“ ³⁾.

Dopiero pod wrażeniem aresztowania syna pastora ewangelickiego w Wilnie, b. studenta wileńskiego, Reczyńskiego, który był czas jakiś na uniwersytecie w Marburgu i tam należał do związków studenckich — większą zachowywano ostrożność w działaniach i listach, które jedynie przy wyjątkowo „zręcznej okazji“ przesyłano.

W tego rodzaju „okazyonalnych“, a szczęśliwie zachowanych listach, znajdujemy niejedną cenną wskazówkę, rzucającą światło na wewnętrzne pożyście ruchliwego światka filomackiego.

1) Franciszek Malewski był wice-prezosem towarzystwa flaretów i oczywiście filomatą. Maryan Piasecki, również filomata, był przewodniczącym białego grona flaretów. (Towarzystwo flaretów, niższy niejako stopień filomatów, dzieliło się na grona, oznaczone barwami i kierowane przez filomatów; białe składało się z prawników). Fryczyński prawdopodobnie też należał do filomatów. Po powrocie z zagranicy mianowany został nauczycielem agronomii w Krzemieńcu, stamtąd powołany w r. 1829 na uniwersytet wileński przez senatora Nowosileowa na profesora agronomii praktycznej. Pt. Bieliński: Uniwersytet wileński, III, 173.

2) Mickiewicz w liście do Fr. Malewskiego pisze: „Józef (Jeżowski) nudzi po Tobie, i nikt miejsca twojego nie zastąpi w jego sercu. Każdy list kończy wykrzyknikiem: nie masz Franciszka!“. (Korespondencya Adama Mickiewicza, Lwów — Paryż, 1880, I, 6).

3) Korespondencya Adama Mickiewicza, I, 6.

Sporo takich szczegółów zawierają między innymi listy, pisane do Franciszka Malewskiego przez Kazimierza Piaseckiego ¹⁾, Jana Czczota ²⁾ i Teodora Łozińskiego ³⁾.

Praca naukowa stanowiła główne zadanie młodzieży. W tym więc celu wyznaczyli filomaci specjalny komitet naukowy, który miał urządzać kursa przygotowawcze i pomocnicze do studyów uniwersyteckich dla filaretów. Z rękopiśmiennego zeznania Kazimierza Piaseckiego, złożonego przed komisją śledczą d. 5 (17) listopada 1823 r., dowiadujemy się bliższych szczegółów o tym komitecie. Składał się on zarówno z filomatów, jak i filaretów. Reprezentant komitetu zasiadał w Izbie dozorczej ⁴⁾; wydawane stamtąd polecenia składał w komitecie jako wniosek, który wtajemniczeni, czyli filomaci, mieli poprzeć i przeprowadzić. W czerwcu 1821 r. komitet składali: Franciszek Malewski, (po jego wyjeździe obrano Czczota), Kozakiewicz Stanisław, Piasecki Kazimierz, Kowalewski Józef i Morawski Stanisław.

Miano brać płatnych „metrów“ do poszczególnych przedmiotów, którzy jednak nie mieli wiedzieć o stowarzyszeniu; był również projekt założenia czytelnicy naukowej i biblioteki.

W liście K. Piaseckiego ⁵⁾ znajdujemy interesującą wzmiankę o instrukcyi dla komitetu naukowego, jaką dał Teodorowi Łozińskiemu „Garbuś“. Tym bowiem „Garbusiem“ najprawdopodobniej był Gotfryd Ernest Groddeck, znakomity profesor filologii klasycznej na uniwersytecie wileńskim. Karol Kaczkowski we „Wspomnieniach“ swych ⁶⁾ twierdzi, że całą duszą pokochał Groddeck młodzież, i że wiedząc o istnieniu Promienistych (późniejszych filaretów), łączność młodzieży w pracy, jako nowe zjawisko w uniwersytecie i ż r ó d ł o,

¹⁾ Kazimierz Piasecki ukończył uniwersytet wileński w r. 1821 ze stopniem kandydata utriusque juris, następnie był adwokatem wileńskich izb sądowych. Po wyjeździe Maryana Piaseckiego był przewodniczącym białego grona filaretów. (Życiorys jego w „Księdze pamiątkowej na uczenie setnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza“. Warszawa, 1898, II, 77 — 85).

²⁾ Jan Czczot, filomata, przewodniczący literackiego, błękitnego grona.

³⁾ Filomata, przewodniczący różowego grona filaretów, składającego się z matematyków.

⁴⁾ Izba dozorcza stanowiła zarząd stowarzyszenia filaretów; składali ją: prezes i radcy (przewodniczący) poszczególnych gron.

⁵⁾ Do Fr. Malewskiego z d. 19 (31) grudnia 1821 r.

⁶⁾ Karol Kaczkowski: Wspomnienia, Lwów, 1876, I, 124 — 126.

skąd początek wzięła, bardzo pochwalał i do wytrwałości zachęcał. O pracach naukowych młodzieży wiedział dobrze, kierował nimi zarówno z katedry, jak i w stosunkach prywatnych ze swymi uczniami.

Najwybitniejsi filomaci: Mickiewicz, Jeżowski, Kowalewski, Wiernikowski i inni, należeli do najzdolniejszych i najulubieńszych jego uczniów ¹⁾).

Skład filomackiego komitetu niewątpliwie był mu znany; instrukcja, dana Łozińskiemu, zawierała zapewne wskazówki, w jaki sposób komitet ten miał działać.

Najsamprzód zorganizowano wykłady hodegetyki, czyli nauki o sposobach metodycznego odbywania studyów naukowych. Wykładał ją w r. 1821 — 1822 Józef Jeżowski ²⁾), wówczas już kandydat filozofii.

„Rektor pozwolił sali na prośbę Żegoty ³⁾ i Nowickiego — pisze Kazimierz Piasecki do F. Malewskiego ⁴⁾). — „Ośmdziesiąt osób napelniały salę przez dwie lekcyje w najlepszym porządku“.

Wykłady cieszyły się nadspodziewanem powodzeniem, aż zwróciło to uwagę profesorów. Groddeck odezwał się raz do Kontryma ⁵⁾):

¹⁾ Jocher: *Obraz bibl.-hist. liter. i nauk w Polsce*. Wilno, 1840, I, 208 sqq., oraz Z. Węclewski: *Wiadomość o życiu i pismach Grodka*. Kraków, 1876.

²⁾ Myśl o „potrzebie pewnego porządku i planu w nabywaniu nauk“ rzucił był sam Jeżowski jeszcze na jednym z posiedzeń filomackich. Pt. wyżej zeznanie J. Jeżowskiego z d. 19 kwietnia (1 maja) 1824 r.

³⁾ Ignacego Domejki.

⁴⁾ D. 7 (19) grudnia 1821 r.

⁵⁾ Uważamy za właściwe podać choć na tem miejscu krótki życiorys Kontryma, skreślony na podstawie własnych poszukiwań, oraz informacyi z pamiętników Michała Pełki Polińskiego, profesora uniwersytetu wileńskiego, łaskawie nam udzielonych przez p. Lucyana Uziębłę. Znany działacz na polu oświaty na Litwie i przyjaciel młodzieży, Kazimierz Kontrym, urodził się w r. 1776. W r. 1792, będąc uczniem w szkole podwydziałowej w Wilnie, w klasie piątej otrzymał srebrny medal. D. 25 lipca 1795 r. wstąpił Kontrym do służby cywilnej do litewskiego głównego Rządu, oddziału kryminalnego, w stopniu regenta. W r. 1796 zamianowano go sekretarzem w gubernialnym Rządzie wileńskim, a w 1797 r. przeniesiono na archiwistę litewskiego nadwornego sądu, w 1799 — do wileńskiej Cenzury na sekretarza; w r. 1803, przy przyłączeniu Cenzury wileńskiej do Uniwersytetu, obrano go buchalterem w tymże Uniwersytecie. W r. 1805 został Kontrym pomocnikiem bibliotekarza, w ste-

„Hodegetyka to bardzo sucha nauka, co to jest, że na nią ma 50 słuchaczyw pan Jeżowski“.

Na jednym wykładzie był nawet rektor uniwersytetu, Szymon Malewski: „Wszedł na to — pisze K. Piasecki ¹⁾ — kiedy Jeżowski wykładał zamiar uczenia się w najkorzystniejszy sposób; mówił o tem baczeniu na kraj, jakie każdy obywatel mieć powinien. Zaledwo peryod ukończył, aż zdziwiony starzec zaczął przepatrywać uczniów, zrobił uwagę, że najpilniejsi uczniowie są słuchaczami Jeżowskiego i że taka jest ich liczba. W rzeczy samej był zdziwiony, bo wśród największej cichości zastał wszystkich, gdy się spodziewał sześciu, zastał dziewięćdziesiąt osób najpilniej słuchających.. Wielkiego spodziewamy się pożytku z hodegetyki“.

Mickiewicz pisał do Franciszka Malewskiego ²⁾: „Słyszałeś zapewne o hodegetyce i historii. Nasz mrukawy (Jeżowski) przeszedł moje, jakkolwiek dobre, o nim nadzieje, rozprawia płynnie i wybor-

puu adjunkta Uniwersytetu; w 1808 r. pełnił obowiązki sekretarza Rządu Uniwersytetu, w następnym zaś roku został sekretarzem. Równocześnie wydawał z Grodkiem „Gazetę powszechną literacką wileńską“. D. 15 października 1807 r. Rada Uniwersytecka uchwaliła poruczyć Kontrymowi pisanie Historji Uniwersytetu, z płacą 200 rs., z obowiązkiem okazywania co rok swej pracy, Kontrym brał czynny udział w ówczesnem życiu umysłowem i społecznem, bądź jako redaktor „Dziennika wileńskiego“ i „Dziejów dobroczynności krajowych i zagranicznych“, bądź jako energiczny członek towarzystwa „szubrawców“, loży masonskiej, towarzystwa pomocy dla niezamożnych uczniów i t. p. Wszystkie niemal pisma, wychodzące na Litwie, dzięki jego natchnieniu i poradzic zawiązane zostały, znacznie też przyczynił się do wskrzeszenia „Pamiętnika warszawskiego“ w r. 1815, umysłną w tym celu do Warszawy przedsięwziąwszy podróż. Był serdecznym przyjacielem młodych; zachęcał ich do pisania, słusznie też nazwany został „ojcem młodzieży“. W r. 1824, uważany przez senatora za „główną sprężynę szkodliwego systemu“ (Raport senatora Nowosileowa do W. Ks. Konstantego z d. 19 (31) grudnia 1824 r., Nr 1,958), podał się do dymisji i czas jakiś zamieszkał na wsi, pod Wilnem. W październiku 1829 r. otrzymał od ministra finansów Królestwa Polskiego, ks. Lubeckiego, posadę redaktora „Biblioteki handlowej“, wychodzącej przy banku warszawskim, z pensją 6,000 złotych. Zmarł w lipcu 1836 r. w Szydłowie, na Żmujdzi.

¹⁾ Do Fr. Malewskiego z d. 19 (31) grudnia 1821 r.

²⁾ W liście bez daty, z Wilna. Korespondencya Adama Mickiewicza, I, 7.

nie, wzorowo. Lekcja ta byłaby jeszcze pożyteczniejszą, gdyby cokolwiek bardziej była popularną¹⁾.

Prócz wykładów hodegetyki i historii, oraz posiedzeń filareckich, na których omawiano kwestye naukowe i literackie, postanowili filomaci opracować zbiorowo statystykę kraju, gdyż bez niej „nauki administracyjne, w kraju naszym wykładane, będą nie dla nas, lecz dla Anglików, Holendrów, Francuzów; urzędnik będzie chwiał się w swoich czynnościach, a dobrze myślący, gorliwy obywatel, nieświadomy stanu swojego kraju, chęciom swoim pożytecznego nie nada kierunku“.

W tym celu Tomasz Zan ułożył instrukcyę do opisów statystycznych, p t.: „Opis jeograficzny“²⁾, wzorowany na „Instrukcyach do układania po Gimnazyach i Szkołach powiatowych zapisów w przedmiotach różnych nauk, wydanych od Rządu Głównego Szkół i ogłoszonych drukiem roku 1812“. (W Wilnie, drukiem Józefa Zawadzkiego, 1817).

W myśl instrukcyi Zana, każdy filareta, wyjechawszy na wakacje, obowiązany był wypracować dokładny opis swej okolicy, a nawet powiatu, lub gubernii.

„Opis jeograficzny“, tajnie wydrukowany w drukarni bazylianckiej w Wilnie, w dwustu egzemplarzach³⁾, zawierał najszczegółowsze wskazówki, dotyczące statystyki, stanu ekonomicznego i moralnego ludności w danej okolicy.

Niektóre ustępy „Opisu“, wymownie świadczące o tendencyach obywatelskich filomatów, zostały należycie zużytkowane podczas wielkiego procesu w latach 1823 — 1824.

Niektórzy filareci przygotowali takie opisy swych stron rodzinnych i takowe odczytywali na posiedzeniach.

Np. Józef Kraskowski przygotował opis obwodu białostockiego, Teodor Łoziński opis Wołynia i t. d⁴⁾.

Działalność filomatów nie ograniczała się jedynie do Wilna. Mamy pewne dowody, że sięgała znacznie dalej.

1) Por. Domejko: Pamiętnik o filomatach i filaretach. Poznań, 1872.

2) Wiadomość tę czerpiemy z rękopiśmiennego zeznania Czeezota, złożonego przed wileńską Komisją śledczą d. 17 (29) stycznia 1824 r.

3) „Opis jeograficzny“ wydany został w formie małej ósemki, bez oznaczenia miejsca i roku.

4) Arch. do dz. lit. i ośw. w Polsce, IX, 177.

W zeznaniu Jana Jankowskiego przed Komisją śledczą z d. 22 października (3 listopada) 1823 r. ¹⁾, znajdujemy wiadomość o zawarciu przez Zana towarzystwa, na wzór wileńskiego, w liceum krzemienieckiem. Opiekować się niem miał Karol Jentz, profesor w Krzemieńcu.

Aczkolwiek Jankowski odwołał później tę rewelację i Jentz został z braku dowodów uwolnionym od odpowiedzialności, jednakże wiadomość ta wydaje się wielce prawdopodobną. Wzmianka w liście Kazimierza Piaseckiego do Franciszka Malewskiego z d. 19 (31) grudnia 1821 r. o korespondencji Teodora Łozińskiego z Rafałówką ²⁾, w sprawach organizacyjnych zdaje się potwierdzać nasze domysły.

W Rafałówce bowiem mieszkał podówczas Narcyz Olizar, który w r. 1819 był w uniwersytecie wileńskim i czynny brał udział w ówczesnym ruchu literackim wśród młodzieży, pisywał sporo w „Tygodniku wileńskim“ i prawdopodobnie był filomatą; z nim przeto zapewne korespondował Łoziński ³⁾.

Wiemy również skądinąd o podobnej akcji filomaty Michała Rukiewicza i o utworzeniu przez niego organizacji, zbliżonej do filareckiej („Zorzanie“) w Białymstoku.

Tymczasem filomaci się rozpraszali. Mickiewicz był w Kownie, Franciszek Malewski i Maryan Piasecki zagranicą, prezes, Józef Jeżowski, otrzymał posadę nauczyciela filozofii u benedyktynów trockich ⁴⁾.

Kierownictwo w stowarzyszeniu spadło na barki Zana, Czeczota i Łozińskiego.

Franciszek Malewski nieustannie wstawiał się za przyjaciółmi przed ojcem. Szymon Malewski utrudniał korespondencyę syna i miał mu za złe zajmowanie się sprawami kolegów. Na list z d. 6 stycznia

1) Arch. do dz. lit. i ośw. w Polsce, IX, 169.

2) Miasteczko nad Styrem, w Łuckim powiecie.

3) W Rafałówce istniała loża masonska, wykryta w r. 1826. Kierownikiem jej był, jak się zdaje, Narcyz Olizar, człowiek nader czynny i wpływo- wy; odegrał on wybitniejszą rolę w r. 1831, jako senator i kasztelan Królestwa Polskiego. Nader zdolnym i sprężystym był również brat jego, Gustaw, o lat cztery młodszy, sądzony w r. 1826 za współudział z dekabrystami. Interesujące o nich szczegóły, patrz Bajkow: Z kartek pamiętnika rękopiśm. (1824 — 1829), Lwów, 1893, oraz: Pamiętniki Gustawa Olizara (1798 — 1865), Lwów, 1892.

4) Wł. Mickiewicz: Żywot Adama Mickiewicza, Poznań, 1890, I, 109, 110, 119.

1822 r., w którym Franciszek wstawia się za Jeżowskim i Mickiewiczem, prosząc o protekcję do kuratora, rektor odpowiedział ostro synowi: „Źle jest — pisze — że zajmujesz się protekcją dla swojego Mickiewicza, Zana, Jeżowskiego etc., gdy sam jeszcze protekcji potrzebujesz; nic nie mam przeciwko tym osobom, ale, wyjąwszy Zana, Mickiewicz i Jeżowski źle sobie radzą i pretensye ich są bez sensu. Lepiejbyś zrobił, abyś o sobie najprzód pomyślał. Prosisz, aby ci pisali, co się na nic nie zda, tylko dla powiększenia expensy. Ja powtarzam, że rektorstwo składam, a zatem i ubieganie się o moją protekcję ustanie, tak rzeczy idą na świecie. Ja jestem twoim ojcem, życzę ci najlepiej, ale ostrzegam, że trzeba być ostrożnym z oświadczeniem protekcji, bo to jest rzeczą delikatną, a często niewczesną i zawadzającą¹⁾).

Filomaci usiłowali zawładnąć wybitniejszymi stanowiskami w szkołach i gimnazyach, aby w ten sposób oddziaływać na młode pokolenie. Fr. Malewski w listach do ojca popierał kandydaturę Mickiewicza na profesora literatury w Krzemieńcu²⁾, stanowisko to uważano za jedno z najważniejszych³⁾).

W trakcie tych starań i zabiegów, w kwietniu i maju 1822 r., wszczęto z rozporządzenia ks. A. Czartoryskiego śledztwo w sprawie Towarzystwa „Przyjaciół przytecznej zabawy“, znanych też pod nazwą „Promienistych“. Towarzystwo rozwiązano, a Zana, Mickiewicza i Łozińskiego oddano pod szczególny dozór władz uniwersyteckich.

Stosunki w uniwersytecie zmieniły się na niekorzyść filomatów i stawały ich w niezmiernie trudnem położeniu⁴⁾.

¹⁾ L. c., I, 87, 88.

²⁾ Wł. Mickiewicz: Żywot Adama Mickiewicza, I, 82, 83, 87, 95, 104, 105, 111.

³⁾ Temi zapewne pobudkami kierowali się filomaci, wysyłając na koszt własny Karola Kaczkowskiego, filaretę, na posadę lekarza do Krzemieńca. Pt. Kaczkowski: Wspomnienia, I, 152 — 153.

⁴⁾ Filareta, Jan Michalewicz, w następujący sposób charakteryzuje ówczesne stosunki uniwersyteckie w liście z Wilna d. 24 paźdz. (5 listopada) 1822 r. do ks. Macieja Brodowicza (z rękopisu): „...Dawne nasze przyjemności zupełnie zaginęły (zebrania i wycieczki promienistych *p. a.*), ani pomyśleć o nich nie można... Pełno podejrzeń, pełno ezuwań i podsłuchów. Szpiegowstwo niesłychane. Siedzim więc spokojnie i wyglądamy tego dobra, które Włochy i Niemcy mają nam narodzić“ (w uniwersytecie wileńskim wielu było wówczas profesorów cudzoziemców — *p. a.*).

„Jestem między młotem i kowadłem — pisze T. Łoziński do Fr. Malewskiego d. 14 (26) grudnia 1822 r.—młot chce, żebym jemu mówił wszystko, co wiem o kowadle, a ja wiem, że dla kowadła źle być może, więc nie chcę... Stoję nad przepaścią, widzę, i już znacznie w nią pochyłony“.

W listach przyjaciół znajdujemy interesujące szczegóły z życia młodzieży ówczesnej, o obchodach imienin T. Zana, o zabawach wileńskich w t. zw. „Kasynie“ i t. p.

Wzmianki o Lubeckim, do którego uciekano się protekcyi, łącznie z ciekawym ustępem w podanem powyżej zeznaniu Jeżowskiego o potrzebie podniesienia przemysłu, muszą zwrócić na siebie uwagę, okazują mianowicie, że młodzież wileńska musiała dość żywo reagować na ten urok żywej i owocnej energii, jaki wychodził z działań ks. Lubeckiego, tego bądź co bądź bliższego współrodaka-litwina, w pierwszej chwili objęcia przez niego ministerjum skarbu.

W życiu młodzieży pierwszorzędny brał udział Adam Mickiewicz. Kochany i wielbiony przez współkolegów, był on uosobieniem wszystkich cnót i szczytnych hasłał młodzi wileńskiej. „Wielka jama, gdy niema Adama“ powtarzał Zan, i w rzeczy samej brak Mickiewicza dotkliwie dawał się odczuwać filomatom.

Gdy spotkał go zawód bolesny, w sercach przyjaciół serdeczne znalazł poeta współczucie. Zaopiekowano się nim, roztoczono czułą opiekę nad umiłowanym twórcą „ody do młodości“. Zajęto się wydaniem pierwszego tomu poezyi, rozprzedażą, podjęto wreszcie starania o umożliwienie mu wyjazdu zagranicę. W listach komunikowano Franciszkowi Malewskiemu nowe utwory Adama.

Kazimierz Piasecki pisze d. 19 (31) grudnia 1821 r.: „Adam się polepsza, jakoż wydaje, wkrótce będzie się drukowało dziełko jego ¹⁾, wiele przydał wierszy, a szczególnie posyłam następne“. Tu następuje wiersz, zatytułowany „Cztery toasty chemika“. Po raz pierwszy spotykamy go w druku w 1828 r. w piśmie warszawskim „Motyl“ p. t. „Cztery toasty Franklina“; w wydaniu poznańskim „Poezyi A. Ma.“ z r. 1828—32 nosi tytuł „Cztery wiwaty“, w wydaniu paryskim z r. 1828 „Toasty“, który to tytuł utrzymał się w późniejszych wydaniach. W wydaniu paryskim z 1844 r., przejrzanem przez autora, nosi datę „Kowno 1822“, z listu Piaseckiego widzimy, iż napisany został wcześniej. Tekst przesłany Fr. Malewskiemu zawiera kilkanaście drobnych odmian znanego.

¹⁾ Pierwszy tom „Poezyi Adama Mickiewicza“, wydany głównie staraniem Czeczota, ukazał się w Wilnie, na początku czerwca 1822 r.

Najczynniej zaopiekował się Mickiewiczem szkolny jego kolega Jan Czeczot. W listach do Fr. Malewskiego ciągle zajęty jest myślą o jego poezjach, zdrowiu, wyjeździe etc.

W liście z d. 23 stycznia (4 lutego) 1822 r., zapytuje Malewskiego, który się był zatrzymał w Warszawie, jadąc do Berlina: „Co sprzedaliście Adamowych biletów ¹⁾, i przez Guta dowiedzcie się ile sprzedali Bansemer i Brzozowski, którym po sześć biletów zosta-
wiłem.

Chcemy tu nawiasowo zwrócić uwagę na pewien interesujący szczegół. Z powyższych słów Czeczota widzimy, że on, a więc i filomacji, mieli stosunek z Bansemerem, duszą związków młodzieży uniwersyteckiej w Warszawie, za pośrednictwem Gutta. Nie wiemy, o którym Gucie wspomina Czeczot. Było ich bowiem dwóch. Jeden, Ferdynand, niewątpliwie należący do filaretów (w r. 1823 ukończył uniwersytet ze stopniem doktora medycyny), i stałe z nimi trzymający stosunki ²⁾; drugi, Edward, student, może brat poprzedniego, był przez władze podejrzanym o udział w pracach stowarzyszonych.

Dwudziestoletni Jan Marcin Bansemer odznaczał się wybitnymi zdolnościami i gorącym sercem. Po r. 1831 był czynnym pomocnikiem w przedsięwzięciach Klaudyi Potockiej ³⁾.

Fakt stosunku z nim wybitniejszych przedstawicieli młodzieży wileńskiej jest nader interesującym i rzuca pewne światło na charakter stowarzyszeń wileńskich.

W dalszym ciągu Czeczot zapytuje Malewskiego: „Ile więc się zebrało pieniędzy, abym mógł wiedzieć, ile dodać i odesłać potrzeba będzie? Krasieński ⁴⁾ ile oddał za książeczkę? Uczynicie rachunek ścisły swoich skarbów. Istotnie, nie wiemy, co począć z Adamem i z druko-

¹⁾ Pierwsze wydanie „Poezyi Adama Mickiewicza“ rozprzedano w znacznej części w drodze prenumeraty.

²⁾ Bieliński: Uniwersytet wileński, III, 399.

³⁾ Patrz życiorys J. M. Bansemiera w czasopiśmie paryskim p. t. „Trzeci maj“, z d. 27 lutego 1841 r., str. 29 — 30.

⁴⁾ Waleryan Skorobohaty Krasieński, znany jako autor „Historji reformacyi“, ukończył uniwersytet wileński w 1822 r., wyjechał następnie do Warszawy, gdzie otrzymał urząd w Komisji wyznań i oświecenia publicznego. Posiadał rozległe stosunki w sferach literackich stolicy, zajmował się szczerze rozprzedają poezyi Mickiewicza, których ukazanie się powszechny obudziło entuzjazm w Warszawie. Pt. Encyklopedia Orgelbranda (większa), t. XV. Wł. Mickiewicz: Żywot Adama Mickiewicza, I, 112, 139.

waniem jego poezyi. Zasadziliśmy go tu, jak w detencyę, za jego kowieńskie skargi i psotki. Mało czynny, mało też ma przyjemności życia. Sam nie w dostatkach, patrzy i cierpi niedostatki innych Ani wygod, ani zabaw, ani zatrudniań. I to i owo boli, zęby wyrывa, a i to bieda. Dobrzeby to było wyprawić go choć na kilka miesięcy na przejażdżkę. Możeby się tak rychło, jak wy, nie znudził, możeby mu to pomogło do zdrowia? Poezyi wreszcie jego tu wydrukować nie można będzie, jest książk w „Dziadach“, są „w imię Ojca, Syna, Ducha“, „Zdrowaś Marya“ etc., których tu dyabli wiedzą, i pobożni i fanatycy na sucho nie przepuszczą. Wreszcie koszt nie mały, prenumeratę (*sic!*) publicznie ogłaszać nie podobna (i nie do rzeczy, i ty-leby tu znalazło się uszczypliwych szyderstw).

Trzebaby tedy i z tego względu zaprobować, czy nie kupiłby za część egzemplarzy i gotowych pieniędzy Gligzberg ¹⁾. Wartoby więc wyprawić do Warszawy Adama, a stamtąd, do końca wakacyi przynajmniej, jeśli najdalej nie można, niechby przynajmniej odwiedził z wami Berlin ²⁾.

Ale tu sęk, pieniędzy nigdzie a nigdzie niema. Ani z prenumeraty, ani z pożyczki nic prawie zebrać nie przyjdzie. Będziemy wszakże próbować, a nuż się uda? Donieście więc i o czasie wyjazdu, i o tem, ile na wasze finanse spuszczać się można. Wreszcie z doświadczenia obliczcie koszta życia i wskażcie, z jaką kwotą wyprawać Adama? A z tem nie marudźcie. Trzeba także dowiedzieć się (najlepiej przez jakąś akredytowaną osobę) u Gligzberga, czy on manuskrypta kupuje i jak płaci? Co u niego arkusz druku na papierze, jak Trembecki, kosztuje. I o tem oznajmić. Wiersze tam bardzo lubią, może też i poplatne. Co Brodziński wziął za swoje? Obaczym, jak się ten handel powiedzie. Czekamy rychłej odpowiedzi“.

W drugim liście z d. 14 (26) lutego 1822 r. posyła Czeczot wiersz swój o Zofii Chrzanowskiej, oraz „Upiora“ mickiewiczowskiego, jeszcze naówczas nieogłoszonego drukiem.

¹⁾ Glücksberg, księgarz warszawski.

²⁾ Por. list Mickiewicza do Fr. Malewskiego (z Wilna, bez daty): „myślę sam udać się do Warszawy, bo tu, zwłaszcza Nowych Dziadów, drukować nie podobna“. Koresp., I, 8. Obawy okazały się płonne. Po usunięciu w jesieni 1822 r. z urzędu cenzora surowego, ks. Kłagiewiczza, wybrany na jego miejsce Lelewel wydał d. 21 lutego 1823 r. pozwolenie na wydrukowanie II-go tomu poezyi. Pt. Tretiak: Mickiewicz w Wilnie i Kownie, Lwów, 1884, t. II, 204 — 204.

„Siedzę w stancyi — pisze Czeczot — Onufr ¹⁾ przyszedł i kazał dać do przepisania dla ciebie Adamowego „Upiora“, który będzie niejako służył za objaśnienie i przemowę do IV-ej części „Dziadów“ ²⁾ i mój śpiewek, napisany dla Zosi“.

Zosią tą była młodsza córka rektora Malewskiego. Liczyła się ona — mówi Otton Slizień w swych pamiętnikach ³⁾ — do królowych młodego, romantycznego społeczeństwa. Była celem niejednych platonicznych i nieplatonicznych wzdychań. Między innymi zajmował się nią czule Aleksander Chodźko i wielbiciel wszystkich panienek, Jan Czeczot. Znał ją również bardzo dobrze Mickiewicz, i Zosia z „Dziadów“, według twierdzenia prof. Tretiaka, to panna Zofia Malewska ⁴⁾.

„Ponieważ w stancyi siedzę — ciągnie dalej Czeczot — sam się podjąłem przepisania i z kilka słów piszę do Ciebie. „Dziady“ ci i odoobno znajome, jeszcze się urodziły za twojej bytności ⁵⁾; a choćby Ci nie były znajome, nie można Ci ich przesłać, jakkolwiek ściśle pisanych, bo długie. Po niedzieli zaczniesz się drukować, jak tylko wyjdzie z druku, natychmiast ci przeszlę. Jeśli już wówczas wyruszysz do Getyngi, a Moryc ⁶⁾ tam nie ma swoich relacji, to odeszł do Berlina, a stamtąd proś, aby twój buchhandler odesłał do Getyngi“.

Dalej przytacza Czeczot wiersz Mickiewicza p. t. „Upiór“, który to składa się z dwudziestu pięciu czterowierszowych zwrotek, we wszystkich zaś wydaniach poezyi Adama z dwudziestu czterech zwrotek. Wiersz ten w odpisie Czeczota, prócz kilku drobnych odmian znanego tekstu, zawiera następujące nowe zwrotki:

Po czterowierszu dziesiątym czytamy u Czeczota:

¹⁾ Pietraszewicz, sekretarz Towarzystwa filaretów.

²⁾ Jak wiadomo, „Upiór“ w pierwszym i następnych wydaniach poezyi Mickiewicza umieszczony jest przed drugą częścią „Dziadów“. Por. Tretiak: Mickiewicz w Wilnie i Kownie, III, 21, 28.

³⁾ Pamiętnik Tow. liter. im. A. Mickiewicza we Lwowie, t. II.

⁴⁾ Tretiak: Dwie Zosie, „Świat“, Kraków, 1890, str. 320. W Bibliotece im. Ossolińskich we Lwowie znajduje się pierwsze wydanie poezyi A. E. Odyńca z następującą własnoręczną dedykacją autora: „Zofii Malewskiej, w dowód najwyższego szacunku ofiaruję. Ant. Edw. Odyniec“.

⁵⁾ Por. Korespondencya Adama Mickiewicza, III, 5 — 6.

⁶⁾ Moritz, księgarz wileński, przesyłał Fr. Malewskiemu do Berlina pierwszy tom poezyi Mickiewicza.

Lecz do zbawienia ten środek jedyny,
Taka zrządzeniem najwyższem pokuta,
Za twoją czułość i za moje winy
W epoce przeznaczeń kuta.

Następnie kładzie Czeczot zwrotkę XI-tą i t. d. („Żebyś cię znalazł, muszę...“ i t. d.), jak w wydaniu z r. 1823 i inn.

Wreszcie, zamiast dwóch ostatnich zwrotek, XXIII i XXIV, znanych w druku, Czeczot kładzie następujące (XXIV i XXV):

Może ktoś także cierpliwy do końca
Zechce podziemnej przysłuchać się mowie,
I wzrok młodzieńczy przywykły do słońca
Na trupiej zatrzymać głowie.
I patrząc zważy, co mu w młode lata
Wyroczone pismo katechizmu rzekło,
Że ten nie grzeszy, kto używa świata,
Pomniąc na śmierć, sąd i piekło.

Dalej przytacza Czeczot wiersz swój o obłączeniu Trembowli i Zofii Chrzanowskiej, poprzedzony rymowaną dedykacją Zosi Małewskiej.

„Notabene — dodaje później — napisałem jeszcze śpiewki o Mniszchównie, o Radziwiłównie, o Jabłonowskiej, o Jadwidze, o Małgorzacie Zębocińskiej, może nawet trochę od tego lepsze, tylko ten z primogenitury ma swoją prerogatywę. Chcę wszystkie sławne Polki z niepamięci wydobyć, a potem przejść do litewskich bohaterów“¹⁾.

Wiersz o Zofii Chrzanowskiej odznacza się nader pospolitą myślą i nieudolnym rymowaniem.

Tymczasem sprawa wyjazdu Mickiewicza w ciągłym była zawieszaniu, zdrowie jego stale się pogarszało, budząc nieustanne obawy w kolegach. Złożono wprawdzie kilkaset rubli w celu wysłania poe-

¹⁾ Śpiewki Czeczota, zawarte w kilku oprawnych tomikach, znajdują się w posiadaniu p. Władysława Mickiewicza. Pt. Wł. Mickiewicz: Żywot A. Mickiewicza, I, dodatek XVIII.

ty zagranicę, mianowicie ks. Adam Czartoryski, jak się zdaje, złożył bezimiennie 300 rb. ¹⁾, Michał Fryczyński, „wielki przyjaciel Adama“, jak nazywa go Malewski, ofiarował 200 rb., ze sprzedaży poezyj spodziewano się osiągnąć około 300 rb. ²⁾, ale wszystkie te zasoby wydawały się niedostatecznymi. O trudnościach w otrzymaniu dla Mickiewicza pasportu w następujący sposób opowiada Czeczot w zeznaniu swem, złożonem d. 17 (29) stycznia 1824 r. przed Komisją śledczą ³⁾: „Adam od marca ⁴⁾ o pasport się starał, lecz gdy z przyczyny formalności w uzyskaniu uwolnienia zachodzących, gdy od prefekta do dyrektora, od dyrektora do uniwersytetu, od rektora do rządu, czy też rady uniwersytetu, a stąd do kuratora pisma przechodzą i po uwolnieniu dopiero rekwizycya o pasport, a to wszystko nie rychło się dzieje — odwlekało się jego zyskanie, a odmieniony porządek zyskiwania pasportów, który utrudzać się nieco zdaje ich pozyskanie; były powody do wniosku, iż go dostać jest rzeczą przytrudną i wątpliwą, to jest niezupełnie pewną. Do wzięcia mnie do więzienia wiem, że nie otrzymał. Zdrowie jego zbyt pogorszone, a życie w mieście niedogodne dla słabego zdrowia i kosztowne przy szczupłym sposobie do utrzymania się, skłoniło mię — pisze dalej Czeczot — że proponowałem mu przemieszkanie czasu jakiego na wsi u pana Michała Rukiewicza, a troskliwy o zdrowie przyjaciela, prosząc dla niego o pobyt, wyraziłem nadzieję moją, iż nie dozna u niego nieprzyjemności, abym ją mógł dla niego zapewnić“. Powyższe słowa były odpowiedzią na zapytanie Komisji śledczej, zadane z powodu listu, znalezione go przy rewizyi u Michała Rukiewicza. Zanim list ten podamy, pragniemy choć w paru słowach scharakteryzować mało dotychczas znaną osobę Rukiewicza. Michał Rukiewicz, ur. w 1795 r., pochodził z rodziny szlacheckiej. Ojciec jego miał majątek Hoźna w pow. Białostockim, obwodu białostockiego. Po ukończeniu gimnazjum w Białymstoku wstąpił w r. 1816 na uniwersytet wileński, który ukończył d. 1 lipca 1820 r. ze stopniem kandydata praw ⁵⁾. Przyjęty do grona filomatów w r. 1819, powszechnie był przez kolegów

1) Por. Korespondencya Adama Mickiewicza, I, 23.

2) L. c., III, 5.

3) Rękopis.

4) Odpowiednie podanie do Rządu Cesarzowskiego Wileńskiego Uniwersytetu złożył Mickiewicz d. 25 marca 1823 r. Pt. Wierzbowski: Mickiewicz w Wilnie i Kownie, „Biblioteka Warszawska“, 1888, II.

5) Wiadomości powyższe czerpiemy z rękopiśmiennego zeznania Rukiewicza, złożonego przed Komisją śledczą w d. 10 (22) listopada 1823 r.

kochany; był to ów „białostoczaniu“, którego fizyognomię Domejko doskonale pamiętał, nie mógł jednak nazwiska przypomnieć ¹⁾. Jan Jankowski w swej rewelacyi wymienił również Rukiewicza, jako filaretę, usiłującego stworzyć towarzystwo w Białymstoku; Rukiewicz był przez Komisję badany, został atoli uwolniony dla braku dowodów. W latach 1824 — 1826 trzymał w dzierżawie folwark skarbowy Zawyki, położony nad Narwią o cztery mile od Białegostoku. W tym samym czasie zorganizował w Białymstoku w gimnazjum towarzystwo „Zorzan“, w wojsku zaś towarzystwo „Przyjaciół wojskowych“. Dzieje tych towarzystw, mających bezpośredni związek z dekabrystami, postaramy się w przyszłości wyjaśnić ²⁾.

Powracamy do listu Czeczota. Podajemy go na tem miejscu w całości:

1823. 7-bra 13. Wilno.

Panie Michale,

Adam uwolniony od obowiązków dla słabości zdrowia, ciężko podupadły na zdrowiu i teraz nawet chory, już od marca czeka tentowanego pasportu, i podług wszelkiego podobieństwa, jeśliby nawet (co także bardzo wątpliwe) otrzymał pasport, tę zimę przebyć w kraju musi. Zbyt niedogodne i kosztowne, a niewiele przyjemności dla niego obiecujące, byłoby mieszkanie ciągle w mieście, proponowałem tedy jemu, ażeby, pomieszkawszy tu czas niejaki, do ciebie na jakiś czas pojechał. Przykro mu zapewne wycierać choć przyjacielskie kąty, i propozycya ta, lubo dla niego nie bardzo smaczna, jednak podług najlepszej rachuby musi zostać dobrą; a bez żadnych komplementów, przyjaciel u przyjaciela może znaleźć przytułek i przykrości nie czynić ani sobie, ani jemu.

Spodziewam się nawet, że, mając tam familię i znajomych, potrafisz dla niego zrobić wiele przyjemności, które życie jego, tak stargane, a tak dla nas drogie i miłe, pokrzepić zdołają.

Przyjdzie może kiedyś pora, że ci to odwdzięczycy potrafim i przyjemnościami jakimi nagrodzić. Donieś więc,

1) Ignacy Domejko: Pamiętnik o filomatach i filaretach, 9.

2) Część dokumentów w tej sprawie ogłosił Z. Wasilewski w IX tomie „Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce“. Kraków, 1897.

jak ta ci propozycja spodoba się. Wszak dla siebie jeść gotujesz i stancją palisz, nie więcej przeto zachodu mieć będziesz z przyjacielem. Na list mój, który niedawno pocztą do ciebie pisałem, czekam odpowiedzi i odesłania pieniędzy. Bądź zdrów.

Jan.

List ten posyłam przez pocztyliona, więc donieś, czy doszedł. Czekam jak najprędzej odpowiedzi. De rebus publicis, musicie słyszeć, co się tu dzieje, pisać nie chcę ¹⁾. Jenerał-Gubernator, kurator, X-żę wielkorządca Poznański, wszystko to jedzie, mając się widzieć z Monarchą ²⁾.

Odpowiedzi Czeczot już nie otrzymał. Rozpoczął się wielki proces filaretów.

HENRYK MOŚCICKI.

¹⁾ Od maja do października trwały śledztwa w sprawie wypadków w gimnazyum wileńskim.

²⁾ Zamierzony zjazd odbył się w Brześciu litewskim, we wrześniu 1823 r. Pt. Szilder, Imp. Aleksander I, tom IV, 282—283. Jenerał-gubernatorem wileńskim był podówczas ks. Rimskij-Korsakow, kuratorem wileńskim — ks. Adam Czartoryski, wielkorządcą poznańskim — ks. Antoni Radziwiłł.

TEORYA LAMARCKA I NEOLAMARKIZM

w biologii spótczesnej.

W r. 1809 ujrzała światło „Philosophie Zoologique“ J a n a B a p t y s t y L a m a r c k a—jedno z tych dzieł epokowych, które nigdy przeżyć się nie są zdolne, z których duch ludzki czerpie zawsze, jak z krynicy życiodajnej, natchnienia ku nowym porywom. Pisma takie są jak gwiazdy na sklepieniu niebios, ku którym zawsze i odwiecznie kieruje wzrok swój żeglarz, jak gór szczyty, ku którym spogląda zbłąkany w nizinach wędrowiec. Ku nim powraca zawsze umysł ludzki, przebiegłszy wielki obszar po nowych dziedzinach i czerpie z nich sił młodzieńczych ku dalszej pracy na polu wiedzy, nieskończonej w swych zadaniach, niedoścignionej w celach.

Siódmy rozdział I-go tomu „Filozofii zoologii“, nosi tytuł: „De l'influence des Circonstances sur les actions et les habitudes des Animaux, et de celle des actions et des habitudes de ces Corps vivans, comme causes qui modifient leur organisation et leurs parties“ („Wpływ okoliczności na działania i zwyczaje zwierząt oraz działania i zwyczaje tych ciał żyjących, jako przyczyny zmieniające ich budowę i ich części). Przyjmując stopniowy rozwój świata organicznego, Lamarck starał się wykryć czynniki, które powodują owe przekształcenia i uznał wpływ „okoliczności“, czyli wyrażając się ściślej, wpływ warunków otaczających—za najważniejszy czynnik odnośny. Ale działanie to, jak twierdzi on, nie jest bezpośrednio, lecz wywołuje naprzód u organizmów zwierzęcych pewne potrzeby, potęguje pewne czynności, a te ze swej strony powodują już odpowiednie zmiany w organizacyi.

Jeżeli pewne nowe okoliczności (circonstances)—mówi Lamarck—stają się trwałymi dla jakiejś rasy zwierząt, wówczas powodują one w tych ostatnich nowe przyzwyczajenia, t. j. nowe działa-

nia, które stają się zwykłemi, a wskutek tego w pewnych przypadkach niektóre części ciała bywają przeważniej używane niż inne, w innych natomiast są zupełnie nieużywane, gdyż stały się zbytecznemi.“

Rzecz interesująca, że Lamarck widzi w sposobie działania owych „okoliczności“, czyli czynników zewnętrznych, zasadniczą różnicę ze względu na świat roślinny i zwierzęcy. U roślin, twierdzi on, gdzie „niema żadnych przyzwyczajzeń we właściwym znaczeniu tego wyrazu“ wpływy zewnętrzne nie wywołują tą drogą zmian organicznych, ale tutaj „wszystko się odbywa przez zmiany w odżywianiu się, w objawach pochłaniania i oddychania, w działaniu ciepła, światła, powietrza, wilgoci! U zwierząt zatem Lamarck przyjmuje niejako pośrednie działanie czynników zewnętrznych; u roślin natomiast bezpośrednio—pogląd, nie wytrzymujący, rzecz prosta, ścisłej krytyki. Jeżeli bowiem zupełnie usuniemy nienaukowe i nieściśle pojęcie „przyzwyczajenia“, lecz będziemy mówili wprost tylko o czynnościach organizmów, czynnościach jednorazowych lub stale się powtarzających, to nie znajdziemy żadnej zgoła różnicy pomiędzy roślinami a zwierzętami ze względu na kształtujące działanie warunków zewnętrznych. Tu i tam czynniki otaczające mogą wpływać i wpływają istotnie na modyfikacje pewnych czynności, a równocześnie ze zmianą funkcyi z powstawaniem pewnych nowych, odmiennych objawów funkcyjonalnych, ulegają też modyfikacji dane narządy, budowa bowiem i czynności narządu są ściśle z sobą związane i zmiana ostatniej prowadzi zawsze do modyfikacji pierwszej.

Dla zilustrowania swoich twierdzeń i dowiedzenia ich prawdziwości, uczony francuski przytacza liczne przykłady, a niektóre z nich są tak wybitne, że przez nie dopiero staje się istotnie zupełnie jasną idea jego.

Wpływ bezpośredni warunków zewnętrznych na organizm roślinny jest, zdaniem Lamarcka, powszechnie znany; dowodzą go niezliczone przykłady z życia codziennego. „Wiosna np. bardzo sucha powoduje, iż zioła na łąkach słabo się rozrastają, są suche i wiotkie, a często kwitną i owocują, nie osiągnąwszy bynajmniej zwykłej wielkości. Natomiast wiosna, w której naprzemian następują po sobie dni gorące i deszczowe, wydaje zioła znacznych rozmiarów, a zbiór siana jest wtedy doskonały“. Skoro zaś wpływy korzystne lub nieodpowiednie działają na długi szereg pokoleń, wywołać one muszą odmianę, różniącą się od swego szczepu. „Jeżeli np. nasiona jakiejś rośliny stepowej zostaną przeniesione przez wiatr na miejsce wyniosłe, suche, piaszczyste, kamieniste, wystawione na częste wichry, i jeżeli będą tu kiełkowały, wówczas rośliny, mogące żyć w takiej miejsco-

wości, będą się zawsze źle odżywiały, a osobniki przez nie wyprodukowane wydadzą wreszcie — po pewnej liczbie pokoleń — odmianę różną istotnie od szczepu stepowego. Osobniki tej nowej rasy będą wogóle drobne, słabe, przyczem jednak pewne ich narządy będą może więcej rozwinięte niż inne, tak że stosunki okażą się swoiste.“ Podobnie też wszystkie nasze rośliny uprawne, hodowane dla kwiatów lub owoców, nasze zboża, jarzyny, jakże różnią się od swych pierwotnych dzikich szczepów, jakież odmienne i typowe rasy stanowią one, a owe różnice osiągnięte zostały, zdaniem Lamarcka, jedynie i wyłącznie przez to, że dane rośliny znalazły się w innych warunkach — hodowane przez długi szereg pokoleń, w ogrodach lub na polach, podlegały swoistym wpływom zewnętrznym. O idei doboru sztucznego — mającego, jak wiadomo, tak doniosłe znaczenie w kulturze roślin i zwierząt — Lamarck zupełnie nie wspomina, czynnik ten był mu bowiem wcale nie znany.

Także co do powstawania ras zwierząt domowych, Lamarck widzi jedynie czynnik działawczy w zmianie warunków. „Ileż to ras bardzo różnych — mówi on — pośród naszych kur i gołębi domowych wytworzyliśmy dlatego, że poddaliśmy je działaniu różnych okoliczności (circonstances) w rozmaitych krajach.“

„Te z nich (zwierząt domowych), które są najmniej zmienione, powstały niewątpliwie przez domestykację muiej dawną i przez to, że nie zamieszkują klimatu im obcego, a w częściach ich ciała nie wytworzyły się znaczne różnice, dzięki nowym przyzwyczajeniom. Tak np. kaczki i gęsi domowe mają swój typ w kaczkach i gęsiach dzikich; lecz domowe utraciły zdolność wzlatywania na znaczne wysokości i przebywania w locie znacznych przestrzeni; wreszcie wystąpiła rzeczywista zmiana w ich częściach ciała w porównaniu ze szczepami pierwotnymi.“ „Kto nie wie — mówi dalej filozof francuski — że ptaki naszego klimatu, trzymane w klatce przez pięć lub sześć lat, a później wypuszczone na wolność, nie umieją latać tak, jak ich bracia, którzy zawsze byli wolni? Lekka zmiana okoliczności u tych osobników wywołała tylko zmniejszenie się zdolności lotu, nie powodując przytem żadnej zmiany w kształtach ich części. Lecz jeżeli długi szereg pokoleń tych osobników trzymalibyśmy w ten sposób w niewoli, nie ulega wątpliwości, że ich części ciała uległyby modyfikacyom znacznym. A gdyby nietylko sama niewola, ale i inne okoliczności wpływały na te osobniki, jak np. zmiana klimatu, a nadto gdyby przyzwyczajały się też one do innego rodzaju pokarmu oraz do nowych działań w celu uzyskania tego ostatniego — wówczas okoliczności te, zespolone i utrwalone, spowodowałyby z pewnością powstanie nowej rasy, bardzo swoistej.“

Co się tyczy „okoliczności“, które mogą zmieniać narządy ciał żyjących—mówi dalej Lamarck—to największy wpływ wywiera niewątpliwie różnorodność środowiska, w którym one przebywają; oprócz tego istnieją i liczne inne, które działają też w podobny sposób. Wiadomo, że cała powierzchnia ziemi naszej przedstawia, co do natury i rozkładu materji, w różnych jej punktach różnorodność warunków, związaną wszędzie z różnorodnością ciała zwierząt, a niezależną od różnorodności szczegółowej, wynikającej z postępu w komplikacji ich budowy“. W każdym atoli miejscu, które zwierzęta mogą zamieszkiwać, warunki pozostają przez bardzo długi czas takie same, i zmieniają się chyba tylko tak powoli, że człowiek nie może ich zauważyć bezpośrednio. Tylko dowody pośrednie, np. geologiczne, przekonywują go, że zmieniły się one, że nie były zawsze takie same, a co zatem idzie, że i w przyszłości ulegną zapewne modyfikacji. „A więc i rasy zwierząt, żyjące w każdej z tych miejscowości, muszą też zachowywać, przez równie długi czas zwyczaje swoje; i dlatego to pozornie wydaje nam się, że rasy są stałe, czyli że stałem jest to, co obejmujemy nazwą gatunku (espèce); stąd też błędny pogląd, że owe rasy, tworzące dany gatunek, są równie stare, jak i cała przyroda“.

Lecz w różnych punktach powierzchni globu naszego—rozumie dalej Lamarck—okoliczności czyli warunki zewnętrzne mogą być jaknajbardziej rozmaite. Zwierzęta przeto, zamieszkujące te różne miejscowości, muszą się różnić pomiędzy sobą nie tylko ze względu na skład budowy w każdej rasie, lecz nadto i ze względu na przyzwyczajenia, jakich osobniki każdej rasy musiały nabyć“.

Na podstawie tego, co wyżej powiedziano, badacz francuski stawia niejako trzy następujące tezy: 1-o Każda, znaczniejsza nie-co zmiana, dotycząca okoliczności, w jakich znajdują się odnośne rasy zwierząt, wywołuje na tych ostatnich zmiany realne, co do ich potrzeb. 2-o Każda zmiana w potrzebach zwierząt, wywołuje u nich inne działania w celu zadosyćczynienia nowym potrzebom, a tem samem i innym przyzwyczajeniom. 3-o Każda nowa potrzeba, wywołująca nowe działania w celu zadosyćczynienia im, zmusza dane zwierzę albo do częstszego używania tych części, których przedtem mniej używało, powiększając je i rozwijając, albo też do używania nowych części, które owe potrzeby stopniowo zrodziły, przez siły wewnętrznego czucia (les efforts de sentiment intérieur)“. Tę ostatnią myśl autor wyjaśnia na przykładach, które później przytoczymy.

Podstawą myśli Lamarcka jest nader trafna idea, że naprzód dany organ zaczyna się zmieniać czynnościowo, funkcjonalnie, a dopiero ze zmianą czynności, jako skutek jej, modyfikuje się też budo-

wa i postać narządu. Ideę tę wypowiedział Lamarck jeszcze dawniej w dziele swem p. t. „Recherches sur les corps vivans“ (str. 50); brzmi ona, jak następuje:

„Nie narządy, nie natura i postać części ciała zwierzęcia wytworzyły jego zwyczaje i zdolności poszczególne, lecz przeciwnie, zwyczaje, sposób życia oraz okoliczności, w jakich znajdują się osobniki, wytworzyły z biegiem czasu postać ciała, ilość i stan narządów i wreszcie uzdolnienia zwierzęcia.“

Wszyscy biologowie późniejsi twierdzili również jednoznacznie, iż modyfikacya czynności idzie przed zmianą morfologiczną, strukturalną danego narządu. Pojęcie „przystosowania“ wprowadzone przez Darwina do biologii zawiera w sobie również ową ideę pierwszeństwa czynności, akcji; organizm zaczyna się przystosowywać, dajmy na to, do nowych warunków oświetlenia, oczy jego—jeżeli zamieszkuje np. podziemia—są nieczynne, a ta zmiana funkcyjalna prowadzi do stopniowego zaniku lub wysokiego anatomicznego uwstecznienia narządów odpowiednich.

Otóż ideę tę głęboko zrozumiał, jeden z pierwszych, Lamarck, a niektóre przykłady, przezeń przytoczone, wskazują, jak świetnie zdawał on sobie sprawę z procesów ewolucyjnych, które zachodzą w rozwoju rodowym organizmów. Tak, powiada on, między innymi, że wszystkie niemal zwierzęta ssące posiadają zęby, które należą niejako do planu ich organizacyi, ale liczne walenie czyli wieloryby nie mają ich; zęby zanikły u nich, wskutek przyzwyczajenia się tych zwierząt do innego sposobu pobierania pokarmu w środowisku wodnym, czyli, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, wskutek przystosowania się ich do pewnych odmiennych warunków, a że zęby istniały niegdyś rzeczywiście u waleni, a właściwiej u prarodziców tychże, na to mamy dowód—mówi Lamarck—w obecności zawiązków zębowych u płodu wieloryba: fakt, spostrzeżony poraz pierwszy przez Geoffroy'a, a stwierdzony później wielokrotnie. Lamarck pojmował więc doskonale znaczenie narządów szczątkowych, tymczasowych (prowizorycznych) dla teoryi ewolucyi. Wspomina on o fackie, że u ślepca (*A spalax*), żyjącego, jak kret, pod ziemią, zanikły w znacznej mierze oczy, wskutek nieużywania, tworząc tu tylko szczątki („vestigés“) ukryte pod skórą, a to samo zachodzi też u odmieńca czyli proteusza, zamieszkujące ciemne groty Krainy. Fakta te objaśnia Lamarck przez nieużywanie, „nie ćwiczenie“ narządów wzrokowych. „Światło—mówi on—nie przenika wszędzie; a więc zwierzęta, które żyją zwykle na miejscach, gdzie brak tegoż, nie mają sposobności ćwiczenia swego narządu wzrokowego, o ile przyroda zaopatrzyła je w ten narząd. Zwierzęta tedy, zbudowane według planu organizacyi

w którym oczy są konieczne, muszą je posiadać w związku. Jeżeli więc znajdujemy pomiędzy nimi takie, które nie używają tych organów, a u których występują one jako szczątki ukryte i przysłonięte, wynika z tego najoczywistej, że uwstecznienie lub nawet zanik tych organów—to wynik stałego ich nieużywania.“

Jak doniosłe znaczenie ma używanie organów dla kształtowania się rakowych, tego dowodzą, zdaniem ucznogo francuskiego, liczne bardzo przykłady. Przedewszystkiem uderza nas fakt, że już jeden osobnik, używając w pewnym kierunku danego narządu, może go rozwinąć w ten lub ów sposób, lub też naodwrot, nie ćwicząc pewnych narządów, może je doprowadzić do wysokiego stopnia zaniku. Lamarck przytacza, między innymi, spostrzeżenia M. Tenon'a, który badając przewód pokarmowy u ludzi, oddających się nałogowi pijaństwa, stwierdził, że tenże jest u nich w wysokim stopniu skrócony. Pochodzi to, mniema on, stąd, że pijacy nałogowi pobierają mało stonkowo pokarmu stałego, pożywienie zaś płynne, a zwłaszcza alkohol, nie pozostaje długo ani w żołądku, ani w jelitach, a przeto przewód pokarmowy nie bywa u nich należycie rozciągany przez pokarmy. Jeżeli używanie lub nieużywanie pewnego narządu wywiera nań wpływ modyfikujący w ciągu życia jednego osobnika, to jakież znaczenie ma ten czynnik, gdy działa on na liczne pokolenia osobników! Lamarck przyjmował jako rzecz, nie podlegającą nawet dyskusji, że właściwości, nabywane w ciągu życia osobnika przenoszą się drogą dziedziczności na potomstwo, i dlatego to zasadę używania narządów, odgrywającą ważną rolę w życiu indywidualnym, poczytywał on, najmniejszej nie widząc w tem trudności, za doniosły czynnik ewolucyjny. W dziełach jego nie znajdujemy nawet cienia wątpliwości co do tego, ażali wszelkie właściwości nabywane stają się dziedzicznymi; uważał on to za tak oczywiste, że wszelkie roztrząsania odnośnie, wydawały mu się całkiem zbyteczne. A jednak dzisiaj, jak zobaczymy, ten kardynalny punkt teorii dziedziczności, uległ komplikacji, a mianowicie po pracach Weismanna, który zakwestyionował w wielu wypadkach możliwość odziedziczenia właściwości, nabywanych przez zwierzę w ciągu życia indywidualnego.

W jaki sposób zasada używania w związku ze zmianą przyzwyczajenia i funkcji pod wpływem zmienionych warunków (okoliczności) modyfikuje organizację zwierząt—ilustruje to Lamarck za pomocą licznych, nader interesujących przykładów.

Ptaki, np. zmuszone do unoszenia się na wodzie w celu poszukiwania zdobyczy, rozszerzają palce nóg swoich, gdy pragną uderzać o wodę i poruszać się po jej powierzchni. Skóra, łącząca te palce przy ich podstawie, otrzymuje przez to ustawiczne rozszerzanie pal-

ców właściwość rozciągania się; a więc z biegiem czasu ukształtowały się tym sposobem szerokie błony, łączące palce u kaczek, łabędzi i innych pływaków. Podobne usiłowania w celu unoszenia się na wodzie i pływania spowodowały powstanie błon pomiędzy palcami u żaby, żółwia morskiego, wydry, bobra i t. d. Ptaki natomiast, które żyją na lądzie, które mają zwyczaj siadania na gałęziach i obejmowania tychże palcami nóg swoich, otrzymały w skutek takiego sposobu życia palce długie, silne oraz pazury wydłużone. Ptaki żerujące na bagnach i błotach lub brodzące po płytkich wodach w celu szukania tu zdobyczy „usiłują ze wszech miar unieść swe ciało,“ a wskutek tego nogi ich wydłużyły się, stały się szczudłowate, przyczem szyja musiała się bardzo wyciągnąć i wydłużyć, aby podczas tego brodzenia dziób dosięgnąć mógł zdobyczy.

Sposób objaśnienia powyższych faktów zawiera wobec naszego dzisiejszego pojmowania rzeczy—nieco elementu metafizycznego, wydaje się cokolwiek naiwnym, a pochodzi to stąd, że Lamarck wprowadza owo nieszczęśliwe pojęcie przyzwyczajenia, wnosi jakiś element psychiczny, mówi o *usiłowaniach* danych zwierząt do wykonania pewnych czynności w jakimś określonym celu. Nadaje to cechę nieco metafizyczną tokowi jego rozumowania i nie zadawalnia nas z powodu nie zupełnie mechanistycznego sposobu traktowania czynników rozwoju organicznego. Wszystkie atoli przykłady i dowodzenia Lamarcka byłyby nas zupełnie zadowolniły, gdyby mówił on wprost o *przystosowaniu* się zwierząt do danych warunków; faktem jest, że np. ptaki pływające przystosowane są w całej organizacyi swojej do życia w wodzie; ich pletwy między palcami, krótkie nogi, obecność gruczołu łojowego, którym maszczą swe pióra, puch, ogrzewający ich ciało, dziób, służący do pobierania i cedzenia namułu wodnego, słowem każda część ciała pływaka odpowiada doskonale sposobowi jego życia, warunkom środowiska jego, czyli przystosowana jest do tychże. Pojęcie przystosowania mieszają niektórzy z pojęciem zmienności lub doboru naturalnego, nawet w dziełach Haeckla znajdujemy bardzo często zupełnie niewłaściwie użyty wyraz: „przystosowanie.“ Otóż to ostatnie jest objawem najogólniejszym, bez względu na to, jak sobie będziemy tłómaczyli jego powstanie. Darwin przypisuje, jak wiadomo, genezę przystosowania w przyrodzie głównie działaniu walki o byt i doboru naturalnego, który zachowuje przy życiu osobniki, odznaczające się zboczeniami najbardziej korzystnymi dla nich w danych warunkach. Lamarck natomiast przyjmuje, że fakt przystosowania się organizmów do danych warunków jest wynikiem bezpośredniego wpływu tychże na zmianę pewnych funkcyi u zwierząt, zmiana zaś czynności wywołuje też

odpowiednią stopniową modyfikację w budowie i postaci ciała organizmów.

Myśl tedy przewodnia Lamarcka jest bardzo głęboka i najzupełniej się zgadza z naszymi dzisiejszymi, mechanistycznymi poglądami ewolucyjnymi, błąd zaś tkwi niejako w sposobie przedstawienia myśli tej, we wprowadzeniu pewnych pomocniczych nie zupełnie jasnych pojęć, które gmatwając myśl główną, stały się przyczyną, że przykłady, za pomocą których badacz francuski usiłował zilustrować ideę swoją, przytaczane były często przez późniejszych przyrodników (po Darwinie) z pewnem lekceważaniem.

Toć przecie powszechnie są znane, a dozą komizmu zabarwiane przykłady, jako ilustracye poglądów Lamarckowskich, iż żyrafa, zamieszkująca gaje i usiłująca zawsze dosięgnąć liści na wysokich drzewach, otrzymała „wskutek takiego przyzwyczajenia i usiłowania“ długą szyję i wysokie nogi, że mrówkojad, mając „przyzwyczajenie“ zjadania mrówek i „usiłując“ je wydostawać z mrowisk, otrzymał długi bardzo i giętki język! Klasyczny jest przykład, który tyczy się zwierząt ssących roślinożernych; tutaj idea przystosowania występuje w całej pełni, jakkolwiek Lamarck mówi wciąż o przyzwyczajeniach i usiłowaniach. Przytaczam go w dosłownym prawie przekładzie: „Zwierzę czworonożne, u którego okoliczności i potrzeby... wywołały oddawna zwyczaj skubania trawy, chodzi tylko po ziemi i musi pozostawać większą część życia swego na czworakach..., używa więc ono nóg swoich tylko do podtrzymywania ciała na ziemi, do chodzenia lub biegania, nigdy zaś do wspinania się i łażenia po drzewach“. Wskutek zwyczaju pobierania codziennie wielkich mas pokarmu oraz ruchów powolnych podczas popasania., „zwierzęta te stały się wielkie, o ciężałe, jak np. słonie, nosorożce, bawoły, byki, konie i t. d.“ „Zwyczaj zaś podtrzymywania ciężkiego ciała na czworakach i chodzenia przez cały dzień po ziemi, spowodował, że palce nóg pogrubiały, skróciły się, pokryły się bardzo grubą pochwą rogową (kopyta, racice), a ponieważ palce służą tu tylko do chodzenia, a nie np. do obejmowania przedmiotów (gałęzi, pni), przeto niektóre zupełnie zanikły, tak, że zachowały się u wielu ssaków kopytnych tylko w liczbie dwóch, a nawet jak u konia, w liczbie jednego palca, pokrytego obszernem kopytem“, a znakomicie się nadającego do stąpania po ziemi, trawą pokrytej, np. po stepie. Myśl zasadnicza Lamarcka jest tu bardzo głęboka; choć moglibyśmy ją wyrazić w ten sposób, że zwierzęta kopytne doskonale są przystosowane do warunków, wśród których żyją, zwłaszcza zaś do sposobu pobierania pokarmu swego.

Jak dalece atoli Lamarck opiany był przez ideę swego „usiłowania“, i jak nie mógł on pozbyć się pewnego spekulatywnego sposobu zapatrywania się, dowodzi tego nader wymownie uwaga o genezie rogów przeżuwaczy: „Zwierzęta przeżuwające—powiada on—mogą używać nóg swoich jedynie do podtrzymywania ciała i mają mało sił w szczękach swoich, ponieważ te ostatnie wyćwiczone są tylko w zrywaniu i zuciu ziół; wskutek tego zaś, zwierzęta te mogą walczyć tylko przez uderzania, zadawane głową, kierując wierzchołek tejże ku przeciwnikowi. W przystępie zaś zaciekłości—co często się zdarza—zwłaszcza u samców, ich uczucie wewnętrzne (sentiment intérieur), wskutek owych usiłowań, kieruje energiczniej soki ku tej części głowy, a powstaje tu przeto wydzielanie się (sécrétion) materii rogowej w jednych wypadkach, lub też rogowej, zmieszanej z kostną, w innych, wywołując wyniosłości twarde—zawiązki rogów.“ Widzimy zatem, że Lamarck przypisuje w pewnych przypadkach owym „usiłowaniom“, owym popędem wewnętrznym, czyli czynnikiem psychicznym wprost twórcze, organizujące właściwości, przyjmuje możność przekształceń morfologicznych pod wpływem niejako czynników woli.

Oto poglądy Lamarcka na czynniki rozwoju organicznego. Idee wielkiego uczonego szeroko zostały uwzględnione przez jego następcę w dziedzinie teorii ewolucji, Karola Darwina. Ten ostatni uważał, jak wiadomo, za główny czynnik rozwojowy walkę o byt i dobór naturalny, opierając się na zjawiskach doboru sztucznego, stosowanego oddawna przez człowieka świadomie lub bezwiednie w kulturze roślin i hodowli ras zwierzęcych. Rzecz interesująca, że i Lamarck i Darwin wzięli za punkt wyjścia rasy domowe, widząc w nich przedewszystkiem niezbity dowód plastyczności form organizowanych, zmienności ich oraz rozbieżności cech u postaci potomnych w porównaniu ze szczepami pierwotnymi. Gdy jednak Lamarck ową zmienność cech, oraz wytwarzanie się ras odmiennych, przypisywał wyłącznie zmianie „okoliczności“ czyli warunków, wśród których u różnych ludów i w różnych okolicach globu naszego kształtowały się owe rasy, to Darwin przyjmował, jako czynnik najdonioślejszy, dobór sztuczny, świadomy lub bezwiedny.

Wszelako, jeżeli wogóle za istotny czynnik, przyjmowany przez Lamarcka, uważać będziemy zasadę używania lub nieużywania organów w łączności z warunkami zewnętrznymi—to z czynnikiem tym napotkamy się również w dziełach Darwina, jakkolwiek ten ostatni przypisywał mu tylko rolę dodatkową, podrzędną w obec doboru naturalnego (oraz płciowego), który uznał za główny. Najklasyczniejszy pod tym względem przykład w dziele Darwina „O powstawaniu

gatunków“, tyczy się owadów, które zamieszkując pewne wyspy oceaniczne, utraciły skrzydła. Na wyspach tych panują silne wiatry, ku morzu wiejące; owady zatem, które wiele latają, zanoszone są często przez wiatr na morze i giną tam, te zaś, które częściej prześiadują w zaroślach, w kryjówkach, które rzadziej wogóle latają, mają znacznie większe szanse pozostania przy życiu. Dobór zachowuje tu zatem postaci w jaknajmniejszej zdolności do lotu, a tak w ciągu długiego szeregu pokoleń powstały na wyspach tych przeważnie owady bezskrzydłe lub mające skrzydła szczątkowe. Ale jednocześnie działała tu zasada nieużywania, te bowiem owady, które najmniej latały, nie używały należycie skrzydeł, co doprowadziło do uwstecznienia lub zaniku tych organów. Darwin sam zwraca na to uwagę i powiada, że w tym przypadku działać mógł dobór naturalny łącznie z zasadą nieużywania, a nadto w związku z danymi warunkami zewnętrznymi, w tym razie—wiatrami, ku morzu wiejącymi. Mamy tu zatem zjednoczenie, zespolenie idei Darwinowskiej z Lamarckowską, zasady doboru naturalnego z czynnikiem używania lub nieużywania organów. I w wielu innych miejscach dzieł swoich Darwin zwraca uwagę na doniosłość czynnika Lamarckowskiego, a zapominają snąć o tem bardzo często ci krytycy i komentatorowie Darwina, którzy całkiem błędnie przypisują myślicielowi angielskiemu, iż dla niego istnieje tylko jeden czynnik ewolucyjny—dobór naturalny (a także dla wytłómaczenia ornamentacyjnych właściwości zwierząt—dobór płciowy). Do kwestyi stosunku lamarkizmu do darwinizmu powrócimy jeszcze niżej. Idee Darwina tak zaprzętnęły umysły badaczy w szóstym i siódmym dziesięcioleciu minionego wieku, że przeważna większość zoologów, zwłaszcza młodszych, ulegając tymże, widziała w doborze naturalnym jedyny niemal motor ewolucyjny; zasada natomiast Lamarcka coraz bardziej traciła urok swój. Wszelako niektórzy biologowie, uznając niedostateczność doboru, przeciwstawiali mu zasadę bezpośredniego wpływu warunków zewnętrznych, a tem samem skłaniali się do poglądów Lamarckowskich. Jednym z tych był v. N a e g e l i, który w r. 1884 w słynnym swoim dziele „O mechaniczno-fizyologicznej nauce o rozwoju,“ zwalczał zasadę doboru naturalnego, starał się wykazać pewne słabe jej strony, a zarazem przyjmował, że rozwój organiczny odbywa się pod wpływem w e w n ę t r z n y c h sił, tkwiących w materji, organizowanych i uwarunkowanych przez budowę tejże i czynności fizyologiczne, a także pod wpływem b e z p o ś r e d n i e g o działania warunków z e w n ę t r z n y c h, np. klimatu, światła, natury gruntu i t. d., pod którym to względem hołdował w znacznej mierze idei Lamarcka.

Owo pojęcie przyczyn „wewnętrznych“, sprężyn ukrytych (innere Kräfte, innere Entwicklungstriebe), popędów niejako samorzutnych, tkwiących w materji organizowanej, stanowiących jakby jedną z koniecznych właściwości jej bytu i zmienności w szeregu pokoleń—pojęcie to zaprzętało umysły wielu biologów ku końcowi ubiegłego stulecia. Ale było to tylko omówienie czegoś niewiadomego; tam gdzie brak określonego pojęcia, nauka stawia często wyraz, który jest jednak wówczas pustym tylko dźwiękiem. Takim był też ów termin: „przyczyny wewnętrzne“.

Naegeli wyobrażał sobie, że t. z. idioplazma t. j. zaródź będąca podścieliskiem wszelkich znamion dziedzicznych i warunkująca wszelkie właściwości gatunku i osobnika, ma określoną budowę hypotetyczną (metastrukturę), że składa się z drobnych, organizowanych cząstek, nazwanych micellami, które są zbiorami drobin fizycznych. Pomędzy owymi micellami działają siły swoiste, warunkujące wszelkie objawy życiowe ustroju. Sądził on, że micelle są ułożone szeregami, tworząc jakby nici, które ciągną się przez całe ciało, po przez komórki, a zależnie od tego, jakie siły międzymicellarne kombinują się z sobą ku danemu miejscu, powstaje tu taka lub inna właściwość ustroju. Podczas rozwoju i życia osobnika, owe szeregi micellarne nie zmieniają jakoby wzajemnej konfiguracyi, t. j. na przecięciach poprzecznych układ wzajemny szeregów tych w plazmie (idioplazmie) jest stały. Ale w rozwoju rodowym, dzięki siłom tkwiącym w samej idioplazmie, w związku z wpływami zewnętrznymi, owe szeregi micellarne zmieniają konfigurację swoją, pomiędzy dawne bowiem szeregi wstawiają się inne, nowe, a wskutek tego i nowe też muszą następować kombinacje sił międzymicellarnych, czyli nowe zjawiać się właściwości i znamiona organiczne. Tym sposobem, według Naegelego, podobnie jak z jaja rozwija się osobnik danego gatunku, dzięki siłom wewnętrznym, tkwiącym w idioplazmie jaja, a podczas rozwoju zarodka następuje szereg zmian w ściśle określonym kierunku, prowadzących do wytworzenia danej postaci—tak samo też i w rozwoju rodowym odbywa się w pewnym kierunku szereg zmian, z których każda następująca jest wynikiem poprzedzającej, a które warunkują zmienność postaci organicznych w szeregu pokoleń, czyli rodową ich ewolucję. Tak pojmował Naegeli działanie owych sił wewnętrznych, owych potęg kierowniczych w rozwoju świata organicznego.

Genialna idea Naegelego, że w jaju mieści się właściwie cały gatunek, że np. jajo kury nie jest mniej różne od jaja kaczego ani-

żeli kura od kaczki, albowiem i w jednym i w drugim zawarte są niejako zawiązki wszelkich znamion dziedzicznych jednego lub drugiego gatunku—idea ta miała doniosłe bardzo znaczenie dla kwestyi owych wewnętrznych czynników rozwoju organicznego. Wiadomo, że rozwój zarodka zależy od różnych warunków, a przedewszystkiem od stosunków odżywiania się tegoż w najszerszem znaczeniu tego wyrazu, głównie atoli zawisły jest od określonych tendencji dziedzicznych, tkwiących w idioplazmie (podścielisku cech dziedzicznych) jaja. Dlatego też z jaja każdego gatunku powstaje zawsze osobnik tegoż gatunku, a dzięki różnym warunkom zewnętrznym otrzymywał on może tylko pewne właściwości indywidualne, jakkolwiek większość tych ostatnich dziedzicznie się przenosi od przodków. Tak więc w ogólności mówić możemy o wewnętrznych i zewnętrznych czynnikach rozwoju osobnikowego; ugruntowanie tych pojęć należy się głównie, zdaniem mojem, Naegelemu.

Otóż w embryologii, nauce o rozwoju osobnikowym, owo pojęcie sił wewnętrznych jest zupełnie jasne, mamy tu bowiem na myśli *czynniki dziedziczne*, którym przeciwstawiamy postronne, modyfikujące te ostatnie, a oznaczone nazwą *zewnętrznych*. Rzucą to pewne światło na istotę wewnętrznych czynników rozwoju rodowego, genealogicznego. Każdy gatunek jest produktem całego szeregu innych gatunków, które poprzedzały go w rozwoju rodowym, Jeżeli więc gatunek, dajmy na to, *a* posiada pewien zasób znamion, to te ostatnie są wynikiem całego szeregu znamion u jego przodków, np. *b, c, d, e*. Przy odpowiednich warunkach zewnętrznych, a zarówno też i przy działaniu doboru naturalnego, gatunek *a* może się zmienić w pewien sposób swoisty, ale natura tej zmiany zależną będzie od tego, jakie rodowo dziedziczne właściwości posiada ów gatunek *a*. Jeżeli np. *a* jest produktem życia gatunków *b, c, d, e*, które stopniowo się przekształcały, a *a'*—wynikiem życia gatunków *b', c', d', e'*, które przekształcając się również w określony sposób, wydały *a'*, to przy jednych i tych samych zmienionych warunkach inaczej zmodyfikuje się *a*, a odmiennie *a'*, inaczej zareaguje na zmienione warunki zewnętrzne *a*, inaczej zaś *a'*, bo jeden i drugi zawiera inne dziedziczne właściwości. Tak np. wyobraźmy sobie, że pewne warunki zewnętrzne, łącznie z działaniem doboru, wywołują u pewnych zwierząt niezdolność do lotu; otóż inaczej zareaguje na to np. organizm ptaka, a inaczej ustrój owada; u pierwszego pewne kości szkieletu (skrzydeł) ulegną wstecznemu rozwojowi a wraz z nimi i pewne określone grupy mięśni, naczyń i nerwów; owad zaś, tracąc skrzydła, pozbywa się organów zupełnie odmiennego charakteru, u niego ulegną uwstecz-

nieniu pewne fałdy skórne, zmieni się pokrycie chitynowe, słowem znajdą w nim zmiany zupełnie innej natury anatomicznej. Tak więc należy rozumieć owo kombinowanie się czynników wewnętrznych i zewnętrznych przy rozwoju rodowym, owo współdziałanie sił wewnętrznych i akcji zewnętrznych, zależnych od zmiany warunków otoczenia w najszerszym znaczeniu tego wyrazu.

Ponieważ atoli podczas życia każdego osobnika bezustannie działają pewne warunki, a życie jest ciąglem przystosowywaniem się ustroju do tych ostatnich, możemy przeto powiedzieć, że co z czasem stało się wewnętrznem, t. j. stało się dziedziczną właściwością ustrojów, to było niegdyś uwarunkowane przez czynniki zewnętrzne. Gdyby na ziemi naszej panowały inne zupełnie warunki ciężenia, ciśnienia, oświetlenia, inne stosunki ciepłoty, napięcia elektrycznego i t. d. to niewątpliwie ustroje globu naszego byłyby bardzo odmienne od tych, jakie dziś napotykamy; rozwój rodowy świata organicznego poszedłby niewątpliwie zupełnie inną drogą. Ostatecznie zatem tak czynniki wewnętrzne, dziedziczne, jako też zewnętrzne, po za organizmem działające, sprowadzić można do warunków, śródktórych odbywał się i obecnie się jeszcze odbywa rozwój świata organicznego.

Oto drogą jakich rozumowań biologowie dzisiejsi doszli do wniosku, że jednym z najważniejszych środków do zrozumienia przemiany form organicznych jest dokładna znajomość wpływu na nie warunków, przyczem przez te ostatnie pojmujemy summę bezpośrednich czynników tak zewnętrznych, jako też i ukrytych w samym organizmie. Ponieważ zaś już Lamarck, jak widzieliśmy, nadawał ogromne znaczenie temu czynnikowi, rozbierał wpływ zmienionych „okoliczności“ na organizm roślinny i zwierzęcy, uwzględniał—wprawdzie w sposób niejasny i nie zawsze ścisły—stosunek pewnych wewnętrznych bodźców do owych okoliczności zewnętrznych—przeto ów kierunek w dzisiejszej biologii ochrzczoney został przez niektórych badaczy mianem neolamarckizmu.

Neolamarckiści posługują się w wielu przypadkach metodą o wiele ściślejszą niż niektórzy inni teoretycy-biologowie, dociekający czynników rozwoju. Albowiem obok obserwacji czyli spostrzegania, wprowadzili też oni metodę eksperymentalną czyli doświadczalną, a wielka doniosłość tej ostatniej polega na tem, że możemy wyłączać pewne czynniki, wprowadzać sztucznie zmiany w warunkach i w ten sposób ściślej określać zależność pewnych modyfikacji w ustroju od określonych reakcji zewnętrznych. Ale i tutaj wnioski wyprowadzamy przeważnie na podstawie analogii, pod którym to

względem i sama obserwacja daje wyniki niemniej zadawalniające, a mianowicie o ile posiłkuje się ona metodą porównawczą. To podobieństwo metody porównawczo-obszawacyjnej oraz sposobu wnioskowania na jej podstawie doświadczalnego badania zjawisk, był już zauważył genialny Jerzy Cuvier. A mianowicie, dzielił on umiejętności przyrodnicze, ze względu na dokładność ich metod, na trzy stopnie: „sciences de calcul“, do których zaliczał matematykę, astronomię i pewne części fizyki, „sciences d'expériment“, do których zaliczał chemię i fizykę doświadczalną, oraz „sciences d'observation“, t. j. opisowe nauki przyrodnicze. Ale oto powiada on, że i te ostatnie można przez pewną metodę, a mianowicie porównawczą, podnieść do wyższego rzędu i uczynić je „science d'expériment.“ Podobnie jak fizyolog w laboratorium—mówi Cuvier—tak też i przyroda umieszcza swe zwierzęta w różnych warunkach, jedne wystawia na jasne światło, inne w bezustannej więzi ciemności, jedne trzyma pod silnem ciśnieniem atmosferycznem, inne pod słabem i t. d. i podobnie jak fizyolog skraca albo usuwa ten lub ów narząd, tak też i u zwierząt na łonie przyrody jedne organa silniej się rozwijają, inne zanikają. Przyroda zatem tworzy gotowe „espèces d'expériment;“ należy tylko porównywać i uwzględniać różne warunki życiowe i czynności, aby stąd wyciągać właściwe wnioski.

Neolamarkieci, jak powiedzieliśmy, posługują się w znacznej mierze eksperymentem. Jeżeli pod wpływem jakiegoś sztucznie wprowadzonego bodźca, działającego przez szereg pokoleń, powstanie swoista modyfikacja w budowie danych postaci zwierzęcych, i jeżeli z drugiej strony na łonie przyrody napotkamy analogiczną modyfikację oraz bodźce do pierwszego podobne lub identyczne, będziemy mogli wówczas twierdzić, że znacznym bardzo stopniem prawdopodobieństwa, że na łonie natury dana modyfikacja w budowie powstała jako wynik określonego bodźca lub tych albo innych warunków. Rzecz naturalna, że wnioski takie zyskają na pewności, jeżeli doświadczenie będzie ściśle przeprowadzone i jeżeli obserwacja porównawcza w znaczeniu tej, o jakiej mówi Cuvier, potwierdzi również wyniki eksperymentu.

Jako przykład, wskazujący, ile może zdziałać metoda doświadczalna, oraz jak ważne i pewne osiągnąć ona może wnioski—służyc może szereg badań doświadczalnych nad wpływem temperatury, podczas rozwoju poczwerek, na postać, ubarwienie i rysunek motyli. Nad kwestyą tą pracowało w nowszych czasach wielu badaczy, a sądzę, że nieco szczegółowsze przedstawienie wyników odnośnych da czytelnikowi właściwe pojęcie o charakterze neolamarkistów oraz

o stosunku doświadczeń i wniosków z nich wyprowadzanych do zagadnień teoretyczno-ewolucyjnych.

Już w r. 1845 ogłosił D o r f m e i s t e r pracę, w której doszedł do wniosku, iż przy powstawaniu odmian motyli daleko ważniejszą rolę odgrywa klimat, a zwłaszcza temperatura, aniżeli jakość pokarmu lub krzyżowanie. Doświadczenia jego wykazały, że u wielu motyli, poczwarki, podlegające działaniu wyższej temperatury rozwijają się w motyle o jaśniejszem, żywszem ubarwieniu, natomiast te, na które działa niższa, dają motyle o wyraźnie ciemniejszej barwie skrzydeł. Wkrótce potem A. W e i s m a n n odkrył t. z. dwukształtność (dyformizm) sezonową, t. j. zjawisko, polegające na tem, że pewne gatunki naszych motyli występują w dwóch postaciach różnych pod względem ubarwienia i rysunku, t. z. letniej i zimowej. Tak np. jedna z pospolitych naszych rusalek występuje jako t. z. *Vanessa levana*, rozwijająca się z poczwarek, które przezimowały, te ostatnie zaś są potomstwem postaci, które latają w lecie, t. z. *Vanessa prorsa*. Motyl ten ma podwójną nazwę gatunkową *Vanessa levana prorsa*, a to z tego powodu, iż dawniejsi badacze, nie znając owej dwukształtności sezonowej, przypuszczali, że postaci zimowe i letnie przedstawiają dwa całkiem różne gatunki, zwłaszcza, iż istotnie wyglądają bardzo odmiennie. Widzimy zatem, że podczas gdy *V. levana* rozwija się w zimnej porze roku, *prorsa*, przeciwnie osiąga swój rozwój podczas ciepłych miesięcy. Otóż, Weismann zadał sobie pytanie, ażali różnice temperatury nie wywołują odmiennego ubarwienia i rysunku u obu odmian. Przedsięwziął też szereg doświadczeń; a mianowicie próbował przez sztuczne podwyższenie temperatury w zimie otrzymać z potomstwa *V. prorsa* znów *V. prorsa*, naodwrot zaś przez obniżenie ciepłoty podczas lata—otrzymać z potomstwa *V. levana* znów pokolenie *V. levana*. Pierwszy szereg doświadczeń udał się tylko połowicznie, z czterdziestu bowiem poczwarek *V. prorsa*, hodowanych w temperaturze 12 do 25° R, tylko trzy wylęły się na wiosnę jako znowu *V. prorsa*, większość zaś miała ubarwienie *V. levana*. Natomiast drugi szereg doświadczeń, a mianowicie próba otrzymania postaci *V. levana* z tejże odmiany—uwieńczone zostały lepszym znacznie wynikiem. Poczwarki hodowane były w lodowni raz przy 8°—10° R, drugi raz przy 0°—1° R. W pierwszym przypadku, gdzie temperatura użyta do doświadczeń, okazała się jeszcze za wysoką, otrzymał Weismann zamiast *V. prorsa*, (która wedle stosunków w naturze zachodzących powinna być powstać) jedną postać przejściową pomiędzy *V. levana* i *V. prorsa*, w drugim zaś, na 20 poczwarek—aż 15 postaci przejściowych, z których kilka było ludzako podobnych do *V. levana*. Lepiej udały się doświadczenia z pospo-

litym motylem bielinkiem (*Pieris napi*). Postaci letnie i zimowe tego motyla, latające u nas jedną latem drugą wiosną, udało się wytworzyć zoologowi frejburskiemu przez sztuczną zmianę ciepłoty, w której legły się poczwarki.

W nowszych czasach napotykamy cały szereg badań w tym kierunku; poszukiwania Dorfmeistra, E. Fischra (*Transmutation der Schmetterlinge infolge Temperaturänderungen. Experimentelle Untersuchungen über die Phylogese der Vanessen. 1894*), Frings'a, a zwłaszcza M. Standfussa (*Experimentelle zoologische Studien mit Lepidopteren. 1898*), A. Weismanna (*Neue Versuche zum Saisondimorphismus der Schmetterlinge 1895*) i wielu innych nagromadziły całą skarbnicę niezmiernie interesujących faktów, które dowodzą bezpośredniego wpływu temperatury na powstawanie różnych odmian motyli, napotykanych w przyrodzie. Jest to jedna z najbardziej interesujących dziedzin zoologii doświadczalnej, stanowiąca ważny przyczynek dla neolamarckizmu współczesnego.

Szczególniej ważne są poszukiwania Standfussa, któremu udało się przez działania ciepła i zimna przeobrazić postaci lokalne pewnych gatunków motyli w odmiany właściwe okolicom południowym, względnie północnym. Tak np. przekształcił Standfuss postać *Papilio podalirius* z Walii przez działanie ciepła w odmianę *zanclus*, latającą w stanie naturalnym w Neapolu i na Sycylii. A to samo powtórzył później Frings z poczwarkami tegoż gatunku w Niemczech, otrzymawszy przez hodowlę tych poczwarek w wyższych temperaturach, odmiany południowe. Podobnie też udały się doświadczenia z poczwarkami znanego motyla środkowo-europejskiego, zwanego „jaskółczym ogonem“ (*Papilio Machton*), a mianowicie otrzymano z nich przez działanie ciepła odmiany południowo-europejskie, syryjskie i turkestańskie. Z drugiej zaś strony przez hodowlę w niższej temperaturze poczwarek rusałki pokrzywowej (*Vanessa urticae*) z Zurichu otrzymano odmianę, latającą w Japonii (*Van. polaris*), podczas gdy tenże gatunek pod wpływem wyższej temperatury przekształcił się w odmianę znaną w Korsyce i Sardynii (*Vanessa urticae* var. *ichnusa*). Także poczwarki wielu innych, znanych powszechnie na szczych rusałek dziennych, np. admirała, pawika, żałobnika, rozwijają się w odmiany, właściwe krajom północnym, względnie południowym, zależnie od tego, czy poddajemy je sztucznie działaniu wyższej, czy też niższej temperatury.

Powyższe doświadczenia mają ogromną doniosłość dla teorii ewolucji. Okazuje się z nich, że temperatura jest w danym wypadku owym czynnikiem zewnętrznym, który wywołuje pewne zboczenia

w ubarwieniu i rysunku skrzydeł, a co ważniejsze, że postaci klimatu umiarkowanego przekształcają się pod wpływem tego czynnika w południowe lub północne. Prosty z tego wniosek, że i na łonie natury, postaci pochodzące od wspólnych przodków, w miarę jak osiedlały się w krańcach bardziej północnych lub południowych, jak podlegały działaniu wyższych lub niższych temperatur w różnych klimatach, przeobrażały się w formy swoiste, znane dziś jako odmiany południowe, względnie północne. A wniosek ten możemy z tem większą wyprowadzić pewnością, iż badania Standfussa i Fischera wykazały nadto, że cechy nowonabyte pod wpływem owego sztucznie wprowadzonego czynnika, są dziedziczne, czyli że się przenoszą na potomstwo; odmiany o charakterze postaci południowych lub północnych, otrzymane doświadczalnie z form klimatu umiarkowanego, przenoszą na potomstwo znamiona swoje. Fakt ten nie tylko przemawia w wysokim stopniu za prawdopodobieństwem powstania odmian rzeczonych przez bezpośrednie działanie klimatu, ale ma też znaczenie ogólniejsze, bo stanowi nowy dowód przeciwko przypuszczeniu Weismanna, jakoby cechy nabywane w życiu indywidualnem nie były nigdy dziedziczne. W przypadku bowiem przez nas omawianym widzimy, że przeciwnie, znamiona nabyte przez rodziców w ich życiu osobnikowym, a mianowicie pod wpływem zmienionych warunków, przenoszą się na potomstwa.

Dla teorii neolamarckistycznych, przyjmujących za najważniejszy czynnik ewolucyjny: działanie warunków otoczenia na szeregi pokoleń danych ustrojów – dla teorii przytoczone wyżej wyniki mają ogromne znaczenie, a nadto doskonałe, sędzę, ilustrują doniosłość eksperymentu w dzisiejszym neolamarckizmie i wykazują zarazem możność wyprowadzania wniosku, co do pochodzenia pewnych postaci w przyrodzie na podstawie wyników eksperymentalnych.

Nie wszystkie wprowadzie fakta odnośne są dla nas dotychczas zupełnie jasne ze stanowiska teorii ewolucyi. Tak np. Fischer przekonał się, że poczwarki rusalki pokrzywowej (*V. urticae*), hodowane w temperaturze $+ 38^{\circ} \text{C}$, rozwijają się w odmianę południowo-europejską (*var. ichnusa*), gdy natomiast trzymane w wyższej jeszcze temperaturze, a mianowicie $+ 40$ do 41°C ., dają początek odmianie podobnej do postaci północnej (*v. polaris*). Doświadczenie to poucza nas, że zbyt wysokie temperatury działają na rozwijające się poczwarki równie hamująco, jak i zbyt niskie i że w rezultacie w obu tych przypadkach powstają postaci polarne, wynik niewątpliwie bardzo interesujący, ale nieco trudny do wyjaśnienia. Z doświadczeń podobnych okazuje się, że wogóle działanie chłodu i wielkiego mro-

zu jest jednakowe, lecz wpływ ciepła i gorąca jest odmienny, ostatnie bowiem działa w taki sam sposób, jak temperatura bardzo niska. Inną trudność nastęrcza fakt, iż w pewnych przypadkach zbyt wysokie ciepło lub zimno powoduje powstawanie postaci, które w naturze napotyka się bardzo rzadko. Tak np. poczwarki żałobnika, hodowane w niskich temperaturach, rozwijają się w postaci pozbawione oczu. Fakt ten trudno sobie objaśnić, ale ostatecznie jest on niezmiernie interesujący w obec tego, że widzimy tu bezpośredni wpływ temperatury na zanik pewnego organu.

Nieco szczegółowiej zatrzymaliśmy się nad powyższemi pracami, aby dać czytelnikom właściwe wyobrażenie o kierunku prac neolamarckistów w pewnych dziedzinach zoologii, i aby wykazać, ile światła rzucają doświadczenia tego rodzaju na różne problemata w dziedzinie teorii rozwoju.

Badania powyższe, jak i liczne inne, podobne, bezpośrednio dowodzą wpływu warunków zewnętrznych na przemianę postaci organicznych. Neolamarckiści opierają się jednak nadto na licznych innych zdobyczach współczesnej biologii, zwłaszcza zaś t. z. mechaniki rozwojowej, które pośrednio dowodzą owego wpływu.

Pomiędzy rozwojem zarodka i rodu istnieje wielka analogia. Podobnie jak w rozwoju osobnika, punkt wyjścia stanowi jedna komórka (jajo), które dzieląc się, wytwarza skupienia komórek, różnicujących się na pewne określone grupy i podobnie jak przez ową zasadę różnicowania się powstają kolejne etapy rozwojowe, o coraz to większej komplikacji—tak też i w rozwoju rodowym z istot jednokomórkowych wytworzyły się postaci wielokomórkowe, pośród których drogą ciągłego różnicowania się występowały postaci o coraz większej komplikacji w budowie. T. z. prawo biogenetyczne stwierdza nawet w bardzo wielu przypadkach, że kolejne zmiany pewnych narządów embryonalnych odbywają się taką samą drogą, jak w rozwoju rodowym, że kolejne etapy rozwojowe u osobnika i w rodzie mniej lub więcej sobie odpowiadają.¹⁾ Jak to już powiedzieliśmy wyżej, w rozwoju osobnika odróżnić możemy dwa szeregi czynników rozwój ten markujących: wewnętrzne i zewnętrzne („die inneren und die äusseren Factoren der organischen Entwicklung“, jak je nazywają badacze niemieccy). Wewnętrzne — są to czynniki dziedziczne, przywiązane do materji, stanowiącej podścielisko znamion przenoszących się w spadkobierstwie z przodków na potomków, zewnętrzne są uwarunkowane przez wpływy otoczenia, wśród którego zarodek się rozwija, zwłaszcza zaś

1) Pt. „Szlakami wiedzy“ 1904. Rozdz. p. t. „Prawo biogenetyczne.“

przez różne bodźce (Reize), które ustawicznie działają na ustrój i wywołują w nim rozmaite reakcje czynnościowe i strukturalne. Otóż, wobec wielkiej analogii pomiędzy procesami rozwoju osobnikowego i rodowego, neolamarckiści przypuszczają, że i ten ostatni uwarunkowany jest przez czynniki wewnętrzne i zewnętrzne, przez przyczyny tkwiące w samej materii organizowanej oraz przez wpływy warunków zewnętrznych, bodźce świata otaczającego. Biologia lat ostatnich dostarczyła bardzo wielu faktów, dowodzących, że na rozwój osobnika wywierają wpływ doniosły czynniki zewnętrzne; fakta te stanowią tedy pośredni dowód na korzyść neolamarckizmu.

Tak np. stwierdzono, że rozwój barwika w skórze zwierząt, warunkującego koloryt tychże, zależy w wielu bardzo przypadkach bezpośrednio od stosunków oświetlenia, działanie zaś to bywa bardzo rozmaite w zależności od natury danych organizmów, a więc od wewnętrznych ich właściwości biologicznych, dziedzicznie nabytych. Ubarwienie zatem można uważać z tego względu za rezultat współdziałania czynników wewnętrznych i zewnętrznych. Niewątpliwie wszakże w rozwoju jego odgrywał także ogromną rolę dobór naturalny i płciowy, które to czynniki pozostawiamy jednak w tej chwili na uboczu, zaznaczając tylko doniosły ich współdział. Oto niektóre fakta odnośne. Według badań Flemminga i Fischela młodociane postaci jaszczurów (salamander), trzymane w półcieniu, stają się silnie zabarwione, hodowane zaś w świetle, otrzymują barwę bladą, a to wskutek tego, że barwik w tym ostatnim wypadku słabiej się rozwija, a komórki barwikowe skóry (zawierające ziarenka barwika) stają się drobne i pozbawione wyrostków. U niektórych zarodków ryb powstają pod wpływem światła liczne, czarne i czerwone komórki barwikowe, które czynią zwierzątko zupełnie nieprzezroczystem. Liczne zwierzęta, zamieszkujące ciemne miejsca, tracą barwik, np. pewne pająki jaskiniowe lub odmieńce (proteusze) w grotach Postojny (Adelsbergu). Te ostatnie świeżo z groty wydobyte są bezbarwne, cieliste, ale wystarczy hodować je przez kilka tygodni, albo niekiedy w oświetlonych naczyniach szklanych, aby przybrały barwę ciemno-brunatną, prawie czarną.¹⁾ Fakta takie przemawiają w wysokim stopniu za tem, że w biegu rozwoju rodowego pewne swoiste ubarwienia zwierząt rozwinęły się również pod wpływem bez-

1) Takiej barwy odmieńce posiadam w laboratorium swoim we Lwowie, gdzie żyją lat kilka w oświetlonych akwaryach; przywiezione, były całkiem bezbarwne.

pośredniego działania światła, pod działaniem pewnych swoistych warunków oświetlenia.

Nader interesujący szereg faktów przytoczyć można ze względu na warunki odżywiania, na skład chemiczny pokarmów. Botanicy znają niezliczoną ilość przykładów odnośnych; natura gruntu, chemiczny skład gleby, działają modyfikująco na rośliny, powodują znaczne nieraz zmiany w ubarwieniu liści, grubości tyczke, w ogólnym wyglądzie roślin, dotyczącym ich rozmiarów i ustosunkowania w rozwoju poszczególnych organów. Co się tyczy zwierząt, to przytoczymy, dla przykładu, następujące fakta. Koch próbował przyzwyczaić gąsienice pewnych motyli—przodek do innego pokarmu, aniżeli zwykle pobierają. Próby uwiecznione zostały bardzo pomysłnym skutkiem, a okazało się przytem, że motyle wylęgnięte z poczwerek, których gąsienice odmiennym żywiły się pokarmem, miały też ubarwienie bardzo różne od zwykłego. Możemy tedy przypuścić, że gdy pewne zwierzęta, zniewolone np. głodem, przenoszą się do innych miejscowości i tu przystosowują się do odmiennego pokarmu, ten ostatni może między innymi wpłynąć na zmianę ubarwienia zwierząt tych. I inne zresztą fakta wskazują na możliwość zmiany kolorytu pod wpływem różnego pożywienia. Tak np. krajowcy w nadbrzeżnych okolicach rzeki Amazonki, karmiąc zwykłą tam papugę zieloną, *Chrysotis festiva*, tłuszczem wielkich ryb sumowatych powodują pojawianie się na ciele tej papugi plam czerwonych i żółtych. Wallace opisuje, że Indianie Ameryki południowej zmieniają barwę piór wielu ptaków, zaszczepiając do świeżej rany mleczną wydzielinę skóry małej ropuchy tamtejszej; pióra otrzymują często błyszczącą barwę żółtą. We wszystkich tych przypadkach zmiana ubarwienia występuje pod wpływem pewnych swoistych związków chemicznych, wprowadzanych przez pokarm lub przez zaszczepienie do krwi danych zwierząt. Środki chemiczne mogą także modyfikować pewne procesy rozwojowe. Herbst np. wykazał, że jeżeli do wody morskiej, w której znajdują się zarodki jeżowców, dodamy małej ilości soli litowych, wówczas listek zarodkowy wewnętrzny (entoderma), tworzący jelito larwy, nie pozostanie jak zwykle, wpuklony do wnętrza, lecz wypukli się na zewnątrz; są to postaci, nazwane przez niego „Lithium—Larven.“ Znamy też cały szereg innych jeszcze faktów analogicznych, świadczących wymownie o bezpośrednim, kształtującym znaczeniu różnych środków chemicznych. Możemy stąd wyciągnąć wniosek, że jeżeli dane środki chemiczne, zawarte np. w glebie lub w wodzie, działać będą na pewne organizmy w ciągu bardzo długiego szeregu pokoleń, wywołają one w budowie ustrojów tych, pewne znaczne modyfikacje, które stać się mogą

wreszcie dziedzicznymi. Oto przykłady pośrednich niejako dowodów, przemawiających na korzyść teorii neolamarckistycznych.

Nie mogę wreszcie pominąć jeszcze jednego przykładu z dziedziny dzisiejszej mechaniki rozwojowej, znakomicie ilustrującego nam, w jaki sposób fakta tej ostatniej zastosować się dają do teorii neolamarckizmu. Jaja różnych kręgowców zawierają rozmaitą ilość t. z. żółtka odżywczego czyli deutoplazmy, stanowiącej materiał pokarmowy dla zarodka i zachowującej się podczas rozwoju tegoż zupełnie biernie, w przeciwstawieniu do czynnej protoplazmy. W jaju np. ssaków deutoplazma występuje w stosunkowo bardzo małej ilości, przyczem jest ona równomiernie rozmieszczona (w postaci drobnych ziarenek) wewnątrz protoplazmy; w jaju żab jest jej znacznie więcej i zajmuje ona przeważnie jeden biegun, podczas gdy drugi zajęty jest przeważnie (nie wyłącznie) przez protoplazmę. W jajach gadów, ryb i ptaków żółtka odżywczego jest bardzo wiele i znajduje się już ono jedynie na jednym biegunie jaja, podczas gdy drugi zajęty jest wyłącznie przez protoplazmę. Od różnego sposobu rozmieszczenia materiału odżywczego wewnątrz jaja, zależy sposób dzielenia się (brózdowania) tegoż podczas rozwoju zarodka. Żółtko odżywcze jest zawsze cięższe niż protoplazma, dlatego też jajo układa się zawsze biegunem żółtkowym do dołu, twórczym zaś do góry. Tak tedy i jaja żabie układają się w skrzeku, do wody złożonym, biegunami odżywczymi ku górze. Skoro umieścimy jaja żabie w maszynie odśrodkowej (centryfugalnej) i zaczniemy je szybko obracać, wówczas wskutek siły odśrodkowej możemy wywołać całkowite odgraniczenie obu rodzajów zawartości jajowej t. z. deuto—i protoplazmy, jako substancyj posiadających różny ciężar gatunkowy. W ten sposób można sztucznie przez to rozmieszczenie przekształcić jajo żabie w podobne do rybiego lub gadziego, gdzie obie substancje są całkowicie od siebie odgraniczone, a jajo takie rozwija się pod wielu względami w odmienny sposób, ponieważ inaczej się dzieli (brózdkuje). Otóż, Oskar Hertwig, który wykonał to doświadczenie, wyprowadza stąd wniosek, że gdyby ziemia nasza była planetą znacznie większą, aniżeli jest istotnie, a więc gdyby i siła ciężenia była na niej większą, wówczas jaja niektórych zwierząt, jak np. żab, przekształciłyby się musiały (jak w powyższym doświadczeniu z maszyną odśrodkową, gdzie siłę ciężenia zastępuje—odśrodkowa) w jaja podobne do gadzich lub rybich, a przeto i rozwój tych zwierząt przebiegałby musiał inną drogą. Tak więc mamy dowód pośredni, że nawet budowa jaj i rozwój ich zawisłe są od takiego czynnika zewnętrznego, jak siła powszechnego ciężenia, że w ewolucji świata organicznego ten czynnik odgrywać musiał bezpośrednie działanie na

kształtowanie się postaci zwierzęcych, podobnie zresztą jak stwierdzono to również ze względu na rośliny, gdzie działanie to występuje jeszcze znacznie wybitniej.

Przytoczone wyżej przykłady bezpośrednich oraz pośrednich dociekań w dziedzinie neolamarckizmu wystarczają, sądzę, aby dać czytelnikowi właściwe pojęcie o kierunku odnośnych badań. Z kolei musimy jeszcze rozpatrzyć nieco bliżej stosunek neolamarckizmu do darwinizmu w ściślejszym znaczeniu tego wyrazu czyli do teorii doboru naturalnego. Otóż darwinizm objaśnia, jak wiadomo, genezę pożytecznych przystosowań w przyrodzie organicznej; wszelka zmiana, która okazuje się korzystną dla osobników w walce o byt, zachowywaną jest i potęgowaną przez dobór naturalny, natomiast indywidua z modyfikacjami niekorzystnymi ulegają w walce tej, giną. Tak powstają liczne, pożyteczne przystosowania organizmów, które, jako pojawiające się przy pośrednictwie doboru, nazwać możemy przystosowaniami pośrednimi. Widzieliśmy atoli, że liczne właściwości ustrojów powstają także niewątpliwie pod wpływem bezpośredniego działania warunków zewnętrznych; jedne z tych właściwości mogą być zupełnie obojętne dla życia organizmów, np. pewne plamki barwikowe u motyli powstające pod wpływem odmiennego sposobu odżywiania się gąsienic; inne atoli mogą być szkodliwe lub naodwrot pożyteczne w walce o byt. Tego rodzaju przystosowania można oznaczyć nazwą *be z p o ś r e d n i c h*, ze względu na ich genezę, a o ile okazują się one korzystnymi dla osobników, podlegają dodatkowo też działaniu doboru. Można by powiedzieć, że dobór zapewnia egzystencję tym osobnikom, które pod wpływem warunków zewnętrznych lub oddziaływań współczynnych wewnątrz samego ustroju, otrzymały pewne bezpośrednie przystosowania pożyteczne. Darwin, jak już zaznaczyliśmy wyżej, przyjmował możliwość takich przystosowań bezpośrednich, np. nie wyłączał ewentualności, że gęste futro wielu zwierząt polarnych mogło być wywołane przez bezpośrednie działanie chłódów, które pobudzały w ciągu wielu pokoleń skórę danych gatunków do pewnych czynności; sądził on atoli, że prawdopodobniej w przyrodzie występują przystosowania pośrednie, osiągnane na drodze doboru naturalnego. W dziele Darwina o zmienności zwierząt i roślin pod wpływem udomowienia, czytamy np. ustęp: „Możliwym jest, że łapy naszych psów wodołazów oraz owych psów amerykańskich, które wiele biegają po śniegu, dlatego w części opatrzone są błoną łączną, iż na palce ich działał wciąż bodziec, który je rozstawał... ale któż dociecze, o ile gęste futro zwierząt polarnych oraz białe ich ubarwienie zależy od bezpośredniego działania ostrego kli-

matu, o ile zaś od zachowywania się osobników najodpowiedniej uposażonych w ciągu długiego szeregu pokoleń?

Wielu bardzo, a bodaj czy nieznaczna większość biologów współczesnych przyjmuje również, a nawet w większym jeszcze stopniu niż Darwin, powstawanie bezpośrednich przystosowań. Prof. L. Plate („Ueber die Bedeutung des Darwin'schen Selectionsprincipis und Probleme der Artbildung.“ 1903) wyraża się o tej kwestyi w sposób następujący: „Zdaje mi się, iż niepodobna wątpić o istnieniu przystosowań bezpośrednich, jakkolwiek w wypadkach poszczególnych nie można nigdy stanowczo orzec, czy dana modyfikacya odbyła się drogą bezpośrednią, czy też pośrednią... Błona lotna u workolota (*Galeopithecus*) mogła powstać przez bezpośredni bodziec, współczynnik występujący wskutek rozstawiania ramion podczas skoków. U wielorybów woda mogła bezpośrednio działać na skórę i na podskórną tkankę łączną, wywołując utratę włosów i rozwój warstwy tłuszczowej. Dla świata roślinnego wykazał G. Bonnier, że jeżeli pewną grupę gatunków równinowych uprawiać będziemy w Alpach, to otrzymają one w krótkim czasie znaną, celową budowę, właściwą roślinom górskim. Liście staną się mniejsze, grubsze, mocniejsze, o budowie bardziej spoistej, uboższe w powietrze, obfitsze w zieleń barwy ciemno-zielonej. W tym samym czasie będą one rozkładały znacznie więcej dwutlenku węgłowego, aniżeli odpowiednie narządy u roślin równinowych. Będą one doskonale przystosowane do wspańskiego światła i krótkiego lata alpejskiego. Hulton (1899) podaje, że dydelf z Tasmanii, przeniesiony na południową wyspę Nowej Zelandyi, otrzymał gęstsze owłosienie wskutek klimatu chłodniejszego. Prof. Plate przyjmuje wszelako, że bardzo złożone przystosowania nie mogły powstać na tej drodze, na co najzupełniej należy się zgodzić. Wprawdzie już Naegeli (*Mechanisch-physiologische Abstammungslehre*, 1884) oraz później G. Pfeffer (*Die Umwandlung der Arten auf Grund des Ueberlebens eines verschieden gearteten Durchschnitts je nach dem Wechsel der Lebensbedingungen*, 1894) próbowali objaśnić złożone przystosowania przez bezpośrednie działanie warunków, np. Naegeli przyjmował, że bardzo złożone wzajemne przystosowania w budowie kwiatów i owadów powstać mogły przez bezpośrednie oddziaływanie wzajemne jednych na drugie—wszelako objaśnienia tego rodzaju nie wytrzymują ścisłej krytyki. Dotychczas tedy jedyne, do pewnego stopnia zadawalniające wytłómaczenie owych skomplikowanych, pożytecznych urządzeń czyli przystosowań w przyrodzie, daje nam tylko teoria doboru naturalnego.

Wszelako niektórzy biologowie dzisiejsi, będący bezwzględniymi wyznawcami darwinizmu (t. j. teorii doboru naturalnego), nie

przyjmują po większej części przystosowań bezpośrednich. Do nich należą np. August Weismann, Wallace, Spengel i inni. Są to t. z. neo-darwiniści, albo raczej ultra-darwiniści. Doskonale formułuje odnośny swój pogląd Prof. Spengel w świetnym szkicu p. t. „Zweckmässigkeit und Anpassung“ (Giessen. 1898). Oto pisze on np.: „Oczywiście, ani pojawienie się pokładu tłuszczowego, ani zanik sierści u wieloryba nie mogły być wywołane przez wpływ wody morskiej na te części, ani też przez używanie... Udało się wprawdzie, w ostatnich zwłaszcza czasach, przez zastosowanie systematycznych doświadczeń, wykazać pewne stałe i w części bardzo złożone działania wpływów zewnętrznych. Przypuszczam więc nawet, że liczne właściwości zwierząt i roślin powstają zawsze i stałe tylko na tej drodze. Jeżeli pewne wpływy trwają podczas rozwoju zwierzęcia lub zostają zastąpione przez inne, to wskutek tego odpowiedni osobnik pod pewnymi względami różni się od innych osobników gatunku swego. Lecz przystosowania nie tworzą się na tej drodze. Nie mamy żadnej podstawy do przyjęcia tego.“ Podobnego zdania jest też Weismann, który twierdzi, że pewne bezpośrednie bodźce i wpływy zewnętrzne, działają przez długi czas na t. z. plazmę zarodkową t. j. substancję będącą przenosicielką cech dziedzicznych, mogą zmieniać plazmę tę i spowodować pewne modyfikacje w organizacyi zwierząt i roślin, ale że zmiany te nie są po największej części właściwemi przystosowaniami, noszącemi znamiona urządzeń pożytecznych; te ostatnie bowiem powstawać mogą jedynie drogą pośrednią, przez działanie doboru naturalnego. Weismann i zwolennicy jego poglądów upatrują dalej szkopuł w teorii neolamarckizmu w tem, że ta ostatnia przyjmuje bez zastrzeżeń odziedziczenie cech nabywanych w ciągu życia osobników, bo skoro przyjmujemy, że np. pewien stały bodziec zewnętrzny modyfikuje w ciągu pokoleń organizację danego gatunku, to tem samem musimy przypuścić, iż każda drobna właściwość nabyta przez osobnik wskutek wpływu owego bodźca, staje się odrazu dziedziczną i przenosi się na potomstwo. Weismann atoli sądzi, że takie zmiany nabywane w ciągu życia osobnika nie są po większej części dziedzicznymi, bo modyfikacje pewnych organów lub części tychże, nie udzielają się plazmie zarodkowej, głęboko ukrytej w organizmie, w jego komórkach rozrodczych. Podobnie jak okaleczenia lub zranienia zadawane osobnikowi, nie odbijają się na jego plazmie zarodkowej i nie udzielają się przeto potomstwu, tak i inne też modyfikacje organiczne, nabywane przez indywiduum, nie są po większej części dziedzicznymi. To twierdzenie Weismanna nie jest jednak dotychczas dowiedzionem; owszem, pewne

fakta wykazują jaknajdowodniej możność odziedziczania znamion nabywanych, a stanowczo przyjąć już musimy dziedziczne przenoszenie się cech, które powstały przez bardzo długotrwałe działanie pewnych bodźców w ciągu nader długiego szeregu pokoleń. Wkraczamy tu zresztą w dziedzinę jednego z największych problemów dzisiejszej teorii dziedziczności, którego ostateczne rozwiązanie należy do przyszłości. Ona też wykaże ściślej stosunek neolamarckizmu do darwinizmu.

Prof. D-r JÓZEF NUSBAUM.

TWÓRCA i TŁUM.

Wyrobiło się pojęcie o zasadniczym, nieomal wrogiem przeciwieństwie między twórcą i tłumem. Z głosów, które się w tej sprawie odzywają, z określenia zobopólnych stanowisk i dążeń, zdawałoby się mogło, iż są to dwa wrogie gatunki, skazane na walkę ze sobą na śmierć i życie, bez nadziei zresztą ostatecznego i decydującego zwycięstwa.

Oczywiście, pojęcia w tej sprawie są ogromnie poplątane, nie tyle może z powodu istotnych różnic w zapatrywaniach, ile z niustalenia poprostu takich pojęć, jak tłum lub twórca. Dla tego też, chcąc choć w przybliżeniu ocenić wzajemny ów wrogi stosunek, należy odnaleźć istotne różnice we właściwościach tych dwóch sił i ich przeciwieństwach.

Tę sprawę, nie siląc się zresztą na sięgnięcie do ostatecznego rdzenia rzeczy, który może nie dałby się zgłębić, spróbuję rozpatrzyć, roztrzásając właściwości obojga grup, by na zasadzie tych właściwości wynaleźć punkty styczne i wzajemność oddziaływania.

Cóż to jest twórca? Nie zamykając się na razie w granicach twórczości artystycznej, odnaleźć chcę właściwości stałe organizacyi twórczej, jako warunku, która wytwarza różnice gatunkowe wśród ludzi.

Sądzę, iż właściwością organizacyi twórczej nie jest nic innego, tylko spotęgowana siła intelektualna, tak, iż różnice w rzeczywistości są tylko ilościowe, a dopiero warunki zewnętrzne otoczenia wpływają na wytwarzanie się różnic jakościowych. Każda istota żywa posiada w granicach, koniecznych do jej istnienia, pewną siłę intelektualną, w której znów mieści się cząsteczka, stanowiąca ów pierwiastek twórczy. Mniejsza w tej chwili o nazwę przyrodniczą, jakoby należało ową zdolność oznaczyć. Przechodząc od zwierząt do człowieka, widzimy już doskonale wpływ i znaczenie owego pierwiastku w stanie gromadnym, przebiegając myślą znaczenie i udział ras i epok w rozwoju cywilizacyjnym i kulturalnym. Widzimy, oceniając na zasadzie osiągniętych rezulta-

tów, rasy małowórcze, jak gdyby złodowaciałe w stanie przewlekłego biologicznego bezwładu, dalej rasy średniotwórcze i rasy genialne, przepojone niby żywicą, swoją bujnością twórczą. Analizując je jednak i zestawiając między sobą, nie odnajdujemy pomimo to żadnych różnic jakościowych. Przechodząc z kolei do jednostek, w dalszym ciągu dostrzegamy tylko te same różnice ilościowe w organizacyi intelektualnej. Przeciętna energia intelektualna człowieka, ta, która mu pozwala zająć wszechwładne stanowisko nad wszelkiem innym stworzeniem ziemi, właśnie na zasadzie swej przewagi ilościowej, stanowi ów poziom konieczny do utrzymywania się na stopniowo zdobytem stanowisku zwierzchniczem. Przeciętny umysł, nawet w środowisku najbardziej kulturalnem i genialnem może doskonale utrzymywać się na powierzchni bez wysiłku, a właściwie z tym niewielkim wysiłkiem, jakiego trzeba, by ogarnąć złożone już nieco warunki społecznej walki o byt. Ów przeciętny intelekt ma zadanie nadzwyczaj łatwe zabsorbować wszystko, co mu do jego warunków bytu jest potrzebne, z gotowego, poprzednio już zdobytego materiału, rozrzuconego naokół przez umysły twórcze i przerobionego już w granicach korzyści praktycznych przez masy. Od tego poziomu idzie spadek w dół, gdzie się szeregują umysły, niedosięgające średniego poziomu, aż do kretynizmu i aberacyi zupełnej, i druga linia skośna w górę aż do granic, gdzie jest panowanie geniuszów. Owe nazwy „flistrów“, „snobów“, „wyborców“, albo „dobrze poinformowanych“ i t. p., złośliwie i dowcipnie tworzone w naszych czasach, są właściwie słupami etapowemi w tej skośnej linii ku górze, która znaczy stopniowanie intelektu.

Jak rzekłem, pewna domieszka pierwiastku twórczego daje się odszukać w każdym umyśle, lecz tworzy ona typ twórczy dopiero wtedy, gdy ilością swoją przeważa w ogólnej ilości umysłowej. Umysłem twórczym będzie ten, który w bogactwie intelektualnem spotrzebowywa tylko cząstkę energii myślowej na cele egoistyczne, praktyczne, jednym słowem na cele życia i zachowania gatunku, lwiej części używając, jako siły oderwanej, działającej po za sferą praktycznego instynktu życiowego i po za granicami wytkniętych do tego kątownienia.

Siła twórcza umysłu działa w abstrakcyi, poza sferą interesów związanych z potrzebami gatunku. Ztąd pochodzi brak wszelkiego związku między doczesnymi potrzebami i interesami a wysiłkiem intelektualnym czystej twórczości czy to w filozofii, czy też w nauce lub sztuce. Geniusz twórczy daje się niejako zobrazować przez orła, co przy każdej okazji skałę swą i gniazdo opuszcza, by wzniesić się w niezmierzone błękity, które nie znają granic i z których wysokości jego skały i gniazda nawet dojrzeć nie można.

Siły intelektualne natur twórczych z konieczności tylko zatrzymują się na zbiegu ciasnego dla nich kąta spraw codziennych, wymagających nie lotności, lecz cierpliwości, i zacieśnienia pojęć przy codziennych pospolitych trudnościach materyalnych życia, które natomiast wypełniają całą sferę myślenia i absorbują wszystkie władze umysłów małych. Herkules w pogoni za lwem i centaurami, jakże mało ma czasu i ochoty do uganiania się za zającem lub przepiórką, choć upomina się o to jego żołądek. To też zjawiskiem zwykłym życia jest, że w bezpośredniej walce o byt doraźnymi zwycięzcami są umysły małego lotu, umiejące się skupić około celów dotykalnych i praktycznych.

Umysł twórczy podobny jest tworowi, któremu potężne loty czynią wstrętne chodzenie po ziemi, a umysł mały—istocie o muskularnych nogach, przywiązujących go do ziemi. Ztąd sferą panowania pierwszych są nieograniczone przestrzenie abstrakcyi, sferą panowania drugich—mocny grunt mniej lub więcej egoistycznego bytowania.

U pierwszych pierwiastek twórczy wypełnia prawie całe pole ich intelektualnego istnienia z małym ułamkiem na rzecz materyalnych potrzeb. U drugich intelektualne życie samo przez się, w oderwaniu od spraw codziennych, prawie że nie istnieje. Ztąd też umysł twórczy *wyodrębnia się*, czyli stwarza sobie swój świat oddzielny, *indywidualny* gdy przeciwnie wszelkie inne umysły starają się upodobniać swą sferę intelektualną dla oszczędzenia wysiłku myśli i osiągnięcia przez to tem większych korzyści praktycznych. Oczywiście obrachunek korzyści praktycznych okazuje takie rezultaty tylko pozornie, jedynie przy bilansie doraźnym, gdyż rzeczywisty obrachunek wykaże, iż wszystkie najbardziej nawet praktyczne korzyści ludzkość osiągnęła jedynie dzięki właśnie tym bezinteresownym i „niepraktycznym“ zaciekaniom umysłów twórczych w sferę abstrakcyi. A owa mityczna postać Prometeusza, który, nie dbając o siebie, zadarł z Olimpem i wykradł ogień, jest symbolem wieczyście powtarzających się porywów myśli w sfery otaczających ludzkość tajemnic.

*

*

*

Wyraz tłum sam przez się nie stanowi żadnego ścisłego określenia. Używamy go, chcąc wyrazić przeciwstawienie m a s y j e d n o s t c e, o ile ta jednostka sama przez się stanowi w pewnym wy-

padku zamknięty w sobie świat indywidualny i odrębny w stosunku do gromady nie zróżniczkowanej indywidualnie.

Jest w naturze wszystkich istot żywych skłonność do zwierania się w gromady w przeczuciu spotęgowania tem swej siły w walce o byt. To zwieranie się, w świecie zwierzęcym znane jako instykt stadny, komplikuje się w stosunkach ludzkich o tyle, że jest uświadomione, i w złożonych warunkach życia, złożone przybiera formy. Więc naprzód, jako akt przystosowania się w granicach wspólnych praw i obyczajów, stanowi mocne węzły w postaci poczucia społecznego. Dalej zaś, różniczkując nieco najogólniejsze łączniki tych uczuć wspólnych, łamie się na klasy, powiązane w gromady, na zasadzie pewnej równości kulturalnej, umysłowej, albo majątkowej. Żadna z tych grup jednak nie stanowi już, dziś zwłaszcza, masy ściśle zwartej pod każdym względem, ukrywając pod zasymilowaną dla oka powierzchnią różnice indywidualne, różnice w znaczeniu skali intelektualnej niezmiernie. Lecz arystokratyzm ducha i umysłu oznaki swoje ukryte ma bardzo głęboko, potęga twórcza działa w ciszy i odosobnieniu, rzadko tylko zarysowując się widomie na zewnątrz. Dla tego też granic intelektualnych, granic, oddzielających plebs ducha od żywiołu twórczego, zakreślić wyraźnie nie sposób. Można być szewcem a filozofem, skromnym bakałarzem a uczonym, rzemieślnikiem a artystą.

A będą to właściwości mózgowe nie stanowe, ni zawodowe, i dla tego też w stopniu odwrotnym można z każdej z tych właściwości intelektualnych uczynić sobie zawód i ubierać się w nie dla świata, a jednak być i pozostać—tłumem. Bo tłum nie ma klasy, ani stanu, tak jak nie ma go umysł twórczy. Zasadniczą cechą przynależności do tłumu jest słabość i zależność intelektualna. Myśl człowieka-tłumu oderwana od gromady, przestaje istnieć. Jak chód małego dziecka, nie czuje się dość silną, bez podparcia, by kroczyć w kierunku z siebie wytworzonym, bo nie ma w sobie zarodków ani kierunku, ani rzutu. Dla tego też myśl tłumy trzyma się mocno i bezkrytycznie przeszłości, i w instynkcie zachowawczym chroni się przed każdym nowym powiewem idejowym.

Umysł twórczy zaczyna wtedy dopiero istnieć, gdy jest sam, gdy siła rzutu jego, zrodzona z ośrodków indywidualnych, popycha go w przestrzenie niewiadomego. Umysł-tłum żyje ciągle pod grozą niewiadomego i dąży całą siłą do zatracenia swych pierwiastków indywidualnych i stopienia szczątków swej siły twórczej z bezwładem myślowym gromady.

Umysł twórczy bezwiednie odosobnia się od tłumy przez wyłączność absorbujących go celów olbrzymich, które dla tłumy nie mają

przez to samo żadnego znaczenia. Tłum zamyka się w najbliższych drobiazgach życia i mnożąc je przez swą liczbę, nadaje im w iloczynie doniosłość pierwszorzędno znaczenia dla życia. Tłum jest niewolnikiem swego bezwładu, twórca niewolnikiem swej siły.

Tłum nieświadomie uciska twórcę i nakłada mu pęta, czasem zaś w dobrej wierze zwraca się przeciw niemu, widząc w nim wroga swego bezwładu, a w bezwładzie podstawę swego istnienia. Bo tłum nie uświadamia tego, co odczuwa twórca, iż życie jest ciąglem parciem w nieskończoność i ciągłą przemianą w formy coraz to doskonalsze i szersze, a bezwład jest nicością i niebytem.

*

*

*

Jak powiedziałem, tłum niema stanu, ani klasy, tak jak niema ich twórca. Biblijny Hiob-nędzarcz jest twórcą, a moźni przyjaciele jego—tłumem. Twórcą jest Ezop niewolnik, włóczęga-pieśniarz Homer, rozpustny pieczeniarcz Sokrates, albo żebrak Dyogenes. Wszechwładny Krezus jest tłumem wobec Solona; twórcą jest Hans Sachs, szewc-poeta, i mnich pokorny Fra Angelico; tłumem—uczeni, szydzący z Kolumba, i najwyższa rada papieska, zmuszająca Galileusza do wyrzeczenia się swych twierdzeń.

W nowszych czasach wraz z rozgałęzieniem się umiejętności i rozwojem specjalizacji w danych jej gałęziach, ów tłum w znaczeniu ideowem formuje się w kadry bardziej zdecydowane i spoiste. Takie kadry formują się w każdym oddzielnem ognisku twórczości, tworząc zwarty pierścień między twórcami i masą ludzką. Z racji swego zawodu uzurpują sobie prawo pośrednictwa i sądu, i zaprawdę ów ciśniejszy, zgrupowany tłum bardziej jeszcze zaciera wszelkie nici łączności między twórcą i masami.

Wszystkie właściwości tłumy: egoizm stadny, bezwład żywej myśli i lęk przed ogromem niewiadomego, trzymają pod panowaniem swym ich ducha, nieposiadającego dość siły do przewyciężenia tej niewoli.

Miast bijącego źródła-twórczości, sadzawka cierpliwie nagromadzona wiedzy zawodowej, mechanicznie z zewnątrz zebranej, służy tu jako surogat siły twórczej. Materiał, rozrzucony wokoło przez żywioły twórcze i w gotowych odlany już formach, pozwala im brać z tego i kłaść na się maski twórców wobec bezkrytycznego tłumy,

a poczucie nicości duchowej zwiiera ich w gromadę o wspólnych chwilowych hasłach i dążeniach. Taki tłum bezpośrednio otacza zwartym pierścieniem odosobnione i samotne z natury swej indywidualności twórcze, zasłaniając ich od oczu mas swą ilością, i czujnością wobec znanych sobie instynktów i porywów gromady. Zaś nieuświadomionym może, lecz instynktowo przezuwanym dążeniem mas jest chęć zrównania poziomu intelektualnego gromady. Chęć, która nie mogąc w żaden sposób zrealizować się przez podniesienie poziomu, prac w kierunku najsłabszego oporu, dąży do poniżenia umysłów wielkich w celu podniesienia małych.

Ideał, nigdy oczywiście nie zrealizowany. Dążenia, naruszające w posadach najkardynalniejsze prawa natury, które gdyby nawet naruszone być mogły, stałyby się wyrokiem zagłady i powrotem ludzkości do stanu pierwotnego. Prawo walki o istnienie jest równie stałe i mocne w sferze życia intelektualnego, jak i zwierzęcego, i na niem opiera się prawo niustającej w obszarach materji i myśli ewolucji. Zrównanie umysłów ku dołowi byłoby zarazem wytepieniem wszelkiej twórczości intelektualnej, bo twórczość ta istnieje tylko przez wyższość swoją i jest z gruntu arystokratyczna. Ów tłum uświadomiony, tworzący otoczkę ognisk twórczych, sam przez się jednak zupełnie jałowy stanowi właśnie ten niebezpieczny materiał niwelacyjny między tłumem i twórcą. Stosunek między tłumem i twórcą jest zdawna ustalony i wyraźny. Przestrzeń martwa i nieprzebyta, która te dwa żywioły duchowo dzieli, wypełniona jest nie tyle nienawiścią, ile obcością. Obcą jest żywa i nieogarnięta dusza twórcy dla bezwładnej i małej duszy tłumy. W tej obcości przewijają się jednak nici podziwu i uroku, jakie zawsze obudza w tłumie siła wielka i tajemnicza w swej żywiołowości, którą on instynktownie przezuwa, gdy znów z kolei tajemnicze łączniki rodzą się w duszy twórczej pod wpływem choćby drobnych i niewyraźnych objawów pokrewieństwa, polyskujących w przekrojach szarej gleby gromadnej duszy, skrywającej we wnętrzach swoich drobne żyłki szlachetnych pierwiastków, zaoszczędzonych od zużycia w walce o chleb. Tą drogą strzępy żywej myśli odrywają się i wsiąkają w tłum powoli, lecz bezpośrednio, odnajdując sobie asymilacyjne łączniki.

Historja, ta życia mistrzyni, na każdej karcie zawiera przykłady, że w walce ducha i myśli, tej nieustannej walce o byt duchowy, rację ma zawsze mniejszość, przeciwstawiająca się większości; że w imię tej racji zwycięztwo z góry jest rozstrzygnięte, choć zwycięzca pada u stóp zwyciężonych. Idea, poczęta w jednostce, powoli przesiąka w tłumy i z czasem staje się własnością mas i ich hasłem, jest

bowiem szerokim i jasnym wyrazem tego, co w drobnych kryształkach nieuświadomione spoczywało w bezwładnym umyśle tłumu.

Tłum się opiera, bo tak mu każe instynkt zachowawczy gatunku; tłum się broni, bo każdy nowy objaw twórczy wstrząsa w posiadach jego bezwładem, lecz oba te zjawiska, stałe i niezmiennie, są niejako dobroczynną ochroną przed wstrząśnieniami zbyt raptownymi. Droga mas nie może iść linią łamaną, nie może się cofać i zawracać, jak powietrzna droga natur twórczych.

Ten opór jednak niema jeszcze cech wrogości i nie tu należy szukać owych momentów tragicznych, które tak stałe wytwarzają się na punktach zetknięć.

Jak powiedziałem wyżej, masy zupełnie bezwładne nie biorą udziału czynnego w tej akcji. Przeciwstawiają one wszelkiemu ruchowi ogrom swojego bezwładu, w którym powoli i niewidocznie siła twórcza wytwarza proces zamiany materii. Lud naprzykład wchłania i asymiluje w sobie tylko w granicach swej istotnej żywotnej pojemności. „Księgi, które zbłądzą pod jego strzechy“, wszelka myśl nowa, wszelka forma nowa, bądź przesiąkają w pory jego, gdy grunt jest właściwy, bądź zastają go obcym i odbijają się od twardej bezwładnej jego masy, a twórca mówi: nie jestem jeszcze ustami dla tych uszu!

Walka zawzięta i wroga, walka podstępna i sprowadzana często aż na niziny egoizmów, zaczyna się dopiero na pozycjach, zajętych z mocy przywilejów zawodowych przez ową skrajną warstwę tłumu, i oto największą zaporą i źródłem tragedii twórczej staje się ta warstwa pośrednia, maskowana na typ twórczy, przystosowany do wymagań i uciechy mas. Władza nad tłumem jest taką rozkoszą, korzyści z łask tłumu płynące tak wielkie, że to samo musi być magnesem zbyt kuszącym dla tłumu o pozorach twórców, zwłaszcza, że biorąc gotowe formy od twórców, formy dawne dobrze już opatrzone i na zimno wypełniając czerpanym z zewnątrz surogatem, wydatkują tak mało, iż całą prawie siłę mózgową zwrócić mogą równocześnie w kierunku praktycznym, gdy natomiast twórca, mówiąc słowami Dantego, tworzy, niby przyroda: w ogniu, co więcej, tworzy bezwiednie, posłuszny prawu wewnętrznemu, które mu kierunek wskazuje. Ów tłum z twórczości uczynił zawód zarobkowy; zaś powołanie wewnętrzne każe mu czuć i myśleć wraz z tłumem, jeno bez jego prostoty i szczerości. Ztąd poszła sztuczność dróg, po której się toczy dzisiejsza twórczość, podpierana szczydłami umiejętności nabytej, otamowana szeregiem względów, zasad i wymagań. Te czeze żywiły, wdarłszy się do filozofii, do poezji i sztuki, dążą do uczynienia z nich igraszki tłumu, do zepchnięcia twórczości pod nogi sytej bezmyślności. Co gorsza, w pogoni

za powodzeniem i oklaskiem deprawują tłum i odzierają go z jego naiwności i prostoty. Chwalą jego wszechmoc i potęgę, jak Neronowi biją nieszczerze oklaski, podnosząc wielkość jego na arenie życia. Czy dziwić się, iż tłum uśmiecha się mile do swych chwalców, swych trefnisiów i bazarzy, usypiających go do snów spokojnych. Wszak umieją oni chodzić koło niego tak cicho, nie dotknąć nigdy garbu, ni tłustości brzucha, nie trącić w żadną ranę przyschniętą; tak zręcznie umieją przysłańać, przytem zwierciadło życia, w którym przypadkiem mogłaby się odbić prawda. Czyż dziwić się, że tłum ufnie przytula się do nich, onieśmielony hardością szczerych twórców, że mierząc jednych drugimi, uczuwa bliskość krewną do tych, co go bawią i chwala? Wszak występują oni zawsze, jako obrońcy ludu, bogów i uświęconych podwalin przeszłości. Zaś po linii prostej szczerze i śmiało rzuca strzałę swej myśli twórcą. Po linii prostej przebija swą drogę, nie bacząc, czy droga ta nie zawadza o drzewo, na którym wyryte dawne-go życia nierozumiane już znaki, czy nie przecina płotów i pól, do których zdawna nawykła była już gromada, bo on widzi cel swój daleki i drogę do niego najkrótszą.

Lecz tylko najbliżsi widzą z nim cel jego, a tłum dostrzega jeno draśnięte drzewo, złamany płot, podeptane pole. Skrajne warstwy drą wtedy szatę, wprowadzają tłum w bezwładne przerażenie i napełniają kubek nową porcją cykuty.

*

*

*

Nieprawdą jest, by właściwy tłum-ogół wrogi był twórcom. Nie odczuwa tylko w sobie jego siły i przez to utrzymuje się w bezwładzie obojętności, aż siła rzucona nie przesiąknie do wnętrza jego. Twórca żyje sam w sobie, lecz przeciwwagę swej myśli twórczej opiera na otoczeniu. On wie, że te masy nie współczują z nim przez swój bezwład, w sobie tedy szuka mocy, by ich z bezwładn wytrącić. Nie zniża się do tłumy i nie łączy, lecz chce go ku sobie ruszyć, by go zdobyć nie dla siebie, lecz dla złożenia w nim swego ducha. Mocując się z sobą i zwyciężając siebie, wierzy w przyszłe swe zwycięztwo i nawet w grób wzgardzonym i nieznanym schodząc z życia, jeszcze w obliczu ma wyraz zwycięzcy. Bo bez wiary w zwycięztwo, nie można być twórcą.

Lud nie jest wrogiem twórcy; jest on tylko bezwładnem łonem, które twórca na przyszłe owocowanie zapładnia. A któż jest wrogiem

jego; kto stwarza te tragedye tworzenia, te trucizny dla ducha i ciała, to szarpanie się aż do pierwszego brzasku zwycięstwa; kto podszczuwa i torturuje za życia, by po śmierci okradać i żywić się ciałem i krwią twórców? Każdy życiorys prawdziwego twórcy odpowie nam na to; każdy bez wyjątku jest obrazem rozpaczliwego oganiania się przed rozżartą zgrają tego zamaskowanego tłumu z patentami na twórczość, tego rzeczywistego tłumu w świątyni ducha. Co innego są starcia o ideje, walki tytanów, które twórcy raz po raz staczają między sobą. „Za błękitami jest bój i zwycięstwo“, bój o królowanie ducha w imię prawdy, by po walce rozejść się „jak dwa na słońcach swych przeciwnych—bogil“ Lecz tłum nie odczuwa nawet znaczenia takich starć, on rozumie tylko walkę o chleb i powodzenie, taką, w której nagrodą są poklaski i zysk, a spryt życiowy bronią. I tu jest właśnie pięta achillesowa twórców. Każdy z nich również potrzebuje względnej niezależności materialnej, zaspokojenia najniezbędniejszych potrzeb życiowych. Innemi słowy, potrzeba mu tego rubla lub franka, dla których zdobycia Mickiewicz zastawiał nieraz kopertę od zegarka, a Chopin szarpał sobie nerwy lekeyami w domach prywatnych. Czy można obliczyć, ile w tej rabunkowej gospodarce, która od wieków do dzisiejszej chwili ani na włos nie uległa zmianie, zmarnowało się najczystszych ziarn szlachetnych, ile płonek wdeptano w ziemię lub nadłamano w rozwoju.

Smutnem jest i zarazem dziwnem, że te sprawy od tak dawna znane, tak stale się powtarzające i równie, a może więcej właściwe naszym czasom niż innym, nie budzą poruszenia i zgrozy. Odrobinka sentymentalizmu, jako literacki dodatek do życiorysów różnych twórców, niema żadnego znaczenia i każdy czytając to, kiwa głową, mówiąc: znamy, znamy! Pytanie tkwi w tem: czy to jest zjawiskiem koniecznem? Pytanie tem ważniejsze, że w czasach dzisiejszych, w epoce ciągłego wzmaganie się „amerykanizmu“, t. j. tendencji do ograniczenia życia duchowego na korzyść wygody i pożytku, stosunek ów, stosunek twórców do mas, stawać się będzie coraz trudniejszym i zawilszym. Instynktem mas, biegnąc w tym kierunku, przystosowywać się muszą do coraz ciaśniejszego pojmowania sfery życia duchowego.

Z hasłami „panem et circenses“ rozwijać się będą tem szerzej kadry surogatów twórczych, tych producentów dla uciechy, zabawy i schlebiana. Produkcyja tego gatunku wzrasta z dnia na dzień, tania, dostępna, wyposażona w coraz to giętszą zdolność trafiania do przelotnej łaski mas. Zdolność do walki o byt wzmagać się wśród nich będzie wraz z rozmnażaniem i wzmagającym się zbałamuceniem mas. Co stać się musi z tym szczerym żywiołem twórczym, który w tej walce na coraz dalsze odpychany będzie plany? Jest to pytanie

doniosłe, choćby dla tego, że ludzkość nie może się obyć bez żywiołu twórczego; że istotna przyszłość narodu związana jest z tem bardziej niż z rozwojem ekonomicznym. Nie chodzi tu o „snobów“, o całą tę sferę „dobrze poinformowanych“, która w istocie jest pustą i mało zaważy na przyszłości. Tu chodzi o całość, o masy, których wydać nie można na pastwę tłumu snobów.

Na szczęście wśród szeregu zjawisk, które można w stosunkach twórców do tłumu odszukać, jest i n s t y n k t p r a w d y u m a s. Ten instynkt zdaje się być obroną, wobec zdobywczego impetu tłumu, impetu czerpanego z zewnątrz, urodzonego z chęci zysku i sztucznej kultury. Nici łączne między twórcami a masą muszą się wzmódz przez ów instynkt prawdy i uproszczenia warunków życia. W przyszłości twórca musi odszukać sobie nowe warunki istnienia i bodaj wróćą się czasy, kiedy filozof i myśliciel kładł na się gunię prostaka jak Sokrates; kiedy poeta pracował w szewckim warsztacie, jak Hans Sachs, albo brał lirę podróżną, jak Homer, kiedy artysta zamykał się w celi klasztornej, jak Fra Anglico, albo wpisywał się do cechu, jak Wit Stwosz. Tworzenie jest rozkoszą, nie dość, tworzenie jest potrzebą i koniecznością twórców i prawdziwy twórca wyrzeczce się wszystkich uciech świata, by nie oddawać swej duszy twórczej na zabawę tłumu. Wtedy nikt mu nie stanie na drodze do duszy narodu i nikt nie będzie mocen wpływać na jego warunki istnienia.

STEFAN POPOWSKI.

Władysław Syrokomla.¹⁾

(1823—1862).

XII.

SYROKOMLA W WARSZAWIE (1856 r.).—DZIENNIKARSTWO.—
TEATR. — MIŁOŚĆ. — STAN MORALNY I FIZYCZNY (1857 — 1860).

Jeszcze w r. 1853 (jak się o tem dowiadujemy z listu do Kraszewskiego) miał Kondratowicz propozycję objęcia redakcyi „Biblioteki Warszawskiej“. Propozycję czynił księgarz Wolff, który brał na siebie wydawnictwo pisma. Poeta odmówił. „Karyery nie potrzebuję — pisał — a mam już do syta przenosin i marzeń o poprawie losu. Gdziem się przeniósł, pomimo nieżyźnego gruntu i atmosfery plotkami przesyconej, czuję, że serce moje wrastać i wkorzeniać się zaczyna“. Motyw ten zupełnie się godzi z wyobrażeniami o naturze uczuciowej Syrokomli. Tacy ludzie, jeśli tylko spostrzegą, że ich serce „wkorzeniać się zaczyna“ z pewnością odtrąca od siebie najświetniejsze widoki. Dziwimy się tylko poniekąd, dlaczego powyższe słowa wypłynęły z ust poety w lipcu 1853, kiedy był względem Wilna tak rozżalony? Czy to poprostu może przemówiła w nim natura Janka, który na samą myśl o rozstaniu się z rodzinnem powietrzem i niebem już naprzód doznaje napadu tęsknoty? Jakkolwiekbądź, sytuacja powyższa w trzy lata później dokładnie się powtórzyła. Znowu projekt redaktorstwa i wkorzenie się serca. W r. 1856 Aleksander Przeździecki wezwał Syrokomlę do Warszawy, proponując mu objęcie kierownictwa nabytej przez się

¹⁾ Patrz zeszyt lutowy, str. 252; — marcowy, str. 481; — kwietniowy, str. 153.

„Gazety Codziennej“¹⁾, i prosząc o dokończenie „Historii literatury“ Wiszniewskiego. Byłby to zatem dalszy ciąg pracy, której Syrokomła oddał kilka lat swego życia. Wobec otwierającej się perspektywy nie mógł służyć poecie za hamulec inny węzeł, tylko ten, który właśnie zadzierzgnął się między nim a Wilnem. Długo oczekiwane zatwierdzenie „Komisji archeologicznej“ wreszcie uzyskane zostało. Po przedwstępnych krzątaniach się otwarto „Muzeum starożytności“ 17/29 kwietnia 1856 r. Uroczystość tę poeta uczcił wierszem, z innego zaś wiersza, w kilka dni potem pisanego, dowiadujemy się, że:

„U nas świątynię pamiątek odkryto,
A od soboty jestem w niej lewitą“.

Pojechał więc Syrokomła w jesieni 1856 r. do Warszawy, gdzie mu zgotowano przyjęcie „luczne, gościnne, przyjacielskie, toastowe“ (słowa Kraszewskiego). Wydano obiad w Resursie Kupieckiej, wystawiono „Hrabiego na Wątorach“ w teatrze Rozmaitości. Bawił poeta w Warszawie cały miesiąc i zdążył napisać dwie gawędy („Cieśła“ i na gawędzie o Zablockim wzorowana „Garść pszenna“). Za przyjęcie był wdzięczny, lecz gwarne miasto nie upodobał i zwyczajem swoim, czulek, zwinął się w sobie cały. Nadto Antoni Lesznowski, redaktor „Gazety Warszawskiej“, której Syrokomła oddawna już był współpracownikiem, podał mu korzystne warunki—i skończyło się na tem, że lirnik podążył z powrotem do Wilna i Borejkwoszczyzny. W czasie swego pobytu w Warszawie zawarł Kondratowicz przyjazne stosunki z artystą i autorem dramatycznym, Janem Chęcińskim. Zachęcony powodzeniem „Chatki“ i „Hrabiego na Wątorach“, a czując swe braki w znajomości sceny, umyślił napisać wspólnie z Chęcińskim sztukę p. t. „Wielcy i mali“. Zamiar długo zajmował poetę, aż wreszcie po opornie postępujących próbach uległ przedawnieniu, temat zaś, opracowany przez Chęcińskiego samodzielnie, przyoblekł się w utwór tegoż: „Szlachectwo duszy“.

Sama przez się podróż do Warszawy była drobnym epizodem, i nie byłoby powodu dla niej obierać roku 1856 za przełomową datę, do której stosowaliśmy się poniekąd, jeżeli nie w charakterystyce twórczości Kondratowicza, to w opowiadaniu kolei jego życia. Wycieczka owa uwydatnia, jak poeta coraz bardziej wciąga się w wir

1) Później „Gazeta Polska“.

stosunków dziennikarskich, jak najmniej dla poezji korzystnych. Rzeczywiście, przeglądając korespondencję jego z tego czasu, uderzeni będziemy mnogością wskazówek, dotyczących żywego zainteresowania się lirnika faktami bieżącymi, wielką ilością nici, wiążących dawnego Załuczańskiego samotnika ze światem. Przeraził się hu-cznej Warszawy, nie uchronił się mniej rojnego wprawdzie Wilna. W listach spotykamy wiadomości o projektach coraz to innego pisma peryodycznego, a w każdym projekcie Kondratowicz żywy bierze udział. Tak w styczniu 1856 r. krząta się około pisma zbiorowego „Barcie“, którego ma być redaktorem, upraszając o współpracownictwo Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Ant. Pietkiewicza (Adama Pługa), Deotymę, Pola, Ign. Chodźkę, Kaczkowskiego. Drużyna niełada. Przedsięwzięcie zostało zaniechane, jak i późniejsze wydawanie „Tygodnia naukowo-literackiego“, o którym pisze do swego surowego krytyka i prześladowcy, Juliana Bartoszewicza, z prośbą o udział w zamierzonym piśmie: „Adam Kirkor, posiadający najdostateczniejszą kwalifikację, zasoby materyalne i niezmordowaną gorliwość, będzie redaktorem odpowiedzialnym, a my tutaj wszyscy, starsi i młodszy, śpieszymy z chętną pomocą...“ Znajomość z uczonym archeologiem pozostawiła dawniej jeszcze ślad w ulotnym wierszu ¹⁾: Do autora „Bułki“ (niedrukowana powieść Kirkora). W jego domu skupiało się przez wiele lat artystyczno literackie towarzystwo Wilna, tu Syrokomla poznawał się z wielu osobami ze świata literackiego i artystycznego, z którymi później wszedł w ściślejsze stosunki, niekiedy — zgubne... Co do krzątań się swoich, wyda o nich poeta sąd w liście do Chęcińskiego we wrześniu 1857 r. „Nie pytaj co robię, pracy po uszy, ale takiej niewdzięcznej, takiej zmu-dnej, że ci nie wypowiem. W chwilach wytchnienia mam i rzeczy miłsze dla serca, ale tych chwil wytchnienia tak mało! Skończyliśmy druk pierwszego tomu naszej „Teki“, który ci posyłam, znajdziesz tu parę rzeczy moich...“ Wspomniana „Tekka“, urzeczywistniająca sobą dawniejsze pomysły wydawnicze, wychodziła pod redakcją Jana ze Śliwina (A. H. Kirkora) w przeciagu kilku lat ²⁾. Ale udział Syrokomli w „Tece“ był tylko przygodny. W r. 1860 wchodzi on do składu redakcyi „Kuryera Wileńskiego“, obok A.H. Kirkora, Odyńca, Wincentego Korotyńskiego, Malinowskiego i Wacława Przybylskiego, który miał w parę lat później wydatną grać rolę w Warszawie. Uskarżał się

1) 24 czerwca 1854 r.

2) W r. 1857 i 1858 sześć tomów i dwa tomy jako „Pismo Zbiorowe“ w r. 1859 i 1861.

wprawdzie autor „Dęboroga“, iż dzielił go z redakcją różnice programowe, mimo to pozostawał na stanowisku, a w razie potrzeby podejmował obronę pisma zwykłą sobie mową — wierszem, („Fragment z r. 1860). Kondratowiczowi wyznaczono w piśmie dział: „Przegląd miejscowy“. Już kilka miesięcy temu, rozmawiając z piórem swym w „Myśli“, zapytywał:

„Pióro, moja ty socho!
Twe pole wielkie, żyzne,
Czyż się zapiszesz płocho
W tygodniową pańszczyznę?
O nie, nikt cię nie zmusza
Stanąć w szereg rozumny,
Pod sztandarem arkusza,
Gazeciarskiej kolumny...

Zapisał jednak swe pióro w tygodniową pańszczyznę.

Dziennikarstwo zresztą, to dopiero jeden z wielu szczegółów, które się składały na ogólny fakt — ciągłej gorączki i rozproszenia. Oto inny pierwiastek tejże kategorii — teatr. W jego sprawach, w sprawach artystów, których nieraz opieką swą otacza, bierze poeta udział stały i gorący. Związki z teatrem uwidoczniły się już w roku 1853 żartobliwymi wierszami, kiedy poeta za przedmiot drwiny obrał jakiegoś lichego aktora, o którego toczono walkę w salonach wileńskich. Był to przygodny wybryk dowcipu, ale „Chatka w lesie“, rozpoczynająca szereg utworów dramatycznych, świadczy, iż światło kinkietów rozpoczyna wywierać na poetę swój hypnotyzujący wpływ. Jakkolwiek Syrokomla w tym rodzaju twórczości nie był zupełnie szczęśliwym, trudno jednak uczynić stąd wniosek, jakoby teatr tem właśnie wyrządził lirnikowi dotkliwą krzywdę, iż odrywał go od pracy na właściwym mu polu; nie możemy sobie wyobrazić, że gdyby poeta jednym ciągiem pisywał gawędy, wszystkie one miałyby się odznaczać temi zaletami, co „Dęboróg“, „Szkolne czasy“, „Janko Cmentarnik“ i t. d. W pracy duchowej, jak każdej innej, niezbędny jest płodozmian, a zwłaszcza w tej, gdzie autor z siebie wysnuwać musi swą przędzę. Krzywdą jednak i niebezpieczeństwem trwonienia natchnień istniały niewątpliwie, ale tkwiły w ludziach, a raczej w sła-

1) Maj 1855 r.

bej oporności poety. „Wiódł on — powiada Wł. Spasowicz — życie luźne w Wilnie, w kółku aktorsko-literackiem“. Wiemy, że hart woli nie był znamieniem charakteru Kondratowicza; wiemy, że sobie wystarczać nie umiał, że do ludzi go ciągnęło. Ale gdy w Załuczu uciekał do sąsiednich dworków, lub otaczali go „bracia w kapocie“, i „bracia w siermiedze“, co ostatecznie ciszy wiejskiej nie mąciło i równowagi nie zakłócało, natomiast wir „luźnego życia“ i nerwowej atmosfery, rozbijał na atomy czas i powietrze przesycił miazmatami gorączki. Przypominamy tu sobie konieczność wytężonej pracy, bo *pene careo*, zawsze obecną groźbę jutrzejszego dnia, kiedy może nie będzie co włożyć w otwarte głodne usta, zupełne zaniedbanie roli, która miała być podstawą bytu rodziny. Czynniki te, krzyżując się i potęgując wzajemnie, podniecały system nerwowy aż do zupełnego wyczerpania. „Bohemia“, cyganerya wciągała stopniowo skromnego lirnika w otchłań. Powoli też ogarniać go zaczyna smutny nałóg. W żartobliwym testamencie, zupełnie w stylu Syrokomli pisanym, znalazło się wspomnienie o... szynkarzu w Borejkwoszczyźnie.

Czuje, iż kiedy skończę kres mego żywota,
Nieborak Kaciukiewicz zostanie sierota.

Testament ów jest apokryfem, gdyż Syrokomla z widzenia nawet nie znał oberżysty, a ten znów ani nogą nie stąpił na próg folwarku. Znamienne jednak, iż takie wiersze miał powód ktoś umieszczać w „testamencie“. Dziwny los! Przez całe życie lirnik gorąco pożył, by zaorano drogę od wioski do gospody, ze wstrętem odwracał oczy od widoku kominów gorzelanych, a sam się stał przedmiotem drwiny: mniejsza nawet własnej czy cudzej. W „Wielkim Czwartku“ wyprorokował sobie własną przyszłość, może ogarnęło go przecucie. A przynajmniej—przecuciem był powód szybkiego rozrostu tego zgubnego przyzwyczajenia...

Jeszcze w końcu 1856 r., po wycieczce do Warszawy, nie uważamy w Syrokomli żadnych zmian usposobienia, zwykłe tylko skargi na kłopoty i umartwienia, wyczerpujące wprawdzie zasoby energii, będące jednak chorobą przewlekłą. Własna słabość tylko, owa „niepraktyczność“ poety, wciąż mu była największym nieprzyjacielem. Ale... i teraz właśnie dobijamy do przełomowej daty. Zbliżaliśmy się już do niej zresztą parokrotnie, gdyśmy mówili o wileńskich stosunkach poety i o teatrze. Otóż na początku, jak się zdaje, 1857 r., przez ścieżkę żywota lirnika przeszła kobieta. Odtąd rozpoczyna się ostry

kryzys, powodujący widoczny rozkład ducha i ciała, kryzys, który pochłonął pieśń i piewę. Spustoszenie to poczyniło nie uczucie samo przez się, lecz cały szereg okoliczności z nim skojarzonych, a nade wszystko to, iż zatruty kiełek padł na grunt już podkopany, nie umiejący się zdobyć na odruchy samozachowawcze.

Wszystkie, bardzo skąpe zresztą świadectwa, dotyczące tego tragicznego okresu w życiu Syrokomli, obciążają winą — jak się zdaje — jedną tylko stronę. Przedmiotem uczucia była p. K., osoba zamężna, związana z teatrem, ówczesna gwiazda Wileńska. „Tam, gdzie uśmiech go witał, i gdzie go kaprys czyjś lub próżnosta wabiła, jemu się zdało, że go wiekuiste ciągnie przywiązanie, że go ofiar pełna chwyta miłość“, powiada Kraszewski. A i sam poeta wołał z rozpaczą: „Czuję, że powinienem napisać p o g a r d z a m, a ja kocham, ja kocham, nad świat, nad siebie, nad wszystko“. I odrazu zaczyna spożywać owoce tego niespodziewanego uczucia. „Prawdziwym byłby zbawcą — pisał do Chęcińskiego na początku 1858 r. — zbawcą moim, ktoby mi w tym razie podał rękę, bo i mnieby wskrzesił, i zdołał uczynić pożyteczniejszem to pióro, które z ręki zmartwiałej teraz wypada, tę głowę, która bezczynnie zwisa na piersi, nie mogąc się zdobyć na nic więcej, niż na rojenia, to serce, które tylko boleć bezpożytecznie potrafi“. Ta okoliczność, że zarówno on, jak i ona, mieli swe obowiązki, była sama przez się pierwiastkiem moralnego udręczenia, wprowadzającym do duszy ciągły zamęt. A z tą przyczyną łączyła się inna, bolesna, niewiara w serce kobiety, połączona z upokarzającą świadomością niemocy. „Co miałbym pisać — usprawiedliwia się przed Chęcińskim — zboleły, wyzuty z wiary we wszystko, bo moje w s z y s t k o podnosiło, ożywiało j e d n o u c z u c i e“¹⁾. Poeta był ugodzony w najczulsze struny swej duszy. „Jam sierota na ziemi, serca mi trzeba, trzeba mi jak gałązce powoju — podpory“, skarży się Pileckiemu (lekarz Kondratowicza). „Boleść, ż a l d o d r u g i c h, wyrodziły we mnie zasklepienie się w sobie; po całych dniach marzący, bezczynny, siedziałem na wsi, nie mając nawet tyle siły, aby dopomódz biednej matce w jej kłopotach“. Później, gdy to wszystko już odejdzie w przeszłość, całą treść tego okresu zamknie poeta w słowach: „Ostatnie trzy lata były dla mnie dniami okropnemi: niema moralnego cierpienia, którego bym nie przeniósł, a które na wrażliwym sercu mojem, wypaliły każde po jednym, niezgładzonym krzyżu“. (List do Kraszewskiego w lutym 1861 r.)

¹⁾ Z r. 1859.

Znaliśmy Syrokomłę, jako człowieka przede wszystkim towarzyskiego i tą właściwością tłómaczyliśmy pewną ruchliwość jego, chętne wychylanie się za ściany domu, gdzie snąc obowiązki, jeśli nie ciążyły mu, to przynajmniej nie posiadały siły do miejsca przykuwającej. Obecnie jakby niepokój jakiś przesiedla go z miejsca na miejsce, a najmniej uspokajającym schronieniem była teraz rodzina. Przerzuca się z miasta na wieś i odwrotnie, odbywa dalsze podróże, jakby chciał uciec od samego siebie. Ucieka, tymczasem jednak niezwalczone uczucie każe mu się zbliżać do przedmiotu męki i udręczenia. W r. 1857 powtórna wycieczka do Warszawy, przedsięwzięta dla p. K. W listopadzie tegoż roku i w marcu następnego, słyszymy o projekcie podróży do Włoch. Zamiar ten musiał się rozbić o brak środków materyalnych, a pozostawał zapewne w jakimś związku z tą okolicznością, że p. K. opuszczała w tym czasie Wilno, w liście bowiem do Chęcińskiego ¹⁾, znajdujemy taką wzmiankę: „W tej chwili potwarze, jakie na mnie miotano, chwilo wo przynajmniej się skończą“. W maju 1858 r. dochodzi do skutku nagła wycieczka w Poznańskie, trwająca około dwóch miesięcy. Przybywszy na miejsce, poeta ukrył się gdzieś na razie, nim go wyszukano i urządzono prawdziwie tryumfalny pochód. Odegrano na Bazarze poznańskim „Chatkę“, zaznajomiono ze wszystkimi znakomitościami miejscowemi, poczynając od arcybiskupa Przyłuskiego. Wracał przez Kraków. Co go tu przywiodło? Czy chęć poznania starożytnego grodu, jego odwiecznych pamiątek? Zapewne. Ale już po powrocie, w jesieni ²⁾, w Borejkwoszczyźnie, spowiada się ze swoich dawnych nadziei spędzenia części zimy w Warszawie, części w Krakowie. Wspominając zaś o letargu, w który był zapadł, dodaje: „Postanowiłem nic nie pisać, i byłbym w tej śmierci moralnej umarł naprawdę, gdyby nie napisano mi z Krakowa że potrzebują sztuki na benefis. Zerwałem się ze, śmiertelnego letargu i w dni dziesięć napisałem Księżniczkę Słucką...“ Po „Możnowładcach“ znowu powróciło odrętwienie, aż chcąc się uwolnić od tego nieznośnego stanu, przenosi się Syrokomla do Wilna, upatrzwszy sobie ciche mieszkanie na przedmieściu. Pisał tu wśród ciszy „Marcina Studnickiego“, pisał „Karlińskiego“. A jednak szukał dla siebie lekarstwa w tem, co już oddawna było dlań trucizną. „Gdyby nie teatr i nie towarzystwo naszego reżysera, Surewicza, który mię kocha i pieści jak dziecko, w łebnym

¹⁾ Z Kowna, d. 15 grudnia 1857 r.

²⁾ 1858 r.

sobie palnął z braku elementów życia“. „Kielich gorzały“, do którego skromnie się przyznaje, nieraz bywał spory. „Powolnym samobójstwem doszedł do mogiły“, mówi Kraszewski.

Ostry kryzys mijał powoli. W środku r. 1859 napisze poeta do Chęcińskiego: „Przeboleiałem wiele, ale dziś nic już nie cierpię“. W parę miesięcy potem (w listopadzie) wyznanie to powtórzy się. Już przyjaciel będzie mógł pozartować — ukazując nadzieję nowego zakochania się. W styczniu następnego roku, kiedy wstępował do odświeżonej redakcyi „Kuryera Wileńskiego“, czuje się poeta „wzmocnionym na duchu“. Jeżeli atoli ból tępiął, a może powoli szedł w zapomnienie, nie dawały się przecież, niestety, usunąć skutki bolesnego przełomu. Długotrwała rozterka zużyła poetę moralnie, wyczerpała jego energię, wyłobila głębokie ślady w usposobieniu i przyzwyczajeniach, zachwiała siłami organizmu. Łatwo się zachwiać, ale później wrócić do równowagi życia, o! jak trudno, niepodobna nawet, jeżeli dłoń życzliwa nie dopomoże, nie wesprze. Powiem ci prawdę, że dzisiaj już nie cierpię, ale wpadłem w stan apatyji, gorszy od cierpienia¹⁾. „Ja wegetuję. Ciosy w życiu takie, jakie otrzymałem, nie dają tak prędko zasklepić się ranie“²⁾.

Do skutków, które pozostawiły po sobie tragiczne lata, nie policyliśmy jeszcze dla usposobienia Syrokomli najboleśniejszych i najdotkliwszych. Było to zwolnienie serdecznej spójni pomiędzy lirnikiem a jego słuchaczami, widoczne oziębienie otaczającej go atmosfery. Wpływały na to, rozumie się, wieści o „luźnym życiu“, smutny nałóg, który wziął już w moc swą biednego poetę. Zaważyło jednak głównie na szali zgorzenie, wywołane zachwianiem się moralnem człowieka, który stał na widowni, a zaniedbał swoich obowiązków, lekceważąc i cudze. Ogół nasz miewał zawsze katońskie usposobienie, a raczej może szeroko rozwinięte poczucie przyzwoitości. Poeta i w tym kierunku, jak w każdym innym, nie był dość praktyczny, więc musiał za to odpokutować, jakby już w swoim sercu, w swoim poczuciu, nie ponosił ciężkiej, nad siły jego wielkiej kary. Na oznakach publicznych hołdów nie zbywało wprawdzie Syrokomli. Na przedstawieniach „Karlińskiego“, „Polityków wiejskich“ ławki i krzesła w teatrze nieraz były szczelnie zapełniane. A jednak widział i odczuwał, jak najbliżsi od niego odsuwać się zaczęli, jak powoli wytwarzała się naokół niego pustka. Ledwo nazajutrz po odbytej podróży do Wielkopolski, po owacyjnem przyjęciu w Krakowie, mógł spo-

1) Do Chęcińskiego, 30 lipca 1859 r.

2) Do tegoż, 25 czerwca 1859 r.

strzedz, że jeśli dalecy rodacy, znający go tylko, jako pieśniarza, okazują mu swe uznanie i uwielbienie, to w bezpośrednim otoczeniu objawiać się poczyna widomy ostracyzm. Uskarżając się na długie milczenie przyjaciela, woła rozżalony: „Wstydz się! czyś ty podobny do reszty ludzi, którzy, gdym był szczęśliwy, nawiedzali mnie osobiście i pismami, a teraz tak rzadkiego mam gościa taki rzadki list, że sto razy na dzień, rwąc włosy, pytam siebie: czy ja już doprawdy na nic nikomu niepotrzebny? czy już nikt do mnie nie tęskni?“¹⁾ Później wyrwie się z jego piersi rozpaczliwy poprostu krzyk: „Na zdrowiu okropnie upadam, ledwie widzę, co piszę, tak mi wzrok osłabnął. *Solum mihi superest sepulchrum* (tylko mi grób pozostaje). Przynajmniej po śmierci niech błotem nie obrzucają mego grobu, społeczeństwu i przyjaciołom służyłem jak mogłem, w i n y (jeżeli nazwać je winami) leżą na mnie, a karę, aż nadto srogą, sam w sobie odnoszę, a l e g r z e c h ó w s p o ł e c z n y c h n i e m a m i n i e zasługuję na to, aby mię traktowano, jak trupa. Waryuję! Och, jak mi pilno, Janie, wypłakać się na twojej piersi“. Niestety, życzeniu poety nie miało stać się zadość, na trumnę nieszczęśliwego rzucono garść błota. Znamienny jest los „Stelli Fornariny“. Napisana w 1858 r., miała być niejako rehabilitacją stosunku między Rafaelem a Fornariną—w tak idealnym świetle był przedstawiony ów stosunek; miała być pośrednim usprawiedliwieniem się autora i jego Stelli. „Ona natchnieniem była Rafaela“. Skutek był taki, że według słów Tyszyńskiego „matki nie dawały go (poematu) córkom do ręki, osoby idealniejsze nie rozerznęły w nim kartek“. Zdaniem ogółu, poemat był idealizacją występku, „manifestacją cyniczną jego stosunków własnych“. Była to nadszłość, smutnie świadcząca, że zasada chrześcijańskiej miłości i przebaczenia, zbyt rzadko staje się czynnikiem kielkującym i istotnie żywym uczuciem naszej duszy. Nawet Kraśzewski, ulegając poddawczemu działaniu opinii, a domyślając się, iż „może przedmiot był narzucony mu myślą o b c ą i c u d z ą w o l ą“, wytyka „Fornarinie“, że jest „jako temat fałszywą“, że z „błędu tworzyć systemat jest zawsze rzeczą oburżającą“. Tymczasem o „Fornarinie“ to tylko powiedzieć należy, iż jako utwór artystyczny jest chybioną, lecz że ponadto w szczegółach nie zawiera nic gorszącego, owszem, aż ckliwa z nadmiaru cnotliwości, w myśli zaś ogólnej nie była zgoła idealizacją występku, raczej bolesną skargą, że ludzie nie chcą nigdy wierzyć czystości uczuć i pobudek.

1) Do Chęcińskiego, w końcu 1858 r.

„Potwarz i zawiść przyszły z każdej strony,
Puściły na nich swój jad utajony.
Nadto skalani, by we święłość wierzyć
Skwapliwiej czarne chwyтали pozory“.

Nad Rafaela wiekową mogiłą
Znów czarnych kruków zleciało się grono,
Widmo potwarzy na nowo odżyło,
Nieszczęsnej Stelli znowu zlorzczono.

Takie były moralne owoce niemożliwego powikłania. Nie mniej fatalnym w skutkach, bo fizycznie uniemożliwiającym odrodzenie, był osad przebytego wstrząśnienia w postaci rozstroju cielesnego. Materiałne podłoże duszy ulegało rozkładowi, i żadne wysiłki lekarzy powstrzymać go nie mogły, zwłaszcza wobec smutnych przyzwyczajęń poety i wobec niemożności wytworzenia dlań przyjaźniejszych warunków i zapewnienia odpowiednich wygód. Napróżno szukał ratunku w Druskienikach ¹⁾ i Birsztanach ²⁾. „Skutkiem przejść gwałtownych zdrowie krzepkie zachwiało się, artretyzm odebrał mi władzę nóg (napróżno próbowałem dzielności wód Birsztzańskich i Druskienickich) teraz mam zdeklarowane rozszerzenie wątroby i śledziony, z sił spadłem do ostatka“ ³⁾. Co do krzepkiego jakoby dawniej zdrowia, jest w tem nieco przesady. Współcześni mówią o „wątlęm ciała“ poety. W dawniejszych czasach często nawiedzały go kilkumiesięczne nawet choroby. Lecz idealizacja poprzedniego stanu zdrowia wymownie świadczy o tem, jak obecnie czuł się poeta. Nawiedzała go i choroba płuc, wzrok był nadwerężony: „ledwie widzę, co piszę...“ Na początku 1860 r. czytamy w liście do Chęcińskiego: „Co do mnie, wzmocniony na duchu, zapadłem ogromnie na zdrowiu, rozwinął mi się ból w piersi, kaszel, odjęło zupełnie władzę w nogach, nie są to suchoty, ale coś bardzo do nich podobnego“. A dalej:

¹⁾ Latem 1859 r.

²⁾ W r. 1860.

³⁾ Do Kraszewskiego, luty 1861 r.

„Oto masz wszystkie wiadomości, nie piszę o karnawałowych, bo cóż obchodzą ich płasy muie, który zaledwie kilka kroków po pokoju przejść mogą? Co ich maskarady, kiedy maska zbolenia i przedwczesnej starości na głucho mi do twarzy przyrosła?“

Tymczasem nie było sposobu chorować. Trzeba było ze znękanego ciała i chorej duszy wydobywać chleb codzienny dla siebie i dla rodziny, trzeba było wytworami osłabionego mózgu ogrzewać ją i odziewać. „A tymczasem rodzina czeka na mnie, pięćdziesięciu żydów drzwi oblega, z jednymi się kłócę, z drugimi godzę, i tak sobie życie ubiega...“¹⁾ „Nie mogę, pisał ktoś w grudniu 1860 r. do Kraszewskiego, przepuścić płazem obrazu dotkliwego stanu poety. Zjarmione bólem i słabością ciało, napróżno dusza sili się jeszcze pracować dla teatralnej nagrody od publiki, ziębnie prawie przy piecu, ciężar na nogach, bezsenność, przeklętych cygar nie rzuca, lubo doktor ujął napój gorętszy wszelki. Synek biedny z miną Sobieskiego, chory na koklusz, żona czuwaniem znękana, niedostatek w potrzebach życia, gdyż praca i talent żywiły go z rodzeństwem tak dalece, że jeszcze pomagał wciąż siostrze z dziećmi. Pobyt w mieście bez żadnej siedziby na wsi, przy obecnej tutaj drożyznie, toć cząstka wyobrażenia stanu tego pisarza“. Otrzymałszy taki list, Kraszewski posyła Kondratowiczowi zasilek na rachunek prac przyszłych. Honorarya „trafiły w chwilę kiedy nie tylko nie było czego nagotować na obiad, ale nawet czem naniecić ogniska“. Jednocześnie owacyowano poetę na przedstawieniu jakiejś jego sztuki, ofiarowywano mu wieńce. Dziwny splot uwielbienia i obojętności. Bo i kto mógł się zatroskać o biednego lirnika, oprócz zacnych lekarzy: Pileckiego, Wikszemskiego, Zdanowicza, którzy wytrwale przy łożu boleści stawali? „U nas bratnia szlachta goła, boleje tylko nad losem gryziopióry, ale zaradzić mu nie zdoła, tak zwana zaś arystokracja nie godna tego, aby miała wiedzieć o naszych potrzebach, zresztą zanadto wyszafowana to na zagraniczne podróże, to na karnawałowe zbytki... Księgarze zaś... dajmy im pokój!“²⁾ Owa „arystokracja“ właśnie nie chciała „Fornariny“ rozcinać... Jej to nasz lirnik takie pisywał nagrobki:

Bił chłopów pałką
Poił gorzałką, i. t. d.

1) We wrześniu 1859 r.

2) Do Chęcińskiego w 1858 r.

Otaczały zaś poetę swą sympatyą sfery uboższe, nie posiadające wpływu w towarzyskim układzie sił, nie umiejące się zdobyć na inicjatywę. A zresztą, jak to często bywa, przyjaciele nieraz bywają niebezpieczniejsi od nieprzyjaciół. „Dźwignąwszy się nieco z choroby, Boże, jaki straszliwy zamęt znalazłem nietylko w głowie, ale w książkach, w papierach, w interesach. Łaskawi odwiedzający, kiedym był w łóżku, trzęśli biurko, szukając, co napisałem nowego, brali z szaf książek bez liku... Nie pracując, a mając do utrzymania aż dwa domy, wpadłem w spore długi, załamalem ręce i znowu obeszilony padłem na łóżko, a Wikszemski i Pilecki pojąc nazajutrz nie mogli, że zostawiwszy mnie wczora prawie uzdrowionego, znaleźli wszystkie symptomata choroby w powiększonym stopniu“. Jedyne ratunek dla poety był w pracy, tej pracy, którą uniemożliwiały, najprzód rozstrój moralny, potem stan zdrowia, tryb życia niehygieniczny i właśnie owa, w każdej chwili nad głową zawieszona, groźba dnia jutrzejszego... „Myśl i krew w piersiach funkcjonują mi bardzo leniwo...“, wyznaje. „Cierpienie odbiera swobodę myśli i co za tem idzie możność umysłowej pracy. Stagnacya staje się mimowolnie, roboty zalegają, kawał chleba szczupleje, a wydatki się mnożą... Nie chciałbym prędko umierać, bo wiele, bardzo wiele obowiązków“¹⁾. Fatalne koło, wzajemnie warunkujących się okoliczności, a wyjścia zeń nie było...

XIII.

TWÓRCZOŚĆ KONDRATOWICZA W OKRESIE 1857—1860 R.
I STOSUNEK KRYTYKI. — POEZJA SYROKOMLI, JAKO
KARTKA ROZWOJU SPOŁECZNEGO.

Do tego fatalnego koła wszedł jeszcze pewien szczegół, nadzwyczaj dla poety bolesny. W miarę, jak twórczość zaczęła objawiać coraz liczniejsze oznaki pośpiechu i wyczerpania, mnożyły się zarzuty krytyki, a te znowu miały podwójny skutek. Pierwszy ten, iż potęgowały wrażenie chłodu, co od pewnego czasu mroziło moralną istotę poety. Powtórne, nieprzychylnie odezwy obniżały wprost rynkową

¹⁾ Do Chęcińskiego w 1860 r.

cenę wydawnictw, imieniem Syrokomli naznaczonych, pogorszając jego położenie i znowuż utrudniając wzmożenie się osłabionego potoku twórczości. W odwiecznym procesie między krytyką a autorem bardzo często na krytykę wkładają ciężar wszelkich możliwych grzechów, jakby nie była ona rodzajem sumienia publicznego, a jej przedstawiciele byli szczególnym jakimś fizyologicznym czy antropologicznym gatunkiem, jakby nie podlegali na równi z autorami lub słuchaczami oddziaływaniu umysłowych i moralnych prądów społeczności swej i swego czasu, nie mieli upodobań i przekonań i t. d. wspólnych, już to z całą swą dołą, już to przynajmniej z pewnymi grupami społeczeństwa. Wśród tych grzechów, przypisywanych bądź nierozumowi, bądź złej woli, jest jeden szczególny—to szkody moralne, czy materialne, autorom wyrządzane... Jakgdyby na krytykę wolno było wkładać jakieś obowiązki filantropijne! I w omawianym obecnie wypadku, można stwierdzić tylko istnienie fatalności, lecz znowu, mimo wszelkiego współczucia dla doli poety, niepodobna z pomienionego względu oburzać się na współczesną Syrokomli krytykę. Skądinąd przyznać wypada, iż przywilej sumiennosci i nieomylnosci na nikogo nie spływa wskutek tego jedynie, iż przedsięwzięcie oceniać i sądzić czyjeś wysiłki twórcze. Jeżeli Siemiński nie dojrzał nic, prócz fałszywej idealizacji w „Wielkim Czwartku“, i wogóle w całym kierunku poezji Syrokomli, usprawiedliwić go możemy odmiennym zupełnie poglądem na pewną kategorię zjawisk i stosunków społecznych, co zaostrzało mu wzrok na słabe strony a utrudniało wzniesienie się do tego punktu, z którego jedynie można było objąć istotne znaczenie piosnki lirnika wioskowego. Miał też poniekąd słusznosc i Bartoszewicz, gdy mówił o zbytnej łatwości „odlewania wierszy“. W zgryźliwości swej jednak właściwego punktu wejrzenia nie osiągnął. „Posiada Syrokomla twórczość niższego rodzaju. Treść jego poematów bardzo uboga i pospolita“. Cóż jednak mówić o tych, co w „Jan-ku Cmentarniku“ dojrżeli ujemny w autorze cel—odarcia swego bohatera ze wszelkich blasków poetycznych? Albo o tych, co w „Szkołnych czasach“ mieli jeno powód do zdziwienia „jakim sposobem pisarz, takim obdarzony talentem, może pisać podobne bła h o s t k i“. „Nie godzi się świętego powołania poety obracać w rzemiosło“, wołał, przejęty świątobliwą gorliwością moralista. Łatwo sobie wyobrazić, jak to wszystko działało na drażliwego zawsze poetę, zwłaszcza w obecnem jego usposobieniu. „Lekceważące a zawsze stronne zdania krytyków waszych o pracach, które kosztowały kilka miesięcy czasu i kilka funtów krwi z pod serca, przyprawiają mnie o rozpacz... Biorę się za głowę, za serce, i przekonuję się, że pomimo cierpień przebytych, jestem jeszcze ten sam, co dawniej. Czego chcą odemnie

nie pojmuję¹⁾. „Ręka mi odrętwiała, pióro z rąk wypadło“, pisał w rok potem do tegoż. „Powiedziałem sobie: niech raczej dzieci głód cierpią, niż mam być codzień chłostany od ulicznego pismaka, który twój mozół kilkomiesięczny zbędzie słówkiem lekceważenia... Więc rzekłem sobie: może i miałem kiedy talent, ale czym przez moją winę, czy przez niedolę—stracił... Jak zobaczysz którego z krytyków wazszych, to mu powiedz, że dopięli celu, że mnie z niwy spędzili“. Sam jednak poeta wielokrotnie stwierdzał w sobie upadek natchnienia, sięgający stopnia zupełnego bezwładu duchowego. „W chorem sercu w zboląlej głowie taki bezład, że niepodobna mi nawet zażyć na cierpienia ducha lekarstwa — pracy. Pióro z rąk wypada“²⁾. W kilka miesięcy potem napisze³⁾: „W stanie obecnym mojej duszy nie mogę być pewny, czy zdołam napisać coś sumiennie dobrego. Księgarz, licząc na moje imię, da pieniądze i na lichotę, ale uczciwość nie pozwala sztydzić z publiczności, duma nie pozwala szlachetnego powołania zniżyć do rzemiosła“. Nie potrzebował więc Syrokomła tych nauk moralnych, których mu z trójnoga udzielano. Wiemy już, że w jesieni 1858 r. zerwał się ze śmiertelnego letargu, by napisać w ciągu dziesięciu dni „Księżnę Słucką“. I znów: „Mam pomysłów pełną głowę, ale ta głowa dotąd jeszcze rozmarzona, niemal pijana“⁴⁾. I jakby koroną tych wszystkich bolesnych wyznań jest uczynione Kraszewskiemu w lutym 1861 r.: „Wśród tego zamętu boleści ducha i ciała, głowa ani mogła się zdobyć na jakąkolwiek uwagę, umysł przywykły do opracowywania myśli, łamał się z cierpieniami, mam aż siedem myśli rozpoczętych, ale żadnej z nich nie mam siły wykończyć. Korzystam z chwil swobodniejszych od bólu i pracuję w łóżku, zaledwie mogąc utrzymać pióro“.

Spójrzmy więc na to, co powstało w stanie ducha, przez samego poetę w ten sposób ocenianym. Z góry musimy uczynić przypuszczenie, iż rok 1857 będzie względnie najpomyślniejszym. Z tego czasu mamy obszerny „Nocleg hetmański“, w osnowie swej zresztą będący powtórzeniem „Starych wrót“. W dalszym ciągu idzie „Kasper Karliński“, „Starosta Kopanicki“, a nadewszystko, cokolwiek krótszy od pomienionych, lecz najcelniejszy „Ułaz“, krystalicznie przejrzysta „sielanka bojowa“, w której się stopiły rzewne łyzy wspomnień dziecinnych, tęsknota do sielskiej przyrody, gorąca wiara poety w dostoj-

1) Do Chęcińskiego, 30 listopada 1859 r.

2) Do Chęcińskiego, 15 listopada 1857 r.

3) Marzec, 1858 r.

4) 25 czerwca 1859 r.

ność duszy ludzkiej, wybuch oburzenia na społeczne krzywdy. Jeden tylko chyba szczegół może nas niezadawałać, to zbyt ni sentymentalizm przedostatniej sceny (w chacie „Ułasa“). Natomiast szpieg żyd, odmalowany jest tak czarno, że pomówić by można nieledwie poetę o antysemityzm, zwłaszcza, że znękanemu lichwą nie jedno jeszcze z ust wyrwie się sarknięcie, gdyby nie takie obrazki, jak „Księgarz uliczny“, gdyby nie postać „przyjaciela całej szkoły“, Arona, w „Szkolnych czasach“, gdyby nie fakt, że Syrokomla podarował księgarzowi ulicznemu (Kinkulkinowi), pierwsze wydanie swych „Dwu gawęd“ („Garść pszenna“ i „Cieśla“).

Rok ten z następnym łączą „Dni doroczne na Litwie“, nie wybitnego nie okazujący opis zwyczajów i obrzędów, związanych z pewnymi dniami i „Polityk wiejski“ (pierwotny tytuł) rozpoczęty w jesieni 1857 r., a w marcu następnego jeszcze nie ukończony, gdyż poeta „stydował“. Podróż z r. 1858 odbiła się we „Wrażeniach Pielgrzyma“, wykończonych w r. 1859. Najściślej z okolicznościami życia związana „Stella Fornariua“ i „Możnowładcy“ także tu należą. Ale jak poprzednio „Ułasa“, tak obecnie „Szkolne czasy“ przede wszystkim zwracają na siebie uwagę. Snać poeta w ciężkich chwilach ¹⁾ uciekał myślą do lat dziecięcej swobody i w tym z martwych obudzonym świecie szukał pogody, której mu rzeczywistość dać nie mogła. A później, gdy znękanie jeszcze nie minęło, choroba już objęła ciało poety we wszechmożne swe władanie. „Marcin Studziński“, „Wyrok Jana Kazimierza“ i „Natura wilka wyciąga z lasu“ ²⁾ zawdzięczają swe istnienie poczęści nałogowi pracy, głównie jednak konieczności pisania choćby w łóżku, choćby martwiejącą ręką, choćby nadwreżone oczy liter rozróżniać nie mogły. Że jednak w takim stanie zdrowia i umysłu płynęły wciąż jedne szeregi wierszy za drugimi, w rzetelne to może nas wprawiać zdumienie. Oto mamy np. w r. 1860 „Dziewiczy wieczór“, tryskający niemal taką werwą, jak dawniejsze „Trędzłowe“. Nie było to przechwałką, gdy odpowiadając serdecznie na serdeczne przyjęcie w Piotrkowie, poeta mówił:

„Gdy moje żniwo zaledwie w połowie,
Gdy się południe zaledwie rozżarza,

¹⁾ Jesień 1858 r.

²⁾ Wszystkie z r. 1859.

Wam się spodoba, serdeczni ziomkowie
 Pod snopem żyta dać ucztę żniwiarza

.... do uczyty niemam jeszcze prawa,
 Bo widzę jeszcze mój łan niedożęty...

O tak, jeszcze przed poetą rozwinąć się mógł długi szlak żywota i pracy owocnej, gdyby w porę mu rękę podano, ochroniono zdrowie a dostarczono ciszy, gdyby mu usunięto z przed oczu wciąż obecne a groźne widmo nędzy. Bo jeśli kto kiedy zasłużył na dar narodowy, to wśród nich chyba pierwszy Syrokomla...

Właśnie gdy gwiazda jego żywota błyskawicznym niemal lotem zniżała się ku zachodowi, na arenie publicznej toczyły się już z groźnym pomrukiem fale wypadków, które miały wstrząsnąć społecznością do dna. W osobistych losach poety odbiło się to również pustelnicznym trybem życia w Borejkowszczyźnie w r. 1861. Ale nade wszystko wielkim zbliżało się krokiem rozwiązanie sprawy włościańskiej. Gdy rząd odwołał się do społeczeństwa, a przedmiot dotychczas zakazany z dziedziny marzeń i rozważań teoretycznych przechodził w zjawisko o znamionach realnych, natychmiast zarysowały się dwa prądy, jeden sprzyjający zniesieniu poddaństwa i uwłaszczeniu, drugi — przeciwny tym zmianom. I jak zwykle, podział nastąpił według pokoleń: „my“ i „wy“, „starzy“ i „młodzi“. Zupełnie wrogich reformom, jak mówi naoczny świadek a namiętny szermierz sprawy włościan, wcale było niewielu, ale „środkowych“ była ilość bardzo znaczna i młodzież staczała z nimi walki, dochodzące czasem do wzajemnego rzucania na siebie nożów u stołu. Byłam świadkiem scen gwałtownych z tego powodu nieraz między ojcami i synami, albo rodzonymi braćmi...“ Literatura, będąca wynikiem przewiewów, przenikających atmosferę umysłową, odgrywała, jak zwykle, rolę kondensatora, dawała wyraz świadomym i nawpół świadomym dążeniom, potęgowała ich siłę, rozszerzała ich zakres. „Powieści chłopskie Kraszewskiego czytane były, rozrywane, rozważane. Rozbitek Kaczkowskiego miał posłuch... ale najsilniejsze wrażenie tu na Litwie sprawiała poezye Syrokomli“¹⁾. Inaczej też być nie mogło. W jego

1) Szczegółów powyższych raczyła nam udzielić łaskawie p. Eliza Orzeszkowa. Pozwolimy sobie uczynić tu przygodną uwagę. Pan W. Feldman w niedawno wydanej „Literaturze“ ostatniego okresu, zapewnia, że Orze-

utworach nie szukano jakiegoś skończonego systemu społecznego; wszelka filozofia, wszelkie uogólnienie, jak wiemy, nie były silną stroną umysłowości lirnika litewskiego. Lecz natomiast włożył on w pieśń swą duszę, objętą wiecznie żywym uczuciem braterstwa ludzi, i z tego uczucia i przeświadczenia wypłynęły wszelkie dalsze konsekwencye. Od owych uaiwnych, na wespół dziecięcych marzeń towarzyskiego porównania stanów, od owej arkadyi, kędy młoda żniwiarka i syn sultana, dziarski parobczak obok księżnej, tworzą dobrane pary, aż do „Ułasa“, aż do córki chłopa, otrzymującej za swe poświęcenie kulę w piersi z ręki bratniej — tem jednym uczuciem poezya Syrokomli oddychała. Jedyna rzecz wyrozumowana była zarazem rzeczą słabą, w której ślamazarny marzyciel, Stefan, nie zrzuci pałacej koszuli Dejaniry, lecz chwytą się półśrodków: oczynszowanie, ba, a może i pańszczyzna, byle panowie i chłopci częściej do spowiedzi chodzili. A jednak w perspektywie widniała wolność, a jednak i ten utwór, wystawiony i entuzjastycznie przyjmowany, robił swoje. Nawet pod wpływem osobistych bolesnych przeżyć, wzmagająca się gorycz zabarwiała utwory poety pierwiastkiem, wywierającym przyciągający wpływ w chwilach namiętnej obustronnej walki. Gwałtowne odruchy powstawały zapewne w młodych sercach, kiedy oko padało na takie słowa kontraktu obywatela z arendarzem: „Wszyscy moi chłopkowie tu upiją się wódką“.

A gdzieindziej czytano:

Pan kielich pienisty chyli,
Wart trzech dni chłopskiej pańszczyzny,
W pasztecie zamorskim spożył
Cztery dni pieszych szarwarków... 1).

Albo:

Ceną łokcia tej tkaniny
Wioska płótnem się okryje.

szkowa potępiała niegdyś pewne zjawiska społeczne, gdyż „boi się wybuchów uczucia... boi się młodzieży fanatycznej...“ etc. I to się mówi o sercu „na miarę niewidzianą i niesłychaną spalonom od uczuć wiecznych“, powtarzając słowa Żeromskiego i tak się określa stosunek Orzeszkowej względem przyjaciół jej wczesnej młodości

1) „Dni doroczne“.

Spotykamy teraz rzeczy, wprost przejawskrawione, jak ta, gdzie

..... archanioł już woła
Przed najwyższy trybunał sprawę o kwiczoła:

a to dla tego, że strzelec nie chciał sprzedać zwierzyny za dwa złote, mogąc wziąć sześć, pan zaś ją kupił, i oto uboga matka ubogiego chłopczyny nie mogła mieć rosołu. Umarła. Nie filantropijny, lecz społeczny był powód innego namiętnego wiersza: „Wyzwolenie włościan“. Większość zachowawcza komitetu wileńskiego, którego wiceprezesem był Ign. Chodźko, głosujący za utrzymaniem pańszczyzny, chciała całą sprawę, przez rząd podjętą, zamknąć w obrębie pewnych reform w stosunku między dworem a chłopem pańszczyźnianym ¹⁾ Był to jedyny wprawdzie przykład w guberniach litewskich, a miał tylko ten praktyczny skutek, że włościanie stracili całkiem ufność w dobrą wolę obywateli, i od lutego 1861 do wiosny 1863 r. przyszło w gubernii Wileńskiej zaledwie do jednej umowy dobrowolnej o wykup gruntów ²⁾. Wówczas to w sercu „wiejskiego polityka“ wybuch zranionego uczucia zburzył poprzedni dyplomatyczny rozmyśl:

Myslałem sobie: Napróżno krzykacze
Rzucali błotem na szlacheckie miano!
Jutro, pojutrze na oczy zobaczę,
Że nas nie darmo szlachetnymi zwano;

.....

I byłem chlubny, że jestem Litwinem,
Że jestem szlachcic, że mam herb w pieczęci.

.....

1) W r. 1859.

2) Zob. przypisek W. Korotyńskiego do wiersza Syrokomli, T. VII, str. 317 -- 318.

Przecież się stało... kraju mój rodzony!
 Wieniec twej części odarty w tej chwili.
 Ojcowie twoi własnymi imiony
 Kajdany ludu pismem utwierdzili!
 Podali dziejów ohydnej pamięci
 Swoją praktyczną opiekę nad gminem!
 O, wstyd mi Wilna! nie chcę być Litwinem!
 I hańba mojej herbowej pieczęci!

Wiersz był drukowany w zbiorowym wydaniu „Poezyj“ dopiero w r. 1872. Ale wówczas „poezyja ta kursowała w rękopisach, w mnóstwie odpisów; deklamowali ją na imieninowych i innych zebraniach młodzi, a widziałam raz, jak po tej deklamacyi, kilku starych i przedtem dość opornych, płacząc, deklamatorkę w ręce całowali...“¹⁾.

Zaiste, należał się skromnemu piewcy nadniemeńskiemu dar narodowy... Ale skądinąd poezyja owa nie była już „przechwalaniem zalet ludowych“, jak się wyraził J. Laskarys w ulotnym wierszyku. To nie był sentymentalny „Wielki Czwartek“, choć i ten zbyt drażliwych kłuł w oczy. I nawet nie „Ulas“, z którego przegląda bezdenny żal. To była otwarta, gorąca napaść, w gorącej wykonana chwili. Sympatye jednej części społeczeństwa równoważyły się niechęcią drugiej, wpływowszej. Tem skwapliwiej wglądano w prywatne życie poety, tem ostrzejsza spotykała go cenzura za osobiste jego winy, i za Stellę, i za „życie luźne“, i za szukanie pociechy w kieliszku.

Powiedzieliśmy wyżej, że gdyby nie wstrząśnienie moralne, gdyby nie choroba przedewszystkiem, co przedwczesną zgotowała poecie mogiłę, rozwinałby się mógł przed nim długi jeszcze szereg lat życia i twórczości. Niepodobna wszakże nie uznać, iż w pewnym względzie poezyja lirnika dobiegła swego kresu i zadanie swe społeczne spełniła do ostatniej kropli. Do dziś pozostała ona świeżą i młodzieńczą, gdyż płonie w niej święty ogień tego uczucia, które jest najwyższem dla życia ziemskiego przykazaniem: kochaj bliźniego twego. I dopóki człowieka od człowieka dzielić będą różnice zewnętrzne, działanie poezyi Syrokomli ustać nie może. Lecz poezyja ta związana była również z pewnemi pierwiastkami czasowemi, które woła prawodawcy skończyły swe istnienie. Zamiast stosunków zale-

¹⁾ Słowa E. Orzeszkowej.

żności i niewoli, miały wystąpić stosunki sąsiedztwa. Jedna z głównych sprężyn, pobudzających dotąd natchnienie Syrokomli, została usunięta. I sam poeta, jakby zamknął i miniony okres kultury, i własną twórczość w pominiętym kierunku słowami powitania „nowej epoki czasów“, które spotykał „z chlebem i solą“:

Kmiotek litewski, co orząc łany,
 Żył i umierał na cudzej grzędzie,
 Dziś uroczyście został wezwany
 Zając swe miejsce w społecznym rządzie...

.....
 Rolniku bracie,
 Ziemia twych ojców twoją być może,
 Szlachcie ją zdobył krwią swego przodka,
 Ty ją zdobyłeś trudem mozolnym...

.....
 Starą nienawiść do starszej braci
 Niech zapomnienie wieczne przygniecie;
 Trzeba przebaczyć, że są bogaci,
 Dziś bogatymi zostać możecie!

.....
 Dziady szlacheckie z dziady waszemi
 Przeżyły wieki doli, niedoli;
 Wnuki z wnukami na tejże ziemi
Obywatelska miłość zespoli...

Urzeczywistniły się napozór młodzieńcze rojenia o młodej żniwiarce i synu sułtana. Społeczeństwo postąpiło o krok w swym rozwoju. Do braci prośba za braćmi spełniona. I pieśń, która cała prośbą taką była, musiała wznieść się do wyższych lotów... Ale siły jej brakło. Czuł poeta chwilowe „przebudzenie“, ale tylko chwilowe

Całunem jednych marzeń spowity,
 Torturą jednych wspomnień łamany.
 Straciłem z oczu syońskie szczyty,
 Przestałem kochać świat mój kochany.

.....

Wśród burzy na mnie zleciała wiara,
 By uratować rozbitka w łodzi,
 Znowu się do mnie uśmiecha praca,
 Znów czuję w piersi pieśni oddźwięki.
 Boże mój, Boże, czuję, że wraca
 Spokój do serca, pióro do ręki ¹⁾.

Ta wiara i spokój były już tylko rzadkimi chwilami złudzeń.

XIV.

POEZYJE OSTATNIEJ GODZINY (1861 — 1862).

Pamiętamy, iż poeta szukał ratunku u wód w Druskienikach i Birsztanach. Zdawało się, że pobyt w miejscowościach leczniczych pokrzepił ciało i ducha. W Wilnie ogarniał go natychmiast gwar ruchliwej ulicy (Niemieckiej), boleśnie szarpiący napięte nerwy. Z tego czasu ²⁾ pochodzi przesłiczna a bolesna „Śmierć słowika“, w drucianem zamkniętego więzieniu:

Lecz kogo na świecie słowikiem stworzono,
 Ten śpiewać już musi. .

 Przypomniat swe chwile dawniejsze wesela,
 Swe chwile swobody.
 Przypomniat swój gaik i lube wieczory
 Pod gęstą kaliną.
 Przypomniat serdeczne, długie rozhowory
 Ze swoją jedyną,
 Jak budząc się ze snu przed jutrznią, przed słońcem
 W mgle rannej lał trele

¹⁾ Z r. 1861.

²⁾ Z r. 1859.

I głosem królując nad ptactwa tysiącem
 Był zawsze na czele!
 Przekrzyczę, prześpiewam niesforne te gwary,
 Pomimo hałasu!
 Do wyższej, do wyższej nastroję się miary —
 Tak myślał syn lasu.
 Lecz bardziej a bardziej loskotów grzmiał krocie,
 Bruk miejski wciąż dudni...

A wozy wciąż huczą, a ciżba wciąż krzyczy,
 Ci sobie, on sobie,
 Aż pęknął od pienia gardziołek słowiczy
 W ostatniej swej próbie.
 Daremnie w drobnouchne skrzydełka szeleszcze,
 Chwieje się i ślania,
 Gorące serduszko zadrgało raz jeszcze,
 Lecz taktem skonania ..

A oto wymowny komentarz: „Mieszkając w środku miasta, w gwarnej, brudnej ulicy, przy zbiegu czterech ulic, czułem od świtu do północy, jak mi mózg kipi od gwaru dorożek i napędza do głowy ból niewypowiedziany. A wybrnąć z tamtej jaskini nie mogłem, bom kwaterowałem u Żyda, któremu winien byłem i komorne, i sumę rękodajną“ ¹⁾. W jesieni 1860 r. wydobył się wreszcie biedny słowik z więzienia, przeniósł się na ulicę ustronną, gdzie wiejską niemal miał ciszę, ale kroczącej tuż śladem śmierci, wymknąć się nie umiał. „Choroba, zewsząd choroba, czuję ją w nogach, w piersiach, w mózgu, w sercu“. Zdaje się w końcu marca 1861 r., pomimo odradzań Kraszewskiego, w ucieczce swej przed śmiercią podążył Kondratowicz do Warszawy. „Z oblicza tego osmutniałego — pisze Kraszewski — wyzółkłego, z oczu wpadłych i przyćmionych, z ruchów powolnych widać było przeddzień śmierci“. Lekarze wprawdzie nie rozpaczali o wyzdrowieniu, ale za konieczny warunek podawali „spokój, dyetę, regularne życie, usunięcie się od pracy“. Jak chorobliwa żądza jakaś przygnała Łazarza do Warszawy, tak ona znowu wzbudzała w nim gwałtowną chęć powrotu do swego kąta. Wypadło mu zamknąć się w Borejkwowszczyźnie, gdy tymczasem „gospodar-

1) Do Chęcińskiego, listopad, 1860 r.

stwo i wszystkie jego przybory piśmienne były przewiezione do Wilna“ według informacji, którą znajdujemy w przypisach do „Poezji“, przez W. Korotyńskiego poczynionych. W jednym z ówczesnych listów do znajomego w Suwałkach pisze w czerwcu: „Z powodu osłabionego zdrowia, doktor... przepisał mi kozie mleko, z zabronieniem przyjazdu do Wilna, gdzie powietrze jest niezdrowe“. Przyczynę osiedlenia się w Borejkwoszczyźnie możemy opowiedzieć za Wincentym Korotyńskim, który w r. 1884 umieścił w „Tygodniku Powszechnym“ swe „Obrazy z pobrzeża Niemna“ (№ 25). Otóż wycieczka Kondratowicza do Warszawy odbyła się bez legalnego pasportu, a co gorsza, za pasportem cudzym. W Wilnie zdaje się puszczono wyskok ten płazem. Ale w powrocie z Warszawy na Kowno, poeta „niebacznie pozwolił, że go uroczyście podejmowano w kilku miejscach, przyczem nie obeszło się bez gorących mów i wierszy“. Więc oto z Suwałk odprowadzono Kondratowicza do Wilna pod konwojem. Tu, gdy mu groziła dalsza podróż, dr Julian Titius (idziemy za wskazówką p. Lucyana Uziębły) przekładał ówczesnemu generał-gubernatorowi Nazimowowi, że dla chorego poety droga dalsza byłaby zabójczą, że należy wybaczyć zdenerwowanemu człowiekowi jego stan podniecenia i t. p. (A. H. Kirkor, o którym pisze W. Korotyński, w staraniach tych nie brał udziału, nie widując nawet nigdy gen. Nazimowa). W skutek wstawiennictwa najwyższej władzy miejscowej, uwolniono poetę pod warunkiem, iż zamieszka w Borejkwoszczyźnie i bez specjalnego pozwolenia do Wilna zaglądać nie będzie. Nowinę tę zwiastował mu sam Nazimow, odwiedzający go w celi, jak o tem dowiadujemy się z listu Kondratowicza do żony ¹⁾).

W samotności niespodziewanej nie napisał poeta już nic większego. Stworzył tu jednak prawdziwym humorem okraszoną gawędę o „Dokumentach“, pełną wycieczek satyrycznych. Tu również w żartobliwej i łzawej zarazem sielance opisuje siebie, jako „Owidyusza na Polesiu“. Tu nawiedzało go „Przebudzenie“, ale tu także wypłynęła ze znękaney piersi modlitwa: „*Cupio dissolvi*“:

Na co mi, Panie, ta suknia z ciała,
Co mi swobodną duszę skowiała?

.

1) Z d. 23 kwietnia st. st.

W ziemskich warunkach ciała i kości
 Spada korona niezależności;
 Duch musi stawać na ziemskiej mierze,
 Ziemska namiętność swe prawa bierze,
 Wysokie żądze giną bezpłodne,
 Wzamian rozkoszy, co mnie niegodne,
 Głód i pragnienie, zimno i spieka
 Dają poczucie nędzy człowieka.
 Łakomstwo duszę przy ziemi trzyma,
 Próżność piersiową klatkę wydyma,
 Nienawiść ręce uzbraja w noże,
 Miłość zbydlęca, co było Boże.
 Tak, nawet miłość, uczuć królowa,
 Tutaj świętości swej nie dochowa...

.

Po ogłoszeniu wiersza tego w „Kuryerze Wileńskim“ ¹⁾, posyłało się „siła protestacyj wierszem i prozą, nadsyłanych do redakcyi „Kuryera“. Chciano, aby żył poeta, żyć mu rozkazywano... i „nie więcej“, dodaje tu gorzki komentarz Winc. Korotyński.

W Borejkowszczyźnie wreszcie powstały „Melodye z domu obłąkanych“, gdzie poeta ze śmiechem i łzami opisuje własny pogrzeb. Podobnie, jak niedokończone (a równie tu pisane) fragmenty dramatyczne, „Melodye“ owe, to ułamki tylko, nie związane nawet jednością myśli. Ten sam jednak w nich koloryt, ta sama drga nuta utajonego, zrezygnowanego żalu, tę samą wyczuwa się w nich lotność słów i myśli.

Posłuchajmy, choćby tego wstępnego akordu:

Ja jestem panem całego świata,
 Co chodzi, pływa, czołga się, lata,
 Niebo i ziemia — *to wszystko mojej*
 Ja się ich stracić nie boję.
Bo jasne niebo kluczem zamknąłem,
A ciężką ziemię sznurami spiąłem;

¹⁾ R. 1861.

*Klucz do kieszeni, a końca nici
Już z mojej ręki nikt nie wychwyci.*

.

Niech będzie cisza, bo mię sen mroczy,
Przygaście słońce, bo kole w oczy,
A gdy za wiele blasku w przestrzeni,
To mu ogólcie głowę z promieni,
*Jak ogolono mnie moją głowę,
Za to, żem rzucił światło różowe.*

Nie zważajmy na świadomie użyte przez Syrokomlę zgrzyty. W tej mowie obłąkańca, tak, niewątpliwie obłąkańca, czuć przecież taką świadomość twórczej potęgi, taką szczerłość technienia, śmiałość wyobraźni, taką giętkość słowa, a poza tem taką głębię, jakiej nie znaleźmy w skromnej, ziemi trzymającej się, a rzewne uczucia wyrażającej pieśni Syrokomli. „Umysł jego — według pięknych słów p. Wł. R. Korotyńskiego — osiągnął już mądrość boleści, nad uczuciami zapanował majestatyczny spokój, słowo naginało się do myśli z chyżością ptaka, z wyrazistością rzeźby, z barwnością malowidła“.

Oprócz poezyj swoich, oprócz studyów nad Heinem, lub Chodźką, posyłał też Kondratowicz ze swego ustronia do „Kuryera Wileńskiego“ i „przeglądy miejscowe“, do których dostarczano mu materiałów.

Niemal po roku mógł Kondratowicz, dla poratowania zdrowia, przenieść się do Wilna, bo już w dniu 13 lutego 1862 r. wpisuje czterowiersz do „pamiętnika“ Zyg. Gutta. Te kilka miesięcy do września przyniosły zaledwie setkę wierszy w ogólnym rachunku, a najplodniejszym był właśnie wrzesień, w którym powstaje gawęda o „Błogosławionym Świętosławie“¹⁾. Syrokomla, uderzając w legendowy ton, jakby wiązał koniec swojej twórczości z początkiem („Błogosławiony Sadok“). Koło zamykało się. Ale zarazem jest to, jakby drganie nowej linii. Po rozwiązaniu sprawy ludu wiejskiego, dla którego wskazuje teraz szkołę i pracę kulturalną²⁾, lirnik przenosi swój wzrok na lud miejski, wyrobniczy.

¹⁾ W innym kształcie utwór ten rozpoczęty był jeszcze w Borejkwoszczyźnie na początku roku.

²⁾ Przed kilku miesiącami właśnie powstała w Borejkwoszczyźnie gawęda o „Szkołe“.

Wszystkie stany bez różnicy
 Pan przytula do łona,
 I wy, polscy wyrobnicy,
 Macie w niebie patrona.

Obszerny mają zakrój niedokończone „Dwa obrazy“. Ale już pióro wypadało z martwiejącej dłoni. Umysł jednak był czynny do ostatniej chwili, a zstępując do grobu, jeszcze się poeta oddaje złudzeniom. W marcu zamyśla o zbiorowym wydawnictwie „Czeladź literacka“. W sierpniu, gdy Kraszewski w piśmie, przez siebie redagowanym ¹⁾, wspomniał o beznadziejnym stanie poety, Syrokomla z pewną goryczą pośpieszył zaprzeczyć tym przewidywaniom. By dopomóc biednemu Łazarzowi, zakrzętała się Kraszewski około wydawnictwa nowych utworów Syrokomli. Zbiorek wyszedł już po śmierci poety pod nap.: „Poezye ostatniej godziny“. Tytuł ten był wyrazem powszechnego żalu, ale w istocie poezyi „ostatniej godziny“ książka nie zawierała, mieściło się nawet w niej parę utworów, przed dziesiątkiem jeszcze lat napisanych. Poeta czynnie zajmował się wydawnictwem, coraz to wydobywał coś ze swych papierów napisał wierszowaną przedmowę, z której Kraszewski dał tylko urywek, gdyż „myśl pod koniec splątała się, ręka, którą usiłował po papierze nakreślić słów kilka, przykre robiła wrażenie ostygłej już nąpół tchnieniem grobowem“.

Czujny grajek przy lutence
 Z czeczotkowym kijem w ręce,
 Od komina do komina
 Swą wędrówkę rozpoczyna...

 Zawsze bardon ma strojony...

Przypomina to dawno złożoną obietnicę: „skonam, grając na lirze“,

1) „Gazeta Polska“ z dawnej „Codziennej“.

Na godzinę przed śmiercią podyktował jeszcze Syrokomła do Kraszewskiego kilka bezładnych słów, wśród których mieściły się i te: „Drogi Józefie, com obiecał, ściśle dotrzymuję. Słodka nadzieja, iż w pełnym zdrowiu sztandar pracy rozwinę... Kapitalik się rozszedł, z głodu nie zginę, ale co widzę przed sobą? Czarną przyszłość...“.

D. 15 września, na parę dni przed ukończeniem trzydziestego dziewiątego roku życia, lirnik wioskowy spoczął na wieki. „Pogrzeb — czytamy u Kraszewskiego — był wspaniały, z tysiącem ludu w orszaku, z bijącymi sercami młodzieży, z laurem na żółtkiej skroni, z mogiłą usypaną dłoni gorących natłokiem; nie zbrakło mu nic, a nawet rozgłośnej obelgi, rzuconej na trumnę... Koleją odzywały się dzwony i modlitwy po wszystkich niemal kościołach; gorętsi rzucali grosz wdowi składki dla rodziny, a zacna szlachta kowieńska na zebraniu w Nowo-Aleksandrowsku (Jezioranach) wniosła przez usta p. Klimañskiego projekt narodowego daru, kawałka tej ziemi, którą tak kochał, dla osieroconych dzieci“. Mimowoli przychodzi na myśl prorocstwo, przed siedmiu laty wysławiane w „Zgonie Acerna“.

Nazajutrz stał się w mieście rozruch i żaloba;
Trup, co leżał w szpitalu na łożu Hioba,
Złożono w pyszną trumnę na spoczynek w ziemi,
Obitą aksamitem, frendzlami srebrnemi,
Na trumnie leży harfa z porwanemi struny,
Cały kościół obito w grobowe całuny

.

Kraj, który patrzył zimno, jak zabija nędza,
Dziś na pogrzeb śpiewaczy złota nie oszczędza

.
.

*

*

*

Od chaty do chaty, do grobowej deski,
Z swą lirą wędrował nasz lirnik litewski.

Witały go dwory, witała go strzecha,
 Wtórzyły mu wdzięcznie, zabląkane echa...
 Bo z jego lirenki leciały piosenki,
 Jak szare skowronki wzlatały z pod ręki,
 Pod sercem się legły, pod sercem prostaczem,
 Wyniańczone smutkiem, wykarmione płaczem...

Udanem weselem nie zabił żalości,
 Ból rzewny, głęboki, jak wilgoć wszedł w kości,
 I przegryzł mu serce, żalością przepoił,
 I oną udaną swobodę rozbroił...

Spoczywaj, lirniku, nasz bracie wioskowy,
 Spoczywaj, lirniku, a zioła nadgrobnie
 Niech szemrzą nad tobą, jak struny żalobne,
 Wzruszone powiewem ojczystej dąbrowy.
 Spoczywaj, lirniku, nasz bracie wioskowy!

Temi rzewnemi nutami pożegnał lirnika litewskiego, jego brata
 z ducha — lirnik mazowiecki.

*

*

*

Staraliśmy się określić, w miarę sił, czem była poezja Syrokomli dla jego czasu. Była chlebem powszednim, ale zdrowym i pożywnym, zawierała w sobie rzeźwiący napój dla ducha, zmęczonego codziennym znojem.

Czemże jest dla nas?

Zostało w niej dla nas kilka obrazków pogodnych. Przegląda się w niej wiecznie młoda i wiecznie droga ziemia, i niebo, często smutne i zamglone. A nadewszystko promienieje z niej zaklęta w dźwięki miłość ku ludziom, która była istotą duszy słowika nadniemeńskiego i która splotła z dźwięków owych kilka nieśmiertelnych akordów. I to uczucie miłości, którem jest przesiąknięta, wsączy

się wraz z pieśnią przedewszystkiem w młode serca i młodziutkie wyobrażnie, nie mogące jeszcze podążyć za górnemi lotami Konopnickiej lub Kasprowicza, i uczyć je będzie, że człowiek dla człowieka powinien być bratem. Nauka taka będzie im potrzebna, bo realne stosunki rzeczywistości co innego im wskażą, zwłaszcza w zakresie dla oczu dzieciennych najdostępniejszym.

A. DROGOSZEWSKI.

K O N I E C.

PIŚMIENNICTWO.

X. PIOTRA SKARGI. SOC. JESU: Kazania Sejmowe z pierwodruku r. 1597 wydał i przedmową poprzedził Ignacy Chrzanoski. Warszawa 1903 (Biblioteka dzieł chrześcijańskich.)

Z obszernej i wyczerpującej przedmowy dowiadujemy się, że gdy w r. 1588 Zygmunt III powołał Skargę na kaznodzieję dworu i sejmu, prymas Karnkowski już siódmy krzyżyk na barkach swoich dźwigał a Stanisław Sokolowski, prawie boski kaznodzieja Stefana Batorego, był słabego zdrowia. Józef Wereszczyński przy całej swej zarliwości, sercu złotem i uczuciu gorącym, nie posiadał szerokiego na świat poglądu. Jan Dymitr Solikowski miał i głowę mocną i dar wymowy, ale tylko gładkiej, nie porywającej. Jeden Skarga miał wszystko: i serce wielkie i umysł szeroki i dar wymowy taki, o jakim nie słyszano nigdy w Rzeczypospolitej. Kazaniami natchnionemi zasłynął już był we Lwowie, i w Pułtusku, i w Jarosławiu, i w Wilnie, i w Połocku, i w Rydze i w Krakowie, miał już za sobą uczone i poważne pisma. Stawszy się w r. 1588 kaznodzieją sejmu i dworu, Skarga zaczął już prawdopodobnie przemawiać na nabożeństwach sejmu koronacyjnego, na pewno zaś wiadomo, że nazajutrz po zamknięciu sejmu, w niedzielę d. 31 stycznia 1587 r., a więc na nabożeństwie, odprawionem wobec rozjeżdżających się posłów, wygłosił na Wawelu w obecności króla kazanie dziękczynne, z powodu zwycięstwa pod Byczyną. Jest to pierwsze znane nasze, chociaż tylko z lichego przekładu łacińskiego, kazanie polityczne. Już w tem kazaniu przyrównywa ojczyznę do okrętu, a jej synów wyrodnych do tych głupców, co, gdy okręt tonie, o swoich jedynie tłumokach myślą, nie pomni, że jak okręt zatonie, i oni wszystko co mają, potracą. Odtąd nie opuścił Skarga ani jednego sejmu; od r. 1588 do roku śmierci jego (1619) osiemnaście odbyło się sejmów i jak świadczy Birkowski w swej przemowie pogrzebowej, wszystkie wymową swoją oświecał, nie bojąc się przymówek ludzkich.

W wieku XVI coraz to częściej gromią kaznodzieje grzechy przeciwko moralności społecznej i politycznej i to nietylko w kazaniach sejmowych, ale nawet i w postylach. Skarżył się Wujek, że nawet Turcy każdemu i najlichszemu wnet sprawiedliwość uczynią, a u nas jej drudzy ani dowołać, ani dopłakać, ani dokupić nie mogą. Nie taili grzechów politycznych i społecznych kaznodzieje protestanci, jak np. Grzegorz z Żarnowca, który w postyli swojej narzeka na swawolę w Polsce. Takich i tym podobnych upominań pełno w kaznodziejstwie XVI w., lecz są one jeszcze przygodne jedynie, nie stanowią bynajmniej głównej treści kazań i nie nadają im cechy wybitnie politycznej. Bez porównania więcej zbliżają się do tego typu kazania łacińskie Stanisława Sokołowskiego, który też niewątpliwie musi być uznany za jednego z poprzedników Skargi. Wprawdzie głoszoną ich treść stanowi obrona katolickiego kościoła i walka z różnowierstwem, lecz broni Sokołowski katolicyzmu, nie tylko jako teolog, ale i jako polityk, dowodząc szczegółowo, że religia katolicka tak jest prawdziwą religią i prawdziwą podstawą moralności chrześcijańskiej, jak jest pewną i niezawodną, mocną podstawą państwa. Albowiem wolność katolicka jest wolnością prawdziwą, polegającą na tem, aby żyć zgodnie z rozumem, szanować zarząd, czcić króla, pomazańca Bożego, świadczyć posłuszeństwo prawom. Prócz tego Sokołowski występuje przeciw Konfederacji Warszawskiej z r. 1573, którą nazywa uprawnioną sankcją bezbożności, obstaje za przywróceniem jurydykcyi biskupów, potępia tak nazwaną kompozycję, broni dziesięcin, a różnowierstwo poczytuje za grzech śmiertelny, nie tylko względem Boga, ale i względem państwa.

Ścisłejsze pokrewieństwo zachodzi jednak między kazaniami Skargi a kazaniami Hieronima Powodowskiego. Już w r. 1573, ukazały się dwa jego kazania sejmowe, wypowiedziane po łacinie, ale wydane po polsku. W pierwszym kazaniu przyrównywa Powodowski Rzeczpospolitą do wieży Babilońskiej, którą z powodu różności wiar trzeba będzie niedokończoną pozostawić. Są jednak kazania Powodowskiego więcej o charakterze politycznym, jak np. kazanie panegiryczne, wypowiedziane w dzień Ś. go Stefana, na sejmie w obecności króla. W kazaniu powyższem za najcięższy grzech narodu polskiego poczytuje Powodowski zerwanie dawnej jedności religijnej. Ale są grzechy świeckie: brak sprawiedliwości przedewszystkiem, dalej lichwy, zdrady, oszukaństwa, chciwości, pogwałcenie świętych praw i przywilejów kościelnych. Krzywdy, jakie duchowieństwu katolickiemu wyrządzają różnowiercy. Nie zapomina Powodowski o rządzie świeckim, oświadczając, iż Polska zapadła na chorobę sejmową „*morbis comitalis*“. Większość bowiem praw nowych uchwa-

lono nie zgodą powszechną, ani rozmysłem dojrzałym, lecz bystro i niebacznie. Ustawy te, zapłodnione uchwałami stronnictw sejmików, poczęły i dźwigały w swem łonie brzemię choroby i jako jaja zmijowe, sączyły z siebie kropla po kropli jad niezgody, a potem na sejmach walnych rodzić zaczęły przy pomocy nienawiści i sporów burzliwych i porodziły nieprawość. W innym kazaniu Powodowski piętnuje krzywdy społeczne. Trzy są stany w Polsce, powiada on, jeden który pracuje, dwa które w pracy ludzkiej nie są. Pierwszy stanowią chłopci, którzy we dnie i w nocy, czasem nawet w dni świąteczne, bez wytchnienia, głodem i biedą wszelaką nękanymi, z bydlęm pospołu, trudy od egipskich cięższe ponoszą; drugi szlachta i magnaci, którzy uciskają chłopów, trzeci kupcy i rzemieślnicy, o których mówi prorok: „W mnóstwie nieprawości twych i w nieprawości kupiectwa swego splugawiłeś poświęcenie twoje“. Można przyrównać tę Rzeczpospolitą naszą do owego Nabuchodonozora posągu, który miał wprawdzie głowę złotą, pierś srebrną, brzuch miedziany, nogi żelazne, ale podstawę z ziemi i błota ulepioną; gdy ją zgruchotano, runęła cała machina. Powodowski był niezawodnie poprzednikiem Skargi, twierdzić jednak nie można, że on, a nie Skarga, stworzył w literaturze naszej typ kazania politycznego.

Kazania sejmowe Skargi ogłoszone po raz pierwszy drukiem w r. 1597, są zdaniem autora przedmowy, najdoskonalszem i najczystsze zwierciadłem jego jasnej, pięknej, wspaniałej duszy, jego płomiennej miłości ku Bogu, kościołowi katolickiemu i ojczyźnie, jego głębokiego rozumu. Powstały one pod wpływem wzrastającego rozstroju państwa polskiego w pierwszych latach panowania Zygmunta III. Jedną z przyczyn rozstroju była sprawa religijna. Odziedziczyli innowiercy po Stefanie Batorym jego słynną ordynację dla Krakowa przeciwko tumultantom, ale za to podczas obrzędu koronacyjnego nie pozwalało duchowieństwo Zygmuntovi III złożyć przysięgi, jeżeli projekt obwarowania konfederacji wykona. Na sejmie w r. 1590 zdołali innowiercy przeprzeć ustawę o tumultach na cztery miesiące, co nie zażegnało jednak nowych tumultów w Poznaniu i w Krakowie. Pogłębiała nieprawość wyznaniową literatura satyr, broszur, paszkwilów, stronnictwa, gwałtowna, namiętna, deprawująca serca i bałamucąca głowy, a zachowanie się wobec tumultów króla, nie mogło mu pozyskać miłości dyssydentów. Zamęt ogólny wzrastał z powodu braku sprawiedliwości, bo prawa choć były, ale nie miały egzekucji, tymczasem szlachcic był przekonany, że na całym świecie Bożym nie było państwa, któreby się lepiej rządziło niż Polska, a wolność rozumiał jako „móc żyć, jako kto chce.“ Na zarzut, że w Polsce nie rząd coraz gorzej panuje, szlachcic odpowiadał: Polska nierządem

stoi, i obawiał się wszelakich reform, jako niemożliwych do przeprowadzenia.

W przedmowie do pierwszego wydania swych kazań Skarga oświadcza: „I do rady, i senatu, i rycerstwa, i na sejmach i na zjazdach odprawowałem Panie Zbawicielu poselstwo Twoje,... groziłem im jakoś rozkazał, gniewem Twoim, zgubą i pożarciem ich od nieprzyjaciół i spustoszeniem i przeniesieniem królestwa ich do innych narodów. Ukazywałem, jako miecz pogański nad nimi wisi, który sąsiedzkie zdrowia i majątności pożera. Cóżem dalej czynić miał mój Panie?“ Przedmowę powyższą umieścił Skarga na czele r. 1595 wydanych: „Kazań na niedziele i święta“, czyli że już przed tem mówił w kazaniach sejmowych o tych samych przedmiotach i w tym samym duchu, co później, a co w zupełności zgadza się z jego własnem wyznaniem w kazaniu wiślickiem: „Już to piętnaście sejmów za panowania szczęśliwego pana i króla naszego odprawiło się, na każdym żem mówił i przekładał.“ Kiedy się czyta niektóre ustępy różnych kazań na niedzielę i święta, niepodobna nie nabrać przekonania, że one są częścią kazań, wygłoszonych nie dla wszystkich wiernych, ale dla posłów i senatorów, lub dla króla i jego dworu. O jednym kazaniu na drugą niedzielę postu, wiemy napewno, że jest sejmowe, czego niezbiecnie dowodziły słowa następujące: „Teraz zwłaszcza, gdyście się na ten sejm zjechali, jako wodzowie ludu Bożego, jako świece ich ciemności“ i t. d. i t. d. O pierwszej chorobie Rzeczypospolitej, t. j. o braku prawdziwej miłości ku ojczyźnie, mówił już Skarga w kazaniu na siedmnastą niedzielę po świętkach. Że niezgoda prowadzi państwa do upadku, o tem mówił Skarga w kazaniu na piątą niedzielę po Trzech Królach, to była druga choroba Rzeczypospolitej. O trzeciej, o różnowierstwie, mawiał często, w kazaniu na dziesiątą niedzielę po Świętkach, albo na czwartą i piątą po trzech Królach, a nadewszystko w kazaniu na trzecią niedzielę postną. Że najlepszą postacią rządu jest monarchia, tego dowodził w kazaniu na drugą niedzielę po Wielkiejnocy. Tę samą myśl wypowiada w kazaniu na czwartą niedzielę po Świętkach. Obowiązek poszanowania majestatu królewskiego przekładał Skarga w kazaniu dziewiątem po Świętkach, a całą część pierwszą kazania na 22 niedzielę po Świętkach, poświęcił wykładowi o urzędzie świeckim, wogóle dowodził, że sam Pan Bóg go ustanowił. W kazaniu na pierwszą niedzielę Adwentu mamy pogląd, że fundamentem pokoju dobrego, ludzkiego, jest sprawiedliwość. Na niekarność grzechów jawnych często powstawał Skarga, najsilniej w kazaniu na dziewiątą niedzielę po Świętkach.

Kazania sejmowe, ogłoszone drukiem w r. 1597, nie są streszczeniem poglądów i myśli, nawoływań i upominań, wypowiedzianych

w kazaniach dawniejszych, ale przeciwnie są ich rozwinięciem, uzupełnieniem, wyjaśnieniem i połączeniem w jedną logiczną i artystyczną całość. Złożyły się na nie całe lata działalności kaznodziej-skiej Skargi i wskazówki, które pozwalają dość ściśle określić czas pracy nad ich pisaniem, a przynajmniej nad ostatecznym wykończe-niem. Ostatnią rękę do „Kazań Sejmowych“ przyłożył Skarga do-piero po Sejmie r. 1597 i w tymże roku ogłosił je drukiem przy końcu drugiego wydania kazań na niedzielę i święta. Teraz ich geneza przedstawia się jasno: na sejmie tym miano dokonać ważnych reform, pomiędzy propozycjami od tronu, miano wnieść na obrady i te, aby wzmocnić powagę uchwał sejmowych. Wówczas to Skarga posta-nowił skupić w całość wszystkie na poprzednich sejmach wypowie-dziane, myśli i poglądy na Stan Rzeczypospolitej i jej naprawę, i w ten sposób powstało ośm kazań sejmowych. Czy wygłosił je Skarga na nabożeństwach sejmowych w r. 1597? Pewności niema, oświadcza Chrzanowski, lecz nic, ale to literalnie nic, nie przeszkadza temu przy-puszczeniu. Pozornie sprzeciwiają się temu trzy ustępy, dotyczące już skończonego sejmku, a więc przekonywające, że kazania, w któ-rych je zamieszczono, odbyć się mogły jedynie po sejmie. Były jesz-cze prócz tego inne zarzuty, podnoszące tę okoliczność, że o tem, aby przed sejmami wygłaszał mowy czy kazania Skarga, milczał Dyarjusz ówczesny. Że Dyarjusz milczy, to rzecz bardzo naturalna, przecie nie podczas obrad sejmowych przemawiał Skarga, tylko na nabożeń-stwach w kościele.

Prócz tego prof. W. Zakrzewski był zdania, że sama przedmowa Skargi zdaje się świadczyć, przeciwko przypuszczeniu, iż kazania były wygłoszone na sejmach. W dedykacji królowi Skarga wciąż mu powia-da, co w tych kazaniach znajdzie. Gdyby je król przedtem słyszał, chy-baby jednem słowem kaznodzieja o tem nie napomknął. Podobnego zdania jest i prof. Brückner, który utrzymuje, że z własnego wyzna-nia Skargi dawno się domyślano, że Skarga kazania te pisał tylko i przed żadnem gronem sejmowem ich nie wygłaszał. Poważne to nieporozumienie płynie stąd, że obaj uczeni powołują się na przed-mowę do kazań o siedmiu sakramentach, o przygodnych, wydanych wraz z sejmowem w r. 1600, które to wydanie przez czas długi w oczach wielu uchodziło za pierwsze wydanie kazań sejmowych. Tymczasem po raz pierwszy ukazały się kazania sejmowe w drugiem wydaniu kazań na niedzielę i święta w r. 1597 i posiadają przedmowę, będącą dosłownym przedrukiem przedmowy do pierwszego wydania tychże kazań niedzielnych i świątecznych z r. 1595, w tej zaś przed-mowie niema ani jednego słowa, które mogłoby podzielać zdanie pomienionych uczonych. Prof. Zakrzewski utrzymuje prócz tego,

że sam układ i rozkład, systematyczność i porządek w przeprowadzeniu całego przedmiotu, utwierdzać musi w przekonaniu, że to opracowano w spokoju z rozmysłem, porządkując gorące słowa, do których podobne, albo nawet te same płynęły przedtem z ust wybornego kaznodziei, ale bardziej dorywcze, nie tak obmyślane i w niezupełnie tym samym związku z innymi. Pytamy, pisze Chrzanowski, dla czego układ i rozkład, systematyczność i porządek, nie mogły być owocem spokojnej, pełnej rozmysłu pracy przed sejmem? skąd pewność, że dopiero po sejmie przystąpił Skarga do tej pracy? czy nie o wiele prawdopodobniejszym, bo i z świadectwem Birkowskiego i z jego własnem przyznaniem się do trudności pisanja kazań przygodnych, jest przypuszczenie, że na sejmie z ust wymownego kaznodziei, słowa nie płynęły dorywczo, że były głęboko obmyślane i że kazania miały z góry ułożony plan i związek wzajemny, słowem, że były napisane już przed sejmem.

Zdaniem prof. Brücknera, przeciwko przypuszczeniu, że Skarga naprawdę wygłosił swoje „Kazanie sejmowe“ przemawia choćby to jedno, że w nich specjalnych okoliczności na oku wcale nie miał, lecz zwracał się do stanów sejmujących i do ich zadania niby in abstracto bez zastosowania do jakiejś chwili bieżącej. Chrzanowski oświadcza, że nie brak w kazaniach alluzji do wypadków konkretnych, choć istotnie kazania Skargi możnaby wygłosić na każdym sejmie za Zygmunta III. Gdyby jednak Skarga nie wygłaszał kazań in abstracto, dopieroż powstałaby wrzawa, że jakiś tam mnich z Grójca śmie krytykować postępowanie obecnych posłów i senatorów. Skarga, mający poselstwo od Boga, mógł sobie pozwolić co najwyżej na kilka i odległych alluzji. Następnie znajdujemy w Przedmowie Chrzanowskiego streszczenie wszystkich sejmowych kazań, i zestawienie zasadniczych politycznych myśli, zawartych w kazaniach sejmowych, które dadzą się sprowadzić do tych samych trzech myśli zasadniczych, przyświecających całej jego działalności. Polska powinna powrócić do jedności religijnej, pomyślność narodu zakwitnąć może jedynie na gruncie moralności chrześcijańskiej w ogóle, a patriotycznej w szczególności, państwo polskie potrzebuje koniecznie reformy. Każda z tych trzech myśli Skargi pozostaje w ścisłym związku z literaturą naszą XVI wieku.

Jeden Skarga, zdaniem Chrzanowskiego, miał odwagę publicznie napiętnować rząd „popularitatis“, obnażając tym sposobem najcięższą i najniebezpieczniejszą ranę państwa, decentralizację; on jeden bez żadnych osłonek wykazał, do czego taki rząd doprowadzić musi, on jeden nie zawahał się w epoce osłabienia władzy i zdyskredytowania powagi królewskiej, wezwać koło poselskie, aby zlecało rządy

królowi polskiemu i jego radzie. Kazanie o monarchii, to korona tej literatury XVI wieku, która budziła w społeczeństwie świadomość koniecznej potrzeby zaprowadzenia silnego rządu, jako najgłówniejszego warunku, już nie potęgi, ale wręcz istnienia państwa. To jedno kazanie, przez pierwszorzędną wagę podjętej w niem sprawy, przez mądrość głęboką i niesłychaną odwagę w jej wyświetlaniu, należy do najznakomitszych utworów całej naszej literatury, nawołującej do naprawy Rzeczypospolitej. Czy zaś program umocnienia rządu i zapobieżenia wzrostowi decentralizacji, powstał w umyśle Skargi pod wpływem nauki jego braci zakonnych o silnej władzy królewskiej, czy całego stronnictwa politycznego, czy też jest owocem jego własnej mądrości i trzeźwości, a na świat i własny kraj poglądu, tego nie wiemy, ale wiemy, że nikt odważniej nie wypowiedział programu, który był wówczas jedynym skutecznym i jedynym zbawiennym.

Inne myśli wypowiedziane w kazaniach sejmowych, choć nie mniej żywotne i mądre, nie mają już tej doniosłości. Zaslugą jego pozostanie, że w czasach, kiedy w społeczeństwie coraz to więcej zanikała myśl reformy, on o niej przypominał. Nie wyczerpał wszystkich praw niesprawiedliwych, to prawda, ale wystąpił przeciwko najgorszym: krzwiącym bezkarność zbrodni, plugawiącym ziemię krwią niewinną i uprawniającym ciężką krzywdę społeczną. A pojęcie prawa, jego podstawę etyczną i społeczną, określił i uzasadnił lepiej od wszystkich współczesnych prawników. Nie zapomniał i o sądach, przelotnie dotknął skarbu i wojska i fortec, słowem rozumiał, że cała Rzeczpospolita potrzebuje naprawy. Ta szerokość programu politycznego na większe jeszcze zasługuje uznanie oraz tem jaśniejszego w oczach naszych nabiera blasku, jeśli zważymy, że Skarga nie był mężem stanu, tylko księdzem, który nigdy żadnego państwowego nie piastował urzędu. Nie tylko szerokością poglądów, ale nad wielkością pisarzy politycznych XVI w. góruje Skarga niepodważaną ucieciwością pobudek, nieposzlakowaną czystością intencji, a nad wszystkimi, niesłychaną odwagą cywilną.

Logiczność rozumowania i wogóle całego wykładu, łączy się w kazaniach sejmowych z iście klasyczną jednością, a tę stwarza nie tylko styl jasny i nie tylko jasna, przejrzysta budowa kazań, ale nadto sama metoda wykładu, polegająca na wyjaśnieniu słuchaczom każdej myśli, choćby ona, jak słońce jasną była, oraz na ułatwieniu im pracy umysłowej, dokładnego i gruntownego zrozumienia nauki. Ale i jasność nie wystarcza jeszcze Skardze. Aby tem mocniej podziałać na swoich słuchaczy, posługuje się on po mistrzowsku środkami stylistycznymi, t. j. kontrastami; aby przykuć do siebie uwagę słuchaczy, ucieka się co chwila do metody akroamatycznej, ciągle się do nich

zwracając i używając często pytań retorycznych, na które sam niekiedy odpowiada, aby wszelkie wątpliwości usunąć i możliwe zarzuty uprzędzić. Niezrównanym mistrzem jest Skarga w uwydatnieniu swoich myśli, za pomocą odpowiedniej budowy zdań i okresów, szeregując np. poszczególne części zdania w porządku, odmiennym od z wyłogo, wysuwając mianowicie myśli, na które pada nacisk, na plan pierwszy. Gdzie niema potrzeby silniejszego uwydatnienia jakiejś jednej myśli, tam budowa zdań jest inna, zwykła. Czasem piękna forma przychodziła do kazań sejmowych sama, nie proszona, nie szukana, jako nieodłączona towarzyszka umiejętności przemawiania do duszy ludzkiej, umiejętności, którą Skarga w najwyższym posiadał stopniu. Że tak było istotnie, za tem przemawia klasyczna prostota stylu Skargi, która nie jest i nie może być owocem, choćby najpilniejszej i najumiejętniejszej roboty artystycznej, ale jest wynikiem indywidualnym pisarza, jego jasnego, trzeźwego umysłu i szlachetnego, czystego serca.

Skargę nazywano tyranem dusz ludzkich. Birkowski mówił, że serca ludzkie trzymał w ręku swym i obracał niemi, kędy chciał, przez dziwną a jemu tylko daną wymowę. W kazaniach sejmowych obraca sercami ludzkiemi, w swoich wspaniałych zaklęciach i apostrofach, w których uderza nie w jedną i nie w dwie, ale we wszystkie struny ludzkiego serca. Ale największym mistrzem jest Skarga w odwoływaniu się do uczuć patryotycznych swoich słuchaczy. Kazanie też o miłości, to korona kazań sejmowych, jako niewysłowiona rzewność i wyjątkowa równowaga pomiędzy pierwiastkami rozumowymi a uczuciowymi i doskonała harmonia czynników artystycznych. Kazanie o zgodzie, to podbija wzniosłym nastrojem, to przeraża groźbą straszliwą, to zadziwia głębszą znajomością duszy polskiej. W kazaniu o monarchii podziwiamy głęboką mądrość umysłu politycznego Skargi i siłę jego argumentacji. Proroctwa Skargi są niewątpliwie w ścisłym związku z nastrojem ogółu i z całą literaturą XVI wieku, są one najwspanialszym i najgłośniejszym wyrazem tego dręczącego niepokoju o przyszłość, który ogarniał najszlachetniejszych i najrozumniejszych ludzi XVI wieku, na widok wzrastającej anarchii. Każde kazanie Skargi znajduje się na swoim miejscu, wszystkie zaś razem ujęte, stanowią jednolitą i spójną całość. Pod tym względem ze stanowiska całości, kazania sejmowe są skończonem arcydziełem architektoniki kaznodziejskiej, opartej na poczuciu artystycznym na logice i znajomości duszy ludzkiej. Budowa poszczególnych kazań daleką jest od pedanteryi i jednostajności, a w kazaniach sejmowych jest patos i to najwyższy, najszlachetniejszy patos, do jakiego wzuieść się może wymowa ludzka, ale części patetycznych niema, bo

patos Skargi płynie z serca, serce zaś nie uznaje reguł retoryki i bije wtedy mocno, gdy bić musi.

Ostatecznie Chrzanowski przychodzi do przekonania, że pod jakimkolwiek względem, będziemy rozpatrywać kazania sejmowe Skargi, jako dzieło sztuki kaznodziejskiej, czy pod względem umiejętności przemawiania do rozumu i serca, czy związanej z nią piękności stylu i potęgi słowa, czy budowy artystycznej—zawsze dojdziemy do przekonania, że są one skończonem arcydziełem wymowy kaznodziejskiej. Przedmowa Chrzanowskiego przybrała rozmiary pełnego i samoistnego studyum, które nas zapoznaje szczegółowo z polityczną doniosłością i kaznodziejską, artystyczną pięknnością kazań sejmowych. Autor przedmowy zapoznał nas z poprzednikami Skargi na polu sejmowego kaznodziejstwa, a naukę polityczną Skargi przedstawił na bogatym tle literatury politycznej XVI wieku. Ocena kazań sejmowych, jaką nam podał w swej przedmowie Chrzanowski, jest gruntowną i wyczerpującą. Jeżeli wszyscy nasi polityczni pisarze XVI w. począwszy od Modrzewskiego, znajdują w literaturze zachodnio-europejskiej równych sobie a nawet większych od siebie—Skarga, jako kaznodzieja sejmowy czy to jako mędrzec polityczny, nie znajdzie sobie równego w żadnej literaturze zachodniej. Nauka polityczna, którą w jego kazaniach sejmowych znajdujemy, zdobywa przekonania swą głębokością zdumiewającą, swą nieprzepartą logiką polityczną.

W ogóle Skarga opierał się na powagach politycznych z ubiegłych wieków i stał na gruncie obowiązującego prawa państwowego, co nie pozbawiało jednakże jego myśli politycznej wysokiej samodzielności, zwłaszcza gdy podawał sposoby zaradzenia złemu, i odrodzenia poczucia obywatelskiego. Samodzielność jego myśli politycznej i posiłkowanie się źródłami największej powagi, spotykamy najwyraźniej w poglądach Skargi na władzę monarchiczną. W XVI w. Dominikanie, a zwłaszcza Jezuici, stworzyli nową naukę o władzy monarchicznej, skierowaną przeciwko pisarzom reformacyi, którzy chcąc sobie zdobyć względne poparcie monarchów i książąt panujących, nadawali zdaniu „wszelka władza pochodzi od Boga“ zbyt rozszerzone i uogólnione znaczenie. Szkoła t. z. jezuickich pisarzy wystąpiła z nauką, wytykającą powyższej zasadzie pewne racjonalne i na konieczności politycznej oparte granice. Aby jednak zwyciężyć przeciwnie przekonania, pisarze jezuickiej szkoły dowodzili, że tylko władza duchowna pochodzi bezpośrednio od Boga, a władza monarchów w prawach natury bierze początek i jedynie pośrednio ma Boski początek. Ale nietylko ów wzgląd miał wpłynąć na obniżenie znaczenia monarchów świeckich w porównaniu z władzą papieską.

Monarcho wie zdaniem owych pisarzy, otrzymywali od ludu owe zwierzchnictwo i gdy takowe wykonywali wbrew pierwotnej, naturalnej umowie, przeistaczali się w tyranów, którym lud mógł odebrać zwierzchnictwo i karać surowo, bo nawet królobójstwem. Według Suarez'a, najzdolniejszego i najprzenikliwszego z tej szkoły, król jest wyższym od całej Rzeczypospolitej (Rex superior tota Respublica), ale przeciwko tyranowi może powstać cała Rzeczpospolita (tota respublica posset insurgere), albowiem wówczas cała rzeczpospolita większą jest od króla (tota respublica superior est Rege). Ostatecznie więc polityka jezuitkiej szkoły doszła prawie do tych samych rezultatów, co i szkoła monarchomachów. Władza monarchiczna była zarówno przez pierwszych jak i drugich mocno zachwiana, dzięki nieokreślonemu pojęciu tyrana, którego można było dopatrzeć w każdym monarsze nieulegającym danemu stronnictwu. (Gierke. Johannes Althusius und die Entwicklung der naturrechtlichen Staatstheorien str. 156.)

Skarga nie przejął jednak w swych kazaniach sejmowych nauki politycznej, a przede wszystkim poglądów na władzę monarchiczną swego zakonu. Zbliży się on daleko więcej do nanki Ś-go Tomasza z Akwinu; i nie czyni władzy monarchicznej igraszką namiętności politycznych. Skarga nie występuje jawnie przeciwko elekcyom królów, ale wytykając nadużycia, jakie z bezkrólewia wypływają, pozwala się dorozumiewać, że razem z Ś-ym Tomaszem z Akwinu większem darzy zaufaniem monarchię dziedziczną. Monarchów polskich nie pozwala pomawiać o dążenie do tyranii i nie radzi, pod tym obłudnym tytułem ograniczać ich władzę rządu. Ograniczenie władzy monarchicznej, którego się domagają posłowie, przeistacza królestwo w demokrację, która jest w rządach ludzkich najgorsza i najszkodliwsza. Skarga pojmuje należycie, że tak wielkie i obszerne państwo, jak rzeczpospolita polska nie może mieć władzy wykonawczej, spoczywającej w rękach króla zbyt skrupowanego i zależnego od izby poselskiej. Zaklina też sejmujących, aby nie czynili z Królestwa Polskiego rzeskiego miasta, ani czynili malowanego króla, jako w Wenecyji, bo weneckich rozumów nie mają, a w jednym mieście nie siedzą. Nie pozostaje im, jak tylko zlecać królom wszystkie rządy, wszak się mają kogo radzić, wszak mają prawa, z których najmniej nie występują. Tyranami samymi sobie są jedynie sejmujący sami, zwłaszcza posłowie, którzy dążeniem do zbytnej, dyabelskiej wolności stwarzają ogólny bezrząd, na których się ma nibyto wspierać Rzeczpospolita. Wszystko, co tylko Skarga wypowiedział w kazaniach sejmowych o powadze majestatu, o posłannictwie władzy

królewskiej, ma niespożytą siłę, ma wiekuiłą powagę mądrości politycznej.

Skarga zgodnie z nauką polityczną współczesną, upatrywał w państwie organizm podobny do ludzkiego. Nie zaszedł on tak daleko, jak później Hobbes, aby państwo miał uważać za człowieka sztucznego (*homo artificialis*), ale z licznych porównań, rozproszonych po jego kazaniach sejmowych, widać, że pogląd organiczny pozwala mu najplastyczniej objaśnić wszystkie choroby państwowe, przedwczesne zestarzenie się i śmierć politycznego organizmu, który państwo stanowi. Przytem jednak nie pomija Skarga obowiązującego prawa i porządek stanowy umiejętnie łączy z organicznym. Stany bowiem w Koronie, uważa jako członki w ciele. Wyliczając pięć stanów, oświadcza on, że tak się to ciało zrosło z tych pięciu członków, jak ta ręka z tymi pięciu palcami urodziła się i uchwalała i zmocniła. Zaznaczyć jednak należy, że podział na stany, z jakim Skarga występuje, odmiennym jest od tego, jaki znajdujemy o prawie państwowem polskiem. W ustroju Rzeczypospolitej polskiej uznanemi były tylko trzy stany t. j.: 1) Król, 2) Senat i 3) izba poselska. Do końca XVI wieku, t. j. dopóki w sejmach zasiadały, można było i miasta królewskie uważać za stan uprzywilejowany, ale włościanie nie mieli nigdy znaczenia i organizacyi stanu, a miasta utraciły je w XVII wieku. Wbrew temu urzędowemu niejako podziałowi, Skarga stawia odrębny, niejako organiczny, do którego wchodzą stany: duchowny, senatorski, żołnierski, miejski i oracki. Nawet w Niemczech, gdzie stany dzieliły się zasadniczo na stany nauczające, broniące i odżywiające (*Lehr-Wehr-Nährstände*), rzadko gdzie znajdujemy włościan, mających organizacyę prawnopaiństwową stanu. Skarga jednak i oraczy, czyli kmieci, chce uważać za stan, aby tym sposobem ocalić ich od ucisku, jako ludność nie mającą przywilejów i organizacyi stanu. Etyka polityczna, czyli nauka o obowiązkach obywatela względem kościoła, monarchy, kraju i dobra publicznego, dalej uzasadnienie wszystkich obowiązków obywatelskich, nie mają sobie nic równego w literaturze XVI wieku. Przekonywając sejmujących o konieczności zgody wewnętrznej, o niebezpieczeństwach płynących z waśni, zdaje się, że Skarga czerpał wiekuiłą mądrość polityczną od mędrca ze Stagiry, ucząc ich o powadze majestatu, natchnionym zdawał się być przez Ś-go Tomasza z Akwinu, a wskazując niesprawiedliwe prawa, żywym poczuciem sprawiedliwości przypominał Ś-go Augustyna. Mądrość polityczną ubiegłych stuleci, przetopił Skarga swym potężnym in-

dywidualizmem w zupełnie oryginalne „kazania sejmowe“, a niekiedy wznosił się ponad ową mądrość i prorocze natchnienie stało się jego udziałem.

A. R.

MARYA RODZIEWICZÓWNA: Światła. Nowele. Warszawa 1904.

Autorka „Dewajtisa“ ma więcej u czytelników uznania, niż u krytyków i nie bardzo martwi się zapewne, że nie jest odwrotnie. Zwłaszcza ostatnim jej powieściom zarzucano wiele. „Po co — wołano — zapuszcza się autorka w krainy, których nie zna? Co za fantazja przyszła tej serdecznej miłośnicy „Szarego Prochu“, wielbielce cichej, wytrwałej, bohaterskiej walki o łąki i lasy, wdawać się z „Błękitnymi“ i „Magnatami“ staczać bezowocne dysputy ze studentami i emancypantkami, szukać „Kwiatu lotosu“ lub tak miękko i pobłażliwie rozwikłać sprawę „Nieoswojonych ptaków“? Czyż nie wystarczy jej być sobą? Czyż koniecznie nęca ją laury Orzeszkowej? Jej umysł więcej plastyczny, fantazja lotna i żywa, mniej refleksyjna — nie powinna by usposabiać do rozwijania w formie powieści zawitych społecznych kwestyi — zwłaszcza, że brak jej mocnego i twardego kryterium do ich rozsądzania, a bez tego nie podobna zdobyć się na moc oburzenia, gniewu, wzgardy, ironii, szyderstwa i nienawiści — tych żywiołów, bez których ani sposób walczyć z przewrotnościami współczesnej doby. Optymistka, kocha bagna, łąki i bory poleskie, odczuwa piękno przyrody i duszy ludzkiej, umie zapalać się bohaterstwem wytrwałej pracy — i w tem jej siła, której wierna powinna zostać.

A przytem szkoda, wielka szkoda, że w polocie fantazyi, w pogoni za efektowną fabułą, za dekoracyjnością niekiedy aż operetkową i nazbyt jaskrawą, w natłoku przygód, intryg, awantur, nadzwyczajności — tak mało czasu poświęca na psychologiczne pogłębienie zazwyczaj grubo szkicowanych sylwetek, na gruntowniejsze uzasadnienie zdarzeń, na rozszerzenie podłoża przedmiotowej obserwacji. Jej nerwowy pośpiech i niecierpliwość wyraża się nawet w stylu: w zdaniach urwanych i krótkich, a pełnych pytań, wykrzykników, antytez.

Wbrew tym zarzutom czytelnik chętnie i z pożytkiem bierze do rąk każdą nową powieść tej autorki. Rodziewiczówna umie być zajmującą, umie stworzyć żywą i prawdopodobną akcyę, a to dziś należy

do rzadkości, ona nie nuży opisami, analizą abstrakcyjną, morałem i uczonością, ona nie błądzi w labiryntach symbolizmu, igraszek słownych, mistycyzmu i nastrojów udanych i sztucznie wyrafinowanych. Nie, i to mało! Ona ma szczery zapal artystyczny, nie przekonywa rozumu, za to przykuwa uwagę, porywa, potrafi zapalić wyobraźnię i wzruszyć uczucie. Przytem nie zniechęca do świata, ludzi i ideału, nie ciska jadem cynicznego rozczarowania i zniechęcenia, wbrew nadziei ma nadzieję, pomimo natłoku niedoli—nie rozpacza i wierzy, wierzy w tryumfy pracy, w zwycięstwo dobra w odwiecznej ze złem walce. I to jej kryterium. Nie wszystkim to się podoba, szczęście, że jest więcej takich, którym się podoba.

I to klucź musi w oczy niektórych, że w zagadnieniach bieżącej doby jest umiarkowaną, nie popada w skrajności, trzyma się na wodzy. Smaga próżniaków i zjadaczy chleba, uposażonych bez własnej zasługi od losu, lecz im z ust nie wydziera tłustych kąsków, nie wydziedzicza, głosząc (w *Klejnocie*) wzajemne wszystkich braterstwo, pojmuje uposiedzenie kobiety w prawach, nawet wierzy w wyższość kobiet pod względem woli, szlachetności i czystości uczuć, w potęgę ich wpływu na męczyzn i na życie społeczne (Taida Skarszewska w „*Kądzieli*“, Basia i Nika w „*Klejnocie*“, Magda Domuntówna w „*Jerychonce*“), lecz nie waha się także objawów emancypacyjnego spaczenia krytykować. Ceni światło wiedzy, lecz rozumie, że oprócz wiedzy istnieją inne jeszcze objawy zdrowej kultury, jak szczerść, poezya, szczęście życia prostego, owo błogosławieństwo ubogich w duchu.

Zapewnel Ani „*Jerychonka*“ (1897), ani „*Klejnot*“ (1898), ani „*Nieoswojone ptaki*“ (1900), ani „*Magnat*“ (1901), ani „*Wrzos*“ (1903) nie są arcydziełami. Żadna z tych powieści nie zdobyła sobie nawet tego rozgłosu i powszechnego uznania, co „*Dewajtis*“ i „*Szary proch*“. Lecz zgoła nieuzasadniony i mylny byłby stąd wniosek, że talent autorki wysycha, że się już znużyła i wyczerpała, we wszystkich bowiem jest pełno świetnych przebłysków talentu, sylwetek rysowanych z brawurą i życiem.

O ile nam się zdaje, Rodziewiczówna szuka nowych dróg, próbuje: Oddziaływa na nią także współczesny estetyzm. Lecz zbyt silnie autorka wierzy, kocha i pragnie, aby w nim ślepo i bezużytecznie utonąć, aby pięknu poświęcić w ofierze ideę dobra i prawdy. Jeżeli zaś pragnie w swej twórczości ściślej te trzy bóstwa zbratać, to tylko wypada powiedzieć: Szczęść Boże!

„*Światła*“, najnowszy zbiór jedenastu nowel, zdaje się wskazywać, że jest na dobrej drodze. Niestety, trzech z nich trudno nie uznać za blade, sztywne, chybione. Mam na myśli zbyt przejrzyste

i bajecznie naiwne, acz szlachetne w treści alegorye: „Wydaleni“, „Skrzypce“ i „Drwal“.

W pierwszej z nich—świat nowy, bez Boga, bez przesądów, bez baśni i bez pieśni, świat fabryk, liczby i rozumu. Samowładnie rządzi w nim i sądzi despota, który wędrowców starego wieku: kobietę (nosobienie baśni), starca z wytartą na piersi książeczną (sługę Boga) i pacholę ze skrzypcami: wydała w niedostępne góry, wtrąca do więzienia i po raz drugi wydała na wygnanie. Lecz ci wydalani i więzieni zwolna zdobywają sobie cześć i miłość tłumów. Pokryjomu zatrzymują się przed oknami ich kaźni dzieci, aby słuchać bajek kobiety, ci, których dręczy sumienie, ci, którym straszno, z pokorą i wdzięcznością przyjmują z rąk starca wonną lilię, ci, którym smutno i tęskno, z rozkoszą słuchają nieuczoney gry pacholecia. Nareszcie ta wzgardzona zrazu trójca tyłu ma wyznawców: iż mało kto słucha despoty. Tendencya jasna, szkoda, że alegorya zbyt naiwna. W jej ciasnej formie zbyt sztywno i niewygodnie pięknej i głębokiej myśli.

„Skrzypców“, przypominających w tendencyi „Zaczarowane koło“ Rydla, nie ocalał nawet owe wzruszające kozice, które z gór zstępują dla słuchania gry pustelnika, ani zlatujące się orły, ani skrzydlatych roje pacholąt. Niezrównana naiwność „mistrza na świat cały sławnego i królom grającego“, który wierzy w czarodziejstwo lipowych skrzypek pustelnika—podobno nie zbuduje już nawet dzieci. Od pewnego czasu stały się one wobec bajek bardzo niedowierzające i gotowe w kłopot wprawić zapytaniem: „Czy to doprawdy piękniej gra się nie umiejąc, choć czując, niż czując i umiejąc?“ lub: „Czyjaż gra jest cenniejsza, czy mistrza, który ludzi wszystkich zachwycał, czy pustelnika, który grać tylko umiał kozicom i orłom?“ Jeżeli jednak autorka zamierzała wyrazić myśl znieważania artyzmu przez światowe żądze—to wykonanie celu chybiło.

„Drwal“ w formie bajki zawiera znaną i umiłowaną ideę autorki o doniosłości wytrwałej i cichej pracy. Tylko to bajka ani zajmująca, ani pocieszająca, choć szlachetna. Morał jej da się krótko wyrazić: Pracuj w nędzy, zwątpieniu, pogardzie i pocie czoła, a dostaniesz za to koronę niebieską. Czemuż tych biednych drwalów nie pokrzepiła autorka chociażby widokiem postępu ich krwawej pracy nad rubieżą, nie dała im zadowolenia wewnętrznego za życia, ani tego przeświadczenia, które wyraził poeta w okrzyku: „I ten szczęśliwy, co padł wśród zawodu, jeżeli...“: i t. d. Wogóle drwal marzący tylko o zapłacie materyjalnej, mało nadawał się na alegorycznego wyobraziciela idei bardzo podniosłej.

W „Pięciu koronach“, z werwą, siłą i zapalem skreślony obraz bohaterskiej śmierci Jazłowieckiego w walce ze Szwedami. Tu próba dopisała niemal świetnie. Tu autorka odnalazła swój entuzjazm. Obrazek byłby doskonały, gdybyśmy zarówno w rysach psychicznych, jak w szczegółach obyczajowych widzieli swojskie rysy. Bitwa z „Maryi“ Malczewskiego, dowodem, że do tego nie potrzeba kilkotomowych powieści.

Inne nowele wyłącznie z życia ludu; z tych niektóre istotnie bardzo piękne, zwłaszcza „Zachód“. Cacko to, w którym Rodziewiczówna okazuje się prawdziwą artystką, żywa się i zespała z przedmiotem, nawet rozkoszuje się szczegółami, więzi uwagę prawdą i pięknem. Wyborne to chłopię 12-letnie, ów Nazar, źle wyzimowany, (podobnie, może gorzej od bydła, które ma paść) chudy, kołtunowaty, z twarzą bezmyślną, barwy brudnego wosku od dymu kurnej chaty i nieustannej febry, nigdy nie leczonej, którego wczesną wiosną z bydłem wysyłają zdala od wsi na wyspę dookoła zalaną wodami. Pasterskie życie tego domorosłego Robinsona poleskiego (lub może trafniej Kima?), stanowi zajmujący wątek noweli. Co za wiosna, jaka prawda w obrazie przyrody, jak żywo czuje się i widzi ową wilgoć wód, to zmaganie się zimy z latem, te błyski pierwszej zieleni „czarnoholowia“, „pławuszki“, sitowia, jaskrów, grzybieniu! te roje komarów i błotnego ptactwa! Nazar zdziczał nakształt błotnego ptaka. Jak kot upatrywał gniazd, stawiał przynęty na ryby, jaja pstre i sine bił na jajecznicę. W febrze wysechł, zwinność tylko kota dzikiego rozwinął — i dobrze mu było, jak tym z „Dna nędzy“ na tundrach.. Piękna także w swej prostocie i naturalności znajomość jego z 8-letnią Ohapą, ich krótkie, urywane rozmowy. Pewnego razu Ohapa nie przyszła nad zatokę. Nawoływał — tylko echo odpowiadało. Po paru dniach zwabiony w przepaściste trzęsawisko beczaniem bąka, ujrzał straszny widok: „Z wody czarnej, z pośród liści grzybienia, wyzierała głowa ludzka nieruchoma, straszna, a dokoła niej... szmery, pluśkania, ruch topieli. Głowa była zielono-czarna, z usty rozwartemi, obrzmiała potwornie i patrzyła szklanemi oczyma... Ohapa!“

I w innych nowelach (zwłaszcza w „Surmie“), są dowody obserwowania życia i psychologii ludu. — Tu już umie autorka zbratać rzeczywistość z fantazyą twórczą, odczuwa bez sentymentalizmu całą groźbę ciemnoty. Nie napróżno pierwszą zatytułowała wyrazem „Światła!“ Mieści się w tym tytule krzyk trwogi, obrazy tak są wymowne, że każąc faktom mówić za siebie, mogła bez uszczerbku, owszem z artystyczną korzyścią, trzymać na wodzy własne myśli i uczucia.

Oto Paraska (w „Złem“), materyał na dzielną, pracowitą żonę, wyrodnije pod wpływem fatalnych stosunków: tego sknery ojca, zakopującego w komorze ruble i żeniącego się na starość ze swarliwą babą, tego lekkoducha, hulaki i dzikusa (pyszny typ!) Seweryna, który zwodzi ją i namawia do kradzieży, a po śmierci ojca żeni się dla owych rubli z jej macochą. Obląkana, goni po okolicy, wreszcie podpala chałupę wraz z macochą i zwodzicielem.

W noweli „Na tokach“, stary, zdradzony mąż, Szymon, zabija w przystępie wścieklej zemsty gacha, plwa na umierającego, znęca się nad nim nieludzko. I nikt go nie wyda we wsi, choć wszyscy wiedzą o mordzie. „I był wśród całego stworzenia plamą i fałszem i szpetotą i rzeczą chybioną i krwawą“ — dodaje autorka, zapewne w obawie, aby czytelnicy nie podzielali etyki jelenich rogów i cietrzewiowych pazurów.

W „Skręcie“ cała wieś wierzy w czarodziejskie gusła, sprawca skrętu schnie i wiesza się wzgardzony.

W „Nocy“ majowej, tak czarownie, soczysto i barwnie skreślonej, tragedya małżeńska. Jakóbowi po raz trzeci już zbiegła z domu zalotna żona, po raz trzeci ma odwieźć ją do domu. Tę razą nie odwiezie: wybuchnie żalem, skargą namiętną, całym bólem wzgardzonej miłości i wymierzy sobie sprawiedliwość, rzuci niewierną w topiel, choć wie, że siebie nie zleczy i pójdzie w świat od starej matki... na katorgę duszy i ciała.

Smutne obrazki, podobnie jak inne w ostatnich czasach z życia ludu. Tylko autorka nie jest pesymistką, jak inni i nie gubi się ani w drobiazgowych szczegółikach, ani w nudnych opisach, nie karykaturuje także gwary ludu, trafnie chwytając jej obrazowość i prostotę. Obserwuje przyrodę i duszę włościan w rysach grubych i zasadniczych, a to w ciasnej ramie noweli wystarcza. Próby powiodły się, życzyć wypada autorce powodzenia na tem polu.

MIKOŁAJ MAZANOWSKI.

MARYAN GAWALEWICZ: Dla ziemi, powieść w dwóch tomach. Warszawa 1904. Jan Fiszer.

Akt wyzbycia się stanu posiadania bywa z a w s z e wypadkiem prawnym, a tylko n i e k i e d y—artystycznym.

Artystycznym w znaczeniu materiału np. epickiego, dramatycznego i t. p.

Materyałem dramatycznym stać się może pośrednio, gdy takiemu wyzbywaniu towarzyszy przymus silniejszy od sentymentu posiadania, a więc choćby przemoc rzeczywistości materialnej. O ile konfliktu powyższego niema, o tyle w z w y k ł y c h w a r u n k a c h nie staje też miejsca i na przedziwo artystyczne. Rejent, nie artysta, zabiera głos w sprawie.

Atoli są i warunki n i e z w y k ł e.

Przypuśćmy naprzykład, że jakiś baron, Duńczyk, odwieczny dziedzic ziemi w Schleswigu, sprzedaje swój majątek dlatego, że nie lubi gospodarować na wsi. Sprzedaje kilka, czy kilkanaście tysięcy hektarów sąsiadowi Niemcowi. Sprzedaje dobrowolnie, bez przymusu. Normalnie biorąc, spełnia więc czyn wyłącznie prawny — tak? Na dramat osobisty niema tworzywa psychicznego, bo cały proces nie wychodzi z granic obliczeń obojętnych i pozauzuciowych. Co się dalej dzieje? Oto w całej Danii, w całej Jutlandyi, Fionii, Laalandzie i Bornholmie niema ani jednej gazety, któraby nie zamieściła notatki p. t. „Zdrada“: „Baron X. w Schleswigu sprzedał majątek swój Niemcom. Tego samego dnia nie będzie ani jednego marynarza, rybaka, żołnierza, kupca i rolnika, któryby notatki owej nie przeczytał, a nazwiska barona nie powtarzał z goryczą i serdeczną pretensją.

Słusznie, czy niesłusznie, baron staje się zdrajcą, wyrodnym synem społeczeństwa. Czyn jego, jako taki, nadaje się przedewszystkiem do analizy publicystycznej, ale ta suma zbiorowego uczucia, która go otoczyła, omotała, która się przedostała do jego motywów wewnętrznych—oto podłoże i przyczyna, dlaczego wypadek pozornie tylko prawny może stać się materyałem artystycznym.

Na podobnych warunkach niezwykłych osnuł swą powieść ostatnią p. Maryan Gawalewicz.

„Słońce zapadło w Puszczańskie lasy, które na nizinach, wzdłuż cichej a rwącej Wręty, płynącej ku granicy pruskiej, rozciąglým zielonym wałem stały od wieków u podnóża dość wyniosłej góry

na szczycie której¹⁾ wznosi się pałac w Zastawach, dziedzicznym majątku Wielkoszów, możnej niegdyś i rozgałęzionej rodziny, posiadającej liczne włości i kapitały, nadszarpywane za króla Sasa i za króla Stasia, ale jeszcze w niedogryzionych resztkach, stanowiące zaszarganą, lecz milionową fortunę“.

Obecnym właścicielem tych majątków nadwrętańskich jest pan Wielkosz. Młody jeszcze człowiek, ale z rodu niezdolnych do energii. Poznajemy go w tym momencie, kiedy fortunie jego grozi ruina. Lada dzień — a będzie musiał sprzedać ziemię, lasy, pałac, wszystko. Jest tak źle, że nie staje kilku tysięcy na ratę bankową. Bardzo źle.

Uczuć obywatelskich, a raczej świadomości obywatelskiej, dziedzica Puszczy i Zastawów, nie znamy dobrze. Nie wiemy, czy opinia narodowa dobiłaby go, czy nie; bądź co bądź, człowiek to w całym słowa znaczeniu szlachetny, uczciwy. Taki musi czuć, że kto trzyma w rękę podobny majątek, jak Zastawy, temu nie wolno go z rąk wypuszczać. Stanisław August powiedział był swojego czasu jego pradiadowi: „Trzymaj Zastawy i Puszcę, mości marszałku, bo słyszę że się waćpanu z rąk wymykają, a byłby dyshonor dla szlachcica zostać na starość z gołemi rękoma!“ O ileż większy dyshonor byłby — dziś — dla prawnuka sprzedać to, co się ostało po marszałku Wielkoszu! Gdzieby się właściwie mógł podziać, choćby nie z gołemi rękami, człowiek, który utracił swe włości nad Wręta! Więc p. Roman instynktem czuje, iż na ziemi pozostać t r z e b a, iż na niej pozostać m u s i, za wszelką cenę.

Dla ziemi!

W tem miejscu naturalnym byłby opis długiej i męczącej walki, trudu, wysiłków, niedospanych nocy, niewytniętych dni, nadludzkiej energii, pracy, którą p. Roman kładzie w podniesienie ojcowizny, wszystkich możliwych ofiar, śmierci nawet — dla ziemi. Śmierć bowiem, czy wygrana — to jednakowo piękny koniec w bohaterstwie i jednakowo piękny wieniec nagrobny. Opis ten jednak byłby tylko fantazyą na temat innej zupełnie powieści. P. Gawalewicz poprowadził swoją rzecz innym torem. Roman Wielkoszyc do końca powieści nie robi dla swej ziemi nic, ani jednego czynu, bo nawet bogaty ożenek, który sytuację ratuje radykalnie — i ten przyszedł pod presją energicznej panny.

Dla ratunku ziemi pośpieszyli wszyscy, oprócz niego. Pośpieszył kuzyn Kurkowski—dobrymi chęciami, pani Kurkowska—zmar

1) ...na której szczycie.

twieniem nad losem Zastawów, sąsiad — zubożały książę Janusz, ten w ręce Wielkosza oddaje ostatni grosz, — półmilionowa Kluczkówna, najdzielniejsza, najrozsądniejsza i najlepiej w świecie zbudowana dziewczyna, wreszcie stary lokaj Antoni, który w tajemnicy przed panem jedzie zapłacić złowrogą ratę własnymi oszczędnościami. Dobra i poczciwa to figura ten Antoni, jedyną jego wadą jest, że za młodu naczytał się napewno romansów, w których występował zawsze nieodmienny typ szlachetnego służącego, marszałka lub burgrabiego — i zmanierował się na nich. Tak samo burczy na swego chlebobawcę, jak oni — i tak samoby życie za niego oddał, ten sam kult dla nieboszczyków dziedziców.

Czy prawdopodobne są te wszystkie poświęcenia się bliźnich? Bez wątpienia: — tak. Wszakże w tym wypadku, gdy po Danii rozeszła się wieść o wyrodnym baronie ze Schleswigu, nie jeden z mieszkańców Jutlandyi, czy Laalandu, nie jeden poczciwy kamienicznik z Kopenhagi dałby chętnie rigsdalera, czy kilka, byleby tylko wykupić z powrotem majątek z rąk kolonizacyi niemieckiej. A coby się dopiero działo wtedy, gdyby w Schleswigu zastosowano tę samą ustawę, którą proponują np. dla Wielkopolski, ustawę, wedle której ziemia raz oddana w ręce kolonizacyi, nie może już wrócić do rąk duńskich. Wszakże wtedy żebracze oery sypałyby się na składkę, byleby tylko przy sprzedaży przelicytować Niemców!

Więc zrozumiała rzecz, że i nad Wrętą może zajść podobny zapal poświęcenia. Nie jeden rad odda Wielkoszowi zaoszczędzony grosz — byleby tylko przy nim ziemia została. Po tych zagonach puszczających szedł trud i znój pradziadów, tam ich kości próchnieją.

Prawdopodobieństwo życiowe, to jednak nie ostateczny argument artystyczny. Oskar Wilde twierdzi, że twórczość to wogóle kłamstwo, a co nie jest kłamstwem, przestaje być sztuką. *Epater les lecteurs* — bezwątpienia ta myśl osiadła na dnie przekonania Wilde'a, zbić je zdoła stare platonowskie twierdzenie: „sztuką jest wszystko, co sprawia, że rzeczy nieistniejące i stniejące mi się stają“; tak, to wszystko prawda: ale nie da się też zaprzeczyć, że powieść, złożona z samych dokumentów, może być tylko albo paszkwilem, albo... przeraźliwą nudą.

P. Gawalewicz jest pisarzem zanadto estetycznie urobionym, aby tego nie wiedział. Wie też doskonale, iż fakt takiej solidarnej obrony kawałka ziemi lepiej wygląda w kilkuwierszowej notatce, niż w powieści, że, użyty za motyw epicki, stoi na pograniczu z sentymentalizmem, a „rozwałkowany“ wytwarza sytuację, podobną do położenia człowieka, którego w towarzystwie na głos wychwalają uprzączywie — i zbyt długo. Aby bohaterów swoich uratować od ró-

wnie niezręcznego momentu, pomieszał ich dobre czyny ze szczyptą egoizmu.

Książę Janusz daje ostatni grosz Romanowi — ale ten Roman jest synem kobiety, którą kochał przez całe życie — i czcił bezgranicznie, —

Joasia Kluczkówna oddaje dla ratunku Zastawów swoje pół miliona, ale za cenę... wyjścia za mąż za pana Romana, dla którego dailipan nie czuje odrazy, —

Może jeden Antoni, stary sługa, wykupuje swojego pana z biedy bez doraźnego interesu: ot, żeby uratować piwnice jasnie wielmożnych, Panie świeć nad ich duszami — bo by się prochy ich poruszyły w trumnach na wieść o takiej zniewadze. Pomoc ta jego — to tylko odwleczenie chwilowe i kroplą jest w morzu wobec czerwińców dzielnej panny Joasi.

Kochana Joasia bardzo wiele rozprawia o potrzebie trzymania się do ostatniego tchu, w obywatelskość jej postanowienia uwierzyłbym jednak dopiero wówczas, gdyby p. Wielkosz był naprzykład garbusem.

Żart na stronę. Małżeństwo z bogatą kobietą, a do tego budzącą uczucia miłości, nie rozwiązuje ideowego zagadnienia, jak nie rozwiązują go też miliouy panny Kluczkówny, oddane na hypotekę osobistego szczęścia, i zadowolenia życiowe. Dla ziemi nie zrobił nic ani p. Roman, ani jego Joasia. Dla ziemi poświęcił swój grosz tylko ów liryczny Antoni. Ci załatwiali się tylko z obowiązkami względem samych siebie.

Czy to jest zarzut? Bynajmniej. To tylko ostateczny wniosek nad rodzajem powieści. Ideową ona nie jest, bo nie stawia ludzi w stosunek ideowy. Jest romanssem, szeregiem zdarzeń, prowadzących po przez zawady psychologiczne do ołtarza. Referować ją należy z tego założenia.

Jako romans, historia serc — utwór p. Gawalewicza nie obfituje w bujną akcję zewnętrzną. Wypadków, kolizyj — mało. „Przeszkodą dramatyczną“ jest tylko oryginalne wywrócenie porządku powieściowego: nie o n się o nią stara, lecz o n a o niego, ona się oświadcza, ona dostaje odkosza, ona jedzie do niego próbować następnie jeszcze raz szczęścia — pod pozorem pożegnania. Oto cała zaprawa akcyi.

Życie wewnętrzne tych ludzi?... Dużo o niem napisano w powieści. Często spotykamy się z zapewnieniem autora: „pan Roman był zasmucony“, „pana Romana to przygnębiło“, „Joasię zadziwiła powyższa okoliczność“ i t. d. Tak jest, bezwarunkowo autor powieści myśli bez wytchnienia o ich psychologii — myślenie to nie

udziela się jednak czytelnikowi. Dlaczego? Oto dlatego, że przez cały czas powieści nie mam wybitnego wyniku ich życia wewnątrznego. Powieść p. Gawalewicza opowiada o nich, ale nie ukazuje bohaterów w czynie. Nie stawia słupów przydrożnych na szlaku mej pamięci.

Powieści p. Gawalewicza brak tych plastycznych ataków na wrazenie czytelników, tych uderzeń, po których się poznaje dusze osób działających w utworze.

Osoby z „Dla ziemi“ — to dusze poprawne, że tak powiem. Nic im się zarzucić nie da. W miarę szlachetni, w miarę impulsywni, w miarę dobrzy, źli. Nie mówią wiele o sobie, jak przystało na jednostki dobrze wychowane, nie zaprzatają nas swoją figurą. Oryginalną i bardzo piękną postacią jest ów książę Janusz.

Język, styl powieści wykwinny, salonowy.

A. GRZ. SIEDLECKI.

ESTEWA: Wspomnienia z Riviery. Powieść. Warszawa. E. Wende i Sp. 1904.

Jest pewien rodzaj literatury powieściowej, który najłatwiej da się nazwać *felietonowym*. Jego cechy: łatwy, potoczny styl, dużo opisanych zdarzeń, miłośna historia jeszcze raz: nie nie szkodzi. Zadanie: nie męczyć czytelnika wymaganiem uwagi. Autorkę „Wspomnień z Riviery“ powinno się u nas szanować, jako utalentowaną przedstawicielkę twórczości tej kategorii. Nie wiele ludzi pisze po polsku zajmująco. A z tych duży odsetek niżej pobłażliwej miary artystycznej.

„Wspomnienia z Riviery“ nie dają wrażenia pierwszej pracy literackiej. Technika budowania charakterów, zresztą nie nazbyt złożonych — dość pewna, nie rozbiegająca się na strony. Treścią książki — romansik młodej mężatki z jakimś rivieryjskim donżuanem. Pierwszy z jej strony, a zapewne setny z jego. Temat, nie tracący nigdy wdzięcznych czytelników.

SdL.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wojna na dalekim Wschodzie już ma swoje konsekwencje. Ledwie się zaczęła, ledwie przyszło do pierwszych poważniejszych starć na lądzie, a oto w kole trybowem, obracającym wielką maszynę współczesnego przemysłu i handlu poczynają odzywać się złowróżbne zgrzyty, napełniające obawą ekonomistów. Ponure słowo „zastój“ przechodzi z ust do ust, staje się tematem rozpraw i roztrząsań, zjawia się na łamach pism i grozi dobrobytowi powszechnemu klęską, której przedślanniki zjawily się już tu i owdzie w postaci ograniczenia produkcji, spadku kursów giełdowych, podniesienia stopy procentowej i t. d.

Tak np. według alarmujących artykułów „Rozwoju,“ wychodzącego w Łodzi, w ciągu dwóch miesięcy % w łódzkich instytucjach finansowych z 5 do 6½ podskoczył na 8 do 9½ %. Objaw to istotnie niepomysłny.

Wogóle Łódź, jako największe u nas ognisko przemysłu fabrycznego, najdotkliwiej odczuwa wojnę. Inne sfery gospodarstwa narodowego nie zostały jeszcze przez nią dotknięte tak silnie, aby to dać mogło pochop do poważniejszego zastanowienia się nad ewentualnymi środkami zaradczymi. Ale nasz przemysł tkacki i przedzalniany w samej rzeczy stanął nad krawędzią przesilenia.

Widać to z następujących doniesień:

„Przemysłowcy łódzcy — pisze „Rozwój“ — niezmiernie oględnie obchodzą się z kredytem, udzielanym kupcom pozamiejscowym. Wszystkie przeważnie interesy robią się obecnie tylko za gotówką. Wysyłkę towarów do Cesarstwa ograniczono tak dalece, że zamiast 150 wagonów, które przeciętnie z ładunkami opuszczały co dzień nie stację towarową kolei fabryczno-łódzkiej, obecnie wysyłają zaledwie około 20.“

Wielkie fabryki nie zawiesiły wprawdzie jeszcze robót, ale uciekły się do zwykłego w takich warunkach środka — ograniczenia godzin pracy i zmniejszenia ilości robotników, pewna wszakże ilość

fabryk drobniejszych, t. zw. podwórkowych stanęła zupełnie. Wskutek tego znaczna ilość robotników w Łodzi pozostała bez zajęcia, co wywołało potrzebę rozpoczęcia szybkiej akcji ratunkowej.

Ze sprawozdania z posiedzenia zarządu Towarzystwa Dobroczynności w Łodzi, zamieszczonego w „Rozwoju“, dowiadujemy się, że przewodniczący, p. Juliusz Kunitzer, przedstawił zebranim listę kilkunastu fabrykantów, którzy przyrzekli, że na rzecz robotników bez zajęcia, ofiarują jednorazowo sumę w stosunku 25 kop. od każdego pracującego w fabryce robotnika. Zarząd przewiduje, że z tego źródła utworzy się fundusz w sumie kilku tysięcy rubli. Według oświadczenia p. Kunitzera, fabrykanci wyrobów wełnianych i bawelnianych przyrzekli, iż w razie przedłużenia się zastoju w przemyśle łódzkim, gotowi są złożyć na rzecz biednych robotników składki w takim samym stosunku, niezależnie od zadeklarowanych ofiar. Zarząd ma nadzieję zgromadzić tą samą drogą jeszcze pewien fundusz, gdyż p. Kunitzer przyrzekł, że zaangażuje sprawę w szerszym kole fabrykantów. Wszystko to jednak będzie prawdopodobnie kroplą w morzu potrzeb, rosnących z dnia na dzień.

Pomimo to wszakże przykład i przezorność Łodzi godne są naśladowania. Podnosząc to, „Gazeta handlowa“, tak pisze między innymi:

„Łódź zakrzętnęła się dość energicznie około zaradzania złemu, wywołanemu brakiem pracy w fabrykach. Przesilenie robotnicze nie znalazło wprawdzie i tam radykalnego rozwiązania, bo o to trudno, lecz bądź co bądź zorganizowano już pomoc dobroczynną dla robotników bez zajęcia, a nadto postanowiono kosztem 90,000 rb. zabrać się do przerobienia lasu miejskiego na park, aby przynajmniej części robotników dostarczyć pracy. Co prawda i w Łodzi znaleźli się przedsiębiorcy, bierne a nawet obojętne stanowisko w całej tej sprawie zachowujący, ale na ogół zrozumiano konieczną potrzebę złagodzenia złego.

„Tymczasem u nas, w Warszawie, zachodzi również brak pracy, a usiłowania, aby złemu zaradzić, są prawie żadne. Tylko zarząd gmin starozakonnych podjął inicjatywę, żeby obiadaniami bezpłatnymi nasycić najgłodniejszych, lecz pozatem o staraniach samych przemysłowców, o wytworzeniu stosownej organizacji, nic nie słyszeliśmy.

„Sądzymy, że jakąś inicjatywę społeczną podjąć koniecznie należy. Zaznaczyliśmy już, że w takich razach środkiem najstosowniejszym byłoby zbiorowe objęcie kilku dostaw rządowych, które są obecnie ogłaszane z powodu różnych zapotrzebowań na cele wojenne, jak np. dostawy na dostarczanie płóciennych worków, beczek i t. d. Do wykonania takich prac możnaby powołać ręce, pozbawio-

ne zajęcia, co złagodziłoby przesilenie robotnicze. Zapoczątkowanie należeć powinno do tych przemysłowców, którzy z powodu kryzysu produkcyjnego zmuszeni byli ograniczyć własną wytwórczość.

Tę samą sprawę omawia w „Słowie“ p. A. D., jeden z najwytrawniejszych naszych publicystów i dochodzi do wniosku, że wszyscy powinni zawczasu myśleć o tem, jak złemu zaradzić, a przede wszystkim—zarządy miast i gminy wiejskie, od których inicjatywy zależy bardzo wiele. Na jakiegokolwiek „roboty rządowe“ liczyć nie można, wojna bowiem całkowicie pochłania uwagę, siły i środki władz rządowych, można jednak i należy, sądzi sz. autor, pomyśleć o robotach miejskich i gminnych.

„Gdybyśmy—pisze dalej p. A. D.—mieli dobrze zorganizowane biura pośrednictwa pracy, mianowicie przy Towarzystwach rolniczych dla robót na roli, możeby wielu robotników, nie znajdujących obecnie zajęcia w przemyśle, zwróciło się do robót polnych. Taka robota możeby im nawet fizycznie wyszła na dobre, choć z drugiej strony przerzucenie podobne robotników nie jest rzeczą łatwą. Robotnicy na ogół liczyć dokładnie nie umieją; wiedzą wprawdzie, że 75 kopiejek jest więcej niż 50, gdy jednakże przy obliczeniu zarobków inne rzeczy w rachubę wchodzi, mianowicie różne wynagrodzenia w naturze, zupełnie się w tem nie orientują; aż nadto często mieliśmy sposobność stwierdzić to np. w życiu praktycznym, aby nas prosta argumentacya odmienna przekonać mogła. Trzeba tedy szukać dla robotników robót, zbliżonych do tych, jakie mieli dotychczas, a więc dla tych robotników, którzy płacę otrzymywali w gotówce, tak samo płatne zajęcia.

Otóż w tym względzie miasta nasze powinny pójść za przykładem Łodzi, a przede wszystkim Warszawa. Wiemy, że Warszawa nie tylko zaprojektowała szereg wielkich robót, lecz już ma na nie gotowe pieniądze. Musimy stwierdzić, że bardzo szczęśliwą myśl mieli ci, którzy wcześniej pomyśleli o pieniądzach na te przedsięwzięcia, bo niewątpliwie dziś nie otrzymanoby ich na tak korzystnych warunkach. Gdy zaś gotówka ta leży w bankach, przynosi miastu na czysto stratę. Mieszkańcy Warszawy mają tedy prawo domagać się, aby ten czas strat trwał jaknajkrócej. Przecież, jeżeli zaciągnięto ściśle określoną pożyczkę na poszczególne roboty, projekty musiały być już jako tako przygotowane“.

Takie są głosy prasy w sprawie przesilenia w dwóch największych ogniskach przemysłowych—w Łodzi i w Warszawie. Jednocześnie i z dalszych okolic kraju nadchodzą wiadomości niepokojące. Tak np. w Kaliszu, wskutek wstrzymania 130 maszyn hafciarskich

400 robotników zostało bez zajęcia. Postanowiono więc zbierać ofiary dobrowolne, urządzać przedstawienia teatralne i szukać dla robotników pracy. Niektórzy fabrykanci i obywatele zobowiązali się płacić na rzecz biednych pewną sumę miesięcznie, a robotnicy z fabryki Wienera w Zduńskiej Woli postanowili składać 25% od pobieranego zarobku. Są to objawy niewątpliwie bardzo dodatnie, ale—kwestyi zażegnać nie mogą, zwłaszcza, że znajduje się ona dopiero w swoim stadjum początkowym i kto wie, jakie przybierze rozmiary wobec dalszego rozwoju wypadków wojennych, co do których dziś nie można jeszcze nic pewnego powiedzieć. Niewiadomo nawet, czy wojna skończy się tej jesieni, czy dopiero za dwa lub trzy lata, a względ ten powinien skupić uwagę całego społeczeństwa na pierwszych objawach zastoju ekonomicznego i obudzić usilną czujność w kierunku obmyślenia środków zaradczych, które nawet w razie prawdziwej klęski mogłyby ją zmniejszyć i ograniczyć. To też dyskusya publiczna w tej mierze jest nad wyraz pożądana i pilna.

*

*

*

Jedna z najważniejszych spraw higieny—sprawa kąpeli ludowych—do niedawna tak u nas jeszcze zaniedbana, w ostatnich latach uczyniła duży krok naprzód. Widać to ze sprawozdania dorocznego wydziału kąpeli, istniejącego przy W. T. higienicznem od lat 6-iu i spełniającego gorliwie swoje zadania. Najwymowniej zresztą świadczą o tem cyfry, którym warto przyjrzeć się bliżej.

W zakładach kąpielowych wydziału wydano w r. 1898 kąpeli 24,474—mówi sprawozdanie—a w roku 1903 ni mniej, ni więcej tylko 67,422. Każdy przyzna, że postęp to olbrzymi. Dodać przytem należy, że za staraniem wydziału, oprócz kąpeli w łaźnience Chałubińskiego na Pradze, oraz w łaźnience „Janina“ przy ul. Stawki, wydano bezpłatnie kąpiele dzieciom zakładów W. T. D. i innych filantropijnych instytucyi, a mianowicie: 1) przy zakładzie dla rekonwalescentów (ul. Dzika № 67), założonym przez H. Lewego, wydano 17,095 kąpeli; 2) za staraniem d-rów Tchórznickiego i A. Natansona, w łaźnienkach przy fabryce braci Pfeiffrow (Smocza № 43/45)—3157 i w fabryce Bormana i Szwedego—2773 kąpeli. Nadto właściciel łaźni parowej przy ul. Czerniakowskiej № 70, p. Maurycy Wizel, ofiarował kąpiele bezpłatnie dla ubogich z przytułku no-

clegowego na tej ulicy położonego i kąpeli tych w roku sprawozdawczym wydał 932. Zatem na dobro wydziału zapisać należy ogólną liczbę kąpeli, użytych przez ludność ubogą Warszawy, w cyfrze 91,378. Na wielotysięczną ludność miasta nie jest to wiele, bądź co bądź jednak znamionuje znaczne polepszenie się stosunków w tym względzie.

Ze szczególnem zadowoleniem sprawozdanie zaznacza szybko wzrastającą liczbę dzieci, które korzystają z kąpeli ludowych w zakładzie Chałubińskiego na Pradze, w zakładzie „Janiny“ na Stawkach, oraz w wymienionych powyżej zakładach prywatnych, które wydziałowi kąpeli ludowych przychodzą z czynną pomocą. Dzieci te, wyszedłszy na pracowników samodzielnych, wyniosą z praktyki kąpielowej dzisiejszej—nawyknienie i potrzebę czuwania nad czystością ciała. Zakres zaś działalności w tym kierunku wydziału kąpeli ludowych niewątpliwie rozszerzać się nie przestanie. Dotychczas nie wszyscy opiekunowie ochron, sal zajęć i innych podobnych zakładów uznawali możliwość i potrzebę korzystania z ofiarowanych przez wydział usług; praktyka jednak pokonywa powoli brak zaufania. Oczekiwać też można, że wszystkie instytucje wychowawcze W. T. D. i inne dobroczynne zakłady dla dzieci uznać z czasem muszą potrzebę korzystania z bezpłatnych kąpeli. Oto dziś już kierownicy „ogródków Rau'a“ powzięli zamiar posyłania dzieci do tych zakładów kąpielowych.

W rozwinięciu programu systematycznego kąpania dzieci z zakładów dobroczynnych warszawskich, wydział kąpeli ludowych dwie napotyka trudności: jedną stanowi ubóstwo dzieci, stąd niedostateczne zaopatrzenie ich w ciepłe ubranie, co sprawia, że w miesiącach zimowych drobiazg z ochron tylko wyjątkowo kąpeli używać może. Drugą trudność stanowi konieczność ścisłego dozoru nad dziećmi, biorącymi kąpiel. Kąpiel niedozorowana, to jest bez czynnej i dostatecznej opieki, mogłaby nietylko nie przynieść tych pożytków higienicznych, jakich od niej oczekujemy, ale nawet stać się szkodliwą. Dziecku po kąpeli dopomódz trzeba w wytarciu ciała, dziewczętom dopomódz w ułożeniu włosów, dozorować nad należytem ubraniem się dziecka i wreszcie czuwać przez cały ten czas nad obyczajnością przy rozbieraniu, kąpaniu i ubieraniu się. Tak, jak w szkole jeden nauczyciel wystarcza na kilkanaście, a nawet więcej dzieci, ażeby je uczyć i nad obyczajnością ich czuwać, podobnież i w kąpielach jedna osoba wystarcza na kilkanaście a nawet i więcej dzieci, ale osoba taka musi posiadać instynkt i wyrobienie pedagogiczne, a nadto mieć uczucie ludzkie wobec ubogiego dziecka i postępować po macierzyńsku. Jest

to niewątpliwie poświęcenie niemałe ze strony osób, które się podjąć zechcą dozоровania nad dziećmi kąpiącemi się.

W dalszym ciągu wdzięcznie wspomina sprawozdanie kobiety, które przez całe ubiegłe dwa lata służbę tę wykonywały, oddając na ten cel jeden lub dwa dni w tygodniu po kilka godzin. W miarę jednak, jak liczba kąpiących się dzieci wzrastać będzie, a na szczęście ma się właśnie ku temu, przybywać musi i dozorczyń nad kąpiącemi się. Z góry tu oświadcza sprawozdawca, że dozorczyńi ochrony lub sali zajęć nie wystarcza; naprzód jedna na całą ochronę lub salę zajęć to za mało, a powtóre ochroniarki i dozorczyńie są to kobiety tak umęczone całodzienną pracą z dziećmi, tak tą pracą wyczerpane, że poprostu nie są zdolne podjąć tego filantropijnego obowiązku, którego spełnienie do nich też nie należy. Ochroniarka spełni dostatecznie swój obowiązek, gdy dzieci z ochrony do łazienki przyprowadzi, należy się jej za to podziękowanie, a tej z nich, która przyjąć zechce, należy się kąpiel wannowa, którą zakład chętnie bezpłatnie jej ofiaruje. Skoro zaś, jak wyżej powiedziano, ochroniarka dozoru nad kąpiącemi się dziećmi spełniać nie może, wydział zmuszony jest przeto odwołać się do dobrych serc niewieścich i liczyć musi na to, że zarząd ochron, sal zajęć, ogrodów Rau'a, oraz opiekunki pomienionych zakładów postarają się o zjednanie pomocy odpowiedniej w tym względzie i to pomocy rekrutowanej z pośród osób, które podejmą się tego obowiązku bezinteresownie, ze względu na jego doniosłość społeczną, a które mają tkliwe, macierzyńskie uczucie dla ubogich dzieci.

Przechodząc do strony finansowej „kąpeli ludowych“, sprawozdanie stwierdza, że niedobory coroczne są dotąd dość znaczne. Jednocześnie jednak majątek ogólny wydziału kąpeli z roku na rok rośnie, o czem świadczy poniższe zestawienie liczb:

W r. 1898	majątek ten wynosił	22,500	rb.	—
W r. 1899	"	36,982	"	20 kop.
W r. 1900	"	44,996	"	30 "
W r. 1901	"	58,157	"	94 "
W r. 1902	"	75,989	"	19 "
W r. 1903	"	78,367	"	85 " czyli

w ciągu lat sześciu wzrósł prawie czterokrotnie. Objaw to bardzo pomyślny.

Wogóle, jak to już zaznaczyliśmy na wstępie, ze sprawozdania widać, że sprawa kąpeli ludowych jest na dobrej drodze. Wprawdzie daleko nam jeszcze pod tym względem do Japończyków, ale zamiłowanie czystości powoli zaszczepia się i u nas wśród warstw ubogich, co pozwala wnosić, że jeżeli dotychczas tonęły one w brudzie i zaniedbaniu, to nietyle z przyczyny ciemnoty i „barbarzyństwa“, na co swojego czasu wskazywali lubiący paradoksy publicyści, ile z braku odpowiednich, tanich i dostępnych urządzeń kąpielowych. Znana to i stwierdzona wielokrotnie rzecz, że największym wrogiem postępu społecznego we wszelkich dziedzinach jest nędza, a więc i w tej dziedzinie stanowiła ona i stanowi przeszkodę do przewyciężenia najtrudniejszą. W miarę wszelako powstawania bezpłatnych lub niewielką tylko opłatę pobierających łaźni publicznych, bez wątpienia wzrośnie wśród mas zamiłowanie do kąpeli, a tem samem podniesie się i ogólna zdrowotność społeczeństwa, która dziś tyle jeszcze pozostawia do życzenia. Nie trzeba tylko ustawać w pracy i w wysiłkach.

*

*

*

D-r. Stanisław Kozicki wydał świeżo broszurę p. t. „Kredyt krótkoterminowy dla włościan“. Broszura ta dotyka jednej z najbardziej palących kwestyi ekonomicznych kraju i dlatego warto zapoznać się bliżej z jej treścią.

Autor wskazuje przedewszystkiem na fakt znamieny, że więcej niż połowa całej przestrzeni Królestwa Polskiego znajduje się w posiadaniu włościan. Są gubernie, jak np. Łomżyńska i Suwalska, gdzie $\frac{3}{4}$ wszystkich gruntów do nich należy, w innych zaś stale wzrastająca parcelacya powiększa własność włościańską. Ze względu więc na to, na liczebność swoją, a także na stały wzrost kultury wśród warstwy włościańskiej, staje się ona ważnym, pierwszorzędnym niemal czynnikiem w życiu społecznem naszego kraju. W pewnej części prasy naszej niejednokrotnie też wyrażono już z tego powodu obawy co do przyszłości naszego rolnictwa. D-r Kozicki sądzi wszakże, że w sprawie tej unikać należy sentymentalizmu, który do niczego nie doprowadza, ale—stwierdziwszy fakt wzrostu znaczenia włościan w kraju naszym, w tym kierunku wszelkie wyteżyc usiłowania, by warstwie włościańskiej takie stworzyć warunki

życiowe i gospodarcze, jakie są dla jej wszechstronnego rozwoju konieczne.

Wiele jest pod tym względem do zrobienia, bo gospodarstwo rolne u włościan, gospodarstwo, na którym opiera się całe życie naszego chłopca, w złym bardzo znajduje się stanie. Powierzchnowa obserwacja wystarczy, by spostrzedz, jak wielka różnica zachodzi między folwarkami, a wioskami chłopskimi. Licha uprawa ziemi, brak potrzebnych narzędzi rolniczych, niedostateczne nawożenie, siew posledniego ziarna, liche i lichy karmione inwentarze—oto obraz większości naszych gospodarstw włościańskich. Przyczyny takiego stanu rzeczy odnaleźć nie trudno. Serwituty, szachownice, rozdrobnienie gruntów, brak taniego i dogodnego kredytu, złe funkcjonowanie gospodarki gminnej, wreszcie nizki stan wiedzy fachowej i oświaty ogólnej—wszystko to składa się na ponury obraz, jaki nam się przedstawia. Część braków powyższych można usunąć tylko przez zmiany prawodawcze lub pomoc państwową, wiele jednak można również zrobić na drodze samopocy społecznej, w ramach istniejących ustaw i przepisów. Do rzędu takich spraw zaniedbanych należy właśnie dostarczanie włościanom taniego i dogodnego kredytu. Intensywność gospodarstw musi wzrastać, na to zaś trzeba ciągle nowych nakładów pieniężnych. Więksi właściciele mają Tow. Kred. Ziemskie, mają liczne instytucje wzajemnego kredytu—chłop zaś jest tego wszystkiego pozbawiony i skazany na lichwiarskie pożyczki prywatne i kasy gminne. Pieniądzy zaś w kraju nie brak, dość przytoczyć, że w rządowych kasach oszczędności było w dniu 1 stycznia 1900 r. 23 miliony rubli i że dużo pieniędzy przechowują włościanie w różnych skrytkach, nie pobierając od nich żadnego procentu. Ci, którzy zakładali towarzystwa drobnego kredytu, ze zdziwieniem przekonywali się, jak znaczne ilości pieniędzy znajdują się w rękach włościańskich. Leżą one jednak bezużytecznie w skrzynkach lub kasach oszczędności, wskutek nieuregulowania sprawy drobnego kredytu.

Uruchomienie tych kapitałów może więc pchnąć kraj na tory normalnego i zdrowego rozwoju.

Zastanawiając się nad tem, jak tego dokonać i biorąc przykład z zagranicy, gdzie Towarzystwa typu Schultzego z Delitzsch i Raiffeisena takie ogromne przyniosły korzyści sprawie unormowania stosunków kredytowych na wsi, wnosi d-r Kozicki, że i u nas ta droga jest obecnie najodpowiedniejszą, co zresztą wymownie stwierdza działalność istniejących dotychczas stowarzyszeń.

Oto kilka cyfr: 13 towarzystw kredytowych, których sprawozdania miał autor pod ręką, liczyły w dniu 1 lipca 1902 r. 7170 członków z otwartym kredytem do 930,710 rb. Kapitały ich wyno-

siły: zakładowy 49,300 rb. (w tem 25,000 rb. wyasygnowanych przez Bank Państwa) i zapasowy—6,868 rb. Przyjętych wkładów było 432,880 rb., pożyczek wydano—472,859 rb. Rezultaty zupełnie pomyślne, a ramy ustawowe tych stowarzyszeń są tak dogodne, że mogą się one rozwijać pomyślnie. Przy zakładaniu ich radzi jednak autor zwrócić uwagę na względy następujące:

Przedewszystkiem na to, aby okręg działalności stowarzyszenia był możliwie mały i obejmował tylko gminę lub parafię. W Galicyi naprzykład, uważają okręg z ludnością od 500 do 3,000 głów za najodpowiedniejszy. Przy małym okręgu może działalność stowarzyszenia sięgnąć głębiej, objąć więcej ludzi; tylko mając blisko kasę, mogą mieszkańcy należycie z niej korzystać i bez kosztów i straty czasu zaoszczędzony grosz składać w kasie, lub brać pożyczkę. Zarząd stowarzyszenia zna wówczas dokładnie wszystkich, mieszkających w obrębie jego działalności i łatwo może odróżnić tych, którzy zasługują na kredyt, nadto interesa stowarzyszenia są wówczas mniej zawiłe i łatwiejsze do prowadzenia, wreszcie, więcej ludzi ma sposobność brania udziału w bezpośrednim prowadzeniu tych interesów i wyrabianiu w sobie samodzielności. W naszych warunkach jednak trzeba się liczyć ze stanem społecznym wyrobienia naszego społeczeństwa, z tem, że mały tylko procent z pośród tego społeczeństwa dostatecznie swoje obowiązki społeczne rozumie, a przecież w zarządzie Towarzystwa musi być choć kilku ludzi, którzyby potrafili, bądź co bądź dość skomplikowane interesy prowadzić i którzyby swój czas i pracę na to poświęcić chcieli.

Wśród włościan naszych—mówi d-r Kozicki—chętnych do pracy znaleźćby można wszędzie, lecz na palcach dałoby się policzyć obecnie takich, którzyby samodzielnie sprawy podobne w swoje ręce ująć mogli, inteligencya zaś nasza prowincjonalna, a więc księża, obywatele ziemscy, lekarze, adwokaci i t. d. po miasteczkach, o ile z dotychczasowego doświadczenia wnosić można w nielicznych tylko powiatach dostarczy ludzi chętnych więcej, niż potrzeba na założenie jednego towarzystwa na powiat cały. Rachując się więc z takimi okolicznościami, sądzić należy, że obecnie okręgi działalności towarzystw z konieczności muszą być większe i obejmować cały powiat, a dopiero, gdy ze sfer, bezpośrednio w całej sprawie zainteresowanych wytworzy się szereg ludzi do samodzielnego prowadzenia interesów zdolnych i rozumiejących swe obowiązki społeczne—wówczas będzie można pomyśleć o powiększeniu ilości towarzystw w powiecie.

Drugiem zastrzeżeniem autora broszury jest nieprzyjmowanie do towarzystw kredytowych żydów, ci ostatni bowiem, wskutek

większej przedsiębiorczości i ekonomicznego wyrobienia, zwykle opowiadają ster spraw towarzystwa, kapitałów swoich w niem nie lokują, lecz temi, które przez włościan złożone zostały, dowolnie obracają, a tak się nawet zdarzało, że wypożyczają je chłopom na wyższy procent. Odstraszającym, w tej mierze jest przykład Galicyi, gdzie istnieje kilkaset stowarzyszeń żydowskich, będących istną plagą najbiedniejszych i najciemniejszych powiatów wschodnich. Na ten jaskrawy fakt przed kilku miesiącami zwróciliśmy właśnie uwagę, pisząc na tem miejscu o rozwoju stowarzyszeń zaliczkowych i gospodarczych w tej dzielnicy. Obawy przed tem tłumaczą też całkowicie d-ra Kozickiego z uczynionych zastrzeżeń, które na pozór mogą się wydać dziwne i nieodpowiednie.

Kończąc ten krótki przegląd zajmującej pracy o „kredycie krótkoterminowym dla włościan“ pozwalamy sobie polecić ją gorąco uwadze inteligencji prowincjonalnej, której obowiązkiem społecznym jest otoczyć opieką tę ważną sprawę i pracować nad przyswojeniem naszemu ludowi idei samopomocy ekonomicznej, która jest jedynie dźwignią prawdziwego dobrobytu, wytwarzającego majątek narodowy.

*

*

*

Nadesłano nam „Sprawozdanie z czynności Warszawskiego Chrześcijańskiego Towarzystwa ochrony kobiet w Warszawie za rok 1903.“

Powstanie, cele i zadania tej instytucji są czytelnikom naszym znane, w swoim czasie bowiem pisaliśmy o tem dość obszernie i ze szczerem uznaniem dla inicjatywy, która powołała do bytu to nowe humanitarne Towarzystwo. Obecnie pozostaje nam więc tylko rozejrzeć się w tem, co Towarzystwo dotychczas potrafiło zdziałać i poznać jego zamiary na przyszłość.

Na wstępie należy zaznaczyć, że przy organizacji okazała się potrzeba utworzenia aż 10 wydziałów poszczególnych, z których wszystkie istnieją dotychczas, ale nie wszystkie są czynne.

Pierwszy z nich nosi nazwę „Opieka nad dziećmi“; do dnia 31 grudnia 1903 r. pozostawał on pod kierownictwem p. Wandy Korytyńskiej. Opiekowano się 38 dziewczętami, umieszczonemi częścią na koszt p. Korytyńskiej, częścią na koszt Towarzystwa, częścią bez-

płatnie u osób, godnych zaufania. Tu sprawozdanie z żalem nadmieniam, że pomimo starań, nie zawsze udaje się wyrwać dzieci z otoczenia domowego, które zagraża ich moralności. Niektórzy bowiem rodzice i opiekunowie niechętnie zgadzają się na oddanie dziecka, a nawet gdy je oddadzą, po kilku tygodniach odbierają z powrotem, przekonawszy się, że zysków z tego źródła ciągnąć nie można.

Praca w tym kierunku jest więc ciężka, ale może być bardzo owocną.

W y d z i a ł d r u g i: „Dostarczanie pracy“ w r. 1902 i 1903 nie był czynny dla braku odpowiednich środków i kierowników. Dopiero w lutym r. b. w domu przy ul. Mazowieckiej pod № 11 Towarzystwo otworzyło wydział, który ma za zadanie dostarczanie pracy uczciwej u moralnych pracodawców wszystkim dziewczętom i młodym kobietom moralnego prowadzenia się.

W y d z i a ł t r z e c i: „Ochrona młodych kobiet w podróży“, na kolejach, statkach parowych etc. był w latach sprawozdawczych w okresie organizacyi. Przedewszystkiem zawiązano stosunki z tego rodzaju towarzystwami za granicą. Na żądanie tych towarzystw — War. Tow. zajęło się kilkakrotnie przyjęciem młodych podróżnych, poleconych bezpośrednio T-wu. Wydano listy polecające do innych Towarzystw dla osób, udających się z Warszawy za granicę. Uzyskano od władz pozwolenie na noszenie przez delegatki T-wa, zajmujące się przyjmowaniem przyjezdnych na kolejach i t. p. — kokardy biało-błękitnej. Uzyskano w Warszawie współdziałanie pań czł. czyn. Tow. Ochr. Kobiet, które podjęły się brania przyjezdnych pod opiekę, a na prowincyi — współdziałanie pań czł. czyn. Tow., które podjęły się zaopatrywania wyjeżdżających młodych podróżnych w odpowiednie rekomendacye i zawiadamiania wydziału 3-go o dniu przybycia podróżnych do Warszawy. Wydział ochrony młodych podróżnych mieści się przy ul. Mazowieckiej № 11.

W y d z i a ł c z w a r t y: „Przeciwdziałania handlowi żywym towarem“ mógł działać tylko w pojedynczych wypadkach, zwracając się w razie otrzymanych wiadomości do władz z prośbą o odpowiednią pomoc. W ten sposób uwolniono kilka dziewcząt z miejscodejrzanych, w których je przetrzymywano. Po otrzymaniu od Tow. petersburskiego wiadomości, że znany handlarz żywym towarem wyjechał z Buenos Ayres do Królestwa po świeży połów, T-wo umieściło odpowiednie odezwy we wszystkich pismach miejscowych i wielu zamiejscowych, oraz zwróciło się za pośrednictwem biskupów do dziekanów i proboszczów z prośbą o ostrzeżenie dziewcząt nieświadomych o grożącym im niebezpieczeństwie, oraz o współdziałanie

w celach T-wa wogóle. Odezwy te znalazły oddźwięk, liczba bowiem członków czynnych powiększyła się, a idee Tow-a rozeszły się szeroko.

Wydział piąty: „Działalność Towarzystwa w szpitalach“. W latach sprawozdawczych zajęto się doraźnie kilku młodemi chorem, które umieszczono w zakładach, zajmujących się nakłanianiem do życia moralnego, zorganizowano wszakże działalność wydziału dopiero w początkach roku 1904. Zyskano współdziałanie pań czł. czyn., które podjęły się za zgodą lekarzy naczelnych i z pomocą sióstr miłosierdzia, zajęć się młodemi chorem w czasie przebywania ich w szpitalu i dostarczyć im uczciwego zajęcia po opuszczeniu szpitala.

Wydział szósty: „Ochrona w słowie i druku“ ma na celu rozprzestrzenianie idei T-wa. Na wydawnictwa własne T-wo zdobyć się nie mogło, korzystało jednak z łaskawości pism miejscowych, które zawsze chętnie umieszczały artykuły w kwestjach, związanych z działalnością Towarzystwa.

Wydział siódmy: „Ułatwienia poprawy upadłym“ ma na celu umieszczanie dziewcząt i młodych kobiet upadłych w zakładach poprawczych. W tym kierunku działano o tyle, o ile wymagała tego konieczność, stosując się do środków pieniężnych T-wa. Chcąc zapewnić sobie miejsca wolne, zarząd T-wa porozumiał się z zarządem zakładu św. Małgorzaty w Piasecznie, który zobowiązał się przyjmować przysyłane przez Towarzystwo dziewczęta za opłatą 8 rb. na miesiąc. Dziewczęta te zgłaszały się bądź same, bądź też były kierowane do T-wa przez ludzi dobrej woli. Umieszczono dziewcząt 12, które przybyły 1209 dni instytucyjnych, a kosztich utrzymania wynosił 322 rb. Jest to jedyny wydział Tow. Ochr. Kobiet, zajmujący się kobietami upadłymi.

Wydział ósmy: „Schronień czasowych“. W r. 1902 zwrócił się do T-wa ks. prałat Siemiec z propozycją otwarcia schronienia czasowego dla młodych pracownic igły, poszukujących pracy. Wobec tego zarząd opracował odpowiednią instrukcję i przedstawił ją do zatwierdzenia władzom. Zatwierdzenie instrukcji tej uzyskano poczem nastąpiło otwarcie zakładu pod wezwaniem św. Anny, przy ul. Oboźnej № 7. Na kuratora przedstawiono ks. prałata Siemca, gdy jednak w czerwcu ks. Siemiec zmuszony był ustąpić, przedstawiono do zatwierdzenia Maryę hr. Przeździecką, która dotąd pełni te obowiązki. Przez czas od stycznia do czerwca brakujące na utrzymanie fundusze łożył ks. Siemiec i grono opiekunek. Od czerwca schronienie przeszło na koszt T-wa. Grono pań opiekunek przyczynia się oliarami do utrzymania tego schronienia.

Wydatki na to utrzymanie w r. 1903 wynosiły 3742 rb. 83, Towarzystwo zaś wydatkowało na ten cel tylko 1246 rb. 57 kop. Pozostała suma powstała więc z ofiar, specjalnie na ten cel składanych, oraz z pracy dziewcząt, umieszczonych w zakładzie. W r. 1903 przebywało w Schronieniu 58 dziewcząt od 16 do 36 roku życia, które przebyły 3850 dni instytucyjnych, przyczem dzień instytucyjowy wypadł po kop. 60. I Schronienie czasowe św. Anny mieści się obecnie przy ul. Zielnej № 29.

Nadto zarząd pragnie jeszcze otworzyć schronienie czasowe dla pozbawionych pracy kucharek, praczek, służących, a także dla robotnic fabrycznych, dotąd wszakże nie posiada na to funduszków.

Odpowiednio do swej ustawy T-wo otwiera zakłady oddzielne dla każdego wyznania chrześcijańskiego. Ponieważ I-e schronienie czasowe św. Anny utworzono dla katoliczek, przeto T-wo z radością przyjęło inicjatywę grona osób wyznania ewangelickiego i postanowiło otworzyć takie same schronienie czasowe dla ewangeliczek. Zakład uzyskał od gminy ewangelickiej (augsburskiej) lokal, w którym urządzone zostało wzorowe schronienie. O pozwolenie na otwarcie schronienia Zarząd T-wa wystąpił do władz we wrześniu 1903 r. i otrzymał zatwierdzoną instrukcję w lutym 1904 r. Zakład obecnie urządzony, otwarty został w kwietniu r. b. i utrzymywany będzie z ofiar powyżej wspomnianego grona osób.

Wydział dziewiąty: „Ognisk domowych“. Ogniska domowe są to schronienia stałe, mające na celu dostarczanie młodym kobietom, pozbawionym w Warszawie ognisk rodzinnych, mieszkania, utrzymania całkowitego lub częściowego za umiarkowaną opłatą, oraz opieki moralnej. Sprawa to pierwszorzędnej wagi, nie skąpiono więc dobrej woli w kierunku zadosyćuczynienia ważnej potrzeby tego rodzaju zakładów. W początkach r. 1903 z inicjatywy p. Buchwaldówny podjęto starania o zatwierdzenie I Ogniska dla nauczycielek, pracownic biurowych etc. Zarząd opracował instrukcję, która uzyskała zatwierdzenie władz 23 maja 1903 r. P. Buchwald dostarczyła lokalu z kompletnem umeblowaniem.

W dniu 30 maja dokonano otwarcia zakładu. W ten sposób I ognisko domowe w r. 1903 funkcyonowało przez miesiący 7. W tym czasie przebywały czas dłuższy lub krótszy w Ognisku 32 panie, które przebyły 2092 dni instytucyjnych. Na mieszkanie i utrzymanie wydatkowano 1344 rb. 64 kop., czyli że dzień instytucyjowy kosztował 64,6 kop. Należy nadmienić, że niedobór pokryty został przez kuratorkę, p. Buchwald.

Ognisko mieści się przy ul. Boduena № 1. W ostatnich czasach zostało rozszerzone. Pobiera 20—35 rb. za mieszkanie i całodzienne utrzymanie.

W r. 1903 T. O. K. zamierzało otworzyć drugie jeszcze Ognisko domowe, przeznaczone dla szwaczek, z opłatą 12 rb. miesięcznie. Ognisko to zostało jednak otwarte dopiero w r. b.

Obok ognisk domowych dla katoliczek, Zarząd T. O. K. wyjednał także pozwolenie na otwarcie Ogniska dla ewangeliczek. Ognisko to mieści się przy schronieniu czasowem dla ewangeliczek w gmachu gminy ewangelicko-angsburskiej i utrzymywane będzie z ofiar osób wyznania ewangelickiego.

W y d z i a ł d z i e s i ą t y: „Sal rozrywek i zajęć dobrowolnych“. Towarzystwo ograniczyło się, jak dotąd, jedynie opracowaniem instrukcyi dla przyszłych sal, bez czego nie mogły one być otwarte.

Oto w krótkich zarysach sprawozdanie z działalności zarządu w ciągu roku 1903. Byłoby ono niepełne, gdyby nie wspomnieć, że zarząd dokładał wszelkich starań w kierunku uzyskania funduszków dla T-wa i zjednania mu członków. Wszakże wskutek zwykłej u nas obojętności—do 1 stycznia 1904 roku zaledwie 128 osób zsolidaryzowało się z działalnością T-wa, z tych zaś zaledwie 91 pomagało T-wu pieniężnie.

„Smutny to objaw—czytamy—gdyż cele T-wa są tak ważne, tak dla społeczeństwa nieodzowne, że obojętność świadczyłaby o niezrozumieniu wzniosłej idei ochrony kobiety, gdyby nie dobra wola grona osób, które przyjąwszy ideę T-wa, spieszą mu z czynną pomocą. Dzięki tylko dobrej woli tych członków T-wo mogło rozpocząć działalność swych wydziałów i zakładów.“

Pozostaje nam jeszcze spojrzeć na cyfry, które mówią o wpływach i wydatkach T-wa w roku sprawozdawczym.

Wpływy składały się z następujących pozycji: składki członków rb. 685; ofiary na cele ogólne T-wa 755 rb., % za 1902 r. od sum, złożonych w kasie oszczędności 9.97; za kupony od $4\frac{1}{2}\%$ listów zastawnych m. Warszawy (2 po 500 rb.)—42.75.; ofiary doraźne na poszczególne instytucje T-wa rb. 2329.71; wkłady kuratorki na rzecz I ogniska domowego rb. 340.45; dochód z I czasowego schronienia św. Anny 167.84; z opłat w pensyonach I ogniska domowego—rb. 1004. 19; podniesione z kasy oszczędności 1500 rb. Dodając do tego *saldo* kasowe z 1 stycznia 1903 r. otrzymamy razem kwotę 7388.01.

W rubryce wydatków widzimy kwotę 7112.42, przeto na rok 1904 pozostało w kasie gotówką 275 rb. 59 kop. Jest to bardzo mało, jak na obszerne cele Towarzystwa i ta szczupłość środków mate-

ryalnych zdaje się stanowi najsłabszą stronę instytucji i tamować będzie jej swobodny dalszy rozwój. Zarząd też powinien podwoić swoje starania w kierunku zjednania T-wu większej ilości członków i powiększenia jego źródeł dochodowych, inaczej bowiem będzie dużo pięknych zamiarów w programie, a zamało owocnej pracy dla samej sprawy, która przecież naprawdę godna jest zachodu.

*

*

*

Tocząca się od pewnego czasu w instytucjach sądowych sprawa stutysięcznego legatu ś. p. Adama Śmigielskiego na rzecz Instytutu głuchoniemych, bierze—według informacji, zaczerpniętych przez „Gazetę Polską“ ze źródeł właściwych--pomyślny dla tej instytucji obrót i wkrótce zapewne Instytut będzie mógł wejść w posiadanie zapisanego mu kapitału.

W toku procesu wyjaśniła się też kwestya różnicy pomiędzy sumą ogólną kapitałów legowanych, wskazanych w testamencie, a rzeczywistym ich stanem, różnicy poważnej, bo wynoszącej 22,500 rb. Zgodnie z brzmieniem testamentu, zapisodawca przeznaczył kapitały, lokowane wyłącznie w papierach T. Kred. Ziem. i T. Kred. Miejskiego, a w tychże instytucjach deponowane w sumie ogólnej 97,500 rubli, na „fundusz żelazny dla Instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie, od którego procenty obracone być mają na utrzymanie wychowalców rzeczzonego Instytutu“. Przytem w dalszym ciągu testamentu nadmienia: „Oprócz wyżej wyszczególnionej ilości rubli dziewięćdziesiąt siedem tysięcy i pół, jeżeli okaże się, że jest jaka przewyżka, która z oszczędności przybyła, przewyżkę tę li tylko w papierach procentowych przeznaczam także na rzecz Instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie, jako fundusz żelazny, który do ogólnej sumy włączony być ma. Nadmieniam wreszcie, że fundusze stąd czerpane użyte być mają na utrzymanie wychowalców wyznania rzymsko-katolickiego.“

Nieoznaczoną tę sumę dodatkową później testator określa ściśle, pisząc:

„Obecnie w depozycie dyrekcji T. K. M. złożona jest suma 28,000 rb. za № 5044 z daty 12 (25) lipca 1900 r., którą to sumę wraz z innemi, wyżej wymienionemi, przeznaczam jako fundusz żelazny na rzecz Instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie.“

Z tego wypadaloby więc, że całość zapisu, dokonanego na utrzymanie wychowalców instytutu głuchoniemych i ociemniałych wyznania rzymsko-katolickiego, wynosi $97,500 + 28,000 \text{ rb.} = 125,500 \text{ rb.}$, tymczasem w rzeczywistości okazało się, że suma ta jest mniejszą i wynosi 103,000 rb., co wyjaśniło się w ten sposób, że testator przed swą śmiercią, która nastąpiła dn. 9 kwietnia 1901, wycofał pewne sumy, o czym jednak już w testamencie żadnej wzmianki nie uczynił. Z tem wszystkiem zapis ś. p. Adama Śmigielskiego jest największy, jaki kiedykolwiek warszawski Instytut głuchoniemych otrzymał od osoby pojedynczej.

W testamencie jest wszakże mowa o „dozorze“ instytutu, które to ciało właściwie nie istnieje. Wobec tego „Gazeta Polska“ zwraca zupełnie słusznie uwagę na to, że rada pedagogiczna instytutu, powinna „dozór“ taki wytworzyć dla opieki nad zapisem.

*

*

*

Znów nauka polska poniosła stratę ciężką.

Dn. 24 kwietnia r. b. zmarł w Zakopanem ś. p. Władysław Folkierski, inżynier, uczony matematyk, autor cennych prac w tej dziedzinie, człowiek niezwykłych zdolności i prawego charakteru.

Urodzony w Warszawie w r. 1842 z ojca Piotra, właściciela wsi Radonie pod Gródziskiem, ś. p. Folkierski kształcił się początkowo w rodzinnem mieście, gdzie ukończył gimnazjum, poczem przeniósł się na politechnikę do Karlsruhe. Otrzymałszy stopień inżyniera, wyjechał na dalsze studia do Paryża. Tam brał czynny udział w wydawnictwie „Pamiętnika“, będącego organem Towarzystwa przyjaciół nauk ścisłych, założonego w Paryżu przez Jana Działyńskiego, a skupiającego młode naukowe siły polskie, znajdujące się podówczas w stolicy Francji. W tym „Pamiętniku“ zamieścił Folkierski dwie cenne swoje prace: „O równaniach różniczkowych częściowych“ i „Zasady rachunku różniczkowego i całkowego.“ Ta ostatnia praca urosła potem w dwutomowe dzieło, które stało się chlubą naukową młodego matematyka.

Jednocześnie Folkierski oddał się inżynierii i podczas wojny francusko-pruskiej w r. 1870 pracował nad ufortyfikowaniem Paryża, za co otrzymał w następstwie krzyż legii honorowej.

W r. 1873 opuścił Paryż i udał się do Peru, gdzie podówczas inżynier polski, Ernest Malinowski budował kolej przez Andy. Zatrudniony przy budowie tej kolei Folkierski, nie przestawał wszakże pracować naukowo, a zdolności jego były tak wybitne, że wkrótce zwrócił na niego uwagę fakultet filozoficzny uniwersytetu w Limie i ofiarowawszy mu doktorat honorowy nauk matematycznych, zaprosił na katedrę mechaniki. Odtąd zaczęła się profesorska działalność Folkierskiego, która trwała do r. 1889.

Podczas wojny rzeczypospolitych Peru i Chili, Folkierski dopomagał do ufortyfikowania Limy i Callao, a po wojnie został członkiem głównej rady robót publicznych i dyrektorem dróg żelaznych południowych, łączących brzeg oceanu z jeziorem Titikacha.

W r. 1889 Folkierski wrócił do Europy i do kraju, za którym tęsknił przez długi szereg lat. Zmuszony osiąść w Galicyi, nie znalazł tam stanowiska, na którem mógłby służyć społeczeństwu najlepiej swoją wiedzą i zdobytem doświadczeniem. W politechnice lwowskiej i na obu uniwersytetach katedry były zajęte, w Wydziale krajowym nie było odpowiedniego dlań urzędu. Przyjął więc miejsce inżyniera oddziałowego na budowanej drodze z Chabówki do Zakopanego, a po jej ukończeniu osiadł w Zakopanem na stałe, prowadząc roboty około wodociągu przemysłowego w Kuźnicach.

Zmarł w 62-im roku życia, pozostawiając po sobie trwałe imię w nauce i ogólny żal w sercach wszystkich, którzy go znali, jako człowieka. Cześć jego pamięci!

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

Dnia 18 maja bieżącego roku odbyło się w Krakowie doroczne uroczyste posiedzenie Akademii Umiejętności w gmachu jej przy ulicy Sławkowskiej. W wielkiej sali zgromadzili się dostojnicy i goście. Z uderzeniem godziny 12-ej wszedł na trybunę zastępca protektora, J. E. p. minister dr Julian Dunajewski, i zajął krzesło przewodniczącego zebrania; obok niego zasiadli na trybunie: prezes Akademii, J. E. Stanisław hr. Tarnowski; jenerálny sekretarz, prof. dr Bolesław Ulanowski i prelegent, prof. dr Napoléon Cybulski.

Około trybuny zajęli miejsca członkowie Akademii z Krakowa, Warszawy i Lwowa. Z Warszawy przybyli: Tadeusz Korzon, Aleksander Jabłonowski, prof. dr Józef Kallenbach i Samuel Dickstein, ze Lwowa członkowie czynni: prof. dr Władysław Abraham, prof. Oswald Balzer, radea dworu Jan Franke, dyrektor Wojciech Kętrzyński i dr Leon Piniński, b. namiestnik; członkowie korespondenci: prof. dr Bronisław Dembiński, ks. dr Jan Fijałek, dr Aleksander Hirschberg, dr Henryk Kady i prof. Stanisław Schneider. Z Wiednia szef sekeyi, dr Ludwik Ówikliński.

Naprzeciw trybuny, w pierwszym rzędzie krzesek, zasiadli: ks. kardynał Puzyna, ks. biskup Nowak, J. E. namiestnik Andrzej hr. Potocki, marszałek kraj. Stanisław hr. Badeni, J. E. Ignacy Zborowski, prezydent sądu wyższego Hausner i wiceprezydent Stebelski, delegat Fedorowicz, wiceprezydenci miasta Leo i Chyliński, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego Krzymuski, dyrektor Akademii sztuk pięknych Fałat, prezes Towarzystwa rolniczego krakowskiego Zdzisław hr. Tarnowski i inni.

Posiedzenie zagał dr Julian Dunajewski, poczem prezes Akademii, hr. Stanisław Tarnowski, wygłosił mowę, z której podajemy końcowy ustęp:

„Na swoim ostatnim zebraniu jesiennem uchwaliła Akademia przedsięwzięcia duże a potrzebne. Prace jej przeznaczone są głównie dla nauki, dla uczonych; ale rezultat tych prac powinien dochodzić do wszystkich, wszystkich wykształconych. W tym celu postanowiła Akademia wydać *Encyklopedyą rzeczy polskich*, która ma obejmować wszystkie działy nauki i pokazywać, do czego każda z nich w naszych czasach w Polsce doszła. Można by zauważyć słusznie, że to nie jest właściwie zadaniem ciał naukowych. W innych krajach, szczęśliwszych i bogatszych, podejmują je zwykle wielcy wydawcy. U nas często ten, kto jest, musi zastępować tych, których brak, przekraczać to, co jest jego ścisłym zadaniem. Tak i Akademia. Widzi praktyczną potrzebę i pożytek, i bierze się do dzieła, którego inni nie podejmą. Dzieło naturalnie wymagać musi dużo czasu, dużo pracy, dużo współpracowników, i lata przejdą, zanim będzie dokonane. Ale jest podjęte. Jego program, układ, porządek i rozmiary materji, rozkład pracy między współpracowników, jest przedmiotem narad osobnej Komisji, złożonej z reprezentantów wszystkich gałęzi nauki.

Rok 1905 będzie czterechsetnym od urodzenia Mikołaja Reja. Akademia postanowiła obchodzić tę rocznicę zjazdem historyczno-literackim, jak obchodziła rocznicę Długosza i Kochanowskiego. Pisarz, pierwszy w szeregu znakomych pisarzy we własnym języku, wyobraziciel doskonały oświaty swego czasu, jego pojęcie religijnych, moralnych i politycznych, typ może natury polskiej na dalsze czasy, a pociągający wdziękiem pierwotnego umysłu i pierwotnego jędrnego słowa, miał prawo do tego dowodu ezei i wdzięczności. Oprócz zamierzonego zjazdu, poświęca Akademia tej rocznicy nowe krytyczne wydanie *Zwierciadła* i monografię o Reyu, której podjął się prof. Brückner. Zbiorowe wydawnictwa, poświęcone Reyowi, lub jego czasom, są w toku: jedno we Lwowie, drugie w Warszawie“.

Prof. dr Ulanowski, jeneralny sekretarz, poświęcił żałobne wspomnienie zmarłym członkom Akademii: prof. d-rowsi Franciszkowi Kasparkowi, prof. d-rowsi Piotrowi Chmielowskiemu i Janowi Karłowiczowi. Drukowane, rozdane uczestnikom, sprawozdanie, obejmuje przegląd prac naukowych, dokonanych w ubiegłym roku w łonie Akademii, lub za jej sprawą. Pod prasą znajduje się kilkanaście tomów, których część ukaże się niebawem w handlu księgarskim. W ciągu zeszłego roku dotacya krajowa Akademii została podwyższona o 18,000 kor. rocznie, za co wdzięczność należy się Sejmowi. Wstawiona do preliminarza budżetu państwowego na rok 1904 podwyżka dotacyi dla Akademii w kwocie 10,000 kor. niema, niestety, praktycznej korzyści z powodu nieuchwalenia dotąd budżetu przez Radę państwa.

Dzięki energii mecenasa Antoniego Osuchowskiego, zrealizowany został legat ś. p. Malwiny Jankowskiej, w sumie blisko 54,000 koron, przeznaczony na stypendya. P. Lubomir Gadon złożył na rzecz

stacyi paryskiej kwotę, wynoszącą około 80,000 koron, zastrzegając dla siebie dożywotne pobieranie procentów i postanawiając, że w razie, gdyby stacya paryska z tego funduszu nie potrzebowała zaopatrzenia, służyć on ma na wydawnictwa, odnoszące się do rzeczy polskich. Tak zawsze życzliwy dla Akademii mecenas Osuchowski złożył bez bliższego określenia celu, kwotę 4,000 marek, w akcyach Banku ziemskiego w Poznaniu: kwota ta została wcielona do funduszu żelaznego. P. Antoni Czerwiński przesłał sumę 1,000 rubli, przeznaczając ją na nagrodę konkursową za napisanie historii sztuki w Polsce.

Działalność naukowa Akademii rozwija się w sposób bardzo pomyślny. Prócz zwykłych wydawnictw, Akademia podjęła trzy publikacye, obliczone na bardzo szeroką skalę, a to:

1) Krytyczne wydanie ustaw polskich, poczynawszy od XV-go wieku, pod redakcyą prof. Balzera.

2) „Ubiory ludu polskiego“, którego to wydawnictwa zeszyt pierwszy ukazał się niedawno.

3) „Słownik Staro-polski“, do którego prace przygotowawcze, przerwane od lat kilku, prowadzi obecnie z całą energią prof. Jan Łoś. Są widoki, że tego „Słownika“ przynajmniej część pierwsza ukaże się w ciągu najbliższych lat czterech.

W ostatniej chwili Akademia otrzymała wiadomość, że z prywatnej a bardzo poważnej inicjatywy wyszła myśl zawiązania „Towarzystwa popierania prac i wydawnictw Akademii“. Podobno już nawet zgłosiła się znaczniejsza liczba członków, których dotychczasowe, całkowicie wniesione wkładki, mają wynosić 40,000 kor. Objaw to bardzo pocieszający.

W roku zeszłym Akademia powzięła dwie ważne uchwały: zwołania Zjazdu historyczno-literackiego imienia Mikołaja Reja w ciągu roku 1905 i ogłoszenia „Encyklopedyi rzeczy polskich“ w opracowaniu naszych najwybitniejszych uczonych. Zagraniczne ekspedytury Akademii, to jest ekspedycya rzymska i stacya naukowa w Paryżu, funkcyonowały w roku zeszłym normalnie.

Następnie sekretarz generalny ogłosił listę nowych członków Akademii. Jest ona następująca:

I. Wydział filologiczny: Członek czynny krajowy: dr. Creizenach Wilhelm, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego; członek czynny zakrajowy, dr Cwikliński Ludwik, szef sekcji w ministerstwie oświaty w Wiedniu.

II. Wydział historyczno-filozoficzny: Członkowie korespondenci: 1) Pastor Ludwik, prof. Uniwersytetu w Innsbrucku i dyrektor austriackiego historycznego instytutu w Rzymie; 2) dr Krzymuski Edmund, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego.

III. Wydział matematyczno-przyrodniczy: Członek korespondent: dr Nussbaum Józef, prof. Uniwersytetu we Lwowie.

Ogłoszono w końcu przyznanie nagród z fundacyi ś. p. Probusa Barczewskiego. Nagrodę za najlepsze dzieło historyczne przyznano prof. Aleksandrowi *Brücknerowi*, za jego dwutomowe dzieło: „*Dzieje literatury polskiej*“. Nagrodę za najlepsze dzieło malarskie przyznano prof. Leonowi *Wyczółkowskiemu* za portret własny.

Oprócz tego przyznano nagrody z fundacyi imienia Niemcewicza: 1) d-rowsi Wacławowi Tokarzowi z Krakowa 2,000 franków za dzieło historyczne o Kołłątaju; 2) d-rowsi Jerzemu Kieszkowskiemu z Krakowa 1,000 koron, z tej samej fundacyi za monografię rodziny Szydłowickich. Wreszcie nagrodę 675 rb. z funduszu imienia Lindego p. Adamowi Antoniemu Kryńskiemu - za poprawne wydanie gramatyki języka polskiego i za jego działalność.

Na zakończenie prof. dr Napoleon Cybulski wypowiedział odczyt o witalizmie i mechanizmie, za który podziękowano mu hucznymi oklaskami.

NOWE KSIĄŻKI:

— Monografia F. Hoesicka o *Chopinie* wyszedł zeszyt V i VI (str. 433 — 881), tworzące razem z poprzednimi tom pierwszy. Oba te zeszyty obejmują rozdział czwarty: „Przyjaciele i znajomi“, następnie księgę czwartą z nagłówkiem: „W przededniu sławy (1829 — 1831). Znajdujemy tu ważne i ciekawe szczegóły o pierwszej wycieczce Chopina za granicę, o pobycie w Wiedniu i Antoninach, pierwszym „ideale“ miłosnym, pannie Gładkowskiej, pierwszych koncertach w Warszawie, wreszcie drugim wyjeździe do Wiednia. Bardzo szczegółowo opowiada autor o losach Chopina w roku 1830 — 1831. W rozdziale końcowym p. t.: „Pierwszy okres twórczości“, ocenia F. Hoesick utwory Chopina, skomponowane do roku 1831 włącznie, daje w końcu przegląd analityczno-krytyczny wszystkich dzieł z tej pierwszej epoki.

Tom drugi obejmie drugą połowę życia Chopina od przyjazdu jego do Paryża do śmierci (1831 — 1849).

— Popularne wydawnictwo M. Arcta w Warszawie pod tytułem: „Książki dla wszystkich“, ogłosiło ostatniemi czasy następujące tomiki: G. Stanley Hall: Znaczenie studyów nad dziećmi, streszczył z niemieckiego K. Król. Wydanie drugie (20 kop.). — I. Moszczeńska: Dobre i złe wychowanie w przykładach (20 kop.). — I. Moszczeńska: Jak rozmawiać z dziećmi o kwestyach drażliwych. Wskazówki dla matek. — Neumayr: Ziemia i jej stanowisko we wszechświecie (20 kop.). — Zenon Pietkiewicz: Z naszych stosunków ekonomicznych: Kapitały obce w przemyśle polskim. Cło. Artele (20 kop.). — Antoni Miecznik: O Serbii i Serbach (20 kop.). — Feliks Urbanowicz: Zwierzęta pod wzglę-

dem budowy ciała. — Wald. Osterloff: Zarys historii literatury niemieckiej. Część trzecia. Od Göthego do Schillera (15 kop.). — Felieyan: Francezka z Rawenny. Wydanie drugie (10 kop.). — Giovanni Verga: Rycerskość wieśniacza. Przetłóżył i przedmowę o weryzmie opatrzył Adolf Strzelecki (10 kop.). — Homer: Iliada. Streścił A. Wrzesień (25 kop.).

— Nakładem i drukiem Księgarni Feliksa Westa w Brodach wychodzą od roku 1902 „Arzydziała polskich i obcych pisarzy“, w opracowaniach profesorów gimnazyalnych. Wyszło dotychczas zeszytów czternaście: Malezeskiego „*Maryga*“ opracował Władysław Drowpowski, — „*Gracync*“ dr Konstanty Wojciechowski, — „*Treny*“ Kochanowskiego Zygmunt Paulisz, — Słowackiego „*Mazepę*“ Kazimierz Zimmermann, — Mickiewicza *Ballady i Romanse* Henryk Kopia, — Szekspira „*Hamlet*“ w przekładzie Józefa Paszkowskiego a opracowaniu P. Chmielowskiego, — Kochanowskiego „*Odprawę posłów greckich*“ opracował K. Zimmermann, — „*Antygonę*“ Sofoklesa w przekładzie K. Kaszewskiego P. Chmielowski.

KONKURSY AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI:

— Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza niniejszem konkurs na stypendyum imienia Adama Mickiewicza, w kwocie 2,000 koron, z fundacyi ś. p. P. Radziwińskiej.

O stypendyum powyższe mogą się ubiegać kandydaci, którzy otrzymali stopień naukowy na Uniwersytecie Jagiellońskim, a pragną studia swoje dopełnić w pewnym szczegółowym kierunku za granicą. Pomiędzy kandydatami, posiadającymi równe kwalifikacye, pierwszeństwo mieć będą kandydaci, pochodzący z Królestwa Polskiego.

Podania, zaopatrzone należytemi załącznikami, wnosić należy do Akademii Umiejętności w Krakowie po dzień 15 czerwea 1904 roku.

Stypendyum powyższe wypłaci Kasa Akademii w dwóch równych ratach za kwitami ostemplowanymi, a mianowicie pierwszą ratę dnia 1 października 1904 roku, drugą zaś dnia 1 kwietnia 1905 roku. Wypłata drugiej raty zależną jednak będzie od wyniku sprawozdania z przebiegu studyów za pierwsze półroczcie, które to sprawozdanie kandydat ma nadesłać do Akademii przed końcem marca 1905 roku.

— Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza niniejszem konkurs imienia Mikolaja Kopernika na dwa następujące tematy:

a) Temat pierwszy:

„Opracować stosunki klimatyczne Galicyi, ze szczególnem uwzględnieniem wpływu Karpat na wiatry i opady“.

Nagroda wynosi 1,000 koron.

Termin konkursu po koniec lutego 1906 roku.

b) Temat drugi:

„Zbadać metodą, wskazaną przez St. Schustera (patrz czasopismo „Terrestrial Magnetism“, 1898), lub podobną, o ile okresy zmian szerokości geograficznych, podane przez Chandlera, Kimurę i in. są istotne — czy nie“.

Nagroda wynosi 1,000 koron.

Termin konkursu 31 grudnia 1908 roku.

Autor pracy, uwieńczonej nagrodą, zatrzymuje jej własność. Gdyby jednak w przeciągu roku od wypłacenia mu nagrody, pracy uwieńczonej drukiem nie ogłosił, natenczas uczyni to sama Akademia, ale autor traci prawo własności swej pracy na rzecz Akademii.

Zarówno autor, jak i Akademia, składają cztery egzemplarze wydrukowanej pracy Gminie miasta Krakowa.

Prace konkursowe należy nadsyłać do Akademii Umiejętności w Krakowie bezimiennie, pod godłem, obranem przez autora, z dołączeniem koperty opieczętowanej, zawierającej wewnątrz nazwisko autora i jego adres, a opatrzonej tem samym godłem.

BIBLIOGRAFIA.

F I L O Z O F I A .

Immanuel Kant: Krytyka czystego rozumu. Przełożył z oryginału Piotr Chmielowski. Pod redakcją Henryka Struvego. Z dodaniem Wstępu i Objasnien tłumacza, oraz Skorowidza nazwisk i wyrazów naukowych. Cena rb. 1 kp. 50. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. 1904. (Wydanie z zapomogi Kasy imienia Mianowskiego), str. XL + 782).

D. Mercier: Metafizyka ogólna. Warszawa, 1903. (Biblioteka neoscholastyczna, tom V). Warszawa, 1904. Nakładem „Przeglądu Filozoficznego“.

Juliusz Mastelski: Filozofia przyrody w zarysach. Część szósta. Warszawa, 1904. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp., s. 198. Cena rb. 1 kp. 50.

Ks. Jan Nuckowski: Kilka uwag o nowym podręczniku Logiki. Chyrów. Nakładem autora, str. 50.

H I S T O R Y A .

Szymon Askénazy: Wczasy historyczne. Tom drugi. Warszawa. 1904. Str. 495. *Treść*: Francja a Polska. — Rozbiory. — Z czasów Stanisła-

wa Augusta. — Książę Denasów. — Alfieri. — Sprawy gdańskie. — Rosya w Galicyi wschodniej. — Emigrant w Polsce. — Henryk Sybel. — Albert Sorel. — O krytyce naukowej. — Aleksander Kłobukowski. — Przypisy.

Wilhelm Depping: Japonia. Warszawa. 1904. Tom pierwszy. Str. 151. (Biblioteka dzieł wyborowych, № 326).

Dr Władysław Kosiński: Materiały etnograficzne, zebrane w różnych okolicach Galicyi zachodniej. Część druga. Wierzenia i przesady. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności, 1903, str. str. 86.

Adam Skalkowski: Jan Henryk Dąbrowski (1755 — 1818). Część pierwsza. U schyłku dni Rzeczypospolitej (1755 — 1795). Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1904. Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy). Z przedmową Sz. Askenazego. Str. XII + 392 + 2 tabl. genealog.

Jan Zahorski: Tablica chronologiczna do dziejów Polski. Warszawa, 1904. Nakładem G. Centnerszvera i S-ki. Marszałkowska № 143.

P R A W O.

Teodor Dydyński: Historia źródeł prawa rzymskiego. Z zapomogi Kasy imienia Mianowskiego. Cena rb. 2. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp., 1904. Str. II + 434.

SPRAWY SPOŁECZNE. — PRZEMYSŁ I HANDEL.

Władysław Grabski: Historia Towarzystwa rolniczego (1858 — 1861). Warszawa. Gebethner i Wolff. 1904. Tom pierwszy. Historia rozwoju rolnictwa i sprawy włościańskiej w pierwszej połowie XIX wieku. Str. 2 nrb. + XXIX + 633. Tom drugi, str. XLV + 482.

Adam Świętochowski: Drogi żelazne w dużych miastach wogóle i w Warszawie w szczególności. Odbitka z „Przeglądu Technicznego“. Warszawa, 1904. Na dochód Kasy wzajemnej pomocy i przezorności dla osób, pracujących na polu technicznym.

Sprawozdanie z czynności i z publicznych posiedzeń Izby Handlowej i Przemysłowej w Krakowie za rok 1902. Kraków, 1904, str. XVI + 317.

J. Szczepański i J. Siemiradzka: Kursa handlowe żeńskie J. Siemiradzkiej. Sprawozdanie 1896 — 1903. Warszawa, 1904. Str. 37.

POEZJA. — POWIEŚĆ. — DRAMAT.

Grazia Deledda: Po rozwodzie. Przekład z włoskiego W. Z. Kościakowskiej. Część druga. Warszawa, 1904, str. 139.

Mieczysław Hertz: Ananke. Baśń dramatyczna, zaszczytnie odznaczona na konkursie łódzkim imienia Henryka Sienkiewicza, 1904. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

Alfred Konar: Oazy. Powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1904. Str. 405.

Hanna Krzemińska: *Fatum*. Studium psychologiczne. Warszawa. 1904. Jan Fiszer. Okładka Kompozycji K. Stabrowskiego. Ośm ilustracji Konstantego Gorskiego. Str. 241.

Karol Łaganski: *Znużonym*. Warszawa. Druk P. Laskauera i Sp. 1904. Skład główny w księgarni Jana Fiszera, str. 83.

Adam Stodor: *Atlantyda*. Fantazja liryczna. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa. E. Wende i Sp. MCMIV, str. 37.

Stefan Żeromski: *Utwory powieściowe*. (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczku. — Tabu. — Cienie. — Kara. Legenda o bracie leśnym). Wydanie trzecie. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 214.

Tenże: *Promień*. Wydanie trzecie. Warszawa. 1904. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Str. 214.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

Kwartalnik Teologiczny. Rocznik drugi. Zeszyt czwarty. Warszawa. 1903. Str. 192 + 48. *Treść*: X. Syski: Nasze szkolnictwo elementarne. — X. Prałat Chotkowski: Powrót i powtórne zniesienie Jezuitów w Galicyi (1820 — 1848). — X. Ruralski: Z praktyki pasterskiej. — X. Sobalski: Biskupa Karnkowskiego: Listy znakomych mężów wieku XVI-go. — X. prof. dr Gabryl: Realizm i nominalizm w dziejach filozofii. — X. Wład. Szczepański: Prawomocność ustawy *Tametsi* na ziemiach, zamieszkałych obecnie przez Polaków. — X. M. Godlewski: Wiek XX i katolicy. — X. W. Rozadowski: Ku czci Baranka. — X. L. Jarosiński: O godności stanu kapłańskiego. — Feliks hr. Grabowski: Echa z ostatniego konklawe. — X. Jul. Gołąb: O tłumaczeniu Nowego Testamentu przez X. Jakóba Wujka. — X. A. Szaniawski. Księga praw najstarsza w świecie. — Krytyka i Bibliografia.

Fotograf Warszawski, miesięcznik, poświęcony fotografii i naukom, z nią związanym. №№ 1 — 4. Styczeń — kwiecień. 1904, str. 64. Organ Towarzystwa Fotografów Warszawskich, pod kierunkiem redakcyjnym J. Heuricha, Lebidzińskiego i Szalaya.

Wyszedł z druku zeszyt drugi tomu siódmego *Herbarza Polskiego*, wydawanego przez Adama Bonieckiego, zawierający nazwiska od „Granczewski — Gran“ do „Grochowsey“.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA

ADAM hr. KRASIŃSKI.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z ROKU 1904.

HISTORIA.

	Str.
JÓZEF KS. PONIATOWSKI, — przez prof. Szymona Aske- naze go	1
ZE STOSUNKÓW WILEŃSKICH W OKRESIE 1816 — 1823, — przez Henryka Mościckiego	504

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE i EKONOMICZNE.

KARTKI ZE LWOWA. (W sprawie uprzemysłowienia Galicji), — przez Henryka Radziszewskiego	61
RELIGIJNE ŻYCIE LONDYNU, — przez T. Filipowicza	246

LITERATURA.

A GDY W GŁĘB DUSZY WNIKNIEMY... Powieść współczesna (dalszy ciąg), — przez Gabriellę Za- polską	39, 221 i 474
Z CYKLU „ŻYCIE”. (Poezye), — przez Maryję Kono- pniaka	84

STUDYA I SZKICE LITERACKIE
I ARTYSTYCZNE.

	Str.
GDZIE ARNO PLYNIE (dalszy ciąg i dokończenie), — przez Wojciecha Dziędużyckiego . . . 90 i 309	309
DRAMAT I OPERA, — przez W. Bogusławskiego . . . 127	127
WŁADYSŁAW SYROKOMŁA, — przez A. Drogoszew- skiego (ciąg dalszy i dokończenie) 153, 355 i 565	153, 355 i 565
PRACE I DNIE LUDU POLSKIEGO W „CHŁOPACH“ REYMON- TA, — przez H. Gallego 290	290
NIEZNANY UTWÓR SŁOWACKIEGO. (List apostołski), — przez prof. Józefa Tretiaka 429	429
TWÓRCA I TLUM, — przez Stefana Popowskiego . . . 536	536

NAUKI PRZYRODNICZE.

METEORYTY, — przez Stanisława Janiszewskiego . . . 267	267
TEORIA LAMARCKA I NEOLAMARKIZM W BIOLOGII WSPÓŁ- CZESNEJ, — przez prof. d-ra Józefa Nusbauma 531	531

ROZMAITOŚCI.

Z listów Prezesa Rzeczypospolitej Krakowskiej (Stanisława hr. Wo- dzickiego), — przez d-ra B. Ł. 375	375
---	-----

KRYTYKA.

<i>Zygmunt Gloger</i> : Encyklopedia staropolska ilustrowana. Tom I — IV. Warszawa, 1900 — 1903, — przez prof. A. Brücknera 180	180
<i>Dr E. Stempfe</i> : Polenfrage und Ansiedelungs-Kommision. Darstellung der staatlichen Kolonisation in Posen-West- preussen und Kritische Betrachtungen ueber ihre Erfolge. Berlin, 1902, — przez A. R. . . . 189	189
<i>Aleksander Kraushar</i> : Dziennik podróży Stanisława Staszica (1777 — 1791). Warszawa, 1903, Tomów dwa, — przez A. R. 385	385

<i>Franciszek Bujak</i> : Żmiąca, wieś powiatu Limanowskiego. Kraków, Gebethner, 1903, — przez d-ra Antoniego Górskiego	391
<i>Artur Gruszecki</i> : Tam, gdzie Wisła się kończy. Powieść w 2-ch tomach. Warszawa, 1903, — przez A. Grz. Siedleckiego	395
<i>Ks. Piotr Skarga Soc. Jesu</i> : Kazania sejmowe z pierwodruku r. 1597, wydał i przedmową poprzedził Ign. Chrzanowski. Warszawa, 1903 („Biblioteka dzieł chrześcijańskich“), — przez A. R.	595
<i>Marya Rodziewiczówna</i> : Światła. Nowele. Warszawa, 1904, — przez Mikołaja Mazanowskiego	606
<i>Maryan Gawalewicz</i> : Dla ziemi. Powieść w dwóch tomach. Warszawa, 1904, — przez A. Grz. Siedleckiego	611
<i>Estewa</i> : Wspomnienia z Riwery. Powieść. Warszawa, E. Wende i Sp., 1904, — przez S d l.	615

KRONIKA MIESIĘCZNA.

KWIECIEŃ:

Spółki rolnicze włościańskie. — W sprawie zabaw dla ludu. — Wykup czynszów wieczystych. — Rozwój czytelnictwa. — Oddziały prowincjonalne Towarzystwa technicznego. — Walka z alkoholizmem i projekt p. W. Szukiewicza. — Dom, w którym umarł Mickiewicz. — Ś. p. Tadeusz Kowalski. — Ś. p. Wacław Zeremba	197
---	-----

MAJ:

Pogadanki dla ludu wiejskiego, — Sprawa szpitalnictwa w Warszawie. — Z Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. — „Być albo nie być?“. — Działalność budowniczego J. Husa. — Ś. p. Władysław Nowakowski. — Ś. p. prof. dr Piotr Chmielowski. — Ś. p. Wanda z Grabowskich Żeleńska	401
--	-----

CZERWIEC:

Skutki ekonomiczne wojny. — Kąpiele ludowe w r. 1903. — Kredyt krótkoterminowy dla włościan. — Działalność warszawskiego chrześcijańskiego Towarzystwa ochrony kobiet. — Zapis ś. p. Adama Smigielskiego na rzecz instytutu głuchoniemych i ociemniałych. — Ś. p. Władysław Folkierski	616
--	-----

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE
I BIBLIOGRAFICZNE.

	Str.
KWIECIEŃ	214
MAJ	420
CZERWIEC	633
 WYJAŚNIENIE, — przez ks. A. Brykczyńskiego	 219

Biblioteka Warszawska

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym,

ROZPOCZYNA Z ROKIEM 1904-ym

sześćdziesiąty czwarty rok swojej działalności naukowo-literackiej

i wychodzi

w zeszytach najmniej dwunasto-arkuszowych.

PROGRAM „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“

zawiera następujące działy:

- I. **Filozofia.** Rozbiór systemów i kierunków badań filozoficznych.
- II. **Historya.** Dzieje powszechne i własne.
- III. **Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.**
- IV. **Studia z nauk przyrodniczych.**
- V. **Studia pedagogiczne i lingwistyczne.**
- VI. **Literatura.** Utwory oryginalne wierszem i prozą.
- VII. **Studia literackie.**
- VIII. **Krytyka** utworów piśmiennictwa polskiego i zagranicznego.—
Przegląd literatury belletrystycznej i rozbiory dzieł naukowych.
- IX. **Studia artystyczne,** oceny dzieł sztuki.
- X. **Kronika zagraniczna** o ruchu umysłowym (artystycznym, społecznym i ekonomicznym).
- XI. **Kronika miesięczna.**
- XII. **Wiadomości bibliograficzne.**

WARUNKI PRENUMERATY.

„BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“:

W guberniach całego Państwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego:

Rocznie rs. 10 kop. —

Półrocznie „ 5 „ —

W Warszawie zaś:

Rocznie rs. 9 kop. —

Półrocznie „ 4 „ 50

Kwartalnie „ 2 „ 25

Cena pojedynczego zeszytu rb. 1.

Prenumeratorów zamiejscowych upraszamy o przesyłanie prenumeraty wprost do **ADMINISTRACJI „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“**, ulica **KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE** Nr 5, gdyż to zapewnia najlepiej akuratną ekspedycję pisma.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w Państwie.

Opłata za ogłoszenia w „**Bibliotece Warszawskiej**“ wynosi:

Za ogłoszenie, zapelniające jedną stronicę formatu „Biblioteki Warszawskiej“ rubli **5**. Za ogłoszenie, zapelniające pół stronicy, rubli **3**, i za ogłoszenie, zapelniające ¼ formatu, rubli **2**.

WYDAWNICTWA „Przeglądu Filozoficznego“.

DZIEŁA ORYGINALNE.

	Cena rb. k.
A. MICKIEWICZ: „Jakób Boehme“	0.60
W. LUTOSŁAWSKI: „Platon jako twórca idealizmu“	0.50
E. ABRAMOWSKI: „Pierwiastki indywidualne w socyologii“	0.50
„ „ „ „ „Dusza i ciało“	1.50
J. K. PÓTOCKI: „O energii społecznej“	0.50
W. M. KOZŁOWSKI: „Szkice filozoficzne	1.50
„ „ „ „ „Filozofia Schillera“ i wiersz „Artyści“	0.30
„ „ „ „ „Zasady przyrodznawstwa w świetle teorii poznania“	1.—
W. HEINRICH: „Teorye i wyniki badań psychologicznych“	1.80
E. BIERNACKI: „Chałubiński i obecne zadania lekarskie“	1.50
J. KODISOWA: „Studia filozoficzne“	1.—
Z. BALICKI: „Hedonizm jako punkt wyjścia etyki“	0.60
L. GUMPLOWICZ: „Socyologiczne pojmowanie dziejów“	0.30
„ „ „ „ „Ibn Chaldun, socyolog arabski XIV wieku“	0.30
B. BIEGELEISEN: „Rozwój pojęcia ruchu w mechanice“	0.75
WŁ. GOSIEWSKI: „Zarys teorii matematycznej monadologii“	0.75
J. RADZISZEWSKI: „Odrodzenie filozofii scholastycznej“	0.75

DZIEŁA TŁOMACZONE.

F. RIBOT: „Współczesna psychologia niemiecka“	1.—
„ „ „ „Psychologia uczuć“	2.55
H. GOMPERZ: „Uzasadnienie filozofii neosokratycznej“	0.75
„ „ „ „Krytyka hedonizmu“	0.75
E. DUBOIS-REYMOND: „Granicznie poznania natury“ i „Siedm zagadek wszechświatowych“	0.90
E. MACH: „Odczyty popularno-naukowe“	0.60
E. KANT: „Marzenia Jasnowidzącego“	0.60
A. SCHOPENHAUER: „O podstawie moralności“	1.50
M. GUYAU: „Zagadnienia estetyki współczesnej“	1.20
H. v. HELMHOLTZ: „Leczenie i mierzenie z punktu widzenia teorii poznania“	0.75
G. SIMMEL: „Filozofia dziejów“	1.—
W. WUNDT: „Wstęp do filozofii“	3.—
L. hr. TOLSTOJ: „Co to jest sztuka?“	1.—
H. HÖFFDING: „Zasady etyki“	0.30

Дозволено Цензурою. Варшава 20 Мая 1904 г.

W drukarni Józefa Sikorskiego Warecka 14.